

Z E S Z Y T S Z Ó S T Y

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964

ZESZYTY HISTORYCZNE
VI

BIBLIOTEKA " KULTURY "
Tom CIII

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

Z E S Z Y T S Z Ó S T Y

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964

Podajemy do wiadomości Czytelników „Zeszytów Historycznych”, że ukazują się one dwa razy do roku: w styczniu i w sierpniu. *Cena pojedynczego egzemplarza wynosi F. 15 (dol. 3,00-; 22/-)*. Prenumeratorzy KULTURY korzystają ze specjalnej 50% zniżki. Opłacając z góry abonament „Zeszytów Historycznych” otrzymują dwa „Zeszyty” w cenie jednego.

Prenumeratorzy KULTURY mogą zgłaszać abonament „Zeszytów Historycznych” bezpośrednio w redakcji KULTURY albo u przedstawicieli.

SŁOWNIK BIOGRAFICZNY OFIAR TERRORU PRL

„W pewnej ograniczonej mierze ludzie przemogli niedostatek łącząc się w grupy społeczne. Owe grupy nie są wynikiem społecznej natury człowieka. Powstały one w konsekwencji „paktów nie-agresji” zawartych pomiędzy naturalnymi rywalami i wrogami w przeświadczeniu, że lepiej jest żyć pracując razem niż umrzeć zwalczając się wzajemnie. Fundamentem grupy społecznej jest lęk a jej więzią zobowiązanie. Zobowiązanie wymuszone jest Terrorem. Przemoc stanowi nerw centralny grupy społecznej. Terror czyni z wszystkich członków społeczności braci, ponieważ zagraża przemocą każdemu, który by zdradził zobowiązanie i postępował nie po bratersku. Terror jest braterstwem”.

Tak mówi Sartre.

Dzięki Sartre’owi stało się zrozumiałe, że może istnieć *liberation* bez *liberty* — by użyć określenia Maurice Cranstona. Wyzwolenie bez wolności. W chwili gdy piszę te słowa w Polsce Ludowej partia obchodzi 20-tą rocznicę tego typu „wyzwolenia”.

I my z naszej strony pragniemy upamiętnić tę rocznicę. Chcemy ocalić przed zapomnieniem nazwiska ofiar Terroru. Chcemy przywrócić historii tych, którym „wyzwolenie” i partia zamknęły usta na wieki.

Naczelnny redaktor „Polityki” Mieczysław Rakowski napisał rocznicowy artykuł pod makabrycznym tytułem: „Plan realizowania marzeń”.

Kto realizował owe marzenia?

W latach 1946-49 — „realizatorów marzeń” chroniło przed polskim społeczeństwem 300.000 żołnierzy sowieckich, 230.000 UBeków i milicjantów oraz 120.000 ORMO’wców dowodzonych przez oficerów sowieckich. W tym okresie więzienia i kazamaty

Bezpieki przepełnione były politycznymi więźniami którzy reprezentowali wszystkie klasy społeczne.

Podajemy pracę żmudną i obliczoną na długą metę. Apelujemy najgoręcej do wszystkich Polaków tak w kraju jak i zagranicą, by przekazywali pod naszym adresem wszelkie materiały i dowody dotyczące pomordowanych i zaginionych w okresie 20 lat istnienia PRL. Projektujemy historyczne, naukowe opracowanie wolne od propagandy. Nadsyłane materiały będą publikowane w „Zeszytach Historycznych”, a następnie ukażą się w wydaniu książkowym w języku polskim i angielskim. Poniżej drukujemy pierwszą listę ofiar.

Nie kierujemy się mściwością. Ufamy natomiast, że gdy Słownik Biograficzny ofiar Terroru Polski Ludowej zostanie w pełni opracowany — rzuci nowe światło na genezę rewolucji w Polsce. Narzucona rewolucja w pewnych wypadkach może torować drogę własnej rewolucji. Lecz u nas „realizatorzy marzeń” zdradzili polską drogę do socjalizmu. Realizowali nie polskie marzenia tylko marzenia imperialistów sowieckich.

Ci, którzy zginęli — komunistów nie wyłączając — nie mogli pogodzić się z wyzwoleniem bez wolności.

REDAKCJA

LISTA CZŁONKÓW

Polskiego Stronnictwa Ludowego, zamordowanych w latach 1944-1964

1. BADURA Stanisław, Kraków, zamordowany skrytobójczo 16.5.1946,
2. BAJOR Stanisław, Częstochowa, 11.5.1946,
3. BILEK, dr, Wałbrzych, 1.4.1946,
4. BONENBERG Kazimierz, Miechów, zastrzelony przez UB w maju 1946.
5. BURDA Józef, rolnik, wieś Rzeszotary, pow. Kraków, zamordowany przez bojówkę P.P.R., 17.10.1946.
6. BURKOT Zygmunt, rolnik ze wsi Piastów, pow. Garwolin, woj. warszawskie, zamordowany przez oficera ORMO Józefa Wierzbickiego z Piastowa, 20.10.1946.
7. CHABROS Kazimierz, Puławy, zamordowany przez funkcjonariuszy UB w lutym 1946.
8. CHROMIAK, Miechów, zamordowany przez „nieznanych sprawców” w październiku 1946.
9. CHRUSCIELEWSKI Edward, Kraśnik, woj. lubelskie zmarł zmasakrowany przez UB 17.3.1946.
10. DANIELEWICZ Stanisław, zastrzelony we wsi Bieniewice, pow. Pruszków, przez oficera UB Sobkiewicza, 10.5.1946.
11. DRABIK Karol, Jarosław, zamordowany przez „nieznanych sprawców”, w 1946.
12. DUDZIŃSKI, zakatowany na śmierć przez Rudolfa Górczyńskiego, komendanta UB w Mikułowie na Śląsku. 1946.

13. DUSIK Andrzej, Biała, zamordowany przez bandę P.P.R. 6.5.1946.
14. GACIĄG Stanisław, Siedlce, zamordowany przez funkcjonariuszy UB w czerwcu 1946.
15. GADZAŁA Ignacy, rolnik, członek Koła P.S.L. w Woli Gałęzowskiej, gmina Bychawa, pow. lubelski (obecnie bychawski), brat Anny Gadzałanki, posłanki do K.R.N. z P.S.L. i działaczki Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici” i Stronnictwa Ludowego (St. Bańczyka), która wstąpiła do P.S.L. Zamordowanie jej brata w dniu 6.4.1946 było zemstą P.P.R. za działalność polityczną Anny Gadzałanki.
16. GARGAŁA Ernest, Łańcut zamordowany przez „nieznanych sprawców” 8.9.1945.
17. GARSTKA Stanisław, rolnik ze wsi Przybyszowo, pow. Sierpc, woj. warszawskie zamęczony w śledztwie przez Mieczysława Rożniaka, oficera śledczego UB z Sierpca, w dn. 6.8.1946.
18. GAŚ Jan, Miechów, zamordowany przez „nieznanych sprawców” w maju 1946.
19. GĄSIOR Jarosław, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 20.5.1946.
20. GERSZ Józef, Radzyń, zamordowany przez funkcjonariuszy UB 3.3.1946.
21. GNOROWSKI Józef, Nowy Sącz, zamordowany przez funkcjonariuszy UB 31.5.1946.
22. GODLEWSKI Leszek, Działdowo, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 3.9.1946.
23. GÓJSKI Julian,
24. GÓJSKI Kazimierz,
25. GÓJSKI Ryszard, trzech bracia, rolnicy ze wsi Łęg, pow. Płock, woj. warszawskie, uprowadzeni z domu 9.11.1945. W dniu 8.5.1946 zwłoki Ryszarda Gójskiego znaleziono w stawie, po czym zabrało je UB. Wśród napastników rozpoznano Edwarda Tyburskiego, oficera miejscowej Milicji Obywatelskiej i jednego oficera UB.
26. GÓROWSKI Józef, wieś Siedlce, pow. Nowy Sącz, woj. Krakowskie, zamordowany przez oficerów UB z Nowego Sącza w dniu 31.5.1946, wśród których rozpoznano Wojciecha Jaroszewicza i Władysława Kładnego, poruczników UB.
27. GRABASZ Franciszek, Łańcut, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 26.3.1946.
28. GRABCZYŃSKI Adam, rolnik ze wsi Wola Gałęzowska, gm. Bychawa, pow. Lubelski, zamordowany wystrzałem z pistoletu przez bandę P.P.R., która wtargnęła do wsi w dniu 6.4.1946.
29. GUZIK Józef, rolnik ze wsi Chorążyce, pow. Miechów, woj. krakowskie, wiceprezes powiatowy P.S.L., po aresztowaniu przez UB w dniu 26.10.1946, zwłoki jego znaleziono porzucone w polu.
30. HACHLICA Józef, rolnik, prezes Koła P.S.L. Kraków-Prokocim, zamordowany przez „nieznanych sprawców” z UB w dniu 22.10.1946, w kilka dni po przemówieniu na pogrzebie Józefa Burdy i Pawła Sikory, członków P.S.L. ze wsi Rzeszotary, woj. Krakowskie, oraz Jana Jani, członka P.P.S., zamordowanych przez bojówkę P.P.R. Hachlicę wywołano z domu w nocy i zastrzelono pod drzwiami, oddając w głowę kilkanaście strzałów, pozostawiając zwłoki w kałuży krwi. (Fotografię zamordowanego, leżącego w krwi pod domem i w trumnie ze zmasakrowaną głową zamieściło „Jutro Polski” nr 3 z 19.1.1947, oraz prasa zagraniczna, jak londyński „Daily Telegraph” i inne. Fotograf, który dokonał tych zdjęć, oraz działacz P.S.L. student U.J.

z Krakowa, który go sprowadził na miejsce zbrodni, zostali skazani na 5 i 6 lat więzienia za sporządzenie tych dokumentów terroru UB).

31. JAKUBIAK Zygmunt, ze wsi Olszowiec, pow. Bychawa, woj. Lubelskie, zamordowany przez oficerów UB i MO w dniu 28.2.1946.

32. JAROTEK Jan, Bochnia, zmarł w kwietniu 1946 wskutek tortur w UB.

33. JELESZUK Józef, sekretarz powiatowy PSL w Międzyrzeczu Podlaskim, woj. Lubelskie, uprowadzony w nocy z mieszkania przez bojówkę P.P.R. i zamordowany w dniu 19.6.1946.

34. JÓZEFOWICZ Apolinary, komendant Batalionów Chłopskich na pow. Miechów, zamordowany przez bojówkę P.P.R. 1.8.1946.

35. KAMIŃSKI Kazimierz, Wysokie Mazowieckie, woj. Białostockie, zmarł wskutek tortur UB w śledztwie w 1946.

36. KISIEL Jan Jarosław, zamordowany przez „nieznanych sprawców” w lutym 1946

37. KISIELEWSKI Mirośław, Raciąż, pow. Sierpc, woj. Warszawskie, śmiertelnie postrzelony przez oficera MO Sucheckiego, 6.8.1946.

38. KLIMIUK Marian, Siedlce, zamordowany przez „nieznanych sprawców” w 1946.

39. KLUZ Wojciech, Łañcut, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 15.11.1945.

40. KOBASA Aleksander, Miechów, zamordowany przez „nieznanych sprawców” w maju 1946.

41. KOJDER Władysław, Grząska, pow. Przeworsk, członek N.K.W. PSL (1945), członek Rady Naczelnej PSL, prezes powiatowy PSL w Przeworsku, członek Zarządu Okręgowego PSL w Krakowie, członek Zarządu Głównego Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, prezes Małopolskiego Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, członek Rady Spółdzielni Spożywców „Społem”, przewodniczący wojewódzkiej Rady Spółdzielczej, wybitny działacz podziemnego ruchu ludowego pod okupacją (1939-1945). Po powrocie do domu we wsi Grząska ze zjazdu okręgowego PSL Małopolski i Śląska w Krakowie (z udziałem Prezesa Wincentego Witosa) został porwany z domu o godz. 8-ej wieczorem przez „nieznanych sprawców” z UB w dniu 17.9.1945 i „zaginął”. W maju 1946 r. znaleziono tajemniczy grób w lesie pod wsią Świlcza k. Rzeszowa, a w nim zmasakrowane zwłoki ze śladami 30 kul, ręce skrępowane drutem w tył (po „katyńsku”). Po odzieży p. Aurelia Kojderowa rozpoznała zwłoki męża. W dniu 31.5.1946 dokonano ekshumacji zwłok i 1.6.1946 odbył się w Grząsce pogrzeb z udziałem 25 tys. chłopów, 170 sztandarów PSL, na grobie złożono 205 wieńców w hołdzie zasłużonemu przywódcy chłopów małopolskich, w tak bestialski sposób zamordowanemu. Organizatorem porwania był major UB Sobczyński, także organizator prowokacyjnego pogromu Żydów w Kielcach (4.7.1946), Krakowie i Rzeszowie w 1945.

42. KOŁODZIEJ Józef, urzędnik, zatrzymany przez oficerów UB w Bogacicy, pow. Kluczbork, woj. Opolskie, ciężko pobity, po czym wtrącony do rowu i zastrzelony w dniu 3.8.1946. Wśród napastników rozpoznano oficerów UB Powroźnika, Załuskiego i Bartkowicza. W tym samym dniu i w podobny sposób zamordowany został przez tych samych sprawców —

43. KARCZMARCZYK Wojciech.

44. KOWALCZYK, Częstochowa, zamordowany przez „nieznanych sprawców” w dniu 11.5.1946.

45. KOWALSKI Stanisław, Mińsk Mazowiecki, zamordowany w dniu 3.7.1946 przez bojówkę P.P.R.

46-47. — KRÓL Bolesław i jego żona, Miechów, zamordowani przez „nieznanych sprawców” w maju 1946.

48. KUC Ludwik, Kozienice, woj. Kieleckie, w kwietniu 1945 został aresztowany przez UB, później znaleziono jego zwłoki.

49. KUKIEL Władysław, kierownik spółdzielni mleczarskiej w pow. Bochnia, zastrzelony przez oficerów UB Leona Piechtę i Józefa Sartkowicza, w dniu 8.10.1946.

50. KULESZA Józef, rolnik ze wsi Brzozowo Stare, woj. Białostockie, ciężko pobity w śledztwie przez oficerów UB (po aresztowaniu w dniu 5.5. 1946) zmarł w celi więziennej. Jego siostrze, która domagała się wydania zwłok, odpowiedziano, iż brata jej nigdy nie było w więzieniu.

51-52. KWIATKOWSKI Stanisław i KWIATKOWSKA Anna, Pułtusk, woj. Warszawskie, zamordowani przez „nieznanych sprawców” 20.9. 1946.

53. KWIATKOWSKI Zygmunt, Ostrołęka woj. Warszawskie, zamordowany przez funkcjonariuszy UB w dniu 21.11.1945.

54. ŁATKA Teofil, Zabkowice, pow. Będzin, woj. Katowickie, zamordowany przez funkcjonariuszy UB w dniu 8.9.1946.

55. ŁAZOWSKI Franciszek, rolnik ze wsi Zawidz, pow. Sierpc, woj. Warszawskie, sekretarz Koła PSL, zamordowany w dniu 25.5.1946 przez Jana Łubińskiego kaprała MO przy współudziale Stefana Malinowskiego, plutonowego MO i Czesława Rojczyka, szeregowca z ORMO którzy przed dokonaniem morderstwa długo znęcali się nad Łazowskim. Pogrzeb Łazowskiego odbył się w Sierpcu 28.5.1946 przy udziale 15 tys. chłopów.

56. ŁEMPICKI Józef,

57. ŁEMPICKI Stanisław z Bielska Podlaskiego, woj. Białostockiego, zamordowani przez funkcjonariuszy UB w dn. 1.12.1945.

58. ŁEMPICKI Józef, syn Tomasza, z Bielska Podlaskiego, woj. Białostockie zamordowany przez funkcjonariuszy UB w dn. 1.12.1945.

59-60. ŁYPIK Józef i ŁYPIK Tadeusz, wieś Izdebnik, pow. Wadowice, woj. Krakowskie, ojciec i syn, zamordowani w październiku 1946 przez „nieznanych sprawców”.

61. MAJEWSKI Witold, Bielsk Podlaski, woj. Białostockie, zamordowany przez funkcjonariuszy UB 14.7.1946.

62. MAJKA Józef, rolnik, wieś Mnich, pow. Cieszyn, woj. Katowickie, prezes Koła PSL, aresztowany przez UB 7.7.1946 i poddany torturom, zmarł w więzieniu. Gospodarstwo jego zostało spalone. Wszystko pod pozorem udzielenia noclegu „bandzie leśnej”.

63. MAKSYMOWSKI Stanisław, Augustów, woj. Białostockie, zamordowany przez funkcjonariuszy UB i MO 25.10.1945.

64. MALEJKO Jan, Świecie, woj. Bydgoszcz, kandydat na posła PSL z okręgu bydgoskiego, po aresztowaniu przez UB 18.10.1946, znaleziono jego zwłoki.

65. MARIASZ Stanisław, zast. kierownika spółdzielni mleczarskiej w pow. Bochnia, woj. Krakowskiego, pobity i zastrzelony przez oficerów UB Leona Piechtę i Józefa Sartkowicza 8.10.1946.

66. MARKIEWICZ Roman, Gostynin, woj. Warszawskie, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 20.8.1946.

67. MASŁOWSKI Franciszek,

68. MASŁOWSKI Jan,

69. MASŁOWSKI Władysław, Bielsk Podlaski, woj. Białostockie, zamordowani przez funkcjonariuszy UB 1.12.1945.

70. MIŁKOWSKI Stefan, inżynier, zamieszkały w Charszeicy, pow.

Miechów, woj. Krakowskie, śmiertelnie postrzelony przez Sucheckiego, oficera MO, 30.8.1946.

71. MISZCZUK Feliks, Radzyń, zamordowany przez funkcjonariuszy UB 25.8.1945.

72. MRÓZ Stanisław, Miechów, woj. Krakowskie, zamordowany przez „nieznanych sprawców” w maju 1946.

73. MUCHA Zofia, Łańcut, zamordowana przez „nieznanych sprawców” 24.2.1945.

74. NIEDŹWIEDŹ Szczepan, dr, wieś Siedlce, pow. Nowy Sącz, woj. Krakowskie, zamordowany przez oficerów UB 31.5.1946, wśród których rozpoznano Wojciecha Jaroszewicza i Władysława Kładnego z UB w Nowym Sączu.

75. NIEWIERSKI, Miechów, woj. Krakowskie, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 14.5.1946.

76. NYCZ Stefan, Łańcut, woj. Rzeszowskie, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 7.6.1945.

77. NYGOWSKI Franciszek, Mława, woj. Warszawskie, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 15.1.1946.

78. OLECKI Klemens, Przasnysz, woj. Warszawskie, zamordowany przez funkcjonariuszy UB 28.11.1946.

79. ORŁOWSKI Jan, wieś Gładczyń, pow. Pułtusk, woj. Warszawskie, uprowadzony z domu przez bojówkę P.P.R. 22.2.1946, po czym znaleziono jego zwłoki.

80. PACIOREK, Warszawa, zamordowany przez funkcjonariuszy MO 1.5.1946.

81. PAWLAK Stanisław, lat 19, Garwolin, woj. Warszawskie, zamordowany przez funkcjonariuszy UB 7.8.1946.

82. PECIO Jan Henryk, wiceprezes powiatowy PSL w Puławach, woj. Lubelskie, zamordowany przez bojówkę ORMO 1.9.1946.

83. PELIKAN Szczepan, Częstochowa, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 4.4.1946.

84. PEŁKA Jerzy, Płock, woj. Warszawskie, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 4.2.1946, znaleziono jego zwłoki.

85. PRZENIOSŁO Stanisław, rolnik ze wsi Kalina Mała, pow. Miechów, woj. Krakowskie, członek zarządu Koła PSL, zamordowany przez bojówkę P.P.R. 27.10.1946.

86. PUDŁO Bronisław, Garwolin, woj. Lubelskie, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 15.5.1946.

87. PYTKORCZYK Eugeniusz, Garwolin, woj. Lubelskie, zamordowany 7.2.1946.

88. ROGOZ Władysław, Olkusz, woj. Krakowskie, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 18.5.1946.

89. RUBAJ Józef, Wola Gałęzowska, pow. Bychawa, woj. Lubelskie, 19-letni milicjant, zamordowany wraz z Ignacym Gadzałą (por. nr 15) przez bojówkę P.P.R. w dniu 6.4.1946.

90-91. RYCHCIKOWIE (mąż i żona), Sierpc, woj. Warszawskie, uprowadzeni z domu przez funkcjonariuszy UB 3.12.1946, wkrótce znaleziono zwłoki Rycheika.

92. SAWICKI Cyryl, Białystok, zamordowany przez bojówkę PPR 8.9.1946.

93. SENDEREK Stanisław wieś Górniki, pow. Biłgoraj, woj. Lubelskie, zamordowany przez funkcjonariuszy UB z Biłgoraja 26.1.1946.

94. SĘK Jan, Garwolin, woj. Warszawskie, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 7.2.1946.

95. SIENNICKI Stanisław, Ostrów Mazowiecki, woj. Warszawskie, sekretarz zarządu powiatowego PSL, zamordowany przez funkcjonariuszy UB w nocy 30.10.1946.

96. SIKORA Paweł, wieś Rzeszotary, pow. Kraków, zamordowany przez „nieznanych sprawców” z UB. Po przemówieniu na jego pogrzebie brutalnie zamordowany został Józef Hachlica (por. nr 30).

97. SIKORA Piotr, Bielsk Podlaski, woj. Białostockie, zamordowany przez funkcjonariuszy UB 1.12.1945.

98. SIKORA Jan Bielsk Podlaski, woj. Białostockie, zamordowany przez funkcjonariuszy UB 1.12.1945.

99. SKARBEK Tadeusz z Kępy Kępińskiej, zastrzelony przez oficera UB we wsi Łomża woj. Warszawskiego w dniu 10.6.1946 za odmowę okazania dowodu osobistego.

100. SOKOŁOWSKI, major, zamordowany skrytobójczo w 1946 r. Blizszych danych brak.

101. STON Henryk, Garwolin, woj. Warszawskie, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 10.5.1946.

102. SULEJCZAK Władysław, Garwolin, zamordowany przez „nieznanych sprawców” w lutym 1946.

103. SZACON Wojciech, rolnik, Wola Gałęzowska, pow. Bychawa, woj. Lubelskie, zastrzelony przez uzbrojoną bandę P.P.R., gdy wrócił z pola po zboże do siewu, w dniu 6.4.1946.

104. SZCZELUJA Stefan, kandydat na posła z PSL w Bielsku, po paru tygodniowych torturach w UB zmarł w 1946.

105. SZYDŁOWSKI Józef, Bochnia, zamordowany przez funkcjonariuszy UB 7.9.1945.

106. SZYMAŃSKI Julian, Przemyśl, zamordowany skrytobójczo w 1945.

107. ŚCIBIOREK Bolesław, zamordowany skrytobójczo w mieszkaniu w Łodzi 5.12.1946. Ur. 22.3.1906 we wsi Łaznów, pow. Brzeziny, woj. Łódzkie, ukończył seminarium nauczycielskie w Łodzi, kierownik szkoły powszechnej w Konstancynie pod Łodzią, potem w Jeżowie pod Brzezinią. W czasie okupacji oficer Batalionów Chłopskich, komendant podchorążówki B. CH. w Jeżowie, członek delegatury rządu na woj. Łódzkie i kierownik Oporu Społecznego, uczestnik Powstania Warszawskiego. Od młodych lat działacz Zw. Młodzieży Wiejskiej R.P. „Wici”, w 1945 sekretarz Zarządu Głównego „Wici”; członek K.R.N. z ramienia Stronnictwa Ludowego (St. Bańczyka) i członek jego władz naczelnych. Po zjednoczeniu S.L. z P.S.L. (St. Mikołajczyka) 6.11.1945 u trumny Wincentego Witosa w Wierchosławicach, z-ca sekretarza naczelnego PSL. Za ten doniósł akt polityczny, w którym B. Ścibiorek odegrał poważną rolę, zapłacił życiem z rąk komunistycznych morderców. Szczytem perfidii komunistycznej propagandy po śmierci Ścibiorka było oskarżanie PSL o to morderstwo.

108. ŚWIERCZEWSKI Józef, Pułtusk, woj. Warszawskie. Zamordowany przez „nieznanych sprawców” 20.9.1946.

109. TABISZ Stanisław, dr praw, adwokat, ur. 23.9.1889 w Podzamczku k. Buczacza dyr. admin. koncernu naftowego Małopolska we Lwowie, major rezerwy artylerii, obrońca Lwowa (V.M.), dowódca pociągu pancernego podczas obrony miasta, uczestnik wojny 1920 r., członek Rady Naczelnej S.L. (1938), członek zarządu okręgowego S.L. w Krakowie (1935), aresztowany w czasie strajku chłopskiego w 1937 i skazany we Lwowie na 9 mies. więzienia (1938), członek Komitetu Politycznego Z.W.Z. we Lwowie z ramienia S.L. (1939-41), komendant Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa i Służby Samorządowej (1942-45) pod okupacją hitlerowską, członek Delegatury Rządu podziemnego, członek N.K.W. PSL (1946-47),

aresztowany przez UB w kancelarii adwokackiej w Gdańsku, zmarł, zamęczony w więzieniu UB w Warszawie 5.2.1948.

110. TOMCZAK Michał, Płock, woj. Warszawskie, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 10.1.1946.

111. TUREK Stanisław, Jarosław, zamordowany w lutym 1946.

112. TURYK Bronisław, Radzyń, zamordowany przez funkcjonariuszy UB 31.1.1946.

113. TWARDOWSKI Jan, Miechów, woj. Krakowskie, zamordowany przez „nieznanych sprawców” w maju 1946.

114. URBAN Marcin, rolnik, wieś Siedlanka, pow. Kolbuszowa, woj. Rzeszowskie, prezes Koła PSL, zamordowany przez UB 19.3.1946.

115. WIATR Narcyz, „Zawojna”, mgr. praw, adwokat, działacz Związku Młodzieży Wiejskiej „Znicz” w Krakowskim, prezes powiatowy Zw. Mł. Wiejskiej w Nowym Sączu (1937), więzień Berezki Kartuskiej (1937), komendant Batalionów Chłopskich na Małopolskę i Śląsk pod okupacją hitlerowską, zginął od kuli skrytobójczej funkcjonariuszy UB, na Plantach w Krakowie 21 kwietnia 1945 r. wkrótce po „wyzwoleniu”. (Dwóch jego braci, Ludwik i Marian, aresztowani przez Gestapo, mimo tortur, nie zdradzili tajemnic B. CH. i „bandyty Narcyza”, którego Gestapo za wszelką cenę chciało ująć. Młodszy brat Alojzy zamordowany przez Gestapo po torturach, także odmówił zeznań. Ośmioro członków jego rodziny zostało zamordowanych w okrutny sposób z zemsty za Narcyza w dn. 18.8.1944). Tragiczne losy całej rodziny Wiatra, jak też jego własne zasługi w bohaterskiej walce z okupantem hitlerowskim nie ocaliły jego życia przed nowym okupantem.

Mord Wiatra, „Zawojny”, tak samo jak i Władysława Kojdera, miał na celu pozbawienie ruchu ludowego w Małopolsce zawsze najbardziej dynamicznej i bojowej, jego ofiarnych działaczy i przywódców z młodszego pokolenia, wypróbowanych w walce z hitlerowskim okupantem, o wielkiej pozycji i popularności w masach ludowych.

116. WIERZBICKI Antoni, Pułtusk, woj. Warszawskie, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 20.9.1946.

117. WIĘCŁAWEK Jan, Miechów, woj. Krakowskie, zamordowany przez „nieznanych sprawców” w październiku 1945.

118. Wilk Edmund, Jarosław, działacz Zw. Mł. Wiejskiej „Wici”, członek zarządu wojewódzkiego Wici, sekretarz powiatowy PSL w Jarosławiu, zamordowany w nocy na drodze z Kruhela do Tywonii przez bandę P.P.R. w dniu 7.5.1946.

119. WINIARZ Antoni, Łańcut, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 20.12.1945.

120. WNUK Józef, Bielsk Podlaski, woj. Białostockie, zamordowany przez funkcjonariuszy UB 1.12.1945.

121. WNUK Władysław, Kozienice, woj. Kieleckie, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 20.7.1946.

122. WOJNAR Stanisław, Częstochowa zamordowany przez „nieznanych sprawców” 11.5.1946.

123. WZOREK Feliks, Siennica, pow. Mińsk Mazowiecki, woj. Warszawskie, nauczyciel, działacz PSL, zmarł w listopadzie 1946, w parę dni po wypuszczeniu z więzienia UB, gdzie był poddany morderczym torturom.

124. ZACHARIASZ Michał, sekretarz PSL pow. Pińczów, woj. Kieleckie zamordowany przez bojówkę PPR w czerwcu 1945.

125. ZALEWSKI Antoni, Płock, woj. Warszawskie, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 17.11.1945.

126. ZANIEWICZ Jan, Radzyń, zamordowany przez funkcjonariuszy UB 31.1.1945.

127. ZIMNOCH Tytus, Białystok, zamordowany przez „nieznanych sprawców” 13.10.1946.

128. ŻÓRAWIŃSKI Stefan, Płocochowo, pow. Pułtusk, woj. Warszawskie, zamordowany przez oficerów UB w lutym 1946.

Zestawił *Franciszek WILK*

LISTA PPS

DZIEGIELEWSKI Józef, sekretarz warszawskiej organizacji PPS, komendant Milicji PPS w czasie okupacji i członek kierownictwa centralnego WRN. Aresztowany, sądzone, skazany, zmarł w więzieniu według wszelkich danych na skutek zadawanych mu tortur.

PAJDAKOWA Janina, żona Antoniego Pajdaka, członka krajowej Rady Ministrów w Podziemiu. Uwięziona przez Bezpiekę rzekomo popełniła samobójstwo.

PUŻAK Kazimierz, sekretarz CKW. PPS. Przewodniczący Rady Jedności Narodowej, wywieziony do Rosji wraz z 16 przedstawicielami Podziemia po powrocie został znów aresztowany, sądzone i skazany. Zmarł w więzieniu.

ZDANOWSKI Antoni, sekretarz Komisji Centralnej Związków Zawodowych, członek centralnego kierownictwa WRN, aresztowany, torturowany, został oddany rodzinie umierającej ze śladami zadawanych mu tortur.

Nadesłał *Zygmunt ZAREMBA*

U PODSTAW TWORZENIA ARMII KRAJOWEJ

Jako dca jednego z Korpusów Armii gen. T. Kutrzeby, po przedarciu się w odwrocie przez puszcę Kampinowską, dotarłem do Warszawy w nocy z 20 na 21 września 1939 r. W ciągu dwóch godzin nawiązałem łączność z prez. Stefanem Starzyńskim, który tej samej nocy przyjechał na kwaterę, gdzie zatrzymałem się. Mówiliśmy do świtu, nie o faktach naszych przeżyć z tego miesiąca, lecz starając się zrozumieć położenie aktualne, ocenić je i wyciągnąć z tego wnioski. Starzyński wyraził i uzasadniał obawę co do postawy gen. Rómmla i jego sztabu w zakresie zdecydowanego kontynuowania obrony Warszawy. Niewiele potrafiliśmy sobie wzajemnie powiedzieć o tym, co naprawdę działo się wtedy w Polsce, na co i na jak długo można było liczyć po 17-tym wrześniu, odnośnie siły do dalszej walki już teraz na dwa fronty. Czy i co — jako wolę i możliwości oddziaływania na naszą rzecz — reprezentują sobą Francja i Anglia? Doszliśmy zgodnie do wniosku, że trzeba bronić Warszawy jak długo będzie to tylko możliwe, tak z obowiązku honoru, jak i oparcia moralnego, czy punktu wyjścia dla innych działań w narzuconej nam wojnie.

21 września koło godziny 8-ej rano znalazłem się u generała Rómmla. W dłuższej, obustronnie szczerzej rozmowie stwierdziłem, że wątpliwości Starzyńskiego co do postawy generała były niesłuszne. Spadł mi ciężar z serca, bo byłem gotów w przeciwnym wypadku przeciwstawić się zdecydowanie każdej — na szczęście niestwierdzonej — małości. Generał kazał mi objąć swoje zastępstwo, a w szeregu zadań, jakie mi powierzył, kazał reprezentować się w Radzie Obrony Warszawy, prowadzonej przez Starzyńskiego jako Komisarza Cywilnego przy D-wie Armii.

Tak w szeregu najbardziej bezpośrednich zetknięć z d-cami i

wojskiem, przedstawicielstwem politycznym i społecznym stolicy w Radzie, jak i w stałych kontaktach z ludnością, w rozmowach z ludźmi na ulicy — w bramach, gdzie chroniliśmy się w czasie nalotów mogłem uczciwie, ale i z dumą stwierdzić, że wola walki, ofiarność i samozaparcie się były na najwyższym poziomie. Postawa taka była na pewno wyrazem duszy narodu. Ale Stefan Starzyński był człowiekiem, który zainspirował przejawienie się tego zbiorowo, nadał temu ton i barwę, potrafił to ożywić swoją wolą i wiarą. Tej postawie dopiero zniszczenie i groza bombardowań w dniu 25 września zadały cios na pewno fizyczny, a w pewnej mierze i moralny. Na górze wojska i w Radzie oraz wśród bardziej uświadomionych skutki tych zniszczeń i narastające z konkretnych wiadomości o stanie rzeczy w całej Polsce poczucie osamotnienia — beznadziejności, kazały natarczywie szukać odpowiedzi na pytanie: „więc co dalej i po co”? Wojsko na pozycjach było nienaruszone, nie zdążyło jeszcze odczuć skutków zniszczenia składów amunicyjnych i całego zaopatrzenia. A społeczeństwo — ludność zbita i skrwawiona, bez wody, światła, przeważnie bez dachu nad głową, z lękiem o jutro — ale psychicznie gotowa wytrwać.

Jeszcze w armii Kutrzeby, ze skąpych wiadomości, jakie mieliśmy o położeniu wojennym, o nieudanej koncentracji armii rezerwowej, o okrążeniach i postępach niemieckich wnioskowałem, że możemy podtrzymać opór jeszcze kilka tygodni, ale bez skutecznej interwencji Francji i Anglii — o czym nie udawało nam się niczego dowiedzieć — nie potrafimy go długo kontynuować.

Gdy przyszły wiadomości o wkroczeniu i marszu w głąb Polski armii czerwonej, choć naturalnie nie wiedziałem o tajnym protokóle umowy niemiecko-bolszewickiej z sierpnia, zdałem sobie sprawę, że cokolwiek by to miało oznaczać, poza wątpliwą możliwością wojny bolszewicko-niemieckiej bezpośrednio, nie będzie to dla nas pomocą a raczej nową tylko trudnością. Suma tego, co udało mi się ustalić w sztabie Rómmła do 25 września, dała obraz oderwanych od siebie prób opierania się Niemcom, a poddawania się, czy rozwiązywania oddziałów przed bolszewikami. Szukałem w sztabie Rómmła śladu jakiegoś planowania, co zrobić, gdy przyjdzie poddawać Warszawę, lub rozkazów czy przygotowań sprzed wojny odnośnie zorganizowania opuszczonych terenów, ale bezskutecznie. Jako były d-ca okręgu Pomorze wiedziałem, że odnośnie ostatniego były plany i jakieś przygotowania, kierowane ze Sz. Gł. przez mjr. Galinata. Były one jednak tak zakonspirowane, że niczego o nich nie potrafiłem dowiedzieć się mimo tego, że dotyczyły i okręgu, którym dowodziłem, no i

że byłem też generałem inspekcjonującym z ramienia GISZ na terenie Okręgu Korpusu Przemysł.

Liczyłem się więc z tym, że chcąc coś zrobić, aby podtrzymać ciągłość Państwa, honor i morale Narodu, a przez to i na tym opartą kontynuację walki z najeźdźcą niemieckim, a pewno też i z bolszewikami, trzeba będzie wszystko improwizować. Przed 25 września nikt nie kwapił się do rozmowy ze mną na te tematy, zresztą w gwałcie tego, co musiałem robić w wykonaniu poruczonych mi zadań, przy trudności poruszania się piechotą po zbombardowanym mieście i zaoraniu wszystkich (którzy mogli wchodzić w grę) bieżącą pracą — i ja też odsuwałem od siebie chwilę ostatecznej decyzji. Wiedziałem jednak wyraźnie od pierwszych moich kroków w Warszawie, już 22 września, że jest to obowiązkiem, że musi to być spełnione, że chcę wziąć w tym udział, a jeżeli trzeba będzie podejmę się tego sam. Miałem i ja swoją chwilę słabości. Wieczorem 25 września było zebranie Rady Obrony, na które zaledwie około 10-ciu z nas zdołało dotrzeć. Decyzję określenia stopnia możliwości miasta i ludności, czy zdoła dłużej przetrwać w dotychczasowej postawie, przekazano komitetowi wykonawczemu, który miał zebrać się rano w m.p. gen. Rómmła. Po zebraniu tego komitetu 26 września w rozmowie z nim generała, zaraz po południu, odbyła się odprawa d-ców WJ. na temat celowości dalszego oporu i zdolności żołnierza, aby dzielnie wytrwać, czasu na jaki starczy amunicja i niezbędne zaopatrzenie. Jasne było, że wszystkie te rozważania dawały kilka, najwyżej kilkanaście dni realnych możliwości walki, przy najprawdopodobniej ogromnych dalszych stratach i zniszczeniu. To co dla honoru Narodu i jego sił zbrojnych można było i należało zrobić w Warszawie — dokonano. Stąd, w wyniku tych trzech konferencji, słuszną była późniejsza decyzja generała, aby rozpocząć pertraktacje o honorową kapitulację. Wszystkie te jednak trzy konferencje miały większość tak bolesnych akcentów w podejściu ludzi, ich postawie i rokowaniach z tego zakresu na przyszłość, że zadawałem sobie pytanie z kim można będzie w przyszłości podolać wymaganiom pracy, wytrwać harmonijnie i zdyscyplinowanie we wzajemnie lojalnym współdziałaniu w sytuacjach może dużo trudniejszych. Na szczęście „chwila” tego wahania nie przeciągnęła się ponad godzinę po odprawie wojskowej. Przed powzięciem jeszcze decyzji generała, czy proponować Niemcom kapitulację, zameldowałem się u niego.

Zapronowałem, aby przekazał mi pełnomocnictwa Rządu i Naczelnego Wodza jakie posiadał, rozciągając je na cały obszar naszego Państwa. Oświadczyłem gotowość podjęcia się odpowiedzialności za zorganizowanie zbrojnego oporu przeciw okupantom

i gotowości moralnej oraz fizycznej kraju wszczęcia otwartej walki, gdy na to pozwoli położenie wojenne. Obszernie wyjaśniłem przesłanki mojego rozumowania w tej sprawie, dając wyraz przekonaniu, że jest to nie tylko naszym obowiązkiem wobec Polski, ale i ma szanse udania się. Po krótkiej dyskusji, a raczej wymianie moich odpowiedzi na pytania generała, otrzymałem decyzję, że generał zasadniczo akceptuje mój wniosek, że chce tylko stwierdzić co od Naczelnego Wodza przywiózł kurier, o którego lądowaniu zameldowano generałowi w czasie naszej rozmowy. Kazał mi zameldować się koło godziny 1-szej rano 27 września. Gdy przyszedłem, generał, który w międzyczasie zdecydował sprawę kapitulacji i odprawił generała Kutrzebę do Niemców oświadczył mi, że kurier N.W., mjr. Galinat przywiózł, poza krótkimi informacjami o położeniu Rządu i N.W. w Rumunii, decyzję N.W., że przekazuje Rómmłowi — o ile będzie on miał warunki po temu — dowodzenie w całym kraju. Przywiózł też sugestię N.W., aby generał Rómmel polecił Galinatowi zorganizowanie dywersji w kraju. Generał jednak decyduje przyjąć moją propozycję i oddaje Galinata do mojej dyspozycji jako oficera, który może poinformować mnie o swoich przygotowaniach w zakresie dywersji sprzed wojny proponując, abym — jeżeli uważam to za słuszne — zrobił go swoim zastępcą. Generał podyktował od razu maszynistce krótki rozkaz z przekazaniem mi pełnomocnictw i podpisał go (1). Obiecał na moją prośbę, że nikomu o tym nie wspomni, ani nie zdekonspiruje w niczym mego zadania, dał mi polecenie wypłacenia 750.000 zł. z niewypełnionym nazwiskiem odbiorcy, serdecznie pożegnał i pozwolił się odmeldować ze służby pod jego rozkazami.

Zacząłem więc wykonywać zadanie, którego się podjąłem. Na trzech kolejnych odprawach uprzednio już upatrzonego zespołu 15-tu kolegów, omówiłem koncepcję pracy, plan jaki sobie przemyślałem na pierwszy miesiąc i podzieliłem zadania. Zamierzałem powiększyć ten zespół tak, aby stworzyć od razu związek sztabu i ekip do wysłania w teren. Generał Rómmel pokrzyżował jednak moje plany ogłaszając na odprawie 28 września (wbrew mojej prośbie i własnemu zobowiązaniu), że kto nie chce pójść do niewoli może meldować się u mnie. Zrobił to na

(1) Tekst pełnomocnictwa:

„Dane mi przez Naczelnego Wodza w porozumieniu z Rządem pełnomocnictwo dowodzenia w wojnie z najazdem na całym obszarze Państwa, przekazuję gen. bryg. Michałowi Tadeuszowi Tokarzewskiemu-Karaszewiczowi z zadaniem prowadzenia dalszej walki o utrzymanie niepodległości i całość granic”.

J. RÓMMEŁ, gen. dyw.

pewno nie z braku najlepszej woli, a w nieświadomości elementarnych zasad konspiracji.

Musiałem więc odciąć się zupełnie od wszelkich osobistych kontaktów, a i przez cały czas mego pobytu na terenie okupacji niemieckiej ograniczać bardzo swobodę moich ruchów. Już z końcem października, gdy byłem w Krakowie, pokazywano mi ulotkę niemiecką z moim rysopisem, wyznaczającą 15.000 zł. nagrody za wskazanie mego miejsca pobytu. Zdołaliśmy jednak w ciągu tych trzech odpraw zorganizować łączność między sobą na okres do 6 października, na który to dzień wyznażyłem następną — czwartą odprawę, ustalić hasła i zabezpieczyć się w dokumenty osobiste, rozdzielić do przechowania pieniądze z wojska i te, które potem dostałem od Starzyńskiego, przejąć i zorganizować przechowanie części broni, amunicji i materiałów wybuchowych. Z kolegą przewidzianym na szefa dywersji, który jako saper miał w ramach prac załogi Warszawy przed oddaniem stolicy odgruzować odcinek komunikacji, obejmujący skrzyżowanie Nowego Świata z Alejami Jerozolimskimi — omówiłem założenie ładunku pod budynkiem dyrekcji Kolei i zorganizowanie odpalenia go w momencie przewidywanego tamtędy przejazdu Hitlera po prawdopodobnej „defiladzie zwycięstwa”. Wreszcie z trzema innymi kolegami omówiłem zadanie zniszczenia spisów ludności w magistracie, zdobycie blankietów i pieczętek dla naszych prac „legalizacyjnych”, próbę zrobienia możliwego maksimum dla usunięcia wszystkiego z zakresu ewidencji i ważnych dokumentów z biur wojskowych i cywilnych. Każdy z tych 15-tu miał dobierać sobie na własną odpowiedzialność doraźnych pomocników, których ewentualne wciągnięcie do pracy na stałe zdecydowałbym po ich wypróbowaniu. Z tych 15-tu jeden zdecydował się 30 września pójść do niewoli, drugi po zachorowaniu i krótkim pobycie w szpitalu zrobił to samo w pierwszych dniach października. Niełatwo było nawet z dobrych żołnierzy wydobyć w atmosferze rozprężenia dyscypliny po ogłoszeniu kapitulacji, z ich załamań psychicznych, z ich samopoczucia osamotnienia, gdy trzeba było stanąć na własnych nogach — to wszystko, co miało stanowić potem żołnierza Polski Podziemnej. W ciągu tych trzech odpraw sformułowałem istotę zadania i ogólnie naszkicowałem plan następnych poczynąń.

W tych trzech dniach przed wkroczeniem Niemców do Stolicy musiałem też zorganizować kościec podstawy i oparcia ideowo-politycznego dla całej pracy. Wynik moich przemyśleń od 17 września w dniach bezszelestnych marszów w puszczy Kampińskiej, w czasie przekradania się przez linie placówek niemieckich, lub między ich odwodami i stanowiskami artylerii —

przemysleń o położeniu i przyszłości Polski, które weryfikowałem potem w Warszawie przy każdej możliwości skupienia się, czy pozostania sam na chwilę, był następujący: ani z Rosją ani z Niemcami nie tylko nie ma szans abyśmy się „dogadali” w dającej się przewidzieć przyszłości, lecz z obu stron musimy się zawsze liczyć z możliwością agresji, żyjąc w napięciu różnic światopoglądowych, politycznych czy społecznych. W dzisiejszym świecie nikt nikogo nie będzie bronił ani wspomagał przeciw moźniejszemu od niego, jeżeli sam nie będzie w tym bardziej zainteresowany niż w innych swoich możliwościach.

Jedyną „partią”, do której przed 1939 rokiem należałem — zanim zostałem zawodowym żołnierzem — była PPS. Byłem i będę, jako żołnierz i obywatel, piłsudczykiem, jakim zostałem w 1912 roku. Ale nie wchodząc w ocenę życia polityczno-społecznego w Polsce przed i po 1926 roku widziałem i wtedy, gdy to się wszystko działo aktualnie w okresie naszej niepodległości, że nie wbudowaliśmy w charakter Narodu dostatecznie poważnie czy planowo tych trzech najbardziej potrzebnych nam wartości. Przede wszystkim woli ewolucyjnego stawiania masy Narodu odważnie o własnych siłach, jako warunku budzenia się w każdym poczuciu zdrowej współodpowiedzialności za całość. Zabezpieczenie tego przez ustrój, dający temu poczuciu odpowiedzialności wyraz praktyczny: przez sprawiedliwość tylko wobec prawa, bez koniunkturalnych odwoływań się od tego prawa dla celów taktycznych, przez daleko idące reformy społeczne, zapewniające każdemu równość startu życiowego, przy zachowaniu pionu dla wykazanych indywidualnie zdolności i stopnia użyteczności na rzecz ogółu.

Mój „socjalizm” pojmowałem od młodości w kategoriach ludzkich, chrześcijańskich, a nie materialistyczno-dialektycznych, czy w ogóle marksistowskich. Wreszcie, nie znaleźliśmy — a nawet nie szukaliśmy rozsądnie i wytrwale — rozwiązania zagadnienia mniejszości narodowych, jako podstawy dążeń i prób stworzenia z czasem tego szerszego i mocniejszego (niż wyłącznie nasz narodowy) elementu siły w federacji narodów, a potem państw tzw. dzisiaj Międzymorza.

Tak właśnie zreferowałem mój pogląd na rzecz w kilka tygodni po 27 września 1939 r. w Radości — Roweckiemu, Niedziałkowskiemu i żyjącym dziś jeszcze Korbońskiemu i Z. Zarembie, w całonocnej konferencji pod osłoną nieżyjącego dziś Leona Chrzanowskiego i kuzynki Roweckiego, pani H. Królikowskiej, „patrolujących” wokół domku pod lasem. Wtedy to nasze marzenia o Polsce Ludowej — naturalnie nie tej zza żelaznej kurtyny — próbowaliśmy sformułować sobie i wyrazić w decy-

zjach i planowaniu dla dalszej współpracy. Gospodarzy naszych, w niespełną godzinę po naszym wyjściu, zamordował na miejscu lotny patrol Gestapo, któremu nie chcieli zeznać kto od nich wyszedł nad ranem.

Z tym wynikiem, naturalnie nie jako warunkiem współpracy, ale jako moim wkładem o wartości jednego głosu wśród wielu pomiędzy współbudującymi podstawę przyszłego działania, poszedłem najpierw do Starzyńskiego. Odmówił współdziału twierdząc, że winien jest ludności miasta pozostanie na posterunku, a tego naturalnie nie można było pogodzić z zejściem w podziemie. Dał jednak pieniądze — w złotych polskich i walutach — łącznie wartości około 350.000 złotych. Obiecał wszelką możliwą pomoc, umówiliśmy treść i formy współdziałania na okres początkowy. Potem mówiłem z Niedziałkowskim i Nowodworskim, następnie z Niedziałkowskim i Z. Zarembą, w końcu przy Niedziałkowskim z prof. Michałowskim. Ustaliliśmy, że tworzymy jako reprezentację polityczną kraju — Główną Radę Polityczną w składzie: Stronnictwo Narodowe, Stronnictwo Demokratyczne i PPS na razie; po odszukaniu marszałka Rataja zaprosimy Ludowców wraz z „Wiciami” i ewentualnie „Siewem”. Przewidujemy też zaproszenie Stronnictwa Pracy. Zgodziliśmy się, że Niedziałkowski obejmie przewodniczenie, a Nowodworski będzie jego zastępcą, a równocześnie Niedziałkowski będzie pełnił przy d-cy wojsk funkcję komisarza cywilnego, jako reprezentant Rządu. Ofiarowałem mu środki materialne i zobowiązałem się zorganizować wszystko potrzebne, aby mógł jak najrychlej wyjechać do Rządu i tam nas reprezentować, a w międzynarodówce socjalistycznej — reprezentować interes Polski. Odmówił twierdząc, że zrobi to dopiero po zorganizowaniu Rady. Wreszcie już samemu Niedziałkowskiemu oświadczyłem, że za jedynie słuszną uważam zasadę, by w skład Rady przyjąć również reprezentacje każdego innego z istniejących do 1939 r. ugrupowań politycznych i potem zorganizowanych ugrupowań działających na terenie kraju, łącznie z „Sanacją”, jeżeli przyjmą za podstawę to, co Rada w składzie: Stronnictwo N.D., Stronnictwo Demokratyczne, PSL, PPS ustali ideologicznie jako swoją podstawę wyjściową i cel dążenia.

Schylam głowę przed piękną postawą tow. Mieczysława, który we wrześniu 1939 r. obiecał mi współdziałać w stworzeniu atmosfery i warunków dla zrealizowania tego w przyszłości. Bez względu na stopień słuszności zarzutów stawianych „Sanacji” jako obozowi, że będąc u władzy kierowała się w stosunku do stronnictw wręcz odmiennymi zasadami, nie upoważniało to stronnictw do odwetu w myśl starozakonnej maksymy. Błędne

koło przyczyn i skutków niesprawiedliwości oraz krzywd, narażających w nowe przyczyny, zamknięto z Angers i Londynu bilansem 1940 r. Bilans ten w opinii świata zachodniego i własnych środowisk przyniósł słowami, piórami i czynami oskarżycieli może więcej obiektywnej szkody naszej sprawie, niż zrobili to oskarżenia.

Ustaliliśmy na dzień 10-ty października zejście się w mieszkaniu Nowodworskiego o godzinie 10-ej rano w następującym składzie: Niedziałkowski, Nowodworski, Michałowski i ja.

Celem stworzenia późniejszych podstaw do zalegalizowania się i uzyskania swobody ruchów, poszedłem jako sanitariusz do szpitala na Woli, którego dyrektorka okazała mi maksimum możliwej pomocy. Pracując przy opatrunkach i operacjach, miałem niemal zupełnie wolne od służby noce. Wykorzystałem je dla opracowania ogłoszonych już szkicowo na odprawach przed 30 września podstaw naszej ideologicznej pracy, sformułowania jej zadań bezpośrednich i dalszych, szkieletu i zasad organizowania się, wytycznych wychowawczych, konspiracji, szkolenia, wywiadu i dywersji, przewidywań odnośnie planu i zorganizowania działań na większą skalę, łączności, bezpieczeństwa, organizacji sądownictwa wewnątrz organizacji i na zewnątrz, zaopatrzenia i kasowości, wreszcie zadań i metod inspekcji z poszczególnych działów na wszystkich szczeblach. Podział terytorialny oparłem na okręgach odpowiadających województwom, z okręgiem stolicy na czele, na powiatach, a w ich ramach na plutonach, łączonych okresowo czy doraźnie w kompanie i równorzędne związki. Jako podstawową jednostkę przyjąłem drużynę o dwóch sekcjach, specjalizowaną na szczeblach dowództw i służb. Wreszcie współpracę z przedstawicielstwem politycznym i oparcie o nie przewidziałem od Głównej Rady Politycznej do szczebla powiatu włącznie, mianując kierujących komisarzy cywilnych — zastępcami dowódców. Ustaliłem charakter organizacji jako wojska czynnego, wobec którego na terenie działań wojennych, jakim był cały kraj, komisarz cywilny i przedstawicielstwo polityczne reprezentowali państwowość i rząd. Całość podlegała każdemu legalnemu Rządowi Rzeczypospolitej i Naczelnemu Wodzowi. Jako nazwę przyjąłem S.Z.P. (Służba Zwycięstwu Polski). Przygotowałem też projekt pierwszego meldunku do Rządu i N.W. Wszystko z zakresu organizacji wojskowej traktowałem jako tymczasowe zarządzenia, które — po praktycznym sprawdzeniu w pracy — ulegną zmianom czy uzupełnieniom, a stronę ideowo-polityczną — jako projekt do decyzji Głównej Rady Politycznej.

Na odprawę 6 października stawili się kilku kolegów, sprawdziłem potem, że wszyscy nieobecni byli usprawiedliwieni. Mię-

dzy innymi nie było szefa dywersji — nie wiedziałem więc dokładnie (przed 6 października ze szpitala przez trzecie osoby tylko udało mi się z nim skomunikować) jaki jest stan gotowości rozpoznania właściwego momentu dla odpalenia ładunku na skrzyżowaniu Nowego Świata z Alejami Jerozolimskimi, o którym meldowano mi, że jest założony. Zameldowano mi tylko, że ładunek założono i zorganizowano służbę obsługi technicznej dla odpalenia go oraz obserwację. Jak się potem dowiedziałem w akcji tej brał udział i płk Kraczkiewicz, późniejszy prezes Zarządu Głównego Koła A.K.

Chcąc sam rozpoznać bezpieczeństwo naszego zebrania u Nowodworskiego wyszedłem ze szpitala około godziny 6-ej rano. Z Woli na Nowy Świat szedłem 3 i pół godziny, używając maksimum harcerskiego sprytu i wykorzystując każdy uśmieszek losu, aby przedrzeć się przez najbardziej różnorodne i co krok bez mała napotykanne zapory, kordony, odrzucanie tłumu przechodniów w bramy czy boczne ulice itp. przez Gestapo, SS, policję i oddziały wojska. Zebraliśmy się wszyscy o 10-ej, a w parę minut po rozpoczęciu obrad wezwano Nowodworskiego jako gospodarza do patrolu SS, który wszedł do przedpokoj. Wrócił z poleceniem natychmiastowego zamknięcia i zasłonięcia okien i drzwi z zagrożeniem ostrzelania natychmiast każdego, kto by się pokazał; dopiero wtedy domyśliłem się, że może to właśnie jest sposobność dla naszego szefa dywersji spełnienia postawionego mu zadania. Nie chcąc — gdybym się mylił — psuć nastroju obecnych przypuszczeniem, że możliwy wybuch silnego ładunku o kilkanaście kroków od domu w którym obradowaliśmy na pewno i nas musi dotknąć, nic nie powiedziałem. Nic jednak nie zaistniało. Jak potem sprawdziłem posterunek wystawiony przy założonym ładunku, ukryty w ruinach, sam się nie zorientował, że Hitler może — jak to miało miejsce — przejechać obok. Zorganizowaną obserwację, oczyszczanie ulic przez Gestapo z publiczności tak zepchnęło z odcinka, że nikt go o tym nie uprzedził ani nie zawiadomił. Mieliśmy potem dużo trudności i kłopotów z rozbrajaniem ładunku wybuchowego.

Pierwsze zebranie Głównej Rady Politycznej trwało kilka godzin — i upłynęło w harmonii, w zgodzie dyskusji i głosowań.

Wnioski moje uchwalono bez zmian, jak również proponowaną treść meldunku do Naczelnego Wodza. Wyszedłem z przekonaniem, że poprzez samą decyzję i przez postawę, w jakiej ją przyjęto i uchwalono — weszliśmy na właściwą, najlepszą z możliwych dróg naszej służby dla Polski. Że jednak — choć niezmiennie najlepsza — nie była ona tak łatwa jak to z początku się wydawało, pokazały dopiero następne miesiące i lata. Zadaje

sobie sam pytanie: czy gdyby Londyn zrozumiał lepiej właściwe swe zadanie w stosunku do kraju — swoją rolę emigracji — i krajowi pozostawił decydowanie o sobie, a sam zajął się dostarczaniem do tego elementów i obroną tych decyzji na forum świata, czy jednak ta droga i po 10 października 1939 r. nie układałaby się prościej i łatwiej?

Piąta, a właściwie — wobec niepełnego składu w dniu 6 października — czwarta odprawa sztabu odbyła się w dwa dni potem. Znowu w ciągu kilku godzin omawialiśmy schemat organizacji i wytyczne pracy, oceny i doświadczenia nieraz bardzo smutne z przeprowadzonych rozmów, plan pracy i podział zadań na październik i listopad, kontrolę improwizowanych praktycznie metod konspiracji i łączności oraz szereg pilnych, bezpośrednio i życiowo ważnych zagadnień. Wszyscy koledzy prócz jednego, który wkrótce odpadł, mimo położenia w kraju i własnych trudności, mieli doskonałą postawę. Chcieli i mieli odwagę robić to czegośmy się podjęli, mieli wiarę nie tylko w słuszność samej rzeczy, ale i w jej powodzenie. Zorganizowaliśmy, dzięki inicjatywie i przemyślności kol. J. Karasiówny dobrą, nawet „alarmową” łączność wzajemną, po kilka kwater spotkaniowych na pracę oraz odprawy; ruszyliśmy od razu z miejsca z zaczątkiem sieci wywiadowczej i służbą bezpieczeństwa. Ustaliliśmy odprawy raz w tygodniu, stałe kontakty poszczególnych działów sztabu wewnątrz i ze mną dwa razy w tygodniu. Zorganizowaliśmy centralę werbunku osobno dla sztabu, służb i drużyn specjalnych przy Komendzie Głównej, a osobno ogólną, przede wszystkim dla okręgów stołecznego i warszawskiego oraz dla reszty.

Nie miałem jednak kandydata na zastępcę i szefa sztabu. Generał Rómmel zalecił mi wzięcie na to stanowisko Galinata, po rozmowie z nim jednak, jeszcze w sztabie Rómmela, ustaliłem że lepiej będzie jeżeli skupi się na odszukaniu, czy odtworzeniu śladów jego przedwojennej sieci i w związku z tym odciałem go dla bezpieczeństwa pracy od kontaktów ze mną i sztabem umawiając się, że spotkamy się dopiero w drugiej połowie października. Gdy to nastąpiło dowiedziałem się od niego, że niczego ważniejszego co dałoby się wykorzystać nie znalazł, a i to co odszukał wymagało sprawdzenia. Sam wtedy zaproponował mi, że wróci do Rumunii, aby objąć i przekazać nam jakąś dużą sumę, zdeponowaną tam przez marszałka Śmigłego-Rydza na pracę w kraju. Zgodziłem się i odprawiłem go, tracąc potem jakikolwiek ślad po nim, czy łączność z nim.

Ale około 15 października, skierowany do mnie o ile pamiętam przez płk. W. Lipińskiego, zameldował się płk Stefan Rowecki prosząc o pomoc w przedostaniu się do Francji. Znałem

go od lat jako kolegę jeszcze z Legionów, potem jako dowódcę pułku w 2-giej Dywizji Legionów, którą od 1935 r. po wybuchu wojny miałem w swojej inspekcji. Wysoko ceniłem zawsze jego żołnierskość, otwartą głowę i piękne serce, jego postawę ideową i charakter, był od lat moim przyjacielem i ufałem mu. Objaśniwszy go o stanie rzeczy w kraju, o naszej pracy i zamierzeniach — zaproponowałem, aby został z nami. Odmówił tłumacząc, że jest za bardzo żołnierzem bojowym, aby móc się wżyć w pracę konspiracyjną i walkę podziemną, że widzi swoje miejsce tylko w wojsku liniowym. Podkreślił, że szczególnie obce i raczej niemiłe są dla niego wszystkie zagadnienia społeczno-polityczne od których, pozostając w konspiracji, nie mógłby się odsunąć. Po względnie krótkiej dyskusji na ten temat, w której go zresztą nie przekonałem, wyjąłem pełnomocnictwa od Rómmła, pokazałem mu i wydałem mu rozkaz zostania w kraju oraz objęcia stanowiska zastępcy i szefa sztabu w S.Z.P. Bez wahania, a tym mniej cienia sprzeciwu, usłuchał. Zapoznałem go ze wszystkim, a na osłode obiecałem mu, że tak długo póki sam nie zamelduje mi, że przeszła mu awersja do polityki i pracy społecznej — ja wezmę na siebie wszystkie kontakty i czynności z tego zakresu na szczeblu dowództwa głównego. Przez cały czas naszej współpracy polegaliśmy wzajemnie na sobie bez zastrzeżeń czy wątpliwości. Pozostaliśmy przyjaciółmi i najlepszymi kolegami. On zrobił maksimum, aby jak najlepiej spełniać zadania swego stanowiska, ja w wypełnianiu swoich zawsze pamiętałem o obietnicy nieobciążania go polityką, włącznie do zorganizowania ostatecznie Porozumiewawczego Komitetu Politycznego bezpośrednio przed oddaniem mu służby. Na drugi dzień po naszej rozmowie, pierwszy raz systemem „alarmowym” zebrałem szefów komórek sztabu — przedstawiłem go i oddałem ich w jego ręce. Jak mi opowiadali już tu, na wyspach, koledzy, którzy pracowali pod moim, a potem Grota dowództwem — utrzymał on w całej pracy zasady i podstawowe wytyczne ustalone przeze mnie. Może więc i tym także zdołałem go odciążyć i pomóc mu w trudzie odpowiedzialności i ciężkiej pracy, które tak wzorowo i owocnie dźwigał na swoich barkach.

Nawiązaliśmy przez Niedziałkowskiego łączność z marszałkiem Ratajem, który bez wahania zgodził się na współudział PSL w naszej Radzie, wyznaczając jako swego zastępcę Korbońskiego. Ze względu bowiem na inwigilowanie go i na zbyt częste i liczne odwiedzanie go przez różnych ludzi uważał, że dla bezpieczeństwa Rady lepiej będzie, jeżeli go zastąpi Korboński. Z Korbońskim, jak też i z Pużakiem, wyznaczonym przez CKW PPS na delegata do Rady oraz z jego zastępcą Z. Zarembą, mieliśmy obaj z Grotem

jak najszczerze i najserdeczniejsze stosunki, a przede wszystkim wzajemną, lojalną wzorowo układającą się współpracę. Z Pużakiem zaprzyjaźniłem się jeszcze w 1918 r. w Moskwie, gdzie trzykrotnie uratował mi życie. Miałem zawsze najwyższy dla niego szacunek, nie mówiąc już o stale żywej wdzięczności. Zaremba był kolegą i przyjacielem Grota. Nie miałem nic przeciw temu, że na tle naszego dobrego koleżeństwa w piątkę, (a raczej szóstkę, dopóki i Niedziałkowski był na wolności) po zarzutach co do mnie jako „piśsudczyka i sanatora”, oskarżono mnie o lewicowość, do której zresztą ideowo do dziś się przyznaję. Mam jednak głębokie przekonanie, że w niczym w moich zamierzeniach i postępowaniu nie naruszyłem szczerzej lojalności współpracy na płaszczyźnie kraju w stosunku do Stronnictwa Narodowej Demokracji, Stronnictwa Demokratycznego i potem w kilkakrotnie powtarzanych przeze mnie osobiście próbach u księdza Kaczyńskiego i prez. Chacińskiego, aby Stronnictwo Pracy wciągnąć na wspólną platformę.

Ksiądz Kaczyński, w czasie mego ostatniego widzenia się z nim w listopadzie, przyrzekł mi dać swoją zgodę przez Chacińskiego przed Nowym Rokiem. Choć mieliśmy łączność z Chacińskim, nie dostałem żadnej odpowiedzi definitywnej. Z „Sanacją” nawiązałem kontakt przez Hempla (2) i Stamirowskiego. Mówiłem z nimi trzy razy wyjaśniając moje stanowisko również w stosunku do postawy i decyzji Rady Głównej SZP, że jeżeli zorganizują się i gotowi będą stanąć z dobrą wolą, jako jedno z ogniw w łańcuchu ideowego i programowego zjednoczenia się Rady — będę dążył, aby mogli znaleźć się w jej składzie. Zakomunikowałem o tym Grotowi i Niedziałkowskiemu — dałem im łączność do siebie i Grota — ale już więcej, do czasu oddania dowodzenia Grotowi, nie miałem sposobności zetknięcia się z nimi. Od początku miałem stale duże trudności z komitetem prof. Świętochowskiego. Pomijając, że metody ich zebrani i pracy były zawsze zaprzeczeniem elementarnych zasad konspiracji, że mówili na tych zebraniach wobec nierozpoznanych ludzi, przychodzących wprost z ulicy, o wszystkim o czym wiarygodnie lub z plotki dowiadywali się, że dekonspirowało to szereg naszych pracowników; wysuwali oni stale pretensje do wyłączności reprezentowania w kraju osobiście i politycznie gen. Sikorskiego, który w drodze za granicę we wrześniu przekazał Świętochowskiemu swoje pełnomocnictwa i utrzymywał z nim stały kontakt. Sami wiedzieliśmy o tym, że hojnie zasilali ich funduszami.

Około 15 października nawiązałem łączność z majorem, wę-

(2) (Łukasz).

gierskim attaché, który miał zaraz odjechać do Berna. Przez niego — pokrywszy mu prawdopodobne koszty ekspedycji dalszej przez kuriera — przesłałem meldunek do Naczelnego Wodza zatwierdzony 10 listopada w Radzie. Nasłuch nasz funkcjonował jeszcze nieregularnie, nic więc nie wiedzieliśmy o proklamacji nowego Prezydenta i Rządu z 7 listopada. Licząc się jednak z możliwością, że zaszły jakieś zmiany pod tym względem prosiłem go, aby stwierdził za granicą kto jest aktualnie Naczelnym Wodzem i gdzie przebywa i tam doręczył mój meldunek. Nie wiem dlaczego (bo major ten nie wrócił już do Polski), nie chciało mu się, czy nie udało stwierdzić faktu zmiany na stanowisku Naczelnego Wodza. Zresztą nie wiem nawet jaką drogą z Berna to zrobić, ale meldunek mój doszedł marszałka Śmigłego, który zaraz przesłał go do Paryża. Gdy w Tocku, koło Czkałowa, w Rosji meldowałem się u gen. Sikorskiego w zimie 1941 r. generał powiedział mi, że fakt ten, jako dowód mojej nielojalności dla niego (głównie dzięki naporom, jakie pod tym względem miał ze strony niektórych członków rządu, a potem za moją „lewicowość” ze strony komitetu Świętochowskiego i ze strony Stronnictwa Narodowej Demokracji w kraju), stał się powodem decyzji, iż pierwszy kurier rządu do Polski — Konarski — miał zakaz nawiązania ze mną łączności — no i że zdecydowano przenieść mnie z Warszawy. Generał przyznał, że było to niesłuszne, ale gdy prosiłem go, aby jako dowód „przywróconego zaufania” przeniósł mnie z powrotem do kraju — odmówił. Na podobną prośbę, jaką w 1943 r. przedłożyłem ówczesnemu Naczelnemu Wodzowi, gen. Sosnkowskiemu, po aresztowaniu Grota — spotkała mnie też odmowa. Nie miałem więc tego przysłowiowego łuta szczęścia, bo i wszelkie moje starania w 1945 r., aby móc nawet „na własną rękę” pójść do kraju, nie znalazły oddźwięku w Londynie. Nie chciałem „dezertować” na robotę do kraju wtedy, gdy może bardziej niż kiedy indziej wydawało mi się, że trzeba było umieć słuchać.

W drugiej połowie października, częściowo już przy udziale Grota, zmontowaliśmy sprawne funkcjonowanie Dowództwa Głównego. Zorganizowaliśmy służby i oddziały specjalne, zawiązki dowództw obu okręgów tj. stołecznego i warszawskiego tak, że można było objąć dowodzeniem oddziały, przekazane nam przez Dubois z PPS i stworzyć zawiązek dowodzenia oraz oddziały w szeregu powiatów obu okręgów. Wysłaliśmy nowe ekipy zawiązków w teren innych województw. Zebraliśmy dość dużo informacji o położeniu na prowincji i nawiązaliśmy szereg kontaktów. Między innymi ówczesny pułkownik Okulicki wyjechał do Łodzi i rozpoczął tam organizowanie okręgu z ppłk.

Juszczakiewiczem. Kol. Thun (Leszcz) zorganizował nasze finanse, zabezpieczył dochodowo zapasy gotówki, a co najważniejsze — zorganizował kilka bardzo modnych i popłatnych wtedy przedsiębiorstw transportowych w samej Warszawie i z Warszawy na prowincję, dzięki którym nasi kurierzy i poczta mieli częstsze, a zawsze bezpieczniejsze szanse niż w pociągach, docierania do miejsca przeznaczenia. S.Z.P. stało na nogi — zaczynało wgrzyzać się w dokładną obserwację wroga i jego metody działania, a równolegle z tym — w psychologię powrześnieową własnego społeczeństwa, co z czasem ułatwiło uzyskanie wpływów i nadawanie krajowi kierunku w oporze i w walce z Niemcami.

Grot wszedł w cały tok pracy — mogłem więc ruszyć w teren. Dostałem nową legalizację jako lekarz, przyjęty na urzędnika aprowizacji magistratu Warszawy i potwierdzony przez Niemców mandat zakupów na prowincji. Przechowany samochód, który na rogatkach miasta w nocy z 20 na 21 września dostałem od naszej placówki, przemalowany i „ucywilizowany”, ozdobiliśmy małą chorągiewką z Syreną. Dobrze pozował na wóz funkcjonariusza okupantów. Dwa razy tylko zatrzymano nas w drodze — w Lublinie i w Zagłębiu, a często maszerujące oddziały pozdrowiały nas „Heil Hitler”, na co skrzątnie ale wyniośle tym samym odpowiadałem. Wyjechałem z końcem października, a wróciłem do Warszawy w drugiej połowie listopada. Byłem w Radomiu, Lublinie, Kielcach, Krakowie, Tarnowie, znowu w Krakowie, Zagłębiu, w Częstochowie, powtórnie w Kielcach i Radomiu. Mówiłem dobrze po niemiecku z wiedeńskim akcentem — udawało mi się więc zdobywać benzynę i smary od Niemców. Raz tylko w Lublinie chcieli mi odebrać wóz, lecz jakoś obroniłem się. W Krakowie w mieszkaniu mjr. Łepkowskiego „kwaterowałem” przez ścianę z czterema gestapowcami, jednego wyleczyłem z grypy. Nie wolno im było leczyć się u Polaków. Za „pomoc lekarską” i dyskrecję, abym nie wydał, że leczył się u mnie, zdobyłem zapasowe gumy i części zamienne do wozu. Jadącego do Harcerskiego Domu Wypoczynkowego w Zagłębiu chcieli mnie po drodze zatrzymać konni żandarmi — zwałem im, lecz gdy po dwóch godzinach konferencji z harcerzami ruszyłem sprzed pałacyku, ci sami żandarmi wjechali na dziedziniec i poznali mnie. Zanosiło się na to, że zaczął sprawdzać dokumenty z niewiadomym dla nas skutkiem. Nie pamiętam już jakim dowcipem wypowiedzianym niemczyzną nie budzącą zastrzeżeń co do swej autentyczności i tą chorągiewką, której Syreny nie dostrzegli, wzięli mnie za pobratymca tak, że szybko po wymianie „Heil Hitler”, mogłem włączyć czwarty bieg na dalszą drogę.

Wszędzie starałem się stworzyć zawiązki dowództw, oprócz je i powiązać z zawiązkami Rad okręgowych czy powiatowych, omówić podstawowe zarządzenia i wytyczne zorganizowania pracy na danym szczeblu, czy w lokalnych warunkach. Wszędzie udawało mi się znaleźć ludzi na ruszenie wojskowej i politycznej pracy — w tym ostatnim wskazówki jakie dostałem z centrali partyjnych w Warszawie bardzo mi pomogły. Najtrudniejsze było docieranie do różnych wojskowych i wojskowo-politycznych organizacji, które od września do odejścia mego na sowiecką okupację (ze znanych nam wtedy tylko) narosły do ponad 100. Jeżeli nie było szans apelować o scalenie, to chciałem choćby pośrednio zorientować się w postawie, w składzie kierownictwa i perspektywach scaleniowych na przyszłość. Na ogół dochodziłem we wszystkich tych działach do pozytywnych rezultatów. Choć nie jedną z ocen czy wniosków jakie wyniosłem trzeba było poddać potem rewizji, praca zyskała wszędzie punkty późniejszego wzrostu, a my z centrali — zahaczenia dla dalszej infiltracji organizacji w społeczeństwo i w teren. Ja zaś osobisty wgląd w rzeczywistość i bezpośrednio z życia wzięte oceny, które przydały się i sztabowi naszemu oraz Radzie. Opory miałem tylko w Lublinie ze strony niezbyt sławnej pamięci nieżyjącego już oficera i w Krakowie w dotarciu i dogadaniu się ze Stronnictwem N-D (p. Rymar). PSL (Wici), PPS i Stronnictwo Demokratyczne, a na ogół i Stronnictwo N-D — zwłaszcza PSL i PPS — reagowały wszędzie życzliwie i uczynnie, okazując maksimum dobrej woli i realnego współdziałania.

W Krakowie zacząłem od wizyty u Metropolity, z którym znaliśmy się, a ja przynajmniej wysoce go ceniłem i serdecznie lubiłem od lat. Zreferowałem mu stan rzeczywistości kraju, tak jak go wtedy widziałem, nasze podstawy ideowe i zamierzenia — dorobek dotychczasowy i prosiłem o błogosławieństwo, jako seniora Kościoła pod nieobecność Prymasa oraz o pomoc duchowieństwa w naszej pracy. Niczemu nie odmówił, a skutki jego wpływu w postawie duchowieństwa wszędzie tam, gdzie mogliśmy się zwrócić o współdziałanie odczuliśmy uchwytne bardzo szybko i prawie wszędzie.

W Tarnowie zwróciłem się do prezesa pow. PSL z propozycją, aby pojechał ze mną do prezesa Witosa. Wiedziałem, że jest w więzieniu, jak również że można się z nim widywać dzięki pomocy polskich dozorców. Pan ten był już tam u prezesa dwa razy — odradzał mi jednak pojechać samemu ze względu na bezpieczeństwo prezesa. Ponieważ wybierał się za parę dni po raz trzeci, nie chcąc mieć na sumieniu jakiegoś pogorszenia sytuacji prezesa — prosiłem, aby zreferował prezesowi Witosowi stan

SZP, nasze podstawy i kierunek i złożył w moim zastępstwie drugą z dwóch moich (po kardynale) oficjalnych wizyt. W 1952 r. w Regina, w Kanadzie, spotkałem młodego Czartoryskiego, który był wtedy w więzieniu razem z prezesem Witossem. Ucieszyłem się, gdy mi opowiadał jak serdecznie i z zaufaniem do mnie zareagował prezes na przekazane mu wyrazy czci i informacje, jak życzył najlepszego naszej pracy, uważając ją za najważniejsze podejście do aktywnego rozwiązania w ówczesnym położeniu Polski.

Wracalem do Warszawy z uczuciem, że użytecznie przepracowaliśmy te trzy tygodnie, ale już od rogatek zaczęły się zbierać nad nami chmury. W skutek jakiegoś defektu w silniku i konieczności zmiany opon nie zdążyliśmy przed godziną policyjną. Dopiero po długich pertraktacjach udało mi się uzyskać od posterunku przy wjeździe do miasta przepustkę na dojechanie do domu i zagarażowanie wozu w nocy. A gdy, przejeżdżając przez Poznańską, mijaliśmy sowiecką ambasadę, zatrzymał nas jakiś olbrzym SS-man, wylegitymował i choć mieliśmy tę przepustkę tak się zbulwersował naszą chorągiewką (która tyle nam pomogła w drodze), że połamiał ją, a nas chciał obić, czy — jak groził — postrzelać. Wyszliśmy z tego cało i wóz, choć już bez proporczyka, bezpiecznie zagarażowaliśmy. Pamiętam jednak tę „przygodę”, gdy z całym szeregiem najmniej spodziewanych kłopotów trzeba było parać się od czasu tego powrotu do chwili odjazdu w kierunku sowieckich więzień i łagrów, no i gdy sowieciarze dobrali mi się do skóry bardziej metodycznie i na o wiele dłużej niż ten rozszalały SS-man przed ich ambasadą na Poznańskiej.

To co Grot zreferował mi z dorobku sztabu na okres mojej nieobecności, z rozwoju prac na odcinku obu okręgów — warszawskich i łódzkiego, z łączności nawiązanej z Wilnem, Brześciem i Lwowem, no i to co ja przywożłem sztabowi do rozpracowania — wszystko to dawało dobry obraz sytuacji.

Zastałem już nawet meldunek z Krakowa od Orzelskiego, dyrektora Wodociągów Miejskich, którego w porozumieniu z PSL i PPS krakowskimi wyznaczyłem na komisarza cywilnego i od płk. Filipkowskiego, wyznaczonego na dowódcę okręgu. Dotyczyły one m.in. nawiązania kontaktu z płk. Korczakiem (gen. Bór) i płk. Rudnickim, co starałem się zrobić sam będąc w Krakowie, ale ze względu na konieczność przyspieszenia wyjazdu przekazałem Filipkowskiemu. Były też wiadomości z Lublina i z Kielc, a w kilka dni potem przyszedł meldunek z Radomia (jedeny wypadek kłopotów z miejscowym PPS w czasie całej służby mego dowodzenia w kraju). Wysłaliśmy zaraz dowódców i ekipy związków do Wilna, Bześcia, Lublina i Kielc, pomoc w oficerach

do Krakowa, ekipę rozpoznawczą do Białegostoku i Nowogródka, a z Łodzi oficerów na rozpoznanie możliwości organizacyjnych w Poznaniu oraz na Pomorzu. Kraków i Częstochowa — jak to omówiłem na miejscu — zajęły się Śląskiem, Tarnów i Rzeszów były już uruchomione. Wyjechała w końcu ekipa na Wołyń z płk. Majewskim. Liczyłem, że do świąt dwa okręgi zaczną na ogół sprawnie pracować, a do końca lutego zmontujemy większość powiatów. Już w Krakowie omówiłem zorganizowanie sabotaży przy transportach ropy i nafty z Zagłębia oraz w Puszczy Niepołomickiej, przepracowaliśmy też w sztabie plan ogólny z tego zakresu. Wywiad zaczął systematyzować napływające informacje tak, że w grudniu mieliśmy szereg ciekawych danych, m.in. już wtedy odnośnie przygotowywania przez Niemców pomieszczeń dla dowódców, co wskazywało na kierunek wschodni niemieckich zainteresowań. Nasłuch funkcjonował względnie sprawnie, odkryło się trochę nowych zapasów przechowywanej broni. Powoli ale systematycznie zapoczątkowana inspekcja tego dała potem podstawę do planu zakonserwowania i częściowych przerzutów na cele alarmowe i do użytku bieżącego. Brakowało nam bardzo broni krótkiej.

Wojskowo, z punktu widzenia politycznego (czy na odwrót) było ważne, że wszędzie gdzie to było tylko możliwe, PPS przede wszystkim, a i PSL oddawały swoje oddziały, czy uczciwie popierały nasz werbunek do SZP we własnych komórkach partyjnych. Pogłębiało to wzajemne zaufanie aż do dołów organizacyjnych.

Ale już w samej polityce zaczynało się robić gorąco i nie-miło. Aresztowano marszałka Rataja. Korboński dzielnie go zastępował i po drugim aresztowaniu marszałka podtrzymał w stronnictwie pion i poziom współpracy z wojskiem. Objęło to sobą coraz szerzej i Wici. Stronnictwo ND odwołało swoje upoważnienie dla Nowodworskiego. Na prośbę Niedziałkowskiego i moją zgodził się on *ad personam* być nadal zastępcą komisarza cywilnego. Dopiero w styczniu i lutym, po szeregu konferencjach, skądinąd miło prowadzonych rozmów — szczególnie z A. Dębskim a również ze Staniszkisem i potem pośrednio z Rybarskim — doszliśmy z końcem stycznia do porozumienia, uwieńczonego w lutym 1940 r. przekształceniem Głównej Rady dotychczasowej w PKP (3) bez Stronnictwa Demokratycznego, ale za to już w pełni ulegalizowanym przez partię udziałem Stronnictwa N-D.

Dotrzymałem obietnicy danej Grotowi i całą jego gehennę

niekończących się rozmów nie tylko ze Stronnictwem N-D, ale i równoczesne informowanie o postępach i trudnościach PPS i PSL (współdziałających najlojalniej i z największą ofiarnością — najlepszą wolą szukania rozsądnych kompromisów) wziąłem na siebie. Równoczesne pertraktacje z ks. Kaczyńskim i p. Chaćńskim, ze Stronnictwem Demokratycznym, z szeregiem organizacji od politycznych Wici, a częściowo i Siewu, poprzez społeczno-wychowawczo-wojskowe, jak harcerstwo, Związek Strzelecki, kobieca organizacja PW, do niektórych organizacji powrzesniowych o typie raczej wojskowym, pochłaniały mi tyle czasu i energii, że tylko dużym wysiłkiem woli zdobywałem się na utrzymanie na poziomie uczciwych wymagań w spełnianiu głównych moich obowiązków dowódcy wojskowego. Mieliśmy przecież opracowywanie szkieletu planu operacyjnego i nękania (dywersji). Wawer i inne represje niemieckie wymagały bezpośrednich odwetów. Konieczność wprowadzenia w organizację typu rezerwy i pospolitego ruszenia z jednej, a uaktywnienie pierwszego rzutu, czy jak nazywaliśmy to służby czynnej z drugiej strony, pociągało za sobą nie tylko żmudne studia, jak w różnych terenach należy to rozwiązać, ale i potrzebę posunięć personalnych i materiałowych, wtedy jeszcze na małą skalę, ale niemniej trudnych.

Z końcem listopada i w Krakowie najpierw, a potem w Warszawie trafiliśmy na ślad kuriera z Angers. Znaliliśmy nawet jego pseudonim — „Konarski”. Zaraz po powrocie z objazdu wysłałem drugi meldunek do Rządu, a potem wkrótce trzeci, czwartym dopiero w grudniu, wszystkie już wprost do Angers. Ponieważ w pierwszym meldunku podałem elementy nawiązania łączności z nami wiedząc na pewno, że ten kurier już jest, nie mogłem zrozumieć dlaczego wyraźnie uchyla się od dawanej mu ciągle możliwości zetknięcia się z nami. Jak już wyżej wspomniałem, o przyczynie dowiedziałem się dopiero — na Syberii.

A szedł już grudzień: ostra zima w ruinach Warszawy, nędzą powojennych skutków i rosnącej eksploatacji niemieckiej nękały stolicę. Było dużo zła, małości, „Volksdeutschów” i kandydatów na nich, ustawianie się w kolejkach (choćby w marzeniach tylko) po posady, czy synekury wokół „treuhenderów”.

Mieszkałem trzy tygodnie o 16 km od Warszawy — zaraz za Wawrem — którego tragedię i zbrodnię wymordowania 140 ludzi w pierwszej masowej rzezi powojennej słyszałem w grzechocie niedalekich salw egzekucyjnych. Najmniej trzy razy w tygodniu wyjeżdżałem od kuzynostwa Grota wozem z mlekiem o 5-ej rano do Warszawy i wracałem w ten sposób o zmierzchu przed godziną policyjną. W pozostałe dni spotykałem się w Ra-

dości, czy okolicznych miejscowościach na odprawach, konferencjach i rozmowach z ludźmi, z którymi bezpieczniej było mówić poza Warszawą. Sam, lub z Leonem Chrzanowskim, linijką w jednego konia jeździliśmy wtedy wygodniej niż na wozie z mlekiem. Widziałem więc i ulice stolicy o świcie i przez cały dzień do zmierzchu (bo raczej chodziłem piechotą niż jeździłem tramwajami, w których coraz to ktoś ze znajomych mnie rozpoznawał. Widziałem i wieś, przysiółki i natłoczone w grudniu letniska). Wszędzie byli dobrzy ludzie, dzielni Polacy — prawie wszędzie życzliwość, chęć dopomożenia nędzy — zimna, rozsądna, ale i mocna żywiołowa odraza do Niemców. Była godność, nawet duma, wolnego choć skutego człowieka. Może tylko w Warszawie uliczny bimber, czy inny często wymyślny handel nasuwał obawy o młodzież dorabiającą tym dla rodziców. Obawy nie o jej patriotyzm — bo ten był niezawodny mimo wszystkich kryzysów zaufania — ale o to, czy szaber nie wypaczy jej kośćca moralnego. Nie wypaczył — przecież młodzież ta w Powstaniu zdała egzamin krwi i trudu 63-dniowej walki w kanałach i zgłiszczach.

W okolicach Radości często przejeżdżałem koło domu, gdzie mieszkał prezes Arciszewski. W porozumieniu z nim nie wciągaliśmy, ze względu na bezpieczeństwo, tego seniora polskiego socjalizmu do bezpośredniej roboty. Ale patronował on swoim młodszym towarzyszom, którzy w polityce i wojsku nieśli dużą część ciężaru całej pracy na swoich barkach. Niedziałkowskiego i Pużaka uważałem za starych osobistych przyjaciół. Z pierwszym od lat w Wilnie zblżyliśmy się, z drugim jeszcze z czasów w Moskwie po rewolucji. Jakże cieszyliśmy się wszyscy z wyjścia Rataja z więzienia. Już nie o pracę tylko chodziło, bo Korboński robił wszystko doskonale i jak dobry kolega, ale o człowieka, o głowę i jego wielkie serce, którymi mógł znowu — nie tylko przez grypsy z więzienia — dzielić się z nami. Niedługo został na wolności, wrócił do więzienia po zamykającą mu dalszą drogę salwę egzekucyjnego plutonu. Ale przedtem jeszcze inny cios w nas uderzył. Aresztowano Niedziałkowskiego, zginął ślad po Starzyńskim. Drugi był duszą obrony Warszawy, pierwszy — współtwórcą i mózgiem politycznych S.Z.P. Mieczysław sam wybrał ten los, bo od początku ja, a potem obaj z Grotem nieustannie namawialiśmy go na wyjazd. Miał wszystko gotowe — odkładał z tygodnia na tydzień, aż po drugim przesłuchaniu, na które w wigilię sam się zgłosił, skierowało go Gestapo przez Pawiak w kilkumiesięczną drogę po celi więziennej na Palmiry, a Bierut zhańbił go za to komunistycznym Grunwaldem.

Tak dobrnęliśmy do świąt Bożego Narodzenia, spędziłem je

u kuzynostwa Grota i zaraz przeniosłem się do Warszawy, tym razem na Pragę i to do rzeźni miejskiej.

Mój dobry kolega i serdeczny przyjaciel, mjr. J. Karasiówna w „Pierwsze Półrocze Armii Podziemnej” opisuje dość szczegółowo i zgodnie ze stanem faktycznym cały ten okres ostatnich dwóch miesięcy mojej służby w Warszawie. Dotrwała w kraju do Powstania, zaczęła pracę w tej 16-ce, była dzielnym i sprawnie działającym szefem łączności w Dowództwie Głównym — Komendzie Głównej i w końcu w Dowództwie Armii Krajowej. Była lojalnym, wzorowym podwładnym, szanowanym, kochanym i darzonym ufnością przełożonym, najlepszym kolegą równie moim, jak i generała Grota i wielu innych żołnierzy AK. Wiedziała dużo i dużo mogła powiedzieć najbardziej miarodajnie o wielu zjawiskach i faktach.

Sam, we wspomnieniach moich na temat tego okresu, ograniczę się do niezbędnego. Nie lubię oskarżać gdy nie ma sądu, który by rozstrzygnął o winie, lub skarcił oszczerstwo, czy nieuzasadnione oskarżenie. Nie lubię tym bardziej, gdy mimo całą czujność aby być bezosobistym, mógłbym choć podświadomie ująć coś stronnictwo. Zresztą to już przeszło, tragedia żadna się nie stała. Dobro sprawy nie ucierpiało, a może w dowodzeniu Grota zyskało tylko. Grot tylko w służbie zginął; jeżeli się nie jest fatalistą to można by zapytać czy młodego, dzielnego, wypróbowanego w trudzie dowodzenia przez lata całym krajem dowódcę nie udałoby się było zachować dla Polski na dziś, gdy tak bardzo potrzeba nam ludzi jego miary — z wizją i siłą realizowania — dowódcy z wielkim charakterem i wielkim sercem.

Zresztą gdybym nawet oskarżał to nie o fakt odebrania mi dowodzenia. A nawet nie o bezmyślność rozkazu przeniesienia do Lwowa, gdzie w nasileniu działalności NKWD każdy bez mała Lwowianin mógł mnie rozpoznać i przed kimś nieuważnie o tym wygadać. Prawem dowódcy jest określać, że któryś z jego żołnierzy jest mu potrzebny nie tu a tam, czy w ogóle niepotrzebny. A jest też prawem dowódcy posłać żołnierza na posterunek indywidualnie dla tego żołnierza z góry już stracony. Za to każdy dowódca odpowiada tylko przed swoim sumieniem, i przed przełożonymi. Oskarżenie moje — którego nie wnoszę ani też nie wniosę — dotyczyłoby tylko osobiście brzydoty, nie żołnierskości sposobu w jakim mnie usunięto. A to trzeba podkreślić nie dlatego, że to dotyczyło mnie czy kogokolwiek innego, ale dlatego, że rzecz sama była brzydka. Natomiast ogólnie rzecz biorąc — co naturalnie jest stokroć ważniejsze — mógłbym oskarżyć raczej o świądomy nonsens systemu organizacji, jaki nam narzucono. Nonsens ten świadczył o złym podejściu do zadań i spraw kraju i długo

pokutował w zarządzeniach emigracji, jej poczynaniach i chaosie jaki przez to stwarzał. Chcę jedno rzec — nikogo o żadne złe intencje nie posądzam — zresztą i to co powiedziałem, powiedziałem o samym fakcie, a nie o ludziach, którzy do tego przyłożyli rękę. Rzecz samą trzeba podnieść, bo to może się komuś przydać jako doświadczenie i może ktoś z tego czegoś się nauczyć.

W ostatnich dniach grudnia przyjechał powtórnie kurier Konarski, tym razem trafił szybko na adres z pierwszego mego meldunku z połowy października. Przywiózł do Grota (4) długi rozkaz o utworzeniu ZWZ o tym, że ma ono powstać z SZP, że Komenda Główna tego ZWZ jest już gotowa od końca listopada w Angers i będzie ona dowodzić w kraju wprost z Francji kilku obszarami, każdym bezpośrednio. Jeden z nich ma objąć Grot — obszar warszawski — i koordynować pracę pozostałych obszarów okupacji niemieckiej. Tom III wydawnictwa „Polskie Siły Zbrojne” podaje treść tego rozkazu, a mjr. Karasiówna sposób doręczenia go itp. Nie chcę oceniać sensu tego rozkazu — bo zrobiła to już historia — w fakcie jego kolejnych zmian w ciągu kilku miesięcy, doprowadzających z woli tych samych przełożonych, którzy go wydali do stanu zorganizowania, jaki my wszyscy w kraju od początku i stale uważaliśmy za jedynie słuszny tj., że jako minimum wojskiem całym w kraju dowodzi dowódca, przebywający w kraju i naturalnie podległy Naczelnemu Wodzowi za granicą. Jako minimum, bo uważaliśmy, że w ogóle całym krajem dowodzi na miejscu delegat Rządu, któremu podlega dowódca wojskowy lub odwrotnie — tak jak przewidywały to nasze zasady organizacyjne na terenie działań wojennych jakim był kraj, dowodzi dowódca wojskowy, przy którym jako reprezentant Rządu tzw. Komisarz Cywilny kieruje sprawami politycznymi, administracyjnymi itp. Każdy żołnierz, a i każdy urzędnik administracyjny rozumie, że aby decydować trzeba wiedzieć o czym i w jakich warunkach się decyduje, no i trzeba móc potem kontrolować sposób wykonania decyzji. Naturalnie że przy normalnych środkach łączności odległość nie gra roli, ale klimat rzeczywistości pola bitwy czy terenu operacyjnego ma swoją wymowę i swoje imperatywy w dowodzeniu, o ile ma ono być z sensem i sprawne. O łączności nawet dużo gorszej od pseudo normalnej z Angers do Warszawy, Poznania, Torunia, Wilna lub Białegostoku, czy Lwowa, wreszcie Krakowa nie można było przecież marzyć ani ludzić się, że to się uda kiedykolwiek zorganizować. Jeżeli uznano w Angers adres dowództwa Głównego SZP i nazwisko szefa sztabu, do którego Konarski przywiózł rozkaz, to

uznano też i dowódcę, który w swoich meldunkach ten adres i nazwisko podał. Nie zapomniano i o nim — był do niego świ-
stek papieru z rozkazem: „Udacie się natychmiast do Lwowa
objąć tam dowództwo obszaru nr 3 — podpisy”. Kurier, który
zameldował się u mnie dnia 1 stycznia 1940 r. ustnie nastawał
— nalegał, że to „natychmiast” rozumie się w ciągu trzech dni.

W gruncie rzeczy rozkazy te — ich treść i sposób potrakto-
wania mnie przyjąłem spokojnie i z góry zdecydowałem ustosun-
kować się tylko rzeczowo — w ramach obowiązku żołnierskiego
i dobrego przykładu dla kolegów, zgodnie z czujnym pojęciem
o interesie rzeczy samej to jest Sprawy, której służyliśmy. Do
obowiązku wyjazdu w ciągu trzech dni, zalecanych mi przez Ko-
narskiego, nie poczuwałem się, było to realnie niemożliwe i pod
każdym względem szkodliwe dla służby. Nasza doktryna dyscy-
pliny uprawniała mnie do zdecydowania tego samemu. Nie przy-
jąłem oferty Grotą, że decyzyję co do wykonania personalnej czę-
ści rozkazu lub utrzymania w tym, względnie w ogóle, dotych-
czasowego stanu rzeczy zostawia on w moim ręku. Odrzuciłem
poważną propozycję autorytatywnych przedstawicieli dwóch
stronnictw w Radzie naszej, aby utworzyć Rząd w kraju, a współ-
pracować z Angers w zakresie obrony naszych interesów na zew-
nątrz. Zrobiłem wszystko możliwe, aby całej sprawie nie nadać
posmaku sensacyjności, a tym mniej jakichś rozgrywek personal-
nych i nikomu w SZP, kogo tylko można było ominąć, nie mó-
wić nic o tym. Pokrzyżował mi to Konarski, który *urbi et orbi*
rozgłosił o tym w Warszawie — moi oficerowie ze sztabu przy-
chodzili do mnie pytać się czy to prawda, bo słyszeli o tym
od znajomych, czy od znajomych swoich znajomych.

Zdecydowałem oddać Grotowi od razu dowodzenie obszarem
warszawskim, a zatrzymać tymczasowo ogólne dowództwo, aby
zostawić sobie margines czasu na uporządkowanie sytuacji politycz-
no-organizacyjnej, uspokojenie ekscytacji na tle całej sprawy i
przedłożenie do Angers jeszcze pod moją odpowiedzialnością mel-
dunków, jak uważamy za słuszne w kraju rozwiązać problemy
organizacyjne wysunięte przez ten cały rozkaz. Kazałem Grotowi,
aby już jako dowódca obszaru zameldował swoją osobistą ocenę
i wnioski odnośnie tego — nie poruszając personalii — zwłaszcza
odnośnie mojej osoby. Postanowiłem stworzyć jakąś ograniczo-
ną ściśle w czasie sytuację „wyczekania”, aby Angers mogło
(jeżeli zechce) odpowiedzieć na moje i Grotą wnioski, a równo-
cześnie abym tego „wyczekania” nie rozciągał poza granice żoł-
nierskiej przyzwoitości w terminie wykonania rozkazu personalnie,
gdyby żadnej odpowiedzi nie chciano mi przysłać. Zameldowałem

więc (jak niżej) przez Konarskiego, który wyjechał w pierwszych dniach stycznia, a potem przez pp. Gejsztora i Dokładnego, którzy z takim samym rozkazem przyjechali na Trzech Króli i wyjechali w połowie stycznia. (Jak to w tym wojsku czasem szybko jedni do drugich dojeżdżają kurierzy, gdy niektórym przełożonym na czymś zależy, a nie można się doczekać odpowiedzi na 6 wysłanych i doręczonych meldunków w ciągu trzech miesięcy w sytuacji jesienią 1939 r. w kraju. Zapytywałem siebie sam czy i ja w mojej służbie podobnie postępowałem — nie umiałem sobie jednak niczego podobnego przypomnieć, więc mam prawo podnieść to tutaj). Odnosnie strony personalnej powiedziałem, że rozkaz wykonam proszę tylko, aby — o ile nie ma szczególnych powodów przeniesienia mnie właśnie do Lwowa, a Naczelnny Wódz nie ma z jakichkolwiek swoich względów zaufania do mnie jako dowódcy w kraju — pozwolono mi zostać, czy jako zastępcy i szefowi sztabu u Grota, czy jako komisarzowi cywilnemu przy Grocie. Uważałem że takie rozwiązanie dla rzeczy samej wtedy byłoby najlepsze (przyjmując rzeczywistość, że mnie nie chcą jako dowódcy) tak widział to i Grot i aktualnie wtedy pracujący członkowie Rady Głównej, a obaj z Grotem byliśmy zbyt dobrymi żołnierzami, aby zachodziła obawa jakichś trudności w naszej współpracy przy odwróceniu „układu sił”. A co do meritum — przekonywaliśmy obaj z Grotem w naszych meldunkach że można z zagranicy dowodzić całym krajem, a nie osobno i bezpośrednio fragmentami pracy czy terenu. Że nie można oddzielać zaplecza politycznego i całego systemu administracyjno-państwowego od wojska, czy odwrotnie — wojska od integralnie z nim związanej podstawy własnego też walczącego na co dzień społeczeństwa. Że opóźni to zawsze każdą szybko potrzebną decyzję, wywoła tarcie od góry do dołu, nie mówiąc już o rozpleniających się zawsze jak grzyby rywalizacjach kompetencyjnych, które w konspiracji, a szczególnie przy specyficznych przeszkodach w uzyskaniu natychmiast rozstrzygnięcia wspólnych przełożonych, muszą wyrządzać tylko szkodę dobru służby i sprawności pracy. W meldunku przez Gejsztora dodałem, a powtórzyłem to w meldunku wysłanym przez p. J.S., też w styczniu, że czekam na odpowiedź co do mnie do 20 lutego 1940 r., proponując kod jej przez radio i godzinę nasłuchu na to. Niezależnie od niej tej mojej personalnej sprawy — gorąco kładę na serce obu przełożonym naszym sprawę merytoryczną, najbardziej życiowo ważną dla nas i całej służby w kraju, tj. konieczność zmiany organizacji dowodzenia i współpracy z czynnikiem polityczno-administracyjnym. Za najlepsze uważaliśmy i proponowaliśmy w tych meldunkach wyznaczenie np. komendanta głównego ZWZ w kraju, mia-

nowanie pełnomocnego ministra w kraju jako delegata Rządu i uzależnienie jednego od drugiego czy na odwrót. Dodałem też, że o ile wyjadę do Lwowa około 22-go nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, to w myśl tej naszej zasadniczej koncepcji i organizacji dowodzenia w kraju, uzależnię się sam, po zdaniu służby Grotowi w Warszawie, od niego, tj. od komendanta obszaru nr 1.

W kilku ostatecznych rozmowach ze mną i z Grotem tak samo Konarski, jak i bardzo życzliwi w ocenie naszego dorobku i wniosków organizacyjnych Gejsztor i Dokładny stwierdzili wyraźnie, że merytorycznie mamy słusność, że poprą jak najgoręcej nasze wnioski, że zrobią na co ich stać aby przyczynić się do naprawienia krzywd (nie mam tu na myśli personalnych) wyrządzonych przez postawę w stosunku do nas i rozkazy z Angers. Pobłogosławiliśmy ich, aby im się to udało, a Konarskiego gdy zrozumiał błędy własne i inspiracji z jakimi był w listopadzie i przyjechał w grudniu — „rozgrzeszyłem”. A propos tego listopada i Konarskiego już wtedy uprzedzałem Grota — zresztą i przedtem w październiku po objęciu przez niego służby — że liczę się z możliwością chęci zlikwidowania mnie przez nasze władze. Prosiłem aby ustawiał się w pracy w sposób, któremu nie łatwo by było przyczepiać łatkę czy „sanacyjności”, czy „lewicowości”, aby gdy mnie usuną podtrzymał ciągłość postawy i koncepcji, zabezpieczył dowodzenie przed „partyjnikami” czy wygodnymi figurantami. Niestety rozumiałem, że po tragediach jak nasza wrześniowa, a zresztą i w ogóle nie łatwo ludziom pozbywać się chęci odwetu na grupach czy jednostkach, nie poddawać się w ocenie najważniejszych zjawisk i zagadnień podszeptom głupoty, zawiści personalnych lub małostkowości plotki niesprawdzonej nawet (choć się ma sposobności, jak pobyt Konarskiego w kraju w listopadzie) — nie weryfikowanej odważnym postawieniem wprost w oczy zarzutu i zaczekaniem przed osądem na odpowiedź czy usprawiedliwienie się. Po odejściu Komendanta Marszałka J. Piłsudskiego nie stało nam ludzi dorastających do zadań chwili.

Jak ocenialiśmy obaj z Grotem, a przyznawali temu słusność ludzie bezstronni z polityki, czy z boku obserwujący nasz dorobek — organizacja działała sprawnie. Objęliśmy, prócz nieopanowanych jeszcze ale już dobrze rozpracowanych poznańskiego i Pomorza, wszystko ważne w terenie całego kraju. Okręgi jak łódzki Okulickiego, czy Lublin Spychalskiego pracowały wzorowo. Mieliśmy w czynnej służbie ponad 25.000 wyselekcjonowanego ideowo i wojskowo dobrego żołnierza. Sprawdzanie stanów, gotowości i dyscypliny dawały wszędzie dobre wyniki. Było kilkadziesiąt tysięcy w dużej mierze niesprawdzonych, rezerwy i pospo-

litego ruszenia. Minimum broni i amunicji (poza krótką) było zapewnione. Dowództwa, wojska specjalne, łączność, wywiad, dywersja, bezpieczeństwo, zaopatrzenie, „lokale” i „komunikacja” — były zawsze przeciętnie dalekie od doskonałości, ale można było poprzez nie bieżąco pracować sprawnie, mieć czucie z terenem i dowodzić. W zakresie zaopatrzenia zbliżyliśmy się do kryzysu w pieniądzach. Nasze — poza rezerwą na czarną godzinę i inwestycjami jak łączność, kwatery i komunikacja (przedsiębiorstwa transportowe) — wyczerpywały się. Na prośby pomocy — zdaje się we wszystkich 6 meldunkach do świąt w grudniu — nie mówiąc już o trzech po Nowym Roku — nie mieliśmy właściwie żadnej reakcji. A wiedzieliśmy o wysokości sum i adresach, na które hojnie przesyłano je z Angers, ale nie dla nas. Ot tak, na pewno ważni dla nauki polskiej profesorowie politechniki, czy krakowscy P. Świętochowski, czy dużo innych grup i grupek czy jednostek dostawali je — my nie. A gdy w jednym wypadku w ostatnich dniach grudnia zaawizowano nam pośrednio o niejakiem M., rozpoznanym przez nas aferzyście, że ma i dla nas pieniądze, to dowiedzieliśmy się od niego, że żąda 75% całej sumy jako prowizję, przy tym twierdził i pośrednio legitymował się tym, że go z Angers upoważniono do tego. Cóż z takim draniem było robić? Zastrzelić, ale to naruszałoby lojalność wobec jego mandatariuszy — no i tych nawet 25% nie dostaniemy. Wzięliśmy, raczej już z końcem stycznia Grot zdecydował, że bierze to dla swego obszaru. A dochodziły pewnie i docelowo pieniądze nawet na indywidualne, względnie zbiorowe, adresy w kraju prywatnych osób nie mających — poza pokrewieństwem z kimś w Angers — nic wspólnego z pracą, a tym mniej służbą. Kto tak mądrze dysponował i organizował, na szczęście dla mnie, nie wiem.

Liczyłem się jednak, mimo wszystkich hymnów pochwalnych pod naszym adresem tych trzech kurierów gdy odjeżdżali, że nie dostanę rozkazu odwołującego moje przeniesienie do Lwowa. Gdy więc z początkiem stycznia Korczak podporządkował czy wcielił swoją krakowską grupę do ZWZ, wezwałem jego szefa sztabu płk. (obecnie gen.) Rudnickiego do Warszawy i zaproponowałem mu, aby jechał jak najszybciej do Lwowa objąć tam tymczasowo dowodzenie, a gdy przyjadę zostać szefem i moim zastępcą. Po wyjaśnieniu sobie różnych zagadnień, które go interesowały we współpracy ze mną, „Klimek” przyjął propozycję. Dałem mu potrzebne rozkazy. Liczyłem, że zacznie pracować na miejscu z początkiem lutego, a pod koniec miesiąca spotkamy się znowu we Lwowie. Spotkaliśmy się nieco później, bo dopiero w sierpniu 1940 r. W Dniepropietrowsku, gdy wprowadzono go do celi, w której ja

już siedziałem od paru miesięcy. Nie udało nam się jednak wykorzystać tej sposobności do zorganizowania tam dowództwa lwowskiego, choć i kol. A. Płońska, późniejszy ppłk. i inspektorka na Śr. Wschodzie, która szła ze mną przez granicę jako przewidziana na szefa łączności oraz kol. M. Trojanowska, łącznik od Grota — też siedziały w tym samym więzieniu. Niczego o sobie nie wiedzieliśmy myśląc jeden o drugim, że tamten właśnie działa we Lwowie. Dużo więc było radości z tych trzech tygodni spędzonych w jednej celi — dużo szeptanych dyskusji o dzisiaj i o możliwościach jutra. Dostałem wtedy 5 lat „łagru” i powieźli mnie „na białe niedźwiedzie”. Rozstaliśmy się i dopiero kiedyś, w 1942 r. w Szachrisiabsie w Uzbekistanie, telefonuje do mnie gen. Anders z zapytaniem czy zgodzę się na Klemensa jako dowódcę piechoty w 6 Dyw., którą dowodziłem. Więc zrealizował się jednak ten Lwów nasz w wydaniu Uzbecko-Sowieckim, u stóp ośnieżonego Pamiru, w skwarze gorąca i wśród pięknych a ożywczych aryków (kanały nawadniające), ale zawsze Lwów — bo 6 Dywizja była lwowską, miała swoje „dzieci lwowskie”, swego lwa w błękitno-czerwonym polu, a przede wszystkim serca lwowskie — uśmiech, piosenkę i gaz — szpurta lwowskich batiarów.

Na przełomie stycznia i lutego oddałem Grotowi dowodzenie nad resztą obszarów okupacji niemieckiej, zatrzymując poprzez ten sam sztab kierownictwo wszystkich spraw dotyczących obszarów na okupacji sowieckiej i Wilna oraz dowodzenie ogólne, jako podstawę do wykończenia spraw politycznych, które chciałem mu oddać bezpośrednio przed wyjazdem w stanie nie obarczającym go kłopotami na tym odcinku.

Od czasu cofnięcia pełnomocnictw Nowodworskiemu przez Stronnictwo N-D szło wszystko jak z kamienia w tej dziedzinie. Jedynie PPS i PSL niezmiennie trwały w harmonii współpracy z wojskiem i między sobą, a choć miały zastrzeżenia co do współpracy ze Stronnictwem N-D po jego wycofaniu się z Rady Głównej — chętnie zgodziły się podporządkować je do współpracy ze Stronnictwem N-D wyszedł najpierw problem Stronnictwa Demokratycznego — żądano aby ośrodek Rady, pełnoprawny jej skład, nie obejmował demokratów. Choć takie stanowisko uważałem za sprzeczne z sensem idei zjednoczenia, o które mi głównie chodziło — ostatecznie ustąpiłem, a kierownictwo Stronnictwa Demokratycznego, które od początku Rady było w jej składzie zgodziło się wycofać, pozostawiając nadal w lojalnej z nami współpracy już jako nie członek Rady.

Choć zawsze bardzo miło mówiło nam się z p. Dębskim, choć zawsze życzliwi byli pp. Rybarski i Staniszkis, ale coraz to

inne wysuwali problemy — ogólne zresztą nie żadne personalne — i coraz trzeba było najpierw dogadać się z nimi, potem przekonać co do tego PPS i PSL i znowu o jakąś wysuniętą przez ostatnich poprawkę zwracać się do N-D, przekonywać i prosić. Grot śmiał się ze mnie, że jak tak dłużej pójdzie to zostanę męczennikiem „za sprawę” ówczesnych problemów zjednoczenia, a w każdym razie ofiarnikiem cierpliwości, pogody, uprzejmości i innych na ogół obcych mi cnót. Ale wytrwałem, a tow. Pużakowi za jego wyrozumiałość na ludzkie błędy, ustępliwość i oddziaływanie na Z. Zarembę i PSL winien jestem serdeczną wdzięczność. Ostatecznie zebrałem ich razem — zdaje się 7 lutego 1940 r. — zaproponowałem przewodniczenie przez Pużaka. Zreferowałem właściwie uzgodnioną już formę RON (Rada Obrony Narodowej). PPS i PSL przyjęły, ND — mimo uprzednio danej mi obietnicy — odrzuciło, zgadzając się na mniej zwartą i sprawnie mogącą działać formę PKP (Polityczny Komitet Porozumiewawczy), którą na wszelki wypadek, aby znowu nie zaczynać od pieca, przygotowałem w rezerwie. Trzeba było znowu przekonywać PPS i PSL, aby na to poszły — Pużak i Korboński ustąpili — więc wreszcie misja zjednoczenia polityki, zainicjowana i prowadzona przez wojsko, udała się. Głęboko odetchnąłem — miało to jeszcze uzyskać aprobatę ciał partyjnych, ale wierzyłem że praktycznie rzecz biorąc „zjednoczenie” dokonało się.

Zebraliśmy się raz jeszcze bezpośrednio przed moim wyjazdem z Warszawy — panowie z polityki złożyli przysięgę ZWZ (z opuszczeniem obowiązku posłuszeństwa wojskowego) — wybrano na pierwszy miesiąc Pużaka jako przewodniczącego; po kolei miały się stronnictwa zmieniać na tym urzędzie — w skład PKP jako czwarty wchodził Komendant okupacji niemieckiej Grot, reprezentujący nas obu, tj. i mnie jako Komendanta okupacji sowieckiej. Uściskałem go serdecznie przy końcu zebrania, oddając w jego mocne ręce dalszy ster naszej ideowej i żołnierskiej walki z Niemcami. Podziękowałem wszystkim za okazowaną mi życzliwość i lojalną współpracę i tym razem — nie jak we wrześniu — gdy odmeldowałem się spod rozkazów Rómmła, teraz ja ich „odmeldowałem” spod mego przewodniczenia Radzie Głównej SZP, a Grota spod mego dowodzenia.

Michał TOKARZEWSKI-KARASZEWICZ



NOTA BIOGRAFICZNA

Gen. Michał TOKARZEWSKI-KARASZEWICZ, urodzony 5 stycznia 1893 we Lwowie. Przed 1-szą wojną światową stu-

diuje medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie działając jednocześnie w Związku Strzeleckim. Jest jednym z 30-tu, którzy uzyskali oznakę ukończenia wyższych studiów wojskowych Zw. Strz., tzw. „parasol”.

W sierpniu 1914 wyrusza jako dowódca 5-go batalionu Pierwszej Brygady Strzeleckiej. Ciężko ranny w bitwie pod Lasakami. W czasie kryzysu przysięgowego w Legionach w r. 1917, jest dowódcą 5 p.p. Legionów, który jednomyślnie odmówił złożenia przysięgi na przymierze z armią niemiecką. Działa następnie w P.O.W. na terenie Rosji. W listopadzie 1918 r. organizuje wraz z gen. Julianem Stachiewiczem i dowodzi grupą operacyjną, która dociera z odsieczą do Lwowa. Bierze udział w wyprawie wileńskiej i dowodzi następnie w natarciu na Dynaburg z pomocą zagrożonej Łotwie. W okresie dwudziestolecia sprawuje kolejno szereg wysokich funkcji w wojsku. W kampanii wrześniowej 1939 r. dowodzi w armii gen. Bortnowskiego grupą operacyjną, z którą przebiega się do Warszawy. Z chwilą kapitulacji stolicy staje się twórcą i pierwszym organizatorem Ruchu Oporu, który w następstwie przybrał formę Armii Krajowej. Aresztowany w r. 1940 w drodze do Lwowa przez władze sowieckie zostaje zesłany do obozu konc. pod Archangielskiem a następnie osadzony w więzieniu na Łubiance. Z chwilą podjęcia organizacji wojska polskiego w Rosji zwolniony z więzienia zostaje dowódcą 6-ej dywizji piechoty, potem zastępcą dowódcy Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie w końcu — dowódcą odtwarzanego 3 Korpusu.

Po wojnie pracuje w Londynie jako robotnik, odgrywając jednocześnie czołową rolę w obozie skupiającym się koło prezydenta Zaleskiego.

Gen. Tokarzewski zmarł nagle w dn. 22 maja rb. w podróży do Maroka. Na dwa tygodnie przed swą śmiercią przestał nam do „Zeszytów Historycznych” relację, którą drukujemy w tym zeszycie.

W 20-LECIE POWSTANIA

POWSTANIE WARSZAWSKIE

Sprawy ewentualnego powstania i stosunku Sowietów do Armii Krajowej stawały się coraz aktualniejsze w miarę zbliżania się frontu wschodniego do ziem polskich. Premier Mikołajczyk zaczął interesować się sprawą powstania, jako elementem swej polityki ugody z Sowietami, już w jesieni 1943 r. Referując swą rozmowę z min. Edenem na Radzie Ministrów w dniu 12-go października 1943 r., premier mówił, jak bardzo szkodliwe są pogłoski, że będziemy bić się z Sowietami: Szerzenie takich pogłoszek przerwać może pomoc brytyjską dla Armii Krajowej. Uzyskanie poparcia Aliantów możliwe jest, wedle p. Mikołajczyka, tylko: „trzymaniem się tezy, że odpowiemy powstaniem na walenie się frontu niemieckiego na zachodzie czy wschodzie”. Nasza „dobra wola” wymagała jakoby dowodów, że Armia Krajowa nie jest beczynna, o co była stale pomawiana przez Sowiety.

Wedle innych sprawozdań premiera z ówczesnej rozmowy z Edenem (przed jego odlotem do Moskwy), Eden robił „sugestie ustępstw terytorialnych z naszej strony” oraz dawał do zrozumienia, że można by uratować Lwów. Mikołajczyk zwracał wtedy uwagę na groźbę faktów dokonanych ze strony Sowietów, co może pchnąć naszą ludność do powstania, najpierw przeciw Niemcom, później przeciw Sowietom. W konkluzji Eden „wysoce zainteresował się sprawą zbrojnego powstania i dał do zrozumienia, że wykorzysta to jako argument do rozmów w Moskwie”. Mówił także, że Mikołajczyk daje mu „tylko jedną kartę do gry” — obietnicę powstania.

Od tej rozmowy Mikołajczyk-Eden, sprawa powstania przeszła na grunt międzynarodowy jako element w rozgrywce polsko-sowieckiej.

Generał Sosnkowski, jako Naczelny Wódz, uważał za swej pierwszy obowiązek przedstawić Dowódcy Armii Krajowej uczciwie i otwarcie całą prawdę w sprawie możliwości wsparcia przez Aliantów powstania w Polsce. Uczynił to w depeszy swej z 20-go października 1943 r., w której podkreślał, że nasze lotnictwo posiada jedynie jednostki polskie do szczebla dywizjonu, oparte całkowicie na służbach i łączności angielskich. Dążeniem Naczelnego Wodza było stworzenie samodzielnego lotnictwa polskiego, ze służbami, łącznością i dowództwem operacyjnym. Realizacja tych projektów zależna była od zgody i pomocy Aliantów i od uzyskania odpowiednich rezerw ludzkich, od przeszkolenia personelu, uzyskania odpowiedniego sprzętu, wreszcie od zapewnienia odpowiedniego transportu powietrznego. W razie spełnienia powyższych warunków lotnictwo nasze byłoby gotowe do samodzielnego wsparcia powstania najwcześniej z *początkiem 1945 r.* Do tego czasu lotnictwo nasze może działać tylko w ramach lotnictwa brytyjskiego. Wcześniejsze samodzielne użycie naszego lotnictwa, które by na resztkach paliwa mogło dolecieć do rejonów walki w Polsce, mogłoby być jedynie aktem rozpacz, równałoby się całkowitemu zniszczeniu w jednorazowym użyciu. Wszelka akcja wsparcia powstania przez lotnictwo alianckie lub polskie — pisał Naczelny Wódz — może mieć miejsce tylko przy pełnej akceptacji planów powstania przez Aliantów. Z operacyjnego punktu widzenia realne możliwości takiego wsparcia ujawnia się wówczas, gdy bazy lotnictwa alianckiego znajdują się w promieniu około 900 kilometrów od centrów Polski. Część naszych jednostek bojowych była właśnie w tym czasie przeobrażana na nowoczesny sprzęt. Obecnie, pisał Naczelny Wódz, „Alianci nie mogą nam zapewnić sprzętowo lotnictwa transportowego do przetrzutu wojsk i zaopatrzenia technicznego do baz krajowych”. Po dokładnym omówieniu możliwości technicznych naszego lotnictwa ostrzegł Naczelny Wódz, że na pomoc Aliantów co do wsparcia powstania nie należy liczyć także ze względów politycznych: „obecnie Anglicy nie będą się angażować, przypuszczalnie wynika to również z położenia politycznego”.

Tak więc już w końcu października 1943 roku Naczelny Wódz ostrzegał kraj, aby nie liczył na pomoc aliancką dla powstania. Wiadomo, że wielu ludzi miało na ten temat iluzje aż do ostatka. W tym samym okresie — jesienią 1943 roku — Naczelny Wódz zainicjował i prowadził długotrwałe i mozolne narady z Rządem na temat Instrukcji dla kraju na wypadek wkroczenia do Polski wojsk sowieckich. Generał Sosnkowski był bowiem zdania, że instrukcja podobna dotycząca spraw *par excellence* politycznych, winna być instrukcją wspólną Rządu i Naczelnego

nego Wodza. Narady odbywały się w składzie: przedstawiciele Rządu i Naczelný Wódz (wraz z Szefem Sztabu) pod przewodnictwem Prezydenta. Cała walka o treść Instrukcji dla kraju była właściwie walką o powstanie. Naczelný Wódz reprezentował konsekwentnie pogląd, że do powstania nie należy dopuścić, o ile nie ma odpowiednich warunków politycznych i gdy ta najwyższa ofiara nie może przynieść Polsce odpowiednich korzyści. Dlatego też wszelkie wypowiedzi Naczelnego Wodza na temat ewentualnego powstania nacechowane były niezwykle ostrożnością, zwłaszcza wobec zjawiających się tendencji załatwienia tych spraw, dla nas tak istotnych, pod kątem obcej racji stanu.

Tak na przykład, zgłaszając swe poprawki do rządowego projektu Instrukcji (z dnia 22 października), przestrzegał Naczelný Wódz przed wywołaniem powstania przy cofaniu się niemieckiego frontu wschodniego, o ile nie będzie jednocześnie i dostatecznie bliskiego działania armii alianckich od zachodu czy od południa. Jeśli bowiem odwrót niemiecki będzie postępował planowo, wynik powstania będzie tylko „rozpaczliwym uderzeniem”, „końcem walki” i hasłem do masowej rzezi ludności w Polsce. Rozpaczliwe akty są niekiedy nieuniknione, w tym wypadku jednak wbrew naszym interesom możemy tylko ułatwić realizację interesów drugiego okupanta. Sowiety będą bowiem okupantem, jeśli nie uszanują naszego terytorium i naszej suwerenności. W zgłoszonych poprawkach do Rządowego projektu instrukcji, Naczelný Wódz przewidywał dwie alternatywy: a) powstanie, b) wzmoczoną akcję sabotażowo-dywersyjną.

Urzeczywistnienie alternatywy powstania chciał Naczelný Wódz uzależnić od realnej i istotnej pomocy alianckiej. Prócz maksymalnego wsparcia lotnictwem, desantem i materiałem, chodziło także o dotrzymanie przez Anglików zobowiązań co do zaopatrzenia A.K. w sprzęt do kwietnia 1944 r.

W swej walce o takie instrukcje dla kraju, Naczelný Wódz nie przeprowadził wprawdzie wszystkich swoich tez, zwyciężył jednak w punktach zasadniczych, tak, aby zabezpieczyć kraj od nieprzemyślanego wybuchu powstania. Instrukcja bowiem z dnia 27 października, 1943 r. nie tylko uzależniała wywołanie powstania od szeregu warunków, dotyczących wydatnego i realnego wsparcia tego powstania przez Aliantów, ale także w swojej części najważniejszej, gdy mowa o ewentualności wejścia wojsk Sowieckich na nasze ziemie — sprowadza się do tezy następującej:

Współdziałanie wojskowe Armii Krajowej z wkraczającą do Polski Armią Czerwoną jest możliwe i wskazane, jeśli uprzednio zostaną przywrócone stosunki dyplomatyczne polsko-sowieckie, zaś

Rząd polski obejmie stopniowo władzę na terytorium państwa, z którego wycofają się Niemcy. Gdyby natomiast stosunki dyplomatyczne nie zostały przywrócone, Sowiety zaś wkraczałyby bez porozumienia z Rządem polskim wówczas:

a) działania przeciwko Niemcom mają być prowadzone w formie wzmożonej akcji sabotażowo-dywersyjnej,

b) Rząd zakłada protest u Aliantów przeciw naruszeniu terytorium Polski przez Sowiety i oświadcza, że kraj z Sowietami współpracować nie będzie, zaś w wypadku represji sowieckich organizmy Podziemia przejdą do akcji samoobrony. Władze Krajowe łącznie z A.K. miałyby w tym wypadku pozostać w konspiracji.

Instrukcja z dnia 27 października, 1943 r. została następnie przedstawiona Radzie Ministrów i uchwalona przez plenum Rady Ministrów, stała się więc urzędowym i obowiązującym dokumentem polityki polskiej.

Od chwili wydania uzgodnionej Instrukcji wspólnej Naczelnego Wódcy nie pomijał żadnej okazji, aby informując kraj o sytuacji, ostrzegać przed niepotrzebnym zrywem. Już więc w depeszy z 8 listopada 1943 r., pisze do Dowódcy A.K.:

„W sprawie charakteru, zasięgu i momentu akcji zbrojnej w kraju, powinniśmy, jak to czynią Anglicy i Amerykanie w sprawie drugiego frontu, utrzymać pełną samodzielność i swobodę decyzji, kontynuując wojnę z Niemcami aż do zwycięstwa. Możemy wywołać powstanie w kraju tylko wtenczas, gdy sami uznamy to za wskazane, zarówno ze względu na dobro Polski, jak i na kolosalne ofiary, których powstanie będzie wymagało od ludności. Jasną jest zasada, że zachowanie swobody decyzji, dotyczącej powstania, jest dla nas tak ważnym argumentem politycznym, że nie możemy zrzekać się tej swobody inaczej, jak w związku z wiążącymi gwarancjami sojuszników w naszych sprawach terytorialnych”.

W depeszy z 2 grudnia 1943 roku, Naczelnego Wódcy dał Dowódcy A.K. komentarz do Instrukcji z 27 października, wyjaśniając, że powstanie w kraju musiałyby być ściśle skoordynowane z działaniami Anglosasów na kontynencie. Do tego konieczna jest pełna pomoc Aliantów. Zakres i wielkość wsparcia powstania przedstawione zostały najwyższym czynnikiem Anglii i Ameryki. Mimo usilnych starań nie udało się uzyskać zasadniczych decyzji. Alianci zwlekają z decyzją ze względu na odległość własnego frontu od Polski oraz — ze względów polityki międzysojuszniczej (Sowiety). Poprzednio już informował Naczelnego Wódcę kraj o trudnościach, na jakie napotyka realizacja planu przerzutu na okres 1943/44. W fazie organizacji była wtedy baza przerzutowa we Włoszech. Wreszcie Naczelnego Wódcę pisze, że możliwa jest

także jedna z alternatyw Instrukcji, a mianowicie zawalenie się frontu niemieckiego, co może spowodować konieczność uruchomienia powstania nawet bez otrzymania pomocy z zewnątrz. Jednak w tym czasie armia niemiecka nie zdradzała objawów rozkładu. Dalej depesza stwierdza, że starania o wsparcie alianckie trwają nadal, jednak ani rozmiarów tego wsparcia, ani czasu w jakim pomoc może nadejść, nie można określić „musimy się z tym liczyć, że przez pewien przeciąg czasu kraj może być zdany na własne siły”.

Owe rozważania dotyczące wsparcia alianckiego pozostawiały w całej mocy podstawowy warunek polityczny uprzedniego uznania Rządu Polskiego w Londynie.

Co do najbardziej prawdopodobnej hipotezy wkroczenia Sowieców do Polski bez nawiązania stosunków dyplomatycznych pisał Naczelnny Wódz:

„Określić musicie sami na terenach wschodnich te elementy A.K., których ukrycie na miejscu jest niemożliwe, w każdym razie powinny pozostać na miejscu kadry organizacyjne, dobrze zakonspirowane, przede wszystkim w takich ośrodkach jak Lwów, i Wilno, oraz oddziały dywersyjne i samoobrony i komórki wywiadowcze”.

Przedstawiając krajowi otwarcie wszystkie elementy sprawy powstania, nie pomijał Naczelnny Wódz żadnej okazji, aby przypominać Premierowi zasadniczą treść Instrukcji Wspólnej z 27 października. Tak na przykład w liście z 30 grudnia 1943 roku (w związku z memoriałem Rządu dla Foreign Office) pisał Naczelnny Wódz do Premiera:

„Myśl zasadnicza uchwał z 25-go października oraz wydanej na tej podstawie Instrukcji wspólnej Rządu i Naczelnego Wodza z 27-go października 43 da się streścić w trzech punktach:

1) Powstanie zbrojne w Polsce we współdziałaniu z armiami sowieckimi musi być poprzedzone przez nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Sowiecami, przy czym Rząd polski, obstaje przy integralności granic wschodnich Rzplitej;

2) Armia Krajowa zostanie odpowiednio uzbrojona (Rząd zna cyfry i wie doskonale, jak nikły jest stan uzbrojenia naszych sił w kraju).

3) Moment powstania będzie odpowiednio wybrany.

Bez spełnienia tych warunków próba powstania przerodzi się w rzeź masową ludności polskiej, zaś morze krwi przelanej nie da nawet spełnienia polskich celów wojny. Przy składaniu memoriału „trzeba to wszystko otwarcie i wyraźnie powiedzieć rządowi brytyjskiemu” zwłaszcza, że „jak Panu Premierowi wiadomo, nasze wspólne i długotrwałe wysiłki uruchomienia przerzutu do kraju rozbiły się, jak dotychczas, o niezrozumiałe trudności, wysuwane stale ze strony brytyjskiej. Byłoby, jak myśle, nieuzasadnionym optymizmem przypuszczać, że rząd sowiecki uzbroi w Polsce kogośkolwiek poza własnymi partyzantami i poza komunistami”.

Niektórzy publicyści — szczerze, czy nieszczerze — wyrażali po wojnie wątpliwości, czy kraj był należycie poinformowany lub czy Premierowi znany był dokładnie pogląd Naczelnego Wodza na możliwości uruchomienia powstania. Z licznych wypowiedzi cytuję jeszcze jeden wyjątek z listu Naczelnego Wodza do Premiera (4 stycznia 1944 r.):

„...W razie gwałtów sowieckich, wobec wskazanej w tym kierunku przez Rząd samoobrony, dalsze milczenie ze strony rządów alianckich może doprowadzić do walki w kraju na dwa fronty. W najlepszym zaś wypadku wzmożona akcja przerodzi się wobec powszechnej nienawiści do Niemców w próbę zbrojnego powstania — niestety bez broni, na terenie zalanym przez milionowe armie niemieckie”...

Losy wspólnej Instrukcji dla kraju uległy zmianie na skutek własnej decyzji władz krajowych, co pociągnęło za sobą w dalszej przyszłości nieobliczalne skutki. W początku stycznia 1944, nadeszła do Londynu z wielkim opóźnieniem depesza Dowódcy Armii Krajowej z końca listopada. W depeszy tej Dowódca A.K. melduje, że Instrukcję z 27 października 1943 podał w formie rozkazu do obszarów i okręgów. Następnie pisze:

„jak z treści jego wynika, nakazałem ujawnianie się wobec wkraczających Rosjan dowódcom i oddziałom, które wezmą udział w zwalczaniu uchodzących Niemców. Zadaniem ich w tym momencie będzie dokumentować swym wystąpieniem istnienie Rzeczypospolitej. W tym punkcie rozkaz mój jest niezgodny z Instrukcją Rządu. Nie widzę jednak możliwości wytworzenia na ziemiach polskich pustki przez brak wystąpienia wobec Rosjan czynnika wojskowego reprezentującego Rzeczypospolitą i jej legalne władze. Wszystkie nasze akcje w przeciwnym razie przypisane byłyby czynnikom, stojącym na usługach Sowietów. Pogląd mój podziela Delegat Rządu i Krajowa Reprezentacja Polityczna...”). (Depesza Numer 2100).

Ta decyzja kraju wywołała różne reakcje wśród najwyższych władz polskich w Londynie. Naczelnny Wódz w swych depeszach do Dowódcy A.K. starał się przedstawić nasze prawdziwe położenie międzynarodowe, aby na tej podstawie wpłynąć perswazją na powrót do Instrukcji z 27.X.43. w jej części najważniejszej. Natomiast Rząd przyjął decyzję kraju, jako zachętę do szukania współdziałania z Sowietami za wszelką cenę.

W jednej z depesz ze stycznia 1944 Naczelnny Wódz informował kraj o panujących „tendencjach kompromisu” w sprawach terytorialnych oraz o propagandzie sowieckiej podsuwanej sferom brytyjskim a insynuującej Armii Krajowej bezczynność oraz tępienie komunistycznych partyzantów.

„Są dane, aby sądzić, że jest to próba usprawiedliwienia z góry represji sowieckich w wypadku wkroczenia do Polski Armii Czerwonej”.

W depeszy z 13 stycznia 1944 r. ostrzegał Naczelny Wódz Dowódcę A.K., że ujawnianie się oddziałów A.K. w razie gwałtów sowieckich może doprowadzić do walki w kraju na dwa fronty:

„w najlepszym razie wzmożona akcja dywersyjna gotowa przerodzić się samorzutnie, wobec powszechnej nienawiści do Niemców w próbę zbrojnego powstania — niestety bez dostatecznego uzbrojenia, na terenie zalanym przez milionowe armie niemieckie”.

W związku z rozkazem Dowódcy A.K. „stosunek do Rosji”, Naczelny Wódz w tejże depeszy z 13 stycznia 1944 r. informuje ponownie generała Bora, jak pod wpływem ostatnich posunięć propagandowych sowieckich, czynniki angielskie zdradzają zainteresowanie możliwościami działania Armii Krajowej, jednak bez chęci zwiększenia przerzutów broni i niezależnie od podstawy politycznej.

„Przeciwstawiam się tej tendencji” — pisze Naczelny Wódz — „zdecydowanie. Współdziałanie bez uprzedniego porozumienia politycznego musi doprowadzić do groźnych komplikacji, toteż Instrukcja dla kraju przewiduje, że bez nawiązania przez Sowiety stosunków dyplomatycznych z Rządem Polskim współpraca z nimi nie będzie możliwa”.

Takie było stanowisko Naczelnego Wodza. Premier natomiast skłonny był uznać, że depesza Dowódcy A.K. Numer 2100, oznacza, że kraj decyduje się na współpracę wojskową z Sowietami nawet bez uprzedniego porozumienia politycznego. W myśl tego rozumowania Premier zaskoczył Naczelnego Wodza i Radę Ministrów w dniu 1 lutego projektem „uzupełnienia Instrukcji dla kraju”, w którym przewidywał ujawnianie się Dowódców A.K. i władz cywilnych wobec wkraczających oddziałów sowieckich oraz — poddanie zmobilizowanych oddziałów A.K. odpowiedzialnym za dany odcinek, komendantom Armii Sowieckiej”. Eksperyment ujawniania się, w razie aresztowania ujawnionych miał być powtórzony na zachód od linii Curzona (co było jakby milczącym sankcjonowaniem aneksji).

Na ten projekt, przerzucający na Armię Krajową zadanie ułożenia stosunków z Sowietami, Naczelny Wódz złożył Radzie Ministrów umotywowany sprzeciw w dniu 2 lutego 1944 r. Po długotrwałej i mozolnej polemice z Naczelnym Wodzem Rada Ministrów załatwiła sprawę kompromisowo w dniu 18 lutego 1944 r. w ten sposób, że aprobowala zapadła w kraju decyzję co do ujawniania się wobec wkraczających wojsk sowieckich i proponowania im „uzgodnienia współdziałania” w imieniu Rządu i Naczelnego Wodza. Proponowana poprawka Naczelnego Wodza,

stwierdzająca, że współdziałanie wojskowe z Sowietami bez uprzedniego porozumienia politycznego nie jest możliwe — została odrzucona przez Radę Ministrów.

Zmiana Instrukcji, wywołana depeszą Dowódcy A.K. Numer 2100, wytworzyła sytuację wysoce niebezpieczną. Niebezpieczeństwo to wyjaśniał Naczelny Wódz przy każdej okazji w swych depeszach do Dowódcy A.K.:

W depeszy z 13 lutego, ostrzegając przed skutkami ujawniania się, Naczelny Wódz zalecał: 1) wedle granic możliwości trzymanie się Instrukcji październikowej, 2) unikanie zbrojnych starć z Sowietami, 3) zakaz dalszego ujawniania w razie aresztowań ujawnionych. Na tę ewentualność polecił zagrożone oddziały wycofywać na Zachód.

Depesza Naczelnego Wodza z 2 marca 1944 r. poruszyła znów najważniejsze zagadnienia w związku z ujawnieniem. Sugerował Naczelny Wódz przesunięcie cennych i zagrożonych elementów A.K. na zachód i południe. Podkreślał trudności na jakie napotyka przerzut broni do kraju. Stwierdzał, że powstanie w kraju może dać wynik tylko w razie zbliżania się do Polski wojsk anglosaskich i polskich i w wypadku porozumienia z Sowietami na godziwych podstawach.

„W innych wypadkach powstanie przyczyniłoby się tylko do zmiany jednej okupacji na drugą kosztem olbrzymich ofiar kraju”.

Dalej pisał Naczelny Wódz:

„Czy można więc w ogóle myśleć w warunkach obecnych o powstaniu generalnym, skoro porozumienie polityczne z Sowietami wedle formuły anglosaskiej miało być dokonane kosztem nowego rozbioru Polski wzdłuż linii Curzona i skoro właściwym celem polityki rosyjskiej jest sowietyzacja całej Polski”.

Praktyczne zastosowanie zmienionej Instrukcji nastąpiło na Wołyniu. Na wieść o próbach odtworzenia 27-mej dywizji depešował Naczelny Wódz do generała Bora w dniu 7 kwietnia 1944 r., wyrażając wątpliwości czy eksperyment się uda, gdyż obietnice sowieckie nie zostaną zapewne dotrzymane.

„Mylą się ci Polacy, którzy wierzą, że oportunizm w sprawie granic doprowadzi do współpracy Sowietów z legalnym, niezależnym Rządem polskim”.

Informując kraj szczerze i uczciwie o położeniu, Naczelny Wódz ostrzega w dniu 19 kwietnia 1944 r. (przed przerwaniem

łączności na skutek zarządzeń brytyjskich) (1), że ujawnione wypadki terroru sowieckiego nie spowodowały mocnej interwencji aliantów zachodnich, zaś prasa angielska wykorzystuje sporadyczne współdziałania A.K. z Armią Czerwoną, jako rzekome przejawy naszej ustępliwości w sprawach terytorialnych. Propaganda sowiecka przedstawia wypadki współdziałania, jako rzekomy dowód, że Armia Krajowa nie istnieje jako czynnik samodzielny, że liczą się tylko partyzanci komunistyczni.

W wyczerpującej rozmowie, odbytej z Premierem z inicjatywy i w obecności Ministra Obrony Narodowej w dniu 3 lipca 1944 r., po powrocie Premiera z Waszyngtonu, Naczelny Wódz podkreślał, że w dyrektywach dla kraju trzy zasady muszą pozostać niezmienione: 1) walka przeciw Niemcom musi być kontynuowana, 2) strzelać do Rosjan nie można, 3) Powstanie zbrojne bez uprzedniego porozumienia się politycznego z Sowietami jest niemożliwością. Próby opanowania przez A.K. poważniejszego terenu przez czas dłuższy niż parę dni, skończyć się muszą rzezią Polaków, dlatego poza ustaloną formułę wzmożonej akcji dywersyjnej wyjść nie można. Powstanie bez uprzedniego porozumienia z Rosją na godziwych podstawach byłoby, wedle Naczelnego Wodza politycznie nieusprawiedliwione, zaś pod względem wojskowym — aktem rozpacz. Wreszcie Naczelny Wódz zastrzegał się przeciw nieostrożnemu operowaniu słowem „Powstanie”, co mogłoby pociągnąć ludność do źle obliczonego i przedwczesnego zrywu.

W wyniku powyższej rozmowy postanowiono nie zmieniać Instrukcji dla kraju zmodyfikowanej w lutym wskutek zmian dokonanych przez kraj.

Premier wysłał po tej rozmowie dyrektywę dla kraju w dniu 4 lipca 1944 r. W pierwszej części dyrektywy te były wiernym powtórzeniem Instrukcji z lutego 1944 r. Następnie jednak p. Mikołajczyk dodał długie wywody nie tylko niezgodnione z Naczelnym Wodzem, lecz zgoła sprzeczne z jego poglądami. Wywody te nie mogły być przez kraj zrozumiane inaczej, jak zachęta do powstania.

Powyższa depesza Premiera, to jest jej wywody końcowe, wzbudzać musiała najwyższy niepokój. Toteż Naczelny Wódz dał Dowódcy Armii Krajowej dyrektywę bardzo wyraźne w depeszy z dnia 7 lipca 1944 r., w której stwierdzał, że „Powstanie zbrojne narodu nie byłoby usprawiedliwione, nie mówiąc już o braku fizycznych szans powodzenia”. Dalej nakazywał Naczelny

(1) Chodziło o „chwilowe zamknięcie łączności zarządzane przez rząd brytyjski ze względu na będące w toku przygotowania inwazyjne”.

Wódz kontynuowanie akcji „Burzy” to jest wzmożonych działań dywersyjnych. Wbrew sugestiom Premiera Naczelnny Wódz zabronił nazywać „Burzę” działaniami powstańczymi, aby nie pociągać ludności do złe obliczonego zrywu i nie wprowadzać w błąd dowódców terenowych.

Natomiast dla zrozumiałych względów politycznych, celem zadokumentowania wobec rządów anglosaskich naszych praw do ziem kresowych, zagrożonych przez filozowieckie stanowisko tych rządów i wobec głosów prasy brytyjskiej, gorliwie sekundujących tej polityce, „oddających” Wilno i Lwów Sowieta, Wódz Naczelnny w swej Instrukcji z 7 lipca umieścił punkt 5, który przytaczam „in extenso”:

„Jeśli przez szczęśliwy zbieg okoliczności w ostatnich chwilach odwrotu niemieckiego, a przed wkroczeniem oddziałów czerwonych powstaną szanse choćby przejściowego i krótkotrwałego opanowania przez nas, Wilna, Lwowa, innego większego centrum lub pewnego ograniczonego choćby obszaru — należy to uczynić i wystąpić w roli pełnoprawnego gospodarza”.

Słowa przeze mnie podkreślone wskazują dowodnie, iż zgodnie z definicjami „Burzy” Naczelnny Wódz wyeliminował działania powstańcze, dopuszczając jedynie ewentualne walki z oddziałami tylnymi tylnych straży niemieckich.

W dniu swego odlotu do 2 Korpusu na front włoski Naczelnny Wódz wysłał w dniu 11 lipca 1944 r. jeszcze jedną depeszę do Dowódcy A.K. Depesza ta wyjaśniała taktykę sowiecką w stosunku do naszego aparatu politycznego i wojskowego oraz ustosunkowanie się czynników angielskich do żądań sowieckich.

W czasie pobytu na froncie włoskim, gdy 2 Korpus przygotowywał się do pierwszej samodzielnej akcji na Ankone, Naczelnny Wódz otrzymał meldunki o postępach ofensywy sowieckiej w Polsce. Znając dobrze nurtujące w pewnych kołach tendencje do kompromisu z Rosją za wszelką cenę, oraz, że cena ta obejmować może także wybuch powstania — Naczelnny Wódz przestrzegał kraj przed konsekwencjami wywołania powstania. Kierował więc szereg depesz do Dowódcy A.K. drogą przez Sztab Naczelnego Wodza w Londynie. Los tych depesz był dość niezwykły:

1) Depesza z dnia 25 lipca 1944 r., w której Naczelnny Wódz polecił Szefowi Sztabu, aby omówiwszy sprawę z Rządem, przekazał generałowi Borowi dyrektywy o podziale Sztabu A.K. na dwa rzuty z chwilą gdy grozić będzie bezpośrednie okupowanie Warszawy przez Sowiety. Jeden z tych rzutów miał pozostać w Warszawie.

„Ujawnianie się nie ma sensu” — pisał Naczelny Wódz — „wobec utworzenia komitetu w Chełmie oraz wobec aresztowań”.

Depeszy tej Generał Szef Sztabu nie wysłał do generała Bora.

Tegoż dnia 25 lipca depeszował Naczelny Wódz do Prezydenta z prośbą o ponowne i kategoryczne wystąpienie do rządów brytyjskiego i amerykańskiego o natychmiastowe wysłanie misji łącznikowych do Dowódcy A.K. Wobec grozy sytuacji apelował Naczelny Wódz do Prezydenta o powołanie Rządu pełnej jedności narodowej, tym bardziej, że nastroje w wojsku „grożą kryzysem moralnym”.

Depesza z dnia 25 lipca w związku z tragicznym przebiegiem eksperymentu ujawniania się na Wileńszczyźnie, nakazywała Dowódcy A.K. wycofanie gros sił na południowy zachód. Dążyć bowiem do powiększenia Sił Zbrojnych na obczyźnie było w tej sytuacji obowiązkiem kierownictwa A.K. w kraju. Należało też *in extremis* przerzucać ludzi zagranicę. Depesza ta wysłana została z Londynu z poważnymi skrótami. Opuszczono mianowicie ustępy następujące:

„Według możliwości raczej wycofywać się na zachód w skupieniu lub rozproszeniu, zależnie od warunków”.

„W obliczu szybkich postępów okupacji sowieckiej na terytorium kraju, trzeba dążyć do zaoszczędzenia substancji biologicznej narodu w obliczu groźby podwójnej eksterminacji”.

Wreszcie skreślony został ustęp:

„na zachód od granicy słowacko-węgierskiej” w części depeszy nakazującej wycofywanie najbardziej zagrożonych elementów A.K., a zwłaszcza młodzieży.

Depeszę powyższą wysłał Szef Sztabu ze skrótami na swoją odpowiedzialność. Pan Prezydent doradzał mu wstrzymanie tej depeszy do powrotu Naczelnego Wodza.

2) Depesza z dnia 28 lipca 1944 r. Była to depesza niezwykle ważna, bodaj węzłowa, gdyż stanowiła reakcję Naczelnego Wodza na wiadomość o powziętej przez władze krajowe decyzji o „stanie czujności” z daty 21 lipca, przekazanej przez Szefa Sztabu 24 lipca, a otrzymanej na froncie włoskim 28 lipca. (Zwracam uwagę na powolność przekazywania depesz do Naczelnego Wodza przez Sztab).

W depeszy tej Naczelny Wódz stwierdza, że w obliczu gwałtów sowieckich „powstanie zbrojne byłoby aktem, pozbawionym politycznego sensu, mogącym za sobą pociągnąć niepotrzebne ofiary. Jeśli celem powstania miałyby być opanowanie części terytorium Rzplitej, to należy zdawać sobie sprawę, że w tym wypadku zajdzie konieczność obrony suwerenności Polski na opanowanych obszarach w stosunku do

każdego, kto suwerenność tę gwałcić będzie. Rozumiecie, co oznaczałoby to w perspektywie, skoro eksperyment ujawniania się i współpracy spełził na nichym wobec złej woli Sowietów”.

Depesza powyższa nie została z Londynu wysłana. Pan Prezydent polecił Szefowi Sztabu, wstrzymanie jej wysłania, a to z powodu niezgodności jej treści z uchwałami Rządu z 28 lipca. Uchwały te akceptowały *ex post* depeszę Premiera do kraju z dnia 26 lipca, upoważniającą do ogłoszenia powstania nawet bez porozumienia z Rządem.

Prezydent Raczkiewicz rozstrzygnął więc sprawę (prawdopodobnie mając na uwadze jej charakter polityczny) wbrew zdaniu Naczelnego Wodza i przychylając się do decyzji, Premiera, Rządu i władz Krajowych.

Niewyjaśnioną dotąd należycie, lecz bezwątpienia niemającą część odpowiedzialności moralnej za los depesz Naczelnego Wodza ponosi generał Tatar (Tabor) będący w kontakcie z grupą Premiera na tle polityki prosowieckiej. Generał Tabor osiągnął przejściowo decydujący wpływ na Szefa Sztabu, którego niezwykle fakt konfiskowania depesz obciąża formalnie. Faktyczną odpowiedzialność przerzucono na Prezydenta, do którego w każdym wypadku (potrzebnie czy niepotrzebnie) zwracał się Szef Sztabu. Powolność przekazywania przez Londyn depesz Naczelnego Wodza nie da się usprawiedliwić. Przekazywanie depesz z frontu włoskiego do Warszawy, obliczając najliberalniej czas na wszystkie czynności, nie powinno było trwać dłużej, jak 24-30 godzin; przekazywanie do Londynu — kilka godzin. Wysłano natomiast do generała Bora depeszę Naczelnego Wodza dnia 29 lipca, wysłano ją jednak z kilkodniowym przetrzymaniem, tak, że nadeszła ona do Warszawy bez mała w tydzień po wybuchu powstania — dnia 6 sierpnia. Depesza ta nakazywała kontynuowanie walki z Niemcami w formie akcji dywersyjnej („Burzy”)

„natomiast w obecnych warunkach politycznych jestem bezwzględnie przeciwny powszechnemu powstaniu, którego sens historyczny musiałby z konieczności wyrazić się w zmianie jednej okupacji na drugą”. „Ocena sytuacji niemieckiej musi być bardzo trzeźwa i realna, gdyż omyłka może kosztować bardzo wiele”. „Wiadomość o podróży moskiewskiej w sytuacji wytworzonej przez sowieckie fakty dokonane, boleśnie wstrząsnęła duszą żołnierzy 2-go Korpusu. Ja planu i celu tej podróży nie znam i nie rozumiem. Bez znajomości jej wyników nie widzę dla nikogo możliwości nawet rozważania sprawy powstania”.

28 lipca depeszował Naczelny Wódz do Prezydenta:

„wszelka myśl o powstaniu zbrojnym jest nieuzasadnionym odruchem, pozbawionym sensu politycznego, mogącym spowodować tragiczne, niepotrzebne ofiary”...

Do Szefa Sztabu depeszował Naczelny Wódz 30 lipca 1944 r.:

„Raz jeszcze powtarzam — w obecnych warunkach politycznych jestem bezwzględnie przeciwny powszechnemu powstaniu. Rada Ministrów nie powinna obradować nad powstaniem, nie znając przebiegu i wyniku rozmów w Moskwie”.

W innej depeszy do Generała Kopańskiego z 30 lipca Naczelny Wódz powtarza swój negatywny punkt widzenia w sprawie powstania, zawarty w depeszy do kraju. Przypomina Szefowi Sztabu nikłe możliwości wsparcia powstania, stan lotnictwa i sytuację Brygady Spadochronowej i poleca wyjaśnić raz jeszcze Dowódcy A.K. stan rzeczy w powyższych sprawach.

Szef Sztabu powiadomił Naczelnego Wodza depeszą z 28 lipca o uchwałach Rady Ministrów — natychmiastowa odpowiedź Naczelnego Wodza rozszyfrowana była w Londynie dopiero 2 sierpnia:

„swój zdecydowany, negatywny, umotywowany pogląd na kwestię uruchomienia akcji powstańczej wyraziłem w depeszach 966 i 970”.

Jeśli jednak wbrew dyrektywom Naczelnego Wodza powstanie wybuchnie, wsparcie z naszej strony musi być najsilniejsze. Dlatego Naczelny Wódz poleca Szefowi Sztabu natychmiastowe wszczęcie rozmów z czynnikami brytyjskimi, aby nie stanąć bezradnie w razie zaskoczenia wypadkami. W końcu pisze Naczelny Wódz:

„Trzeba natychmiast powiedzieć Dowódcy A.K. jasno i uczciwie, aby na żadne wsparcie nie liczył. Jest to bardzo ważne, gdyż prawdopodobnie Dowódca A.K. w dużej mierze uzależnia swoje decyzje operacyjne od tego wsparcia.

Takie były dyrektywy Naczelnego Wodza. Są chyba dość jasne. Naczelny Wódz był powstaniu przeciwny i walczył o swój pogląd do końca. Działał lojalnie w ramach ładu państwowego i kierował swe depesze przez Londyn.

W Londynie tymczasem wypadki toczyły się w kierunku, nadanym przez Premiera.

Przed swym odlotem do Moskwy w dniu 26 lipca p. Mikołajczyk, bez wiedzy Prezydenta, Rządu i Naczelnego Wodza wysłał do Delegata Rządu w kraju oraz do Dowódcy A.K. depeszę następującą:

„Na posiedzeniu Rządu R.P. zgodnie zapadła uchwała upoważniająca Was do ogłoszenia powstania w momencie przez Was wybranym. Jeżeli możliwe uwiadomcie nas przed tym”....

Zebrana w dniu 28 lipca Rada Ministrów została zaskoczona

tym faktem dokonanym, akceptowała jednak *ex post* depeszę. Treść depeszy była sprzeczna z wspólną Instrukcją Rządu i Naczelnego Wodza. Była samowolna, gdyż nie została nawet podana do wiadomości czynnikom współodpowiedzialnym. Rada Ministrów, akceptując *ex post* treść depeszy, wyparła się formalnie obowiązującej jeszcze wówczas Instrukcji wspólnej z października 1943 r.

Ową fatalną depeszą z 26 lipca Premier wziął na siebie odpowiedzialność za wybuch powstania, przerzucając ją formalnie na kraj. Wszelkie późniejsze dorabiane *ad hoc* rozgrzeszenia Mikołajczyka, gdyż rzekomo jego depesze nie wpłynęły na decyzję kraju, nie odpowiadają stanowi faktycznemu. Niesposób uwierzyć, aby dla Dowódcy A.K. zasady dyscypliny i posłuszeństwa wobec władz zwierzchnich Rzeczypospolitej w ogóle nie istniały!

O przebiegu posiedzenia Rady Ministrów z 28 lipca Szef Sztabu zameldował telegraficznie Naczelnemu Wodzowi, donosząc jednocześnie, że Rada Ministrów nie zgodziła się ze stanowiskiem Naczelnego Wodza w sprawie dalszego ujawniania się.

Zastępujący Premiera, Wicepremier Kwapiński w swej depeszy z 2 sierpnia do Dowódcy A.K. zarzucił kłamliwie Naczelnemu Wodzowi, jakoby chciał on zaniechać akcji czynnej przeciw Niemcom, podczas gdy, jak wiemy, Naczelny Wódz chciał wstrzymać wybuch powstania, jako krwawej ofiary bez politycznych korzyści dla Polski. Odpowiedzialność Rządu i Szefa Sztabu wynika dobitnie z postępowania w dniach decydujących: 26 lipca Rząd otrzymał od Dowódcy A.K. depeszę, stwierdzającą gotowość do walki i żądającą: przysłania Brygady Spadochronowej, wsparcia przez lotnictwo polskie i brytyjskie, bombardowania lotnisk niemieckich koło Warszawy oraz represji brytyjskich za rozstrzelanie jeńców A.K. Nazajutrz Ambasador Raczyński złożył powyższe żądania w Foreign Office. Kategoryczna odmowa ministra Edena nastąpiła 28 lipca. O tej odmowie nikt kraju nie poinformował, a może to była ostatnia szansa powstrzymania wybuchu?



Powrót Naczelnego Wodza do Londynu został opóźniony między innymi na skutek zaproszenia na ważną, poufną rozmowę do Caserty przez Dowódcę frontu Śródziemnomorskiego, ówczesnego generała Wilsona, który w dniu 3-im sierpnia wysunął myśl przerzucenia naszego 2 Korpusu (bez sprzętu) do „północnej Polski”, czyli na teren zajęty przez Sowiety.

Po rozmowie z gen. Sosnkowskim, wobec sprzeciwu Naczelnego Wodza, gen. Wilson nie ponawiał już owej sugestii, ale w

światle mowy Churchilla w Izbie Gmin, z dnia poprzedniego zawierającej apel do połączenia naszych wojsk z armią Berlinga — propozycje te miały charakter sondażu, przeprowadzonego na polecenie władz wyższych.

Depesza Prezydenta, wzywająca Naczelnego Wodza do powrotu, wysłana została, już po powzięciu przez Rząd i kraj decyzji o powstaniu — było to więc powiadomienie o fakcie dokonanym. Od chwili zapadnięcia tych decyzji data powrotu nie miała już istotnego znaczenia — kości były rzucone. Kraj w swej ostatniej decyzji odrzucił dyrektywy Naczelnego Wodza i poszedł po linię polityki Premiera. Kompromis nie był już możliwy między dwiema odrębnymi politykami i dwiema odrębnymi doktrynami. Dalsze wzajemne przekonywanie się nie mogło już dać rezultatu. Zresztą Premier bawił właśnie w Moskwie i tam raczej należało go szukać.

Należy pamiętać, że Naczelnny Wódz odleciał z Londynu w przededniu jednej z głównych bitew kampanii, bitwy pod Ankoną i to na skutek osobistego zaproszenia Dowódcy frontu włoskiego, ówczesnego generała Alexandra oraz po kilku depeszach gen. Andersa, który od końca maja niejednokrotnie domagał się przyjazdu gen. Sosnkowskiego na front. Obowiązywała wówczas w całej pełni Instrukcja wspólna Rządu i Naczelnego Wodza z dnia 27.X.43 r., a przed wyjazdem swoim do Włoch Naczelnny Wódz w dniu 7 lipca 1944 r. przesłał do Warszawy Instrukcję szczegółową, przypominającą podstawowe wskazówki Instrukcji Wspólnej, oraz zakreślającą dla Armii Krajowej nieprzekraczalne granice działań.

Sprawy orderowe, audiencja u papieża, co do której taki hałas wszczęła filozofiecka prasa w Anglii, wreszcie — przyjęcie dla króla Jerzego VI spowodowały przedłużenie pobytu Naczelnego Wodza we Włoszech. W czasie obiadu Król słuchał uważnie wywodów Naczelnego Wodza i zareagował na nie wezwaniem skierowanym do gen. Alexandra, aby odbył z gen. Sosnkowskim szereg rozmów na tematy polityczne. Niestety odbyła się tylko jedna z zamierzonej serii rozmów, gdyż na skutek przynagleń Naczelnego Wodza do powrotu dalsze planowane konferencje nie doszły do skutku.

Wydaje mi się, że czas już ujawnić okoliczność najważniejszą, a mało dotychczas znaną, ujawnioną dotychczas raczej pobieżnie i w formie domyslników. Wyruszając 11 lipca na front włoski Naczelnny Wódz liczył się z pobytem we Włoszech co najmniej miesięcznym i dopuszczał także ewentualność, że rozwój wypadków może mu zamknąć drogę powrotną do Londynu. Gen. Sosnkowski był bowiem zdecydowany wypowiedzieć posłu-

szeństwo Rządowi w imieniu Sił Zbrojnych, gdyby p. Mikołajczyk podpisał w Moskwie kapitulację wobec żądań sowieckich, prowadzących w rozumieniu Generała do nowego rozbioru Polski i do utraty przez nią wolności. Pewne przygotowania do podobnego manifestacyjnego aktu gen. Sosnkowski zaczął czynić, gdy stało się jasne, że p. Mikołajczyk do Moskwy pojedzie. Tak więc Wódz Naczelny pracował nad tekstem odezwy — rozkazu do Sił Zbrojnych, jaki w wypadku kapitulacji Premiera zamierzał wydać z kwatery polowej 2 Korpusu.

Wybuch powstania w Warszawie doprowadził do innej kolejności wypadków, i wymusił powrót Naczelnego Wodza do Londynu. W Moskwie nie doszło do najgorszego — przynajmniej w formie jawnej, a kapitulacja p. Mikołajczyka i grona jego zaszników politycznych i wojskowych nastąpiła dopiero po kilku miesiącach. Była to jednak już kapitulacja osób: eks-Premiera i eks-Ministrów, którzy podjęli się tej smutnej roli i stali się w stosunku do własnej Ojczyzny narzędziami stalinowskiej Moskwy, popychani zresztą w tym kierunku przez krótkowzroczną i egoistyczną politykę rządów anglosaskich.

O ówczesnym wrzeniu w wojsku świadczą między innymi depesze do Ministra Kota: z Kairu 31 lipca od jego agenta, Tabaczyńskiego, alarmująca z powodu przemówienia Naczelnego Wodza do ułanów Krechowickich, sprzeciwiającego się ustępstwom terytorialnym na Wschodzie. Wspomniane w cytowanej depeszy także „gwałtowne przemówienie gen. Andersa”. Dalej donosi p. Kotowi jego informator, że w razie gdyby Rząd poszedł na ustępstwa, Dowództwo zdecydowane jest na sprzeciw i pójdzie z całym Korpusem za druty. Naczelny Wódz wstrzymał odlot do Kairu, aby ewentualnie podzielić losy wojska.

Tak donosili informatorzy p. Kota.

Zresztą sam Wódz Naczelny w depeszy do Prezydenta z 28 lipca, w której raz jeszcze przestrzegał przed wybuchem powstania, pisał w związku z wizytą Premiera w Moskwie,

„że wstrząsnęła ona duszą wojska, które goni resztkami odporności moralnej i psychicznej; gdyby w Moskwie doszło do ustępstw w sprawie Polski i gdyby nastąpiła fuzja Rządu legalnego z rządem agentów sowieckich — przewiduję „Kryzys nieobliczalny w skutkach, co najmniej w postaci wypowiedzenia posłuszeństwa zespołowi rządowemu, który do takiego stanu doprowadził sprawę Polską”.



Prowokacyjna postawa Sowietów odnośnie powstania jest chyba dostatecznie znana: najpierw huczna propaganda radiowa,

wzywająca do wybuchu, gdy wreszcie wybuch nastąpił — wstrzymanie ataku Armii Czerwonej na Warszawę, odmowa zgody na lądowanie samolotów amerykańskich, oskarżenie gen. Bora i „kliki Sosnkowskiego i Andersa” o zdradę, o „brudną grę polityczną” itp. Mniej wyświetlone dotychczas są działania niektórych polskich polityków partyjnych, prących do wybuchu, czego ślady znajdujemy w wymianie depeesz między pewnymi stronnictwami z Londynu a krajem. Do tej samej kategorii należą próby wywołania buntu w obozach jenieckich w Niemczech i organizowania bojówek wśród Polaków w Westfalii.

Na uwagę zasługuje wywiad prem. Mikołajczyka dla prasy angielskiej z dnia 31 sierpnia 1944 r. Wywiad ten stanowi pierwszą próbę lansowania tezy że powstanie warszawskie było akcją, mieszczącą się w ramach „Burzy”. W owym czasie, po miesiącu walk, było już jasne, że powstanie nie będzie triumfem, ani nawet sukcesem, lecz niezmierną i bezcelową ofiarą. Trudno więc było nie widzieć, że teza powyższa miała być zasłoną dymną, przesłaniającą odpowiedzialność Rządu i władz krajowych za decyzję uruchomienia powstania. Powyższą tezę wywiadu, historycznie nieprawdziwą i płaczącą w określonym celu pojęcie powstania i „Burzy”, operuje się niekiedy po dzień dzisiejszy. Dlatego też chcę raz jeszcze wyjaśnić sprawę zgodnie z rzeczywistością:

Wedle ściśle zdefiniowanej terminologii operacyjnej, ustalonej przez Dowództwo A.K. i zatwierdzonej przez Naczelnego Wodza, nazwą „Burzy” objęte były wzmożone działania dywersyjno-sabotażowe, ze szczególnym uwzględnieniem komunikacji niemieckiej oraz walki z oddziałami tylnymi tylnych straży niemieckich. Tak więc na terenie Warszawy i w jej rejonie walką mieszczącą się w ramach „Burzy” byłoby uderzenie na ostatnie oddziały niemieckie, opuszczające na przykład rejon Woli.

W Instrukcji wspólnej z dnia 27.X.1943 „Burza” była przewidziana na wypadek opanowanego odwrotu niemieckiego oraz w alternatywie dalszego bojkotowania przez Sowiety Rządu polskiego. Ten zasadniczy warunek Instrukcji wspólnej, obowiązującej i nieodwołanej przez Rząd polski aż do daty 28 lipca 1944 r. uzależniał uruchomienie powstania politycznie od przywrócenia przez Moskwę normalnych stosunków z naszym Rządem, pod względem wojskowo-operacyjnym Instrukcja wspólna dopuszczała powstanie jedynie w wypadku zupełnego załamania się Niemców i ich rozkładu wojskowego. Otóż w czasie gdy Rząd w Londynie i władze krajowe pobierały decyzje powstania, żaden z owych warunków, ani polityczny, ani wojskowy, nie został dopełniony. Stąd więc decyzja władz Krajowych z 21 lipca 1944 r. była przekroczeniem Instrukcji wspólnej Rządu i Naczelnego Wodza.

Zaś ze strony Premiera i Rządu decyzja powzięta 26 i 28 lipca 1944 r. była przekreśleniem Instrukcji wspólnej — przekreśleniem, dokonanym wbrew zdaniu Naczelnego Wodza i wbrew jego dyrektywom, przesłanym Dowódcy A.K. depeszą z dnia 7 lipca 1944 r.

Otóż dyrektywy z dnia 7 lipca, omówione już powyżej szczegółowo z uwagi na ich podstawowe znaczenie, nie wykaczały nigdzie poza ramy Instrukcji wspólnej z 27.X.43. Pozostawały one w całkowitej zgodzie z operacyjną treścią pojęcia „Burzy”, ustaloną między Londynem a Warszawą. Punkt 5-ty dyrektyw z dnia 7 lipca dobitnie wskazuje jak dalece Wódz Naczelny dbał o nieprzekraczanie przez Armię Krajową ściśle zdefiniowanych granic „Burzy”. Mając na myśli zadokumentowanie praw Polski do Kresów ze Lwowem i Wilnem wobec sojuszników, handlujących połową Polski, Wódz Naczelny mówi *o szczęśliwym zbiegu okoliczności, pozwalającym A.K. zająć te rejony w ostatnich chwilach odrotu niemieckiego, a przed wkroczeniem Armii Czerwonej.*

Tylko najbardziej złośliwa interpretacja jest w stanie w treści punktu 5-go dyrektyw Naczelnego Wodza, dopatrzeć się zezwolenia na angażowanie się w operacje szersze, aniżeli walki z oddziałami tylnymi niemieckich straży tylnych.

Analogii między Warszawą, a ograniczonym obszarem na Kresach nie ma. Polskości Warszawy nikt nie kwestionował. Powstanie w milionowej stolicy nie było „akcją na ograniczonym obszarze”. Warszawa była siedzibą wszystkich władz Polski Podziemnej, Delegata Rządu, Krajowej Rady Ministrów, Rady Jedności Narodowej, Komendy Głównej A.K. Wybuch w Warszawie wprowadzał automatycznie całą Polskę do walki. Charakter powszechny walki wynika także jasno: 1) z zarządzonego przez Dowódcę A.K. w dniu 21-ym lipca 1944 r. „stanu czujności do Powstania”, 2) z wykonywania akcji według planu Powstania, 3) z wydanego w parę dni po wybuchu powstania Rozkazu, aby oddziały A.K. śpieszyły na odsiecz walczącej Warszawie. Nadto — ze wszystkich planów „Burzy” Warszawa była wyłączona.



Decyzja uruchomienia Powstania, jako decyzja *par excellence* polityczna, należała bezwątpienia do Rządu. Zgodnie więc z zasadami porządku prawnego Instrukcja wspólna Rządu i Naczelnego Wodza z 27.X.43. wyraźnie stanowi, że decyzja powstania należy do Rządu (dwukrotnie w punkcie A.I. oraz w punktach B.II i C.).

Takie postawienie sprawy było logiczne, nie należy bowiem zapominać, że dekret Prezydenta z 22 maja 1942 pozbawił Naczelnego Wodza na rzecz Rządu szeregu uprawnień przewidzianych w Konstytucji Kwietniowej. Do Rządu należały obecnie między innymi wszelkie decyzje, dotyczące prowadzenia wojny, uruchamiania Sił Zbrojnych do obrony, określania celów wojny itd.

Witold BABIŃSKI



NOTA BIOGRAFICZNA

Witold BABIŃSKI ur. w Warszawie w r. 1897. Ukończył gimnazjum Chrzanowskiego, odbywał studia w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i w Uniwersytecie Warszawskim.

Udział w wojnie 1918 — 1920. Po wojnie i po ukończeniu studiów administrował majątkami leśnymi i rolnymi. W latach 1927 — 1939 był dyrektorem Zrzeszenia Związków Właścicieli Lasów. Powoływany wielokrotnie jako ekspert do rokowań handlowych z Francją, Wielką Brytanią i Niemcami a także Z.S.S.R. (umowa w sprawie dostaw drzewnych na rynek angielski).

Był stałym delegatem Polski do międzynarodowych organizacji drzewnych (*Comité International du Bois, European Timber Export Convention, Izba Rolnicza Polsko-Francuska*).

Członek Związku Izb Rolniczych Państwowej Rady Drzewnej, Komitetu Taryfowego Państwowej Rady Komunikacyjnej.

Ogłosił wiele prac w pismach ekonomicznych. Prace zebrano w książce pt. „Zagadnienia leśne i drzewne” (Warszawa 1938).

W r. 1939 zmobilizowany jako oficer rezerwy. W latach 1940 — 1944 był adiutantem gen. Sosnkowskiego, mając powierzony przede wszystkim kontakt z kołami politycznymi, z prasą, z władzami oraz śledzenie rozwoju zagadnień polsko-angielsko-sowieckich.

W latach 1945 — 1946 prowadził referat wyznań i narodowości w sztabie głównym. W latach 1946 — 1948 pracował we Francji. W Kanadzie od r. 1949. Obecnie pracuje w leśnictwie uzyskawszy prawo praktyki po zdaniu egzaminów na Uniwersytecie Laval w Québecu.

ŁĄCZNOŚĆ RADIOWA SZTABU N.W. W PRZED DNIU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

W czasie drugiej wojny światowej powstał problem utrzymania łączności radiowej pomiędzy jednostkami wojska polskiego rozrzuconymi w Europie, Azji i Afryce. Najpoważniejsze było zagadnienie utrzymania łączności pomiędzy Sztabem N.W., najpierw w Paryżu, a później w Londynie, i okupowanym krajem. Przerastało to dotychczasowe skromne doświadczenia wojsk łączności w pracy radiowej na duże odległości, tzn. na fali odbitej. Jednak problemy te, najpierw w sposób amatorski, a później w sposób bardziej fachowy, zostały rozwiązane. Stopniowo została rozbudowana radiowa sieć łączności wojskowej obejmująca liczne placówki i jednostki wojska polskiego z tym, że centrala łączności Sztabu N.W. była jednocześnie centralą wojskowych radiostacji na terenie Polski, czyli przekazywała ona wiadomości wymieniane między Komendą Główną A.K. i podległymi jej oddziałami. Było to chyba jedynym tego rodzaju osiągnięciem organizacyjnym i technicznym w drugiej wojnie światowej i chociaż nie wolne od usterek i niedociągnięć spełniło ono swe zadanie.

Mija już 20 lat od chwili kiedy ta sieć łączności została wystawiona na najcięższą próbę w czasie walk w Warszawie w 1944 r. Obowiązki, które spadły wówczas na tę sieć łączności zostały wykonane tak sprawnie, że z kapitulującej Warszawy nadeszło podziękowanie dla Kompanii Radiotelegraficznej Batalionu Łączności Sztabu N.W. „Dziękuję Wam rodacy za Waszą rzetelną pracę. Jesteśmy dumni, że łączność radiowa nie zawiodła i głęboko przekonani, że naszą wspólną ciężką pracą przyczyniliśmy się do chwały naszej umęczonej Ojczyzny. Jeszcze Polska nie zginęła. Bór-Komorowski, gen.” (*Historia Batalionu*, str. 75).

Tragedia Powstania Warszawskiego będzie przez dłuższy czas poruszać umysły ludzkie. Historycy będą badać nie tylko sam przebieg powstania, ale również i okres poprzedzający, kiedy to zapadały decyzje, które doprowadziły do walki o Warszawę. Rola jaką odegrała łączność radiowa w okresie poprzedzającym powstanie nie jest jasna. Jako typowe w tej sprawie można przytoczyć stwierdzenie z *Polskich Sił Zbrojnych* tom III, *Armia Krajowa*, str. 665. „Łączność pomiędzy dowódcą A.K. w Warszawie a Naczelnym Wodzem, przebywającym we Włoszech, biegła przez Londyn i była bardzo powolna.

Pomiędzy wysłaniem depeszy a otrzymaniem jej przez adresata upływały 3-4 dni; to samo dotyczyło odpowiedzi”.

Podobne stwierdzenia znajdują się w innych pracach historycznych i pamiętnikarskich, ale, o ile mi wiadomo, nikt jeszcze nie posunął się poza stwierdzenie, że telegramy chodziły wolno, a dyskusja pomiędzy redaktorem Bielałowiczem i płk. Michniewiczem na łamach „Wiadomości” w początkach 1963 r. wcale sprawy nie wyjaśniła. Dalsze dociekania są dla ludzi z humanistycznym wykształceniem trudne, gdyż wymagają one podstawowych wiadomości z dziedziny telekomunikacji, jak również znajomości organizacji i procedury łączności Sztabu N.W. Jest to zagadnienie nowoczesnego typu, w którym historia jest ściśle związana z szybko rozwijającą się techniką. Dlatego historycy i pamiętnikarze, dla których problemy techniczne są obce nie są w stanie dotrzeć do sedna sprawy.

Praca niniejsza jest próbą odpowiedzi na pytanie, dlaczego w drugiej połowie lipca 1944 r. wymiana wiadomości na najwyższym poziomie polskiej hierarchii wojskowej była powolna. Jest ona oparta na publikacjach, które ukazały się w druku, na materiałach źródłowych udostępnionych przez Studium Polski Podziemnej, przez Instytut im. gen. Sikorskiego i przez mjr. inż. Sabina Popkiewicza, na moich własnych obserwacjach, jak również na wypowiedziach następujących osób, z którymi miałem możliwość na te tematy rozmawiać. Dla uniknięcia nieporozumień pragnę wyjaśnić, że opinie wyrażone w tekście niezawsze są zgodne ze zdaniem tych osób:

Gen. dyw. S. Kopański, Szef Sztabu Nacz. Wodza (wypowiedzi w czasie zebrania Stowarzyszenia Elektryków Polskich w dniu 11 stycznia 1964 r.);
gen. dyw. M. Kukiel, Minister Obrony Narodowej;
gen. bryg. T. Pełczyński, Szef Sztabu Komendy Głównej A.K.;
płk dypl. F. Demel, Szef Oddz. Operacyjnego Sztabu N.W., szyfrant Nacz. Wodza w czasie pobytu we Włoszech;
płk dypl. W. Bąkiewicz, Szef Oddz. Inf.-Wyw. 2 Korpusu;
płk inż. A. Krzyczkowski, Wojskowy Instytut Techniczny;
ppłk dypl. inż. T. Lisicki, d-ca Batalionu Łączności Sztabu N.W.;
mjr. inż. S. Popkiewicz, d-ca Kompanii Radiotelegraficznej Batalionu Łączności Sztabu N.W.;
mjr. K. Bogacki, Szefostwo Łączności Komendy Głównej A.K.;
kpt. L. Góralski, Polski Warsztat Radiowy w Stanmore;
por. mgr. S. Grocholski, oficer do zleceń Szefa Oddz. Spec. Sztabu N.W.;
ppor. inż. Z.A. Siemaszko (brat autora), Kierownik Ruchu w Barnes Lodge;
ppor. inż. L. Proczkowski, d-ca plutonu telegraficznego, 11 Bat. Łącz., 2 Korpusu;
ppor. J. Szkudłapski B. Sc. (Econ.), radiotelegrafista na stacji Marta w Barnes Lodge;
sierż. pchor. S. Lis, d-ca baraku nadajników w Chipperfield.

Pragnę podziękować wszystkim, którzy dopomogli mi w tych dociekania-
niach, a w szczególności gen. Pełczyńskiemu, płk. dypl. Bąkiewiczowi, mjr.
inż. Popkiewiczowi i archiwistce Studium Polski Podziemnej pani Halinie
Czarnockiej.

W pracy tej będzie mowa jedynie o łączności wojskowej. Rządową siecią
radiową, a ściślej mówiąc siecią radiową Stronnictwa Ludowego, którą opisuje
Korboński w *W Imieniu Rzeczypospolitej...* nie będziemy się zajmować.

Londyn, maj 1964 r.

Sytuacja

Zanim przejdziemy do spraw łączności warto przypomnieć ogólną sytuację jaka istniała w lipcu 1944.

Na terenie Polski wojska sowieckie szybko posuwały się na zachód, 7 lipca weszły one do Wilna, a w ostatnich dniach lipca dochodziły już do Wisły. Armia Krajowa wykonywała akcję „Burza” pomagając w ten sposób Rosjanom zdobywać polskie terytorium i usiłując bezskutecznie nawiązać przynajmniej wojskową współpracę z Sowietami. W Warszawie znajdowała się Komenda Główna Armii Krajowej na czele z gen. Tadeuszem Borem-Komorowskim, który do celów korespondencji z Londynem używał pseudonimu Lawina, jej Szefem Sztabu był gen. Tadeusz Pełczyński.

W Londynie Sztab N.W. mieścił się w hotelu Rubens na Buckingham Palace Road. Szefem Sztabu N.W. był gen. Stanisław Kopański. Miał on, jako swego zastępcę do spraw krajowych, gen. Stanisława Tatara, który w tym czasie używał pseudonimów Tabor i Turski. Gen. Tatarowi podlegał Oddział Specjalny Sztabu N.W., którego szefem był ppłk. dypl. Marian Utnik, pseudonim Warta. W Londynie znajduje się też zaufany adiutant Naczelnego Wodza kpt. W. Babiński. Ministrem Obrony Narodowej był gen. Marian Kukiel.

We Włoszech 2 Korpus walczył nad Adriatykiem i 18 lipca zdobył Ankone. Tam też, w I Rzucie Dowództwa, przebywał na inspekcji od 16 lipca Naczelnny Wódz gen. broni Kazimierz Sosnkowski. Świta N.W. składała się z siedmiu oficerów, między innymi płk. dypl. Franciszek Demel, szef Oddziału Operacyjnego Sztabu N.W. i por. Józef Lipski były ambasador w Berlinie. Płk Demel cieszył się dużym zaufaniem Naczelnego Wodza i był mu wiernie oddany. W tej podróży nie tylko reprezentował on Oddział Operacyjny i z tytułu tej funkcji brał udział w licznych konferencjach, ale również spełniał obowiązki oficera łączności i szyfranta przy Naczelnym Wodzu.

Na południu Włoch, koło Brindisi, znajdowała się Baza nr 11 Oddziału Specjalnego, w której skład wchodziła centrala radiowa. Dowódcą tej Bazy był ppłk Ryszard Dorotycz-Malewicz bardziej znany jako ppłk Hańcza.

Tatar, Utnik, Hańcza

Ponieważ łączność Sztabu N.W. w znacznym stopniu działała na użytek Oddziału Specjalnego warto przypatrzeć się bliżej

czym ten Oddział właściwie był i jacy to byli ludzie, którzy nim kierowali.

Jeszcze w Paryżu wyłoniono osobną komórkę Sztabu N.W. do współpracy z krajem. Na czele jej stał gen. Sosnkowski; nosiła ona wówczas nazwę Oddziału VI, czyli tzw. Szóstki. Oddział VI został później przemianowany na Oddział Specjalny i w okresie, który nas interesuje, był to oddział Sztabu N.W. o największych możliwościach. Posiadał niezależny i tajny budżet tak samo jak Oddział Informacyjno-Wywiadowczy, czyli tzw. Dwójka. Ponieważ współpracował z krajem miał charakter konspiracyjny. Mieścił się on w osobnym budynku na rogu Upper Belgrave Street i Wilton Street w odległości około ćwierć mili od hotelu Rubens.

Jak później zobaczymy Kompania Radiotelegraficzna Batalionu Łączności Sztabu N.W. była w znacznym stopniu uzależniona od Oddz. Specjalnego i pracowała na jego użytek. Poza tym Oddz. Spec. miał do swej dyspozycji radiostację foniczną Wawer, przez którą dyktowano zaszyfrowane telegramy do kraju. W Szkocji (Polmont, Stirlingshire) Oddz. Spec. posiadał Ośrodek Wyszukeniowy (d-ca ppłk W. Bernacki), który przygotowywał radiotelegrafistów i radiomechaników dla kraju, dostarczał uzupełnienia Batalionowi Łączności Sztabu N.W. i pokrywał inne zapotrzebowania Oddz. Spec., a między innymi zasilał tzw. Bazy rozrzucone na kontynencie europejskim. Największą z nich była Baza nr 11 pod Brindisi. Baza ta została zapoczątkowana pod koniec 1943 i głównym jej celem były przerzuty do Polski ludzi, materiału i pieniędzy. W skład jej wchodziła stacja wyczekiwania skoczków, magazyny i pieniądze dla kraju, jak również centrala radiowa Mewa. Baza ta miała do swej dyspozycji dywizjon 301, który dokonywał lotów do Polski.

Całością akcji tego Oddziału kierował gen. Tatar, jako zastępcą Szefa Sztabu N.W. do spraw krajowych. Ze względu na rolę jaką ten generał odegrał, warto poświęcić mu trochę miejsca. W 1939 roku, był on pułkownikiem dyplomowanym artylerii, tak samo zresztą jak i gen. Kopański, z którym znali się od roku 1924 (Kopański, str. 309).

W Komendzie Głównej A.K. gen. Tatar zajmował stanowisko Szefa Operacji i pierwszego zastępcy Szefa Sztabu. Już w roku 1943 gen. Tatar stał się rzecznikiem ugodowej polityki w stosunku do Rosji i propagował pogodzenie się z nią kosztem ustępstw terytorialnych (P.S.Z. str. 551, Malinowski str. 530). Stanowisko to znane było Komendzie Głównej A.K. Tym niemniej kiedy zaszła potrzeba wysłania do Londynu wysoko postawionego oficera jako przedstawiciela A.K. wybór padł na gen.

Tatara. W nocy z 15 na 16 kwietnia 1944 Dakota nadesłana z Włoch lądowała na tajnym lotnisku pod Beżycami na Lubelszczyźnie, był to tzw. „pierwszy most”. Samolot ten zabrał z kraju pięć osób, a między innymi gen. Tatara i oddanego mu ppłk. Dorotycz-Malewicza (Hańcza), który był oficerem łączności. Już 21 kwietnia witał przybyszów na lotnisku Hendon gen. Kopański. Jak już wiemy, Naczelnny Wódz mianował gen. Tatara zastępcą Szefa Sztabu do spraw krajowych i powierzył mu Oddział Specjalny. Ppłk Hańcza został mianowany dowódcą Bazy nr 11. Kluczowe punkty zostały obsadzone przez przedstawicieli A.K.

Warto zastanowić się nad powodami, które doprowadziły do tego, że w Warszawie padł wybór właśnie na gen. Tatara. Możliwe są trzy powody. Po pierwsze gen. Tatar był dobrze zorientowany w sytuacji A.K., a w szczególności w jej możliwościach operacyjnych. Po drugie, prawdopodobne jest, że Komenda Główna miała już dość tego dynamicznego oficera i chciała się go po prostu pozbyć. Po trzecie, możliwe jest, że czynniki polityczne zarówno w kraju, jak i w Londynie wywarły pewien wpływ na tę decyzję, bo przybycie gen. Tatara do Londynu było im jak najbardziej na rękę. Możliwe jest, że Rettinger, który wylądował w kraju 4 kwietnia 1944 r., wpłynął na tę decyzję. Do sedna sprawy trudno jest dotrzeć, gdyż bardziej drażliwe sprawy załatwiano przez kurierów, a nie za pomocą telegramów radiowych i z tego powodu brak jest dokumentów.

Po przybyciu do Londynu gen. Tatar nie rozgłaszał swych ugodowych poglądów w stosunku do Rosji.

Pozwolę sobie zacytować charakterystykę gen. Tatara ze Wspomnień Wojennych gen. Kopańskiego (str. 309).

„Miał on opinię bardzo dobrego oficera dyplomowanego artylerii. Poznałem go właściwie lepiej w ciągu przeszło roku wspólnej pracy na obczyźnie. Wyróżniał się siłą woli i pracowitością oraz pewnym uporem i despotyzmem połączonym z zarozumiałością. Może inteligencja ogólna nie dorównywała tym jego cechom. Zasklepiął się w pracy związanej z zajmowanym stanowiskiem. Miał wyraźny uraz antysanacyjny. Wyrobił się w nim stopniowo, już na obczyźnie, uraz antyemigracyjny”.

Warto nadmienić, że ppłk Dorotycz-Malewicz miał również uraz antysanacyjny.

Tatar cieszył się w sferach wojskowych w Londynie dużym zaufaniem, zarówno w okresie który omawiamy, jak również i później. Musiał on posiadać dynamiczny charakter i zdolność pozyskiwania ludzi, gdyż uległ mu ppłk Utnik, który uchodził za zdolnego i inteligentnego oficera. Ppłk Utnik był jednym z twórców na pół tajnej organizacji młodych oficerów armii lądowej i głównie dzięki temu został szefem Oddz. Spec. i awansował wy-

bitnie szybko; w roku 1939 był jeszcze kapitanem. Ppłk Utnik był również oficerem artylerii i uczniem gen. Kopańskiego w szkole podchorążych (Kopański str. 57). Objął on szefostwo Oddz. Spec. po ppłk. dypl. Protasewiczu, już w czasie kiedy Naczelnym Wodzem był gen. Sosnkowski. Istnieją poszlaki, że gen. Sosnkowski sprzyjał tajnym organizacjom młodych oficerów zarówno w lotnictwie jak i w wojsku lądowym i na odwrót, organizacje te liczyły na gen. Sosnkowskiego.

Na marginesie warto tu wspomnieć o dalszych losach tych trzech oficerów, którzy w lipcu 1944 kierowali łącznością Sztabu N.W. Sprawa ppłk. Dorotycz-Malewicz stała się obecnie głośna (patrz *Kultura* nr 194 do 197 i 199).

Gen. Tatar i ppłk Utnik wraz z dokooptowanym ppłk. Nowickim zostali powiernikami sum znajdujących się w dyspozycji Oddz. Spec. w Anglii w okresie cofnięcia uznania Rządowi londyńskiemu. W parę lat później wszyscy trzej powiernicy wyjechali do Polski. Gen. Tatar i ppłk Utnik zostali aresztowani i byli sądzeni i skazani w głośnym w swoim czasie procesie pokazowym w 1951 r. Obaj zostali zwolnieni w październiku 1956 r. O ile wiem, ppłk Utnik, jest obecnie małym urzędnikiem państwowym.

Natomiast gen. Tatar jest doradcą Ministra Obrony Narodowej do spraw związanych z drugą wojną światową, jest to stanowisko wyraźnie uprzywilejowane, dające np. możliwość otrzymywania najbardziej zakazanej literatury. Gen. Tatar jest bojkotowany przez byłych AKowców.

Likwidacja legalnej korespondencji z krajem odbywała się w sposób następujący, 17 lipca 1945 r. władze brytyjskie zakazały nadawania telegramów, ograniczając korespondencję do odbierania telegramów z kraju, a 4 września nakazano ostateczną likwidację korespondencji ze wszystkimi radiostacjami Oddz. Spec. (*Historia Batalionu* str. 84).

Dalsze losy łączności radiowej z krajem są osnute tajemnicą i brak jest z tego okresu dokumentów, które zostały wykradzione w czasie włamania do londyńskiej kwatery gen. Tatara, wkrótce po jego wyjeździe do Polski. Zresztą należy na ten temat pisać ostrożnie, gdyż żyją jeszcze w kraju ludzie, którzy w taki, lub inny sposób byli związani z tymi sprawami i nie wiadomo do jakiego stopnia ich przeszłość znana jest władzom bezpieczeństwa.

Ale cofnijmy się do lipca 1944 r. Jak już wiemy telegramy pomiędzy Warszawą, Londynem i Włochami przekazywane były bardzo wolno. Żeby ustalić jakie były tego powody należy w pierwszym rzędzie zanalizować stan łączności Sztabu N.W. w tym czasie.

Dowódcą Batalionu Łączności Sztabu N.W., który przed 31 sierpnia 1944 nosił nazwę Oddziału Radio Sztabu N.W., był oficer służby stałej mjr. inż. Tadeusz Lisicki (od czerwca 1943 r.). Dowództwo Batalionu stacjonowało w Dover House w Stanmore pod Londynem. Batalion posiadał dwie kompanie, Kompanię Radiotelegraficzną i Kompanię Radiowywiadu. Tą ostatnią nie będziemy się zajmować. Dowódcą Kompanii Radiotelegraficznej był oficer służby stałej, kpt. inż. Sabin Popkiewicz (od 15 maja 1943 r.). Kompania ta miała dwa zasadnicze człony, pluton korespondencyjny i pluton obsługi technicznej wraz z obsługą centrali nadawczej i drużyną antenową. Wśród oficerów kompanii warto wymienić zasłużonego radiotelegrafistę, ppor. czasu wojny Antoniego Brękiewicza, który w okresie omawianym pełnił obowiązki dowódcy plutonu korespondencyjnego i por. inż. Feliksa Doborzyńskiego, (oficer rezerwy), dowódcę plutonu technicznego.

Według stanu z dnia 1 kwietnia 1944 kompania ta liczyła (*Historia Batalionu*, str. 48):

- 8 oficerów, w tym dwóch inżynierów elektryków,
- 5 kierowników ruchu, sierżanci lub podchorążowie,
- 39 telegrafistów, w różnych stopniach od sierżanta do szeregowego,
- 5 urzędników cywilnych obsługujących dalekopisy,
- 11 radiomechaników w plutonie obsługi technicznej,
- 28 żołnierzy różnych stopni w obsłudze centrali nadawczej, drużynie zespołów zasilania i rejestracji nadawań,
- 9 żołnierzy w drużynie antenowej,
- 17 żołnierzy zaangażowanych w administracji, kuchni, służbie wartowniczej itd.

Razem 8 oficerów i 114 szeregowych. Dokładny stan z lipca nie jest znany. Można by przypuszczać, że był on nieco wyższy od stanu kwietniowego.

Centrala łączności radiowej Sztabu N.W., która została zorganizowana przez Kompanię Radiotelegraficzną i była przez nią obsługiwana składała się z ośrodka nadawczego i ośrodka odbiorczego. Pierwszy z nich mieścił się w Chipperfield Lodge, a drugi w Barnes Lodge koło Kings Langley, (w hrabstwie Hertfordshire na północny zachód od Londynu) odległych od siebie o 2 mile, a od Sztabu N.W. około 30 mil. W początkowym okresie wojny Kompania Radiotelegraficzna miała osobne radiostacje roz-

rzucane w okolicach Stanmore i Kings Langley. Z nastaniem roku 1943 radiostacje te zostały skomasowane w jedną centralę zaprojektowaną na 10 stacji nadawczych, która z konieczności została powiększona do 16 stacji. Nadajniki zamontowane były w dwóch barakach. Stanowiska odbiorcze w Barnes Lodge były połączone z ośrodkiem nadawczym za pomocą 56-żyłowego kabla manipulacyjnego, który zawierał przewody kluczkowania i przewody telefoniczne z poszczególnych stanowisk odbiorczych. W ośrodku nadawczym kabel ten dochodził do tablicy rozdzielczej, dzięki czemu można było dowolnie łączyć stanowiska odbiorcze z poszczególnymi nadajnikami.

W lipcu 1944 kompania posiadała 23 nadajniki (z tego 16 w użyciu a reszta w remoncie lub zapasowe), których moce wyjściowe leżały w zakresie 400 do 3000 watów. Całkowita moc wynosiła około 20 kilowatów. Nadajniki te były albo produkcji amerykańskiej, firm Halicrafter, R.C.A., Federal Telephone and Radio Corp. i Collins, albo też własnej polskiej produkcji. Jedne nadajniki produkcji amerykańskiej należało przerabiać ze względu na podwajanie częstotliwości, bo Kompania Radiotelegraficzna pracowała na zasadzie częstotliwości zasadniczej do 8 Mc/s i podwajanej powyżej, a to było związane z posiadaniem odpowiednich kwarców. Inne należało przerabiać ze względu na zbyt niską moc, lub z powodu dopasowania wyjścia do anteny, a jeszcze inne ze względu na szybkość strojenia, gdyż wymagany czas przestrojenia z jednej częstotliwości na drugą wynosił jedną minutę. Wszystkie te prace były wykonywane w plutonie technicznym Kompanii Radiotelegraficznej. Nadajniki polskiej produkcji pochodziły albo z Polskiego Wojskowego Warsztatu Radiowego w Stanmore, albo też były wykonywane przez pluton techniczny Kompanii RT. Warto tu zwrócić uwagę na to, iż nadajniki produkcji amerykańskiej zostały dostarczone przez Oddział Specjalny, jedynie nadajnik firmy Collins, przywieziony jeszcze z Francji, pochodził z Oddz. Informacyjno-Wywiadowczego.

W owym czasie na Wyspach Brytyjskich pracowało około 30.000 radiostacji. Z tego względu moce nadajników były ograniczone przez władze brytyjskie. Dla Kompanii RT. górna granica mocy wynosiła 1.000 watów.

Ze względu na niskę moc nadajników konspiracyjnych (około 10 watów) odbiorniki w Kompanii RT. musiały być jak najlepszej jakości. Czułość i stabilność były najważniejszymi wymaganiami. Właściwie jedynie odbiornik HRO nadawał się do pracy ze stacjami konspiracyjnymi. W Barnes Lodge było 39 odbiorników z tego zaledwie 18 typu HRO, które nabył Oddz. Spec. od władz brytyjskich.

Anteny, a w szczególności anteny nadawcze, stosowne do pracy na fali odbitej, nie były wcale prostym zagadnieniem tak z punktu widzenia teoretycznego jak i praktycznego. Wchodzi tu w grę dopasowanie anteny do nadajnika na szerokim zakresie częstotliwości, sprawność samej anteny i kąt promieniowania pionowy i poziomy. Wszystkie te czynniki są bardzo ważne w osiągnięciu sprawnej komunikacji. Na przełomie 1943/44 Kompania RT. zasięgała w sprawie anten nadawczych rady w centralnym laboratorium Foreign Office w Barnet (mjr. Keen) i w Marconi Research Laboratory. Przyrządy pomiarowe do badania anten pożyczano z 26 Grupy Lotniczej dzięki pomocy mjr. Terleckiego. Były też kłopoty natury praktycznej, a mianowicie brak materiału do budowy anten — potrzebne były słupy wysokości 110 stóp, rekwirowanie terenu pod anteny i skaliste podłoże, które należało rozsadzać dynamitem.

W lipcu 1944 Kompania RT. posiadała w sumie 48 anten, w tym były dwie anteny rombów, które okazały się najlepsze do pracy z Polską. Dalsze anteny rombów były w stanie konstrukcji. W tym czasie budowano drugą centralę w Connington Hall pod Cambridge, w której zastosowano wiadomości uzyskane w czasie czteroletniej praktyki korespondencyjnej z Polską. Ta nowa centrala podlegała również kpt. inż. Popkiewiczowi, pracowali nad nią por. czasu wojny inż. Żołędziowski i ppor. inż. Rutkowski. Centrala ta zaczęła korespondować z krajem już w czasie powstania w sierpniu 1944.

Jedną z największych trudności stanowiły częstotliwości, zarówno ich ilość jak i zakres.

Ilość częstotliwości była ograniczona przez władze brytyjskie i w omawianym okresie dla całej sieci Sztabu N.W. wynosiła zaledwie 130 przydzielonych częstotliwości. O ile chodzi o zakres, to trudność polegała na tym, że, przynajmniej w pracy z krajem, nie można było używać częstotliwości wyższych niż 8 Mc/s, bo sprzęt konspiracyjny miał zakres tylko poniżej tej częstotliwości. Tymczasem według danych, które Kompania RT. otrzymywała z instytutu badania jonosfery I.S.I.B. w Great Baddow najwyższe użyteczne częstotliwości do korespondencji z krajem sięgały latem 1944 do 13 Mc/s. Wobec czego warunki pracy były ciężkie i słyszalność słaba, bo czym niższa jest częstotliwość, na której się pracuje od najwyższej użytecznej częstotliwości tym większe jest tłumienie fal elektromagnetycznych. Należy również dodać, iż lato 1944 było najgorszym okresem do korespondencji na fali odbitej, gdyż plamy słoneczne, które mają 11-letni okres zmian, miały właśnie swoje minimum. Mimo tych wszystkich trudności łączność radiowa z krajem była utrzymywana bez żadnych przerw.

Na zakończenie tych rozważań technicznych pozwolę sobie przytoczyć cytata z opracowania kpt. inż. Popkiewicza „Kompania Radiotelegraficzna”.

„Baon a nawet Kompania odgrywała w dużym stopniu rolę organu kierowniczego w stosunku do samego siebie. Nie mając ścisłych wytycznych od swych przełożonych Baon (Kompania) musiał we własnym zakresie ustalić linię swego postępowania i właściwego kierunku rozwoju technicznego. Odnosiło się to w pierwszym rzędzie do spraw instalacyjnych i technicznych”.

W Barnes Lodge istniało biuro zwane Kierownictwem Ruchu, przez które przechodziły telegramy odbierane i nadawane. Wielka szkoda, że dzienniki rejestracyjne nie zachowały się. Kierownictwo Ruchu połączone było ze Sztabem N.W. dwoma dalekopisami (jest to urządzenie składające się z aparatur posiadających klawiatury podobne do maszyn do pisania, połączonych ze sobą kablem; obojętnie na której klawiaturze się pisze, znaki wybijane są na wałkach obu aparatur), jednym z Oddziałem Specjalnym, a na drugim z Oddziałem Informacyjno-Wywiadowczym. Odebrane telegramy przynosili telegrafisci do Kierownictwa Ruchu, gdzie były wpisywane do dziennika rejestracji telegramów i z miejsca przekazywane na odpowiedni dalekopis. Ważne telegramy nie pozostawały dłużej w Kierownictwie Ruchu niż kilka minut. Maszynistki były w stanie nadać na dalekopis około 1200 grup na godzinę.

W Kompanii RT. czas był rzeczą cenną i 10-15 minut uchodziło za długi przeciąg czasu. Telegramy przechodziły przez Barnes Lodge w stanie zaszyfrowanym i nikt tam szyfrów nie znał.

Centrala w Barnes Lodge spełniała podwójną rolę. Była ona ośrodkiem radiowym dla Sztabu N.W., jak również centralą dla radiostacji krajowych. Zorganizowanie centrali radiowej w kraju napotykało na poważne trudności zarówno techniczne, jak i praktyczne. Ażeby pokryć całe terytorium Polski należałoby używać zarówno pracy na fali odbitej jak i przyziemnej co właściwie wymagałoby innego typu radiostacji i promieniowania silnej fali przyziemnej, a to dopomagałoby Niemcom w wykrywaniu radiostacji. System taki wymagałby również dużej ilości kwarców kontrolujących dokładność częstotliwości, a z dostaniem ich w czasie wojny były zawsze trudności. Poza tym byłoby prawie niemożliwe ukrycie takiej centrali przed Niemcami, a jej wykrycie spowodowałoby kompletne załamanie się łączności.

Kompania RT. w lipcu 1944 r. miała już za sobą przeszło cztery lata doświadczenia korespondencyjnego nie tylko z krajem, ale i ze stacjami rozrzuconymi w Europie i na Środkowym Wscho-

dzie, jak również w Azjatyckiej Rosji w czasie przebywania tam Wojsk Polskich.

Mewa

Jak już wiemy Oddział Specjalny miał do swojej dyspozycji centralę radiową we Włoszech w miejscowości Mesagne przy Via Appia Antica, 15 km. na południowy-zachód od Brindisi. Centrala ta wchodziła w skład Bazy nr 11 i głównie była związana z rzutami do kraju jak również z lądowaniem samolotów Dywizjonu 301 na tajnych lotniskach w Polsce. Poza tym przechodziła przez Mewę, taką nazwę miała ta centrala, pewna ilość normalnej korespondencji z krajem.

Nie zdołałem zbadać szczegółów organizacji Mewy, gdyż akta Bazy nr 11 są obecnie zdeponowane w Szkocji. Porównując ilość przekazywanych telegramów można przypuszczać, że Mewa miała jedną trzecią możliwości korespondencyjnych Barnes Lodge. Mewa nawiązywała łączność z Barnes Lodge codziennie o godz. 8 rano i korespondencja trwała dopóty dopóki nie zostały wyczerpane wszystkie telegramy z obu stron. W ten sposób korespondencja pomiędzy Barnes Lodge i Mewą przeciągała się do późna w nocy, a czasami nawet do następnego rana. Obrót dzienny pomiędzy tymi dwiema centralami dochodził do dwóch tysięcy grup dziennie. Procedura ta znana mi jest dobrze z własnego doświadczenia. Mewa brała również udział w pośredniczeniu między stacjami krajowymi, dzięki czemu niektóre telegramy szły z kraju przez Mewę i Barnes Lodge do kraju lub na odwrót.

Baza nr 11 razem z Mewą była jednostką sztabową i nie była w żaden sposób związana z 2 Korpusem, przynajmniej w okresie, który tu omawiamy.

Mewa podlegała kpt. inż. Andrzejowi Iwanickiemu (oficer rezerwy), który znany był z antysanacyjnego nastawienia.

Wandy

W lipcu 1944 roku na terenie kraju było około 57 odbiorczo-nadawczych radiostacji wojskowych; nazywano je Wandami. Dziesięć spośród nich należało do tzw. sieci lotniczej i nosiły one numery rzędu 300, Wanda 311 była główną radiostacją tej sieci. Z pozostałych 47 radiostacji dziewięć było przydzielonych do Komendy Głównej A.K. lub do Komendy Okręgu Warszawa, 25 było przydzielonych do Komend Okręgowych lub Inspektoratów w terenie, pięć do oddziałów partyzanckich, przydziału pozostałych nie udało się ustalić. Do Komendy Głównej i Okręgu Warszawa

należały Wandy 1, 2, 3, 4, 7, 9, 13, 62 i 96. Wanda 23 była przydzielona do Komendy Podokręgu Warszawa-Zachód, a Wanda 24 do Podokręgu Warszawa-Wschód. W Powstaniu Warszawskim brały udział następujące Wandy: 1, 2, 3, 4, 7, 9, 13, 23, 23A, 62, 71, 96 i 311. Siedem z nich wytrzymało aż do końca powstania: Wandy 1, 2, 7, 13, 71, 96 i 311. W celach pośredniczenia Barnes Lodge miała przydzielone następujące numery Wand: 8, 17, 35, 39 i 51. Telegramy z stacji rozrzuconych w terenie, a przeznaczonych dla Komendy Głównej były adresowane do Wandy 9. Zestawienie powyższe oparte jest na następujących źródłach: dokumentacja Oddz. Spec., Popkiewicz str. 8 i 19, *Hist. Bat.* str. 75 i *P.S.Z.* str. 253.

W okresie, który nas interesuje pilne telegramy Komendy Głównej były nadawane przez Wandy 1, 4, 7, 9. Mniej ważne telegramy nadawane były przez Wandy 53 i 54. Jedna z nich, prawdopodobnie Wanda 53, znajdowała się w górach Świętokrzyskich.

Większość Wand używała tzw. pipsztoków, czyli stacji odbiorczo-nadawczych A1 wyprodukowanych przez Polski Wojskowy Warsztat Radiowy w Stanmore, gdzie głównym konstruktorem był inż. Tadeusz Heftman. Dyrektorem P.W.W.R. był kpt. inż. A. Jakubielski (oficer czasu wojny). Aparatura ta miała rozmiary 7x25x30 cm. i ważyła około 10 kg. Moc nadajnika wynosiła około 10 watów. Posiadała ona zakres częstotliwości od 3 do 8 Mc/s. Wzmocnienie odbiornika wynosiło 500 mikrowatów na około 30 mikrowoltów sygnału wejściowego. Częstotliwość była kontrolowana kwarcem. Można by tym radiostacjom zarzucić pewne niedociągnięcia, jak np. grzanie się transformatora zasilającego przy dłuższych okresach nadawania, słaba selektywność i czułość odbiornika i stanowczo za niski zakres częstotliwości, o czym już była mowa. Ale jednak spełniły one swe zadanie i były używane nie tylko przez polską sieć konspiracyjną, ale i przez podobne sieci angielskie, które zakupiły w PWWR około 1000 pipsztoków. Należy pamiętać, iż w czasie wojny istniały poważne trudności z dostaniem elektrycznych części składowych, jak również innych materiałów potrzebnych do produkcji pipsztoków. Poza tym przypuszczam, iż była tu zasadnicza trudność. W normalnym trybie postępowania warunki jakie powinno spełnić dane elektroniczne urządzenie powinny być sprecyzowane przez użytkownika. Konstruktor powinien się jedynie martwić spełnieniem tych warunków. Tymczasem, w początkowym okresie, użytkownicy w kraju i na Zachodzie nie byli w stanie sprecyzować wymagań, gdyż byli to albo zawodowi wojskowi bez teoretycznego wykształcenia, albo też amatorzy. W Anglii przebywała duża grupa inżynierów elektry-

ków o najwyższych kwalifikacjach. Byli to przeważnie ewakuowani z Polski pracownicy Polskich Zakładów Tele i Radiokomunikacyjnych, którzy zostali w Anglii zatrudnieni albo w Admiralicji albo w Signals Research and Development Establishment. Dopiero na początku 1943 przydzielono pierwszych inżynierów elektryków do Kompanii Radiotelegraficznej (Doborzyński i Popkiewicz); podeszli oni w sposób bardziej fachowy do problemu konstrukcji anten i doboru najlepszych częstotliwości. Skutek był taki, że dopiero wiosną 1944 zbudowano pierwszą antenę rombowa i dopiero latem 1944 zaczęto produkować pipsztoki, AP5, z zakresem częstotliwości 3 do 16 Mc/s.

Przed sierpniem 1944 zrzucono do Polski około 800 radiostacji konspiracyjnych, głównie pipsztoków typu A1.

Jako ciekawostkę warto tu nadmienić, iż konstruktorem pierwszych radiostacji użytych w kraju był również inż. Heftman. Opracowano je dla wywiadu przed wrześniem 1939 r. Z inicjatywy kpt. Konrada Bogackiego zostały one wykradzione w jesieni 1939 z zarekwirowanej już przez Niemców fabryki Ava, którą przed wojną kierowali bracia Danilewiczowie. Za pomocą jednej z tych radiostacji nawiązano pierwszą łączność radiową z Budapesztem w marcu 1940. (*Na Antenie* nr 13).

Nie ulega wątpliwości, że warunki pracy Wand były bardzo ciężkie. W najtrudniejszym okresie czas nadawania został w okolicy Warszawy skrócony do 10 minut. Jednak w lipcu 1944 Niemcy mieli poważniejsze zmartwienia i Wandy mogły pracować o wiele swobodniej nawet w samej Warszawie. W przeciwieństwie do Londynu, gdzie Szef Łączności Sztabu N.W. płk Cepa był luźno związany z zagadnieniami technicznymi i korespondencyjnymi Batalionu Łączności Sztabu N.W., za łączność radiową w A.K. odpowiedzialny był Szef Łączności Technicznej Komendy Głównej ppłk Uszycki. Przy K.G. istniał Ośrodek Łączności, w którym telegramy podpisane przez gen. Bora-Komorowskiego były szyfrowane i przekazywane dalej przez gońca albo do którejś radiostacji zainstalowanej w Warszawie, albo do radiostacji bardziej oddalonej, zależnie od ogólnej sytuacji i od ważności i długości telegramu. W drugiej połowie lipca godziny policyjne były od 8-ej wieczór do 5-ej rano. W tym okresie przenoszenie telegramów było kluczzone.

Ponieważ dobiegamy do końca omówienia radiostacji krajowych warto tu poruszyć jedno zagadnienie, które jest z nimi ściśle związane. Oddajmy głos gen. Kopańskiemu (str. 319):

„25 lipca podałem gen. Kukielowi jako ministrowi Obrony Narodowej, opinię gen. Tatara, że ewentualny ruch Rosjan od południa (znad ujścia

Pilicy) na Warszawę mógłby pozbawić komendę Armii Krajowej możliwości korzystania z jej głównych radiostacji poza Warszawą i utrudnić łączność z władzami w Londynie. Prezydent, u którego w tym samym dniu byłem z gen. Kukielem doszedł do wniosku, że trzeba na ten wypadek dać krajowi pewne określone wytyczne i pełnomocnictwa. Prezydent wyraził przy tym swą ufność w rozum polityczny i zgodność władz krajowych”.

Sprawa ta wymaga wyjaśnienia. Przypatrzmy się faktom. Między 19 i 31 lipca ważne telegramy Komendy Głównej A.K. były nadawane przez Wandy 1, 4, 7 i 9, które znajdowały się w okręgu Warszawa, a jedynie mniej ważne nadawano przez Wandy 53 i 54, które znajdowały się w okolicy Kielc i mogłyby być odcięte ewentualnym natarciem Rosjan znad ujścia Pilicy. W dniu 28 lipca Oddz. Spec. zarządził 24-godzinny nasłuch Wand 1, 7, 9 i 23 (L. dz. 6105). Nasłuchu tych radiostacji zażądał gen. Bór-Komorowski telegramem nr 450 z 27 lipca. (L. dz. Oddz. Spec. 6072). Czyli te radiostacje znajdowały się w Warszawie i przez nie miały przechodzić najważniejsze wiadomości. Zresztą każda z nich miała być potrojona, toteż nic dziwnego, że w czasie powstania istnieją Wandy 23, 23A i 23B, lub też 7, 07 i 07F (choć istnienie 07 jest nieco wątpliwe). I tak z Wand 23 i 23A korzystał Żywiciel (ppłk Niedzielski) na Żoliborzu, a Wanda 23B znajdowała się poza zasięgiem powstania. Z Wand 7 i 07 korzystała K. G., a z Wandy 07F Okoń (mjr Kotowski) w Kampinosie, który prowadził ożywioną korespondencję z K.G. za pośrednictwem Barnes Lodge (dziennik podawczy Oddz. Spec. i Popkiewicz str. 8 i 19). Szefostwo Łączności Komendy Gł. A.K. zdecydowało, że te trójki Wand będą miały te same częstotliwości, i sygnały wywoławcze różniące się jedynie czwartą literą, co było fatalne w skutkach, gdyż można było korespondować jedynie z jedną Wandą z takiej trójki w danym czasie (Popkiewicz str. 19).

Faktem jest, że pośród co najmniej 13 radiostacji biorących udział w powstaniu znalazło się co najmniej 9 starych Wand, a mianowicie Wandy 1, 2, 4, 7, 9, 13, 23, 62 i 311, które pracowały od wielu miesięcy (Popkiewicz str. 8). W końcu lipca wszystkie one musiały znajdować się na terenie okręgu Warszawa. Oddz. Spec. nie mógł nie znać rozlokowania Wand, czyli celowo wprowadzono w błąd Szefa Sztabu N.W., Ministra Obrony Narodowej i Prezydenta. Ale cel został osiągnięty, Prezydent doszedł do wniosku, że trzeba dać krajowi wytyczne i pełnomocnictwa. Jeżeli Premier Mikołajczyk zwracał się do Prezydenta w sprawie wysłania telegramu upoważniającego kraj „do ogłoszenia powstania w momencie przez was wybranym”, który został nadany 26 lipca, to zastał Prezydenta już odpowiednio nastawionego.

Warto tu wspomnieć, że szkic nr 9 w P.S.Z. podający „stan na dzień 31.VII.44” rozlokowania Wand jest pełen błędów i na pewno nie przedstawia sytuacji w przeddzień walki o Warszawę.

Sieć Sztabu N.W.

Cała sieć wojskowa w kraju podlegała Oddz. Spec. Poza tym posiadał on Mewę we Włoszech jak również następujące radiostacje: Aza we Francji, Team i Sara na Środkowym Wschodzie, Barbara na Węgrzech i Stanisława w Szwecji.

Oddz. Informacyjno-Wywiadowczy Sztabu N.W. posiadał w lipcu 1944 dwie radiostacje na Środkowym Wschodzie (Tamara i Ida), jedną w Szwajcarii (Wrocław), jedną w Algierze (Rygor), 16 radiostacyj we Francji i dwie na Półwyspie Iberyjskim. W kraju Oddz. Inf.-Wyw. własnej sieci nie posiadał.

Było również kilka radiostacyj przy większych jednostkach, a mianowicie Szkot przy I Korpusie, Jan przy I Dywizji Pancernej, Feliks przy Brygadzie Spadochronowej i Wicek przy Dowództwie Środkowego Wschodu. Radiostacje te podlegały Oddziałom Inf. Wyw. poszczególnych wielkich jednostek.

I wreszcie istniała sieć ministerstwa Obrony Narodowej we Francji składająca się z 6 stacji o romantycznych nazwach: Dalia, Alamant, Owidiusz, Selim, Nicanor i Torreador. Dane powyższe zostały wzięte z pracy kpt. inż. Popkiewicza (str. 8).

W sumie Barnes Lodge utrzymywała w lipcu 1944 łączność z 95 radiostacjami, z tego 63 należało do Oddz. Spec. (w tym Mewa), 22 do Oddz. Inf.-Wyw., 4 do dowództw wielkich jednostek i 6 do M.O.N. W lipcu 1944 Kompania Radiotelegraficzna przekazała 2522 telegramy, czyli ponad 81 telegramów dziennie, warto tu dodać, iż w sierpniu zostało przekazanych 4341 telegramów, czyli prawie 145 telegramów dziennie (*Hist. Bat.* str. 54).

Z punktu widzenia naszych rozważań należy podkreślić, że w lipcu 1944 nie było bezpośredniej łączności z 2 Korpusem. Stacja Wicek pozostała w Kairze przy dowództwie wojsk Śr. Wschodu a stacja Władek utrzymująca bezpośredni kontakt między Londynem i 2 Korpusem została uruchomiona dopiero w listopadzie 1944 r. (*Hist. Bat.*, str. 75). W lipcu kontakt był utrzymywany przez Wicka w Kairze. Również należy podkreślić, że nie było łączności radiowej pomiędzy 2 Korpusem pod Ankoną, którego radiostacje pracujące na zewnątrz podlegały Oddz. Inf.-Wyw. dowództwa i znajdowały się w jego drugim rzucie, a centrala Mewa

pod Brindisi. Fakt ten potwierdził (z pamięci) płk Bąkiewicz w rozmowie ze mną w styczniu 1964¹.

Łączność Sztabu N.W. pracowała jedynie znakami Morse'a, tzn. „na klucz” i używała międzynarodowego codu Q. System pracy był *poste-a-poste*, simplex na dwóch częstotliwościach. Tzn. zasada dwóch, a nie kilku, radiostacji wymieniających między sobą wiadomości w tym samym czasie, z tym, że radiostacje w takiej parze są na innych częstotliwościach i kiedy jedna z nich nadaje, to druga nie może jej przerwać, bo w momencie nadawania odbiornik tej pierwszej nie działa. Jedynie w korespondencji między Barnes Lodge i Mewą używany był duplex, tzn. obie stacje w tej parze mogły jednocześnie nadawać i słuchać swego *vis-a-vis*.

Bernardino — Londyn

Nie ulega wątpliwości, że przy tak rozbudowanej łączności radiowej i przy stanie techniki sprzed 20 lat można było zapewnić Naczelnemu Wodzowi szybki sposób przekazywania wiadomości z Włoch do Londynu lub Warszawy i odwrotnie. Problem ten można było rozwiązać na kilka sposobów. Dajmy na to można było, przynajmniej na ten okres czasu, zarządzić nawiązanie bezpośredniej łączności pomiędzy 2 Korpusem i Barnes Lodge. Do tego celu wystarczyłaby pod Ankoną radiostacja zamontowana na wozach z anteną roztawioną na masztach posiadająca nadajnik o mocy 300-400 watów. 2 Korpus miał kilka radiostacji tego typu, których używał do korespondencji z Kairem, Rzymem i bazą gen. Przewłockiego na południu Włoch. Lub też można

1. Już po zakończeniu tego opracowania, w czerwcu 1964 r. płk Bąkiewicz wyjaśnił na podstawie dostępnych mu dokumentów, iż organizacja łączności Oddz. Inf.-Wyw. w lipcu 1944 r. przedstawiała się następująco.

Na terenie Włoch znajdowały się trzy radiostacje, jedna w drugim rzucie dowództwa 2 Korpusu, jedna w Rzymie i jedna w Mottoli (baza 2 Korpusu, d-ca gen. Przewłocki). Radiostacja w drugim rzucie 2 Korpusu posiadała kryptonim AK (nie mając nic wspólnego z Armią Krajową) i korespondowała z Londynem *via* Kair. Pozostałe dwie radiostacje korespondowały z Londynem *via* AK i Kair. Tego rodzaju skomplikowany system łączności był narzucony przez władze angielskie. Każdorazowo telegramy idące z AK do Londynu były przesyłowane w Kairze, natomiast telegramy idące z Rzymu lub Mottoli były przesyłowane raz w AK i raz w Kairze. Innymi słowy inny szyfr był używany między Londynem i Kairem, inny między Kairem i AK i inny między AK i podległymi mu stacjami w Rzymie i Mottoli.

Radiostacja i biuro szyfrów w Kairze miały bardzo ograniczony personel. Wobec tego, przewidując wzmożoną korespondencję w związku z pobytem Nacz. Wodza w 2 Korpusie, w lipcu 1944 r. został wysłany z Włoch do Kairu kpt. A. Moszyński w celu wzmocnienia tamtejszej placówki.

było zarządzić nawiązanie łączności pomiędzy 2 Korpusem i Mewą, która by przekazywała telegramy Nacz. Wodza do Londynu, lub bezpośrednio do Warszawy. Warto tu nadmienić, że 13 sierpnia, już w czasie walki w Warszawie, ppłk Hańczy wystąpił z propozycją nawiązania takiej łączności. Otrzymał na to odpowiedź „Łącz. Mewy z 2 Korpusem zbędna, łącz. Korpusu z krajem wykluczona” (Dziennik Oddz. Spec. I. dz. 6769). Można było nie zarządzać żadnej specjalnej łączności natomiast przydzielić do świty Nacz. Wodza wyższego oficera znającego dobrze organizację i procedurę łączności zarówno Oddz. Spec. jak i Oddz. Inf.-Wyw., który byłby uprawniony do nadawania telegramom odpowiedniej ważności, jak również do skierowywania telegramów przez Mewę, przez Kair, lub przez radiostację MSZ w Rzymie, jeśli taka konieczność zaszła. Oficer ten mógłby ustalać z Londynem szczegóły ruchu telegramów i przeprowadzać zmiany i udoskonalenia proceduralne. Płk Demel nie mógł spełnić tych zadań, bo nie orientował się dostatecznie w łączności Sztabu N.W. Poza tym przy takim, czy innym systemie przesyłania telegramów Nacz. Wodza zasadniczą rzeczą było przydzielenie co najmniej jednego doświadczonego szyfranta, który powinien był znać dwa szyfry, jeden do korespondencji ze Sztabem N.W., a drugi do korespondencji z Warszawą. W ten sposób uniknęłoby się przeszyfrowywania telegramów w Londynie. Procedura tego rodzaju mogła być dla pewnych osób niepożądana, gdyż pozbawiałaby Oddz. Spec. kontroli nad telegramami Nacz. Wodza.

Przypatrzmy się w jaki sposób zadanie to zostało wykonane. Kierownik Biura Szyfrów Oddz. Spec., wybitnie uzdolniony szyfrant i kryptolog (specjalista odczytywania cudzych szyfrów), kpt. Jagiełło dostał polecenie przygotowania specjalnego szyfru dla Nacz. Wodza, który miał być jedynie znany jemu, kpt. Jagielle oraz płk. Demelowi. Tego rodzaju zarządzenie było brzemienne w skutki. Wszystkie telegramy Nacz. Wodza musiały przechodzić przez Oddz. Spec. Sztabu N.W. w Londynie co pozbawiało Nacz. Wodza możliwości bezpośredniego komunikowania się z Warszawą przez Mewę. Gdyby nawet w tym celu Nacz. Wódz użył szyfru ppłk. Hańczy do korespondencji z krajem, to nie został przewidziany szyfr, którym N.W. mógłby przekazywać telegramy do Hańczy, a płk Demel szyfru Hańczy nie znał. O ile chodzi o płk. Demela to miał on minimalne doświadczenie w szyfrowaniu i chociaż jeździł z Nacz. Wodzem do Włoch w marcu 1944, pełniąc również funkcję szyfranta nie miał możliwości nabycia wystarczającego doświadczenia. Szyfrowanie szło mu znośnie, ale odszyfrowanie dłuższego telegramu zabierało mu, według jego własnego stwierdzenia sześć lub nawet wię-

cej godzin. Poza tym należy pamiętać, że płk Demel towarzyszył Nacz. Wdozowi w licznych konferencjach (Dziennik N. W.). Płk Demel nie znał metod Oddz. Spec., a w szczególności nie był wtajemniczony w system nadawania ważności telegramom. Numery i ważności telegramom Nacz. Wodza były nadawane przez ppłk. Hańczę. Jako przykład można przytoczyć wstęp do telegramu Nacz. Wodza z 25 lipca, L. dz. Oddz. Spec. 6030: „Hańcza do Warty. Poniższą depeszę Naczelný Wódz polecił przekazać Lawinie a odpis kpt. Babińskiemu. Hańcza 1129”. Dla wyjaśnienia: Warta to ppłk Utnik, Lawina to gen. Komorowski.

Płk Hańcza był jednym z pierwszych oficerów, który meldował się u Nacz. Wodza we Włoszech. W dzienniku Nacz. Wodza pod datą 15 lipca czytamy: „Po obiedzie dłuższa rozmowa z ppłk. Hańczą”. Miało to miejsce w Grand Hotelu w Rzymie. Z pewnością poruszano tu przekazywanie telegramów Nacz. Wodza.

Trudno jest uwierzyć, że w tym czasie kiedy w polskim wojsku radiostacyj używano powszechnie na poziomie dowódcy kompanii piechoty telegramy Nacz. Wodza przesyłano gońcem spod Ankony do Brindisi i odwrotnie. Odległość pomiędzy tymi miejscowościami wynosi około 570 km., czyli goniec musiał jechać ponad 12 godzin bez przerwy w jedną stronę².

Czasem słyszy się opinię, że łączność była trudna do zorganizowania na terenie Włoch, bo Nacz. Wódz stale się poruszał. Otóż z *Dziennika* wynika, że Nacz. Wódz, pomimo licznych wyjazdów, zaledwie dwie noce spędził poza pierwszym rzutem dowództwa 2 Korpusu, pomiędzy 16 a 31 lipcem, a mianowicie od 27 do 29 lipca Nacz. Wódz przebywał w Rzymie.

2. W czerwcu 1964 r. płk Bąkiewicz poinformował mnie na podstawie dostępnych mu dokumentów, że 19 lipca został odebrany w drugim rzucie 2 Korpusu telegram z Mottoli (gen. Przewłocki), w którym ppłk Hańcza żądał przysłania samolotu dla podjęcia telegramu w sprawach krajowych do Nacz. Wodza, który nadszedł do Mewy. Nie zdołałem stwierdzić o który telegram chodziło. W każdym razie fakt ten wskazuje na to, że w pewnych wypadkach telegramy od i do Nacz. Wodza mogły być przewożone spod Brindisi do okolic Ankony samolotem. Biorąc jednak pod uwagę czas potrzebny na dostarczenie telegramów do lotnisk, jak również fakt, że ppłk Hańcza musiał zamawiać samolot przez radiostację gen. Przewłockiego w Mottoli, nie mógł to być szybki sposób przekazywania wiadomości. Odległość od Bazy nr 11 ppłk. Hańczy w Mesagne do Bazy 2 Korpusu gen. Przewłockiego w Mottoli wynosiła około 80 km. (przez Taranto) w kierunku na zachód. Łączności radiowej między tymi dwoma ośrodkami nie było. Płk Hańcza mógł interweniować u gen. Przewłockiego o wysłanie telegramu albo wysyłając gońca, albo za pomocą publicznej sieci telefonicznej.

W korespondencji z tego okresu nie można trafić na żadne ślady prób naprawienia tego opłakanego stanu komunikowania się z Nacz. Wodzem. O ile chodzi o planowe działanie, raz tylko pojawia się zdanie w telegramie Nacz. Wodza na ten temat, „Proszę o odwrotną telegraficzną odpowiedź do ambasadora Papée oraz do Korpusu” (Kopański, str. 318). Natomiast są ślady poszukiwania się, gen. Kopański pisze (str. 317): „Nie mając żadnej odpowiedzi w dniu 26 wysłałem depeszę Prezydenta do innych dwóch stacji we Włoszech, by mieć pewność, że zostanie doręczona”. Te trzy stacje to była chyba Mewa, 2 Korpus przez Wicka w Kairze i radiostacja M.S.Z. w Rzymie. Największym przeoczeniem było chyba to, iż Nacz. Wódz nie miał przy sobie oficera znającego organizację i procedurę łącznościową Oddz. Spec. i Oddz. Inf.-Wyw.

Spośród 13 telegramów wysłanych przez Nacz. Wodza dwa szły przez radiostację M.S.Z. w Rzymie i były zaszyfrowane szyfrem M.S.Z. Oba skierowane były do Prezydenta, jeden z 27 lipca był odpowiedzią na wezwanie do powrotu i, według gen. Kopańskiego (str. 317), tegoż samego dnia był już w Londynie, a drugi, chyba z 31 lipca zaczynał się od słów: „W dniu 1 sierpnia rozpoczynam podróż powrotną skreślając resztę programu” (Pobóg-Malinowski, str. 640). Tych dwóch telegramów w aktach Oddz. Spec. nie ma, gdyż były one rozszyfrowane w centrali M.S.Z. Wszystkie pozostałe telegramy (jedenaście) były zaszyfrowane szyfrem Jagiełło-Demel i przechodziły przez Oddz. Spec. Dziesięć spośród nich szło na pewno przez Mewę i ppłk Hańcza nadawał im ważności, a tylko jeden zabłądził przez Wicka w Kairze. Płk Demel wręczał zaszyfrowane telegramy jednemu z adiutantów gen. Andersa i nie jest pewien co się z nimi dalej działo. Płk Demel przypomina sobie że były one przywożone i odwożone przez gońców. Był on przekonany, że nie szły przez Mewę. (Rozmowa: płk Demel, płk Iranek-Osmecki, pani Czarnecka i autor, dnia 20 czerwca 1963 r.). Zresztą kpt. Popkiewicz również przypuszczał, że telegramy Nacz. Wodza nie szły przez Mewę, bo na str. 19 swego opracowania pisze:

„W okresie tym, w czasie działań 2 Korpusu we Włoszech, istniała zmierzona łączność ze stacją Wiech (pomyłka maszynowa, powinno być Wicek — przypisek autora), tym bardziej, że w tym czasie znajdował się tam Naczelný Wódz gen. Sosnkowski”.

Pomiędzy 17 i 31 lipcem wysłano do Nacz. Wodza co najmniej 20 telegramów, w tym 2 od Prezydenta, 8 od gen. Kopańskiego, 4 od gen. Kukiela, 3 od gen. Komorowskiego i 3 od kpt. Babińskiego. Tylko jeden z tych telegramów szedł przez

M.S.Z. Był to telegram z 29 lipca, w którym Prezydent wzywał Nacz. Wodza do przyśpieszenia powrotu (Pobóg-Malinowski, str. 639). Szedł on przez M.S.Z. zgodnie z życzeniem Nacz. Wodza, o którym była już mowa. Wszystkie pozostałe szły przez Oddz. Spec., więc musiały być zaszyfrowane szyfrem Jagiełło-Demel, zresztą na telegramie kpt. Babińskiego z 17 lipca widnieje wyraźna instrukcja: „gen. Tabor, proszę o zarządzenie nadania szyfrem płk Demel (szyfrant kpt. Jagiełło) do Nacz. Wodza, 17.7. Kopański”, na innych spotyka się notatki „szyfr spec.”. Na telegramach wychodzących z Oddz. Spec. jedynie w wyjątkowych wypadkach notowano do jakiej stacji dany telegram ma iść i tak zaledwie na 4-5 spośród 19 telegramów do Nacz. Wodza dopisane jest „do Mewy”, ale można przypuszczać, że znaczna większość, jeżeli nie wszystkie szły przez Mewę³.

Czasem powtarzane są twierdzenia, że łączność radiowa dla Nacz. Wodza wyjeżdżającego do Włoch została zorganizowana tak, jak tego sobie Nacz. Wódz życzył. A mianowicie, że to Nacz. Wódz zarządził, żeby szyfr był znany tylko płk. Demelowi i kpt. Jagielle, że to Nacz. Wódz zdecydował, że telegramy szły przez Mewę, a nie przez 2 Korpus itd. Nie zdołałem stwierdzić, czy tak naprawdę było. Gdyby nawet rzeczywiście takie były zarządzenia Nacz. Wodza to dziwne jest, że żaden z oficerów Sztabu N.W., którzy byli w taki, czy inny sposób związani z łącznością sztabową, a było ich wielu (Szef Sztabu N.W. gen. Kopański, zastępca Szefa Sztabu N.W. do spraw krajowych gen. Tatar, Szef Łączności Sztabu N.W. płk Cepa, Szef Oddz. Spec. ppłk Utnik, Szef Łączności Oddz. Spec. płk Rola, dca Bazy nr 11 Oddz. Spec. ppłk Dorotycz-Malewicz, Szef Oddz. Inf.-Wyw. płk Gano, Szef Łączności Oddz. Inf.-Wyw. mjr Gawel), nie przeoko-

3. Po zakończeniu tego opracowania otrzymałem z wiarygodnych źródeł informację, że pokaźna ilość telegramów została wymieniona pomiędzy Nacz. Wodzem i Sztabem N.W. przez Kair szyfrem Oddz. Inf.-Wyw. Jak dotychczas, niestety, nie zdołałem uzyskać prawa dostępu do odpowiednich dokumentów. Informacja ta zgadzałaby się z cytowaną powyżej opinią kpt. Popkiewicza, który przypomina sobie, że w tym okresie Oddz. Inf.-Wyw. zarządził 24-godzinny nasłuch Wicka w Kairze.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że trzy wymienione powyżej telegramy, tzn. odpowiedź Nacz. Wodza (z 27 lipca) na wezwanie do powrotu, telegram Nacz. Wodza „W dniu 1 sierpnia rozpoczynam podróż powrotną” i telegram Prezydenta z 29 lipca wzywający Nacz. Wodza do przyśpieszenia powrotu, szły jednocześnie i przez Kair szyfrem Oddz. Inf.-Wyw. i przez ambasadora Papee szyfrem M.S.Z.

Można wnioskować, że w sprawach ściśle związanych z krajem używano szyfru Demel-Jagiełło i wysyłano wiadomości przez Mewę, natomiast w innych sprawach używano szyfrów Oddz. Inf.-Wyw. i połączenia przez Kair, lub też szyfru i sieci M.S.Z. Nie mając dostępu do dokumentów nie zdołałem stwierdzić jak sprawne było połączenie przez Kair.

nał Nacz. Wodza, że takie środki łączności nie są wystarczające, a w szczególności, że nie uczynili tego, ci którzy te zarządzenia Nacz. Wodza otrzymali i mieli je wykonać. Nacz. Wódz nie musiał się orientować w detalach procedury łącznościowej, gdyż leżało to w zakresie obowiązków oficerów Sztabu N.W.

Biura Oddziału Specjalnego

Nie ulega wątpliwości, że zarówno korespondencja z krajem jak i z Nacz. Wodzem należała do kompetencji Oddz. Spec., a ponieważ szybkość przekazywania wiadomości zależała w dużym stopniu od operacji biurowych warto przypatrzeć się bliżej pracy biurowej Oddz. Spec. Trudno w to uwierzyć, ale faktem jest, iż przed dniem 30 lipca szyfranci urzędowali jedynie w godzinach urzędowych, najwcześniejsza godzina odszyfrowania na jaką natrafiłem jest 0915 a najpóźniejsza 1835, dopiero 30 lipca pojawiają się pierwsze telegramy odszyfrowane w godzinach wieczornych. W niedzielę 23 lipca szyfranci i kancelaria główna nie urzędowała, nie ma ani jednego wpisu w dzienniku podawczym, w niedzielę 30 lipca są tylko dwa wpisy w dzienniku, a normalnie ilość wpisów dziennie waha się od 20 do 40. Tymczasem Barnes Lodge nie uznaje ani godzin urzędowania ani świąt. Można to stwierdzić na podstawie dokumentacji Oddz. Spec. Na 14 telegramów nadchodzących na dalekopisie z Barnes Lodge pomiędzy 21 a 30 lipca, które w tych rozważaniach bierzemy pod uwagę, 8 przychodzi do Oddz. Spec. pomiędzy godz. 2140 a 0230, z tego 2 w niedzielę 23 lipca i 2 w niedzielę 30 lipca.

Czasami słyszy się opinię, iż Sztab N.W. był instytucją biurową, nie miał pod sobą oddziałów operacyjnych i dlatego mógł pozwolić sobie na spokojne urzędowanie. Zasada ta na pewno nie stosuje się do Oddz. Spec., gdyż przynajmniej w lipcu 1944 był on jedynym oddziałem Sztabu, który miał pod sobą jednostki operacyjne w kraju, wykonywujące akcję Burza.

Na telegramach wpływających do Oddz. Spec. w większości wypadków wpisana jest data i godz. odebrania na dalekopisie, jak również data i godz. odszyfrowania. Na telegramach wychodzących jest jedynie data zaszyfrowania i data nadania na dalekopis do Barnes Lodge, godzin nie wpisywano.

Całą sieć Oddz. Spec. obowiązuje ten sam system oznaczania telegramów, który polega na tym, iż nr telegramu składa się z numeru właściwego, ważności wiadomości i oznaczenia kierunku przechodzenia w wypadku telegramów na poziomie sztabowym. W okresie tu omawianym numery telegramów gen. Komorowskiego

są rzędu 300 i 400, z tym, iż jego własna L. dz. jest o 1000 większa w każdym wypadku. Telegramy te z chwilą wpisania do dziennika Oddz. Spec. zostają oznaczone odpowiednią L. dz., które w tym okresie są rzędu 5000 i 6000. Telegramy wychodzące z Oddz. Spec. mają ten numer pod którym zostały wpisane do dziennika z wyjątkiem telegramów przechodnich, które idą dalej przeważnie pod swoim oryginalnym numerem. Ppłk Hańcza przydziela telegramom Nacz. Wodza swoje numery, które są rzędu 1100 i 1200, a Nacz. Wódz w większości wypadków za podpisem podaje swoje liczby, które są rzędu 900. Kolejność ważności telegramów jest następująca: (xxx), (vvv) i (vv). Ani Nacz. Wódz, ani Szef Sztabu nie nadają swoim telegramom ważności. W Oddz. Spec. w większości wypadków wpisuje na blankiety ważność ktoś, czyjego charakteru pisma nie dało się ustalić, z pewnością nie jest to ani gen. Tatar, ani też ppłk Utnik. Wreszcie wszystkie telegramy idące do Sztabu N.W. są oznaczone 999 a idące ze Sztabu N.W. 555 bez względu na nadawcę i ważność.

Warto tu wspomnieć, że w wypowiedzi po moim odczycie „Łączność Sztabu N.W. w przede dniu Powstania Warszawskiego” w Stowarzyszeniu Elektryków Polskich w dniu 11 stycznia 1964 r., gen. Kopański stwierdził, iż współpracował ściśle z Oddz. Spec. i wstępował tam często jadąc z rana do Sztabu, jak również wracając wieczorem do domu. Podobne stwierdzenie można również znaleźć we *Wspomnieniach* gen. Kopańskiego:

„Oddział specjalny zajmował oddzielny budynek, poza Sztabem. Jeździłem tam codziennie wieczorem, po zakończeniu pracy w Sztabie” (str. 310).

Telegramy Lawiny

Przyjrzyjmy się dokładniej telegramom gen. Bora-Komorowskiego. Bierzymy tu pod uwagę 7 telegramów, a ponieważ 3 z nich były podwójne, więc z punktu widzenia przekazywania rozważamy 10 telegramów podpisanych pomiędzy 19 i 30 lipca 1944 r. Zobaczymy, ile czasu upływało od podpisania tych telegramów przez nadawcę do ich odebrania na dalekopisie w Oddz. Spec.

Najszybciej, bo tego samego dnia, dotarły dwa telegramy nr 476 oznaczone (xxx) z 30 lipca na temat losu ujawnionych i aresztowanych żołnierzy A.K. i władz cywilnych. Zostały one nadane przez Wandę 7 i miały po 96 i 64 słowa.

W ciągu jednego dnia dotarły dwa telegramy, oba oznaczone (xxx). Jeden nr 441 z 25 lipca w sprawie gotowości do walki o Warszawę, zawierał 38 słów i został nadany przez Wandę 9. Drugi nr 484 z 30 lipca w sprawie powierzenia rozkazu N.W. o

pozostawieniu konspiracji pod okupacją sowiecką gen. Okulickiemu (ob. Termit). Został on nadany przez Wandę 7 i zawierał 11 słów.

W ciągu dwóch dni dotarły cztery telegramy wszystkie oznaczone (xxx). Dwa z nich nr 390 z 19 lipca były w sprawie aresztowania sztabów A.K. Wilno i Nowogródek, zawierały one po 144 i 168 słów i zostały nadane przez Wandę 1. Dwa inne nr 406 z 21 lipca w sprawie czujności do powstania zawierały po 144 słów każdy i prawdopodobnie zostały nadane przez Wandę 4.

W ciągu trzech dni dotarły dwa pozostałe telegramy, oba oznaczone (vv). Jeden nr 407 z 21 lipca w sprawie wzmożonego nasłuchu do powstania, 21 słów, nadany przez Wandę 1 i drugi nr 418 z 22 lipca, 17 słów, nadany przez Wandę 54 do Mewy. Z wymienionych tutaj jedynie Wanda 54 mogła być odcięta od Warszawy przez natarcie Rosjan znad ujścia Pilicy, w sprawie czego interweniowano u Prezydenta 25 lipca.

Biorąc pod uwagę trudne warunki konspiracyjne czas przechodzenia ważnych telegramów jest zadawalający. Warto zwrócić uwagę, że najszybciej szły telegramy krótkie o ważności (xxx), wolniej dłuższe (xxx), a najwolniej nawet krótkie (vv), przy czym sposób ustalania ważności jest całkiem sensowny.

Trzy telegramy, które nadeszły do Oddz. Spec. przed godz. 1630, wszystkie o ważności (xxx), zostały odszyfrowane tego samego dnia i proces ten zajął od 2 (38 słów) do 4 (144 słów) godzin. Pozostałe siedem telegramów nadeszło między godz. 1900 a 2330. Cztery z nich, w tym dwa oznaczone (xxx) czekały na odszyfrowanie do następnego dnia i odszyfrowanie ich, włączając noc, zajęło od 11 do 20 godzin. Trzy pozostałe odszyfrowano jeszcze tego samego wieczora, ale to już miało miejsce 30 i 31 lipca i proces ten zajął od 1 (11 słów) do 4 (64 słowa) godzin. Przeciętny czas dla wszystkich 10 telegramów jaki upłynął od ich odebrania w Oddz. Spec. do ich odszyfrowania wynosi siedem i pół godzin, a dla telegramów o ważności (xxx) 5 godzin.

Dalsze losy najważniejszych wiadomości będą szczegółowo omówione później.

Telegramy N. W.

Przeprowadźmy podobną analizę 11 telegramów Naczelnego Wodza, które szły przez Oddz. Spec.

Tylko jeden telegram nr 1129 z 25 lipca, dotarł w ciągu

jednego dnia, tzn. był w Oddz.Spec. 26 lipca i tylko temu jednemu ppłk Hańczy nadał ważność (xxx). Była to reakcja Nacz. Wodza na wiadomość o aresztowaniu sztabów A.K. Wilno i Nowogródek. Zawierał on 384 słowa.

Dwa dni szły cztery telegramy, wszystkie oznaczone (vv) i wszystkie zaadresowane do gen. Kopańskiego, dwa nr 1121 i 1150 z 25 lipca, jeden nr 1282 z 30 lipca i jeden nr 1290 z 2 sierpnia. Ilość słów wahała się od 72 do 256.

Trzy dni szły dwa telegramy. Jeden nr 1283 z 28 lipca o ważności (vvv) i zaadresowany do rąk własnych gen. Komorowskiego. Zawierał on 96 słów. Drugi nr 1284 z 30 lipca do gen. Kopańskiego, ważność (vv), 112 słów.

Cztery dni szły trzy telegramy. Dwa do rąk własnych Prezydenta (doręczy osobiście kpt. Babiński) nr 282010 z 25 lipca i nr 1281 z 28 lipca, po 216 i 800 słów. Pierwszy z nich zabił przez Kair i dlatego nie miał ani numeru ppłk. Hańczy, ani ważności, a drugi miał ważność (vvv). Trzeci telegram nr 1280 z 29 lipca był do rąk własnych gen. Komorowskiego, miał ważność (vv) i zawierał 112 słów.

Pięć dni szedł jeden telegram do Prezydenta („doręczy kpt. Babiński”) nr 1200 z 25 lipca w sprawie wywiadu Premiera w *Sunday Dispatch* z 23 lipca. Miał on ważność (vv) i zawierał 110 słów.

Widać tu skutki fatalnej organizacji, braku doświadczenia w szyfrowaniu ze strony płk. Demela i przekazywania telegramów gońcem z Ankony do Brindisi. Ale również występuje całkiem wyraźnie lekceważący stosunek ze strony ppłk. Hańczy, który tylko jednemu telegramowi nadał ważność (xxx). Powodowało to opóźnienie w nadaniu tych telegramów, bo w korespondencji pomiędzy Mewą i Barnes Lodge pierwszeństwo miały telegramy o ważności (xxx), a telegramy o niższej ważności, już po znalezieniu się na stanowisku korespondencyjnym, musiały czekać na swoją kolejkę.

Zobaczmy co się działo z telegramami Nacz. Wodza w Oddz. Spec. Pięć z nich odebrano na dalekopisie między godz. 1225 a 1629, ale tylko dwa zostały odszyfrowane tego samego dnia, zajęto to cztery i pół (120 słów) i osiem (112 słów) godzin, pozostałe trzy czekały do dnia następnego. Sześć telegramów odebrano pomiędzy godz. 1855 i 0230 i wszystkie one czekały na odszyfrowanie do dnia następnego. Spośród 9 telegramów, które czekały na odszyfrowanie całą noc, 5 odebrano już w tym czasie kiedy szyfranci pracowali wieczorami. Czas jaki upłynął pomiędzy odebraniem a odszyfrowaniem telegramów waha się od czterech

i pół do 24 godzin, a przeciętna wynosi 17 godzin. Warto przypomnieć, że dla telegramów gen. Komorowskiego ta sama przeciętna wynosiła siedem i pół godzin. Dowodzi to lekceważenia Nacz. Wodza przez Oddz. Spec.

Trzy z tych telegramów były przeznaczone dla gen. Komorowskiego, z tego dwa do rąk własnych. Pierwszy z nich nr 1129 z 25 lipca spędził w Sztabie 2 dni i po poprawkach w tekście został nadany do kraju, drugi nr 1283 z 28 lipca został zatrzymany, oba będą dokładnie omówione później. Wreszcie trzeci z 29 lipca został nadany do Warszawy po 4 dniach pobytu w Londynie.

Warto temu ostatniemu telegramowi poświęcić trochę miejsca. Był to nr 1280 /vv/999 z 29 lipca, L. dz. N.W. 970, L. dz. Oddz. Spec. 6289, w którym Nacz. Wódz odpowiadał na telegram gen. Komorowskiego nr 1420 z 22 lipca. Oryginał tego telegramu gen. Komorowskiego zaginął, istnieje jedynie odpis, bez godzin odebrania i odszyfrowania. W telegramie tym jest mowa o ocenie sytuacji niemieckiej, o stosunku do Rosji, jak również o koniecznych, zdaniem gen. Bora-Komorowskiego, reformach społecznych. Odpowiedź Nacz. Wodza została odebrana w Oddz. Spec. 2 sierpnia o godz. 1247 i została odszyfrowana 3 sierpnia o godz. 1247 i też 3 sierpnia została wpisana do dziennika pod L.dz.6289. Na blankiecie telegramu widnieje rozkaz gen. Kopańskiego „gen. Tabor. Nadać, 5.8 K.”. Telegram ten został zaszyfrowany i nadany na dalekopis w niedzielę 6 sierpnia, tzn. w dniu przybycia Nacz. Wodza do Londynu pod nr 707/555, czyli bez żadnej ważności. Skąd się wziął nr 707 nie zdołałem stwierdzić, bo powinien być pójść albo pod nr 1280, albo 6289.

Spójrzmy co pisze na ten temat gen. Kopański (str. 324):

„Depesza ta... została odebrana w Londynie już po otrzymaniu wiadomości o rozpoczęciu walki o Warszawę. Depeszę z dnia 29 przesłałem mimo to do kraju, gdyż dawała ona aktualne nadal zarządzenia co do formy walki na całym terenie Polski”.

A u dołu strony dopisek:

„Depesza ta, mimo moich ponagleń, odeszła do kraju dopiero w dniu 6 sierpnia, wobec bardzo znacznej ilości depesz, związanych już z walką bieżącą”.

To ostatnie zdanie brzmi wybitnie nieprzekonywująco. Jak już wiemy, przeciętny obrót dzienny Barnes Lodge w sierpniu wynosił przeszło 140 telegramów dziennie tymczasem zdaniem Szefa Sztabu przez trzy dni istniały trudności w nadaniu jednego telegramu Nacz. Wodza, który wynosił 0,238% trzydniowego obrotu i zawierał jedynie 112 słów.

Autor niemieckiej książki o powstaniu warszawskim von Krannhals oburzony jest wysłaniem w szóstym dniu tragicznych walk telegramu Nacz. Wodza, który między innymi zawiera następujące sformułowanie: „Wasza ocena sytuacji niemieckiej musi być bardzo trzeźwa i realna. Omyłka pod tym względem kosztowałaby bardzo wiele”. (P.S.Z., str. 665). Trudno uwolnić się od wrażenia, że w wigilię powrotu Nacz. Wodza Sztab N.W. zdał sobie sprawę, iż z trzech telegramów zaadresowanych bezpośrednio do gen. Komorowskiego tylko jeden i to z poprawkami został dotychczas wysłany i zapadła decyzja wysłania tego telegramu, tym razem już bez konsultowania Prezydenta, jak to było poprzednio, byle wysłać, bez żadnej ważności, po trzech dniach przetrzymania i bez względu na wrażenie jakie wywrze w Warszawie bezskutecznie walczącej już od sześciu dni.

Telegramy do N. W.

W okresie od 18 do 31 lipca, oprócz przekazanych telegramów Lawiny (gen. Bór-Komorowski), wysłano z Londynu do Nacz. Wodza przez Oddz. Spec. co najmniej 16 telegramów.

Jeden telegram, z 24 lipca, o ważności (xxx) pochodził od Prezydenta i był wezwaniem Nacz. Wodza do powrotu (30 słów)⁴. Został on doręczony Nacz. Wodzowi na lotnisku Porto S. Georgio 26 lipca tuż przed odlotem do Castiglione celem wzięcia udziału w wizycie króla Jerzego VI (Dziennik N.W.). Odpowiedź Nacz. Wodza, z 27 lipca szła przez radiostację M.S.Z. w Rzymie dokąd N.W. przybył 27 lipca i 28 miał audiencję u Papieża. Na tę odpowiedź N.W. Prezydent zareagował telegramem z 29 lipca, który też szedł przez M.S.Z. Nacz. Wódz z kolei odpowiedział telegramem zaczynającym się od słów „W dniu 1 sierpnia rozpoczynam podróż powrotną” (Malinowski, str. 640), który też szedł przez radiostację M.S.Z., w Rzymie dokąd N.W. przybył powtórnie 31 lipca wieczorem, by wziąć udział w dekoracji gen. Andersa orderem Legion of Merit⁵.

Szef Sztabu wysłał do Nacz. Wodza 8 telegramów. A mianowicie, 21 lipca przekazał wiadomość otrzymaną od Sir Allan Brooke, że „nie jest osiągalne skoordynowanie działań A.K. na

4. W czerwcu 1964 r. płk Bąkiewicz poinformował mnie na podstawie dostępnych mu dokumentów, że telegram wzywający Nacz. Wodza do powrotu został odszyfrowany w drugim rzucie 2 Korpusu 26 lipca o godz. 0130 (w nocy). Czyli został on nadany dwiema drogami, przez Mewę (szyfr Demel-Jagiełło) i przez Kair (szyfr. Oddz. Inf.-Wyw.).

5. W świetle informacji uzyskanych już po zakończeniu tego opracowania, o których była już mowa, te trzy telegramy mogły iść przez M.S.Z. i przez Oddz. Inf.-Wyw.

podstawie międzyalianckiej”. Telegram ten zawierał 47 słów i co ciekawe, nie nadano mu żadnej ważności. 22 lipca gen. Kopański komentował aresztowanie sztabów A.K. Wilno i Nowogródek, 20 słów, ważność (vv). 24 lipca wzywał N.W. do powrotu, 32 słowa, ważność (xxx). 28 lipca komentował wyjazd Mikołajczyka i Grabskiego do Moskwy, 77 słów, ważność (xxx). Również 28 lipca komentował zarządzenie czujności do powstania, 73 słowa, ważność (xxx). 29 lipca gen. Kopański wysłał dwa telegramy w sprawie posiedzenia Rady Ministrów, które cytuję na str. 322 swoich wspomnień, miały one po 112 i 125 słów i oba posiadały ważność (vv). I wreszcie ostatni telegram z 31 lipca, w którym znajduje się komentarz do części telegramu gen. Komorowskiego o walce o Warszawę, 136 słów, ważność (vv). Daty 28, 29 i 31 lipca są datami zaszyfrowania i nadania tych telegramów.

Cztery telegramy wysłał gen. Kukiel. Dwa 24 lipca, na temat rozmów z gen. Ismay, 78 słów, ważność (xxx) i na temat wywiadu Mikołajczyka w *Sunday Dispatch*, ważność (vv). Jeden 25 lipca o interwencji w sprawie wileńskiej A.K., 96 słów, ważność (xxx) i jeden 27 lipca w sprawie wyjazdu Premiera do Moskwy, ważność (xxx). Warto wspomnieć, że na tym telegramie wpisane jest nieznanym pismem „Nadać natychmiast 1100”, a dalej pismem gen. Tatara „Nie nadawać 1130”. Jednak 28 lipca telegram ten razem z telegramem gen. Kopańskiego na ten sam temat został zaszyfrowany i nadany. Wygląda, że telegramy te doszły do Nacz. Wodza w Rzymie jeszcze tego samego dnia wieczorem, bo w dzienniku N.W. pod tą datą czytamy: „Przychodzi depesza o przelocie Premiera Mikołajczyka przez Cairo do Moskwy”. Na wiadomość tę N.W. reaguje tegoż wieczoru telegramem do Prezydenta apelując o „Niezwłoczne powołanie rządu o szerokiej koalicji stronnictw i kierunków ideowych” (nr 1281/vv/999, L. dz. N. W. 967, L. dz. Oddz. Spec. 6241).

Trzy telegramy wysłał kpt. Babiński. Na wszystkich trzech blankietach widnieje odręczny rozkaz do nadania gen. Kopańskiego. Pierwszy z nich z 18 lipca zawiera takie stwierdzenia jak „rząd pójdzie na każdy układ, jeżeli tylko Sowiety zechcą gadać. Nasi politycy boją się tylko jednej rzeczy — postawy wojska”. (Cytuję z oryginału). Również wspomina on, że minister Kwapiński zażądał dymisji gen. Andersa. Zawierał on 112 słów i został nadany bez żadnej ważności pod nr 5731/555. Drugi z 29 lipca został zaszyfrowany 31 lipca. Zawierał on powody przemawiające za pozostaniem Nacz. Wodza we Włoszech, które podaje gen. Kopański na str. 327 i Malinowski na str. 640, jak również

następujące zdanie: „Wyczułem u Prezydenta obawę, aby p. Gen., będąc wśród wojska, nie stworzył jakichś faktów dokonanych”. (Cytuję z oryginału). Miał on 200 słów. Nadano mu ważność (vv). Trzeci, zaszyfrowany i nadany 31 lipca mówił o programie rozmów Premiera w Moskwie. Zawierał on 110 słów. Nadano mu ważność (vv).

Ponieważ w Oddz. Spec. nie wpisywano godzin, a jedynie daty na telegramach wychodzących trudno dokładnie stwierdzić ile czasu upływało od podpisania tych telegramów do ich nadania na dalekopis, tym bardziej, że często przy podpisach gen. Kopańskiego brakuje dat. Ze względu na brak dokumentów nie można stwierdzić ile czasu telegramy te szły do Nacz. Wodza.

Wilno

Teraz przejdziemy do omówienia trzech najważniejszych spraw, zaczynając od sprawy wileńskiej. W walkach o Wilno w dniu 7 lipca wzięła udział A.K. Wilno i poważna część A.K. Nowogródek. Oddziały te posiadały trzy operujące radiostacje, Wandy, 19, 20 i 72. Ta ostatnia w III tomie P.S.Z. (str. 253) jest błędnie podana jako przydzielona do Inspektoratu Zambrów. Wszystkie telegramy pomiędzy Wilnem i Warszawą przechodziły przez Barnes Lodge i od 6 lipca ruch korespondencyjny z tymi stacjami wzrósł poważnie. Dziwne, że Oddz. Spec. nie zarządził stałego nasłuchu Wand, które brały udział w *Burzy* w lipcu 1944. Z zasady telegramy przechodnie były przekazywane dalekopisem z Barnes Lodge do Oddz. Spec.

Tragedia oddziałów wileńskich A.K. rozpoczęła się 17 lipca i tego samego dnia przechodził przez Barnes Lodge następujący telegram:

„Nr 5/xxx/, W72 to 09 es 17 de 20. 17.7. Strychański pułkownik. W dniu 17.7. podstępnie sztab okręgu Nów i Wilno aresztowany. Oddziały A.K. w sile około sześć tysięcy w marszu na Puszcze Rudnicką, gdzie przyjmujemy walkę”. (Cytuję z oryginału).

Jak widać telegram ten był skierowany od Wandy 20 (Komenda Wilno, którą właśnie objął płk Strychański) przez Wandę 72, która która faktycznie ten telegram nadawała, do Wand 09 (K.G. w Warszawie) i 17 (jeden z numerów Wand przydzielony do Barnes Lodge). Trudno w to uwierzyć, ale dokumentacja Oddz. Spec. wykazuje niezbicie, że telegram ten został odszyfrowany dopiero 12.I.45. (L. dz. 13168). W Studium Polski Podziemnej znajduje się kilkadziesiąt telegramów przechodnich, chociaż niektóre z nich były również skierowane do Sztabu N.W.,

jak na przykład zacytowany powyżej, pomiędzy Wilnem i Nowogródkiem a Warszawą z okresu lipiec, sierpień i wrzesień 1944, które zostały odszyfrowane w Oddz. Spec. dopiero w grudniu 1944, lub styczniu 1945. Wygląda, że ppłk Utnik i gen. Tatar nie interesowali się wcale przebiegiem *Burzy* na Wileńszczyźnie. Warto wspomnieć, że w akcji tej, otoczony przez Rosjan, poległ w Surkontach dnia 21 sierpnia 1944 r. kolega ppłk. Utnika i współtwórca tajnej organizacji młodych oficerów ppłk dypl. Maciej Kalenkiewicz, którego zrzucono do kraju w nocy z 27 na 28 grudnia 1941 r. Są jednak pewne poszlaki, że treść tych telegramów była znana Oddz. Spec., ale poza ten Oddział nie wychodziła.

W jesieni 1947 r. przy likwidacji jakiejś kancelarii w Batalionie Łączności Sztabu N.W. natrafiłem na Sprawozdanie z interwencji w sprawie pomocy dla Armii Krajowej wydane przez Gabinet Naczelnego Wodza 12 sierpnia 44 r. Dokument ten cytuje gen. Kopański na str. 327 swoich wspomnień. Pierwszy punkt tego sprawozdania zaczyna się od zdania: „18 lipca rano nadeszły wiadomości o udziale dwóch dywizyj A.K. w walkach o Wilno”. Na posiadanym przeze mnie egzemplarzu ręką kpt. Popkiewicza dopisano: „Czemu 18, kiedy depesze były odebrane już 7, 18 była depesza o rozbrojeniu i aresztowaniach”. Drugi punkt sprawozdania rozpoczyna się zdaniem: „22 lipca nadeszła wiadomość o dokonanym 17 lipca aresztowaniu sztabów okręgowych i groźnym położeniu sił A.K. na Wileńszczyźnie”. I znowu ręką kpt. Popkiewicza dopisane: „4 dni od rozszyfrowania depeszy”. Należy pamiętać, iż kpt. Popkiewicz nie znał szyfrów.

Latem 1963 r. zwróciłem się w tej sprawie do inż. Popkiewicza, który wyjaśnił, iż po dostaniu tego sprawozdania skonstatował, że istnieje poważna rozbieżność pomiędzy datami tam podanymi i datami wzmożonej korespondencji z wileńskimi Wandami (rozlokowanie Wand było kpt. Popkiewiczowi znane), zwrócił się więc w tej sprawie do ppłk. Utnika i na podstawie otrzymanych informacji napisał te uwagi. Więc jednak ppłk Utnik znał treść tych telegramów przedtem niż one zostały oficjalnie odszyfrowane, a o aresztowaniach pod Wilnem wiedział już 18 lipca. Można wyciągnąć wniosek, że Oddz. Spec. opóźniał wiadomości o niepowodzeniach akcji *Burza* pod Wilnem dopóki to było możliwe, dopóki nie otrzymał potwierdzenia od gen. Komorowskiego.

Dnia 19 lipca gen. Bór-Komorowski podpisał telegram zawiadamiający Sztab N.W. o wypadkach wileńskich. W celach przekazania wiadomość ta rozbita została na dwie części, 390/1/xxx/999 i 390/2/xxx/999, po 144 i 168 słów. Oba te telegramy

zostały nadane przez Wandę 1 i wpłynęły do Oddz. Spec. 21 lipca, drugi telegram o godz. 1325, co do pierwszego brak jest danych. Zostały one odszyfrowane tego samego dnia o godz. 1721 i 1835. Daty ponownego zaszyfrowania i nadania nie zostały wpisane na blankietach telegramów, jedynie w dzienniku podawczym Oddz. Spec. pod L. dz. 5881 wpisano: „N. Wódz 22.7”. Pobóg-Malinowski podaje tę datę mylnie jako 23 lipca (str. 633). Nie wiadomo z jaką ważnością telegramy te zostały wysłane do Nacz. Wodza.

Należy tu zwrócić uwagę na pewną nieścisłość. W swoich „Wspomnieniach Wojennych” gen. Kopański (str. 325) nazywa telegram ten meldunkiem sytuacyjnym. Również w telegramie do Nacz. Wodza z 22 lipca gen. Kopański pisze: „W związku z meldunkiem sytuacyjnym nr 17 Lawiny 1390”. Pochodzi to prawdopodobnie stąd, że na blankiecie telegramu, nad jego tekstem, napisano „Z meldunku sytuacyjnego nr 17, 19.7. Na Wileńszczyźnie”. Później „Z” poprawiono na „Do”. Mówiąc językiem cywilnym meldunek sytuacyjny znaczy to samo co okresowe sprawozdanie. Jest to z natury rzeczy wiadomość długa i niezbyt pilna. Tymczasem treść tego telegramu jest natury operacyjnej.

Przypatrzmy się faktom. Meldunek sytuacyjny nr 17 został podpisany przez gen. Bora-Komorowskiego 10 lipca, składał się z sześciu części, miał nr 340/1 do 6/vv/999 i zawierał w sumie około tysiąca słów. Nadała go Wanda 53 znajdująca się w okolicach Gór Świętokrzyskich. Był on odebrany w Oddz.Spec. 16 i 17 lipca, odszyfrowany 17 i 18 lipca i wpisany do dziennika pod L. dz. 5753. Punkt (e) tego meldunku mówił o sytuacji na Wileńszczyźnie, ale ma się rozumieć ani słowem nie wspominał o aresztowaniach, które miały miejsce dopiero 17 lipca. Natomiast telegram gen. Bora-Komorowskiego o aresztowaniach pod Wilnem został podpisany 19 lipca, miał nr 390/1 i 2/xxx/999, został nadany przez Wandę 1 i wpisany w Oddz. Spec. pod L. dz. 5881. Wygląda, że nagłówek dopisany chyba w Oddz. Spec. „Z” czy też „Do meldunku sytuacyjnego” itd. zmylił Szefa Sztabu.

Ale przenieśmy się do Bernardino pod Ankonę. Nacz. Wódz pracował nad telegramami 24 lipca z rana i wieczorem (w ciągu dnia przeprowadził inspekcję pierwszego pułku Ułanów Krechowieckich i odwiedził dowództwo 5 Kresowej Dywizji Piechoty), jak również z rana 25 lipca, aż wreszcie, po wizycie u Komandosów i w drugiej Brygadzie Czołgów, wieczorem wykończył telegramy. (Dziennik N.W.). Jest ich wszystkiego pięć. Dwa do Prezydenta spowodowane wywiadem Premiera, który ukazał się 23 lipca w *Sunday Dispatch* i trzy spowodowane wiadomościami spod Wilna, w tym jeden do gen. Kopańskiego w sprawie misji

łącznikowej, drugi przez gen. Kopańskiego do gen. Bora-Komorowskiego i trzeci do gen. Bora-Komorowskiego bezpośrednio.

Zajmijmy się najpierw tym ostatnim. Nosił on L. dz. N.W. 962 (vide telegram N.W. nr 1284), i miał 384 słowa. Na Mevie nadano mu numer 1129/xxx/999. W Oddz. Spec. odebrano go 26 lipca o godz. 2330. Jest to ten jedyny telegram Nacz. Wodza, który miał ważność (xxx) i jedyny który pomimo swej długości dotarł do Sztabu N.W. w ciągu 24 godzin. Data i godz. odszyfrowania nie została wypełniona, ale do dziennika został on wpisany 27.7. pod numerem 6030, więc czekał całą noc na odszyfrowanie. Na blankiecie widnieje notatka „Odpis przekazany Szefowi Szt. 28.7, Markiewicz”. Sierż. Markiewicz był szefem głównej kancelarii. Jak widać telegram ten szybciej przeszedł z namiotu pod Ankoną do Oddz. Spec. niż przez Oddz. Spec. do Szefa Sztabu. Tekstu tego telegramu nie będę tu przytaczać, bo jest on dobrze znany (Kopański, str. 325, Pobóg-Malinowski, str. 633). Właściwie istnieją dwa nieco odmienne teksty nad czym zresztą rozwodzi się obszernie Pobóg-Malinowski, a mianowicie tekst na blankiecie telegramowym i odpis, na którym gen. Kopański przeprowadzał poprawki. Po prostu maszynistka zrobiła kilka błędów, a ppor. Stanisław Grocholski, oficer do zleceń szefa Oddz. Spec., podpisał za zgodność. W swoim czasie dookoła tego telegramu było sporo zamieszania, nawet do żołnierzy niższych stopni Kompanii Radiotelegraficznej dochodziły wieści, że Szef Sztabu ocenzurował telegram Nacz. Wodza. Pragnę tu zwrócić uwagę na jedno skreślenie, a mianowicie punkt 2, b)

„Na wypadek szybkich postępów okupacji sowieckiej i rozszerzenia się takowej na terytorium kraju trzeba dążyć do zaoszczędzenia substancji biologicznej narodu w obliczu podwójnej groźby eksterminacji”

Gen. Kopański pisze (str. 326): „Słowa dążyć do zaoszczędzenia substancji biologicznej narodu stanowiły, w moim rozumieniu, zbyt ogólną wytyczną”. Wydaje mi się, że „oszczędzanie substancji biologicznej narodu” znaczy w wojnie totalnej to samo co „oszczędzać żołnierza”, a takie rozkazy wydaje się nawet na najniższym poziomie dowodzenia. Na tej samej stronie gen. Kopański pisze: „wskazówki Naczelnego Wodza powinny nosić charakter konkretnych rozkazów dotyczących ściśle ustalonych pojęć wojskowych”. Wkrótce zobaczymy jak zostały potraktowane wskazówki o konkretnym charakterze.

Po wprowadzeniu skreśleń przez gen. Kopańskiego, gen. Tatar dopisał do telegramu następującą notatkę: „Pisząc te wytyczne N.W. nie znał waszej 1406 i 1407. Turski”. N.b. 1406 był na temat czujności do powstania, a 1407 na temat „wzmó-
żo-

nego nasłuchu do powstania od 25.7. godz. 001 „oba z 21 lipca. W tym stanie telegram ten został zaszyfrowany i nadany 28 lipca jako 6030/xxx/555. Gen. Bór-Komorowski odpowiadał nań telegramem nr 484/xxx/999 z 30 lipca.

Nim przejdziemy do następnego telegramu należy poświęcić trochę miejsca sprawom ogólnym. W myśl dekretu z 27 maja 1942 Nacz. Wódz nie mógł działać niezależnie i musiał ważne decyzje uzgadniać z Rządem. Zasadę tę stosowano ściśle w praktyce, dajmy na to Nacz. Wódz nie mógł sam zdecydować, czy należy Brygadę Spadochronową oddać pod rozkazy angielskie, czy też nie. Właśnie z powodu tego dekretu Nacz. Wódz wysłał 25 lipca dwa osobne telegramy jeden, o którym była już mowa, bezpośrednio do gen. Komorowskiego, ale ten telegram zawierał jedynie omówienia i wskazówki i drugi, do uzgodnienia z Rządem, który zawierał konkretne nowe dyrektywy dla A.K., które, zdaniem N.W. należało wprowadzić po smutnych doświadczeniach w Wilnie. Tekst tego telegramu skierowanego do Szefa N.W. był następujący:

„Wobec zbliżenia się wojsk sowieckich do Warszawy należy śpiesznie wysłać dyrektywy osobiste do Lawiny i jego sztabu. Dyrektywy te widzę następująco:

W chwili gdy grozić będzie bezpośrednie okupowanie Warszawy przez Sowiety, dowództwo i sztab podzielić na dwa rzuty. Jeden z nich pozostaje w Warszawie, gdzie — nie ujawniając się — wspólnie z rzutem politycznym, pozostawionym ewentualnie przez Delegata Rządu, kieruje oporem przeciwko sowieckiej polityce faktów dokonanych. Ujawnianie się nie ma sensu wobec utworzenia tzw. Komitetu Wyzwolenia Narodowego i perspektywy aresztowania ujawnionych władz przez Sowiety. Drugi rzut dowodzenia A.K. wycofuje się w ogólnym kierunku południowo-zachodnim do kolejnych punktów umożliwiających nadal kierowanie walką całosci. Ten sposób postępowania obowiązuje również w wypadku, gdyby udało się opanować Warszawę przed wkroczeniem wojsk sowieckich.

Trzeba, by Pan Generał jak najszybciej omówił tę sprawę z Rządem i przekazał powyższe dyrektywy Lawinie”.

P.S.Z. tom III, str. 663 dodaje słuszny komentarz.

„Mówiąc o opanowaniu Warszawy Naczelnny Wódz miał na myśli opanowanie miasta w okresie pomiędzy wyjściem Niemców, a wkroczeniem Rosjan, jeśliby taka sytuacja w ogóle powstała”.

Płk Hańcza nadał ten telegram jako 1150/vv/999. Ważność trzeciego rzędu!

Telegram ten został odebrany w Oddz. Spec. 27 lipca o godz. 2142, przeczekał całą noc i większość dnia następnego i został wreszcie odszyfrowany 28 o godz. 1515 i wpisany do dziennika pod numerem 6089. Na blankiecie telegramu widnieją

takie dopiski: „Szef Oddz. 28.7. U. (U. — parafa Utnika) i „Odpis doręczono Szefowi Sztabu 28.7. 1645”.

Gen. Kopański był tego popołudnia na posiedzeniu Rady Ministrów, która miała obradować nad nowymi wytycznymi dla kraju i pisze na str. 321 co następuje:

„Przy końcu posiedzenia doręczono mi depeszę z dnia 25 lipca, w której Naczelný Wódz przesyłał swe wytyczne dla dowódcy A.K.”.

I dalej

„Odczytałem więc zaraz depeszę Radzie Ministrów, które po krótkiej dyskusji odrzuciła propozycje gen. Sosnkowskiego, wobec stanowiska, jakie zajęła na posiedzeniu w dniu 26 lipca”.

(Chyba powinno być 25 lipca). Taki był los „wskazówek o charakterze konkretnych rozkazów”.

Czuyność

Zanim przejdziemy do omówienia następnej sprawy, tzn. zarządzenia czujności do powstania, trzeba zwrócić uwagę na to, że A.K. planowała dwie główne akcje, a mianowicie akcję Burza i powstanie powszechne. Burza polegała na szeregu lokalnych akcji podejmowanych w obliczu nadchodzących Rosjan. Dyskusja na temat sposobu w jaki A.K. ma spotykać Rosjan wchodzących na terytorium Polski rozpoczęła się jeszcze na przełomie lat 1942 i 43 między gen. Sikorskim i gen. Grotem-Roweckim. Wreszcie w październiku 1943 została wysłana instrukcja uzgodniona pomiędzy Nacz. Wodzem i Rządem, która przewidywała następujące zachowanie się wobec Niemiec i Rosji w razie wkroczenia wojsk sowieckich na terytorium polskie bez uprzedniego nawiązania stosunków dyplomatycznych. Wobec Niemiec:

„Rząd wzywa kraj do wzmożonej akcji sabotażowo-dywersyjnej przeciwko Niemcom. Akcja ta jednak ma wtedy tylko charakter polityczno-demonstracyjny i ochronny”. (P.S.Z. str. 553).

Wobec Rosji:

„Rząd polski zakłada protest u Narodów Zjednoczonych przeciw naruszeniu suwerenności polskiej — przez wkroczenie Sowietów na teren Polski bez porozumienia z Rządem polskim — komunikując równocześnie, że kraj z Sowietami współpracować nie będzie. Rząd zarazem przestrzega, że w wypadku aresztowania przedstawicieli ruchu podziemnego i jakichkolwiek represji przeciw obywatelom polskim, organizacje podziemne przejdą do akcji samoobrony. Władze krajowe i Siły Zbrojne w kraju pozostają nadal w konspiracji i oczekują dalszych decyzji Rządu polskiego. W wypadku aresztowań i represji, wystąpienia czynne należy ograniczyć do niezbędnych aktów samoobrony”. (P.S.Z., Tom III, str. 554).

Instrukcja ta została przez Komendę Główną A.K. zmieniona o czym gen. Bór-Komorowski zawiadomił Nacz. Wodza telegramem z dnia 26 listopada 1943 r. w sposób następujący:

„Nakazałem ujawnienie się wobec wkraczających Rosjan dowódcom i oddziałom, które wezmą udział w zwalczaniu uchodzących Niemców. Zadaniem ich w tym momencie będzie dokumentować swym wystąpieniem istnienie Rzeczypospolitej. W tym punkcie rozkaz mój jest niezgodny z instrukcją Rządu. Nie widzę jednak możliwości wytworzenia na ziemiach polskich pustki przez brak wystąpienia wobec Rosjan czynnika wojskowego reprezentującego Rzplಿತą i jej legalne władze”. (P.S.Z., str. 556).

Ciekawe byłoby wyjaśnić dlaczego ta wiadomość dotarła do Londynu dopiero w pierwszych dniach stycznia 1944 r. Należy przypuszczać, że gen. Tatar, jako Szef Operacji K.G. odegrał poważną rolę w zmianie tej instrukcji Nacz. Wodza i Rządu.

Gdy wiadomość ta dotarła wreszcie do Londynu Nacz. Wódz usilnie przeciwko tej zmianie instrukcji protestował, ale okazało się, że Rząd decyzję Komendy Głównej A.K. popiera. W tej sytuacji gen. Sosnkowski mógł jedynie podać się do dymisji przeciwko czemu przemawiała troska o losy wojska na Zachodzie. Od tego czasu wpływ Nacz. Wodza na sprawy krajowe zaczyna maleć.

Rozkaz ujawniania się oddziałów A.K. wobec nadchodzących wojsk rosyjskich dał fatalne rezultaty już w kwietniu 1944 na Wołyniu, a później na Wileńszczyźnie, we Lwowie, w Lubelskim itd. Mimo to rozkaz ten nie został ani odwołany, ani zmieniony.

Należy podkreślić, że akcji Burza nie miało być w Warszawie (P.S.Z., str. 651).

Inną akcją planowaną od dawna było powstanie powszechne, które miało się odbyć, na dużym obszarze Polski. Akcja ta była przygotowywana starannie przez co najmniej trzy lata, były przewidziane warunki w jakich powstanie mogło się rozpocząć, kraj miał ocenić możliwości, a Rząd miał powziąć decyzję.

Dnia 21 lipca 1944 r. Komenda Główna doszła do wniosku, że nadchodzą okoliczności, w których przewidywane było powstanie powszechne. W związku z tym gen. Bór-Komorowski podpisał telegram o następującej treści, który dla celów przekazywania rozbity został na dwie części.

Nr 406/1/xxx/999.

„Oceniam, że na froncie wschodnim Niemcy ponieśli klęskę. Trzy armie frontu środkowego zostały rozbite, a na ich miejsce OKW nie wprowadziło świeżych sił w ilości wystarczającej dla zatrzymania armii sowieckiej. Zwolnienie tempa posuwania się Sowietów na tym odcinku spowodowane jest prawdopodobnie nie wzmoczoną siłą obronną Niemców, lecz

chwilowym zmęczeniem się sił sowieckich. Przewiduję, że gdy tylko zmęczenie to zostanie pokonane ruch sowiecki na tym kierunku stanie się szybszy.

Rozpoczęta przed tygodniem ofensywa sowiecka na płd. od Prypeci wybiła sobie szerokie wrota dla dalszego ruchu na zachód. Niemcy nie posiadali dostatecznych odwodów, ani też przygotowanych pozycji obronnych dla zatrzymania ruchu sowieckiego. Przewiduję, że ruch sowiecki na zachód na tym odcinku będzie szybki i dojdzie bez większych skutecznych przeciwdziałań niemieckich do Wisły i przejdzie Wisłę w dalszym ruchu na zachód. Lawina 1406/1".

Nr 406/2/xxx/999.

„Trzymanie się płnc. frontu niemieckiego nie kryje w sobie głębszej myśli przeciwdziałań operacyjnych z ich strony, jest raczej położeniem przymusowym, które narzuciła Niemcom ofensywa sowiecka na środkowym froncie.

Ogólnie wydaje się pewnym, że na froncie wschodnim Niemcy nie są już w stanie odebrać inicjatywy z rąk sowieckich, ani też przeciwstawić się skutecznie. W ostatnim czasie coraz częściej widzimy objawy wewnętrznego rozkładania się armii niemieckiej, która jest bardzo zmęczona i bez chęci do walki.

Ostatni fakt zamachu na Hitlera, łącznie z położeniem wojennym Niemiec doprowadzić może do ich załamania się w każdej chwili. Zmusza to nas do stałej i pewnej gotowości do powstania.

Z tego względu wydałem rozkaz stanu czujności do powstania z dniem 25.VII. g. 001, nie wstrzymując przez to dotąd wykonywanej Burzy. Lawina 1406/2, 21.VII.44". (Oba telegramy cytuję z oryginałów).

Nie ulega wątpliwości, że chodzi tu o powstanie powszechne, bo tegoż samego dnia gen. Bór-Komorowski podpisał telegramy do dowódców okręgów zarządzając czujność do powstania.

Na blankietach obu telegramów wpisane jest, że zostały one nadane przez Wandę 24, która należała do Podokręgu Warszawa Wschód. Znajdowała się ona w Mińsku Mazowieckim i nigdy nie została stamtąd ewakuowana. Wątpliwe jest, żeby telegramy te zostały skierowane do Mińska Mazowieckiego, który był zagrożony przez Rosjan. Należy przypuszczać, że oba te telegramy zostały nadane przez Wandę 4, przydzieloną do Komendy Głównej, zgodnie ze stwierdzeniem ppłk. Utnika, o którym będzie niedługo mowa.

Telegramy te odebrano w Oddz. Spec. w niedzielę 23 lipca o godz. 2140 i 2155. Przeleżały one całą noc i zostały oba odszyfrowane 24 lipca o godz. 0915. Wpisano je do dziennika Oddz. Spec. 24 lipca pod L. dz. 5916. Na obydwóch blankietach wpisano pismem ppłk. Utnika „Szef Oddz. 24/VII U". Na blankiecie drugiej części jest pieczęć, którą przykładano na telegramach wychodzących. Wypełniona jest ona jak następuje: „do st. Mewa, nr 1406/vv/555. Zaszyfrowano dn. 24/7 1944, Nadano dn. 24/7 1944" i podpis, którego nie udało mi

się zidentyfikować, a który występuje na większości wychodzących telegramów. Należy przypuszczać, że obie części zostały zaszyfrowane i nadane na dalekopis do Barnes Lodge.

Gen. Kopański na str. 326 pisze:

„Depszę z 21 lipca, jak już wspomniałem (str. 320 — przypisek mój), natychmiast po jej otrzymaniu (23 lipca) przekazałem Naczelnemu Wódzowi i oczekiwałem na jego konkretne stanowisko w konkretnym wypadku”.

Mam pewne zastrzeżenia co do słowa „natychmiast”, bo depesza ta spędziła w Sztabie N. W. kilkanaście godzin.

W archiwum Oddz. Spec. znajdującym się w Studium Polski Podziemnej natrafiłem na jedyny wycinek z korespondencji na dalekopisach pomiędzy Oddz. Spec. i Barnes Lodge. Jest to rozkaz ppłk. Utnika skierowany do kpt. Popkiewicza, który brzmi następująco:

„Marta. Nota. Telegram z Wandy 4 nr 406/1/xxx/999 proszę przekazać do Mewy po zmniejszenie numeru na 406/vv/555. Drugiego telegramu z nr. 406/2/xxx/999 proszę nie przekazywać. Szef O. Spec. ppłk. dypl. Utnik. 24.VII”.

i dopisana notatka „W. Oper. 25.VII.U.” pismem ppłk. Utnika.

Parę wyjaśnień. „Marta” był to kryptonim Barnes Lodge używany w korespondencji dalekopisowej z Oddz. Spec. Pochodził on od nazwy pierwszej radiostacji Oddz. Spec. zainstalowanej przez plut. Brękiewicza w Clifton Hotel na Bulstrode Street, za pomocą której nawiązał on po raz pierwszy z terenu Anglii łączność radiową z Warszawą w dniu 18 września 1940 r. Słowem „Nota” zaczynało na dalekopisach wszelkie rozkazy, instrukcje i wyjaśnienia w odróżnieniu od telegramów. Na podstawie tego rozkazu skłonny jestem twierdzić, że oba omawiane tu telegramy zostały nadane przez Wandę 4, a nie 24 jak podano na blankietach telegramów. Niestety zaginęły dzienniki stacyjne z Barnes Lodge na podstawie których można by wyjaśnić tę i wiele innych wątpliwości. Warto tu zwrócić uwagę, że ppłk Utnik wydawał osobiście rozkazy kpt. Popkiewiczowi, dzięki czemu szef łączności Oddz. Spec. płk Rola i d-ca Batalionu mjr. Lisicki nie byli wtajemniczeni w różnego rodzaju posunięcia. Rozkaz ten z pewnością łączy się z notatką wpisaną na blankiecie drugiej części telegramu charakterem ppłk. Utnika: „Kanc. Dołączyć do całości depeszy. 16.X. U.”. Niestety brakuje roku, ale widać, że tę drugą część przechowywał ppłk Utnik u siebie przez trzy miesiące, a może przez rok i trzy miesiące.

Cóż ten rozkaz znaczy? Po pierwsze ważność została obniżona z (xxx) do (vv), czyli chodziło o to, żeby ten telegram szedł długo. Po drugie Nacz. Wódz miał dostać tylko pierwszą

część, która zawierała jedynie analizę sytuacji, a nie miał się dowiedzieć, że gen. Bór-Komorowski zarządził czujność do powstania. Nawiasem mówiąc w tekście podanym przez gen. Kopąńskiego (str. 320) brakuje zwrotu „do powstania”. Czyżby Szef Sztabu N.W. otrzymał tę wiadomość w „zmiękczonej” formie? Pobóg-Malinowski (str. 639), który korzystał z Archiwum Kanc. Cyw. Prezydenta, pisze: „Depeszę Bora-Komorowskiego z 21 lipca gen. Tatar „przedstawia” Prezydentowi dopiero 24 lipca, i to w brzmieniu niezupełnym, obcina w niej bowiem ustęp końcowy, mówiący o wydanym przez Bora rozkazie „stanu czujności”, tak, iż Prezydent widzi w depeszy tylko ocenę „katastrofalnej sytuacji Niemców”.

Nie wiadomo, czy ppłk Utnik wydał ten rozkaz kpt. Popkiewiczowi z własnej inicjatywy, czy też z rozkazu gen. Tatara, raczej to drugie jest chyba bliższe prawdy. Bezspornie gen. Tatar parł do akcji powstańczej w kraju całą siłą. Próbowałem ustalić jakie było nastawienie ppłk. Utnika do tego zagadnienia. Jedni twierdzą, że był on za akcją powstańczą, bo wierzył, iż z chwilą kiedy powstanie wybuchnie S.O.E. (*Special Operational Establishment*), z gen. Gubbins'em na czele, w której to instytucji ppłk Utnik był ceniony, będzie zmuszona przyjść z pomocą. Drudzy są zdania, że ppłk Utnik był przeciwny akcji powstańczej i argumentował za jej zaniechaniem. Możliwe, że wypowiedzi te dotyczą innych okresów czasu. Tak czy inaczej pogląd gen. Tatara zwyciężył i Oddz. Spec. z ppłk. Utnikiem na czele popierał akcję powstańczą.

Zgodnie z wypowiedziami płk. Demela w czasie rozmowy w dniu 20 czerwca 1963 r. (płk Demel — płk Iranek-Osmecki — pani Czarnocka — autor) gen. Sosnkowski był zdecydowanie przeciwny akcji powstańczej w kraju, ale z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że poglądu swego nie zdoła przevorsować i że zwolennicy akcji, tak w kraju jak i na Zachodzie, do powstania doprowadzą. Płk Demel stwierdził również, że gen. Sosnkowski był przeciwny dawaniu rozkazów „zza biurka”, które mogą być niewykonalne.

Spójrzmy co się dzieje w Bernardino pod Ankoną, gdzie stacjonował pierwszy rzut dowództwa 2 Korpusu. Jak już wiemy 25 lipca wieczorem Nacz. Wódz podpisał telegramy związane ze sprawą wileńską. 26 lipca rano Nacz. Wódz odlatywał na uroczystości królewskie i na lotnisku Porto S. Georgio tuż przed godz. 1252 dostał telegram Prezydenta z 24 lipca wzywający go do powrotu. 27 lipca Nacz. Wódz wyjechał z Bernardino do Rzymu, tego dnia nie ma w dzienniku żadnej wzmianki o telegramach. 28 lipca wieczorem „przychodzi depesza o

przelocie Premiera Mikołajczyka przez Cairo do Moskwy" (Dziennik N.W.). Nie wiadomo czy nadeszły oba telegramy, tzn. gen. Kopańskiego i gen. Kukiela (nr 6077/1 i 2/xxx/555) czy też tylko jeden z nich, w każdym razie tempo było rekordowe, bo tegoż samego dnia były one zaszyfrowane w Oddz. Spec. N.W. zabrał ze sobą do Rzymu płk. Demela. 28 lipca o godz. 2345 „N.W. powraca do hotelu — wysłanie depeszy do Prezydenta R.P. i do D-cy A.K.” (Dziennik N.W.). Telegram do Prezydenta, nr 1281/vvv/999, L. dz. N. W. 967, L. dz. Oddz. Spec. 6241, w którym Nacz. Wódz zalecał „Niezwłoczne powołanie rządu szerokiej koalicji stronnictw i kierunków ideowych” był reakcją na wiadomość o wyjeździe Premiera do Moskwy. Telegram do D-cy A.K., nr 1283/vvv/999, L. dz. N. W. 966, L. dz. Oddz. Spec. 6213, świadczy o tym, że przed 28 lipcem wieczorem Nacz. Wódz dostał przynajmniej część telegramu gen. Bora-Komorowskiego nr 1406, który został zaszyfrowany w Oddz. Spec. 24 lipca. Można przypuszczać, że siedł on cztery dni, miał ważność (vv), gdyż Nacz. Wódz reagował na wiadomości szybko. Odpowiedź Nacz. Wodza miała treść następującą.

„Na waszą 1406 z dn. 22 VII (powinno być 21 — przypisek autora) w związku z ostatnim zdaniem depeszy stwierdzam:

W obliczu sowieckiej polityki gwałtów i faktów dokonanych, powstanie zbrojne byłoby aktem pozbawionym politycznego sensu mogącym za sobą pociągnąć niepotrzebne ofiary. Jeśli celem powstania miałyby być opanowanie części terytorium Rzeczypospolitej to należy zdawać sobie sprawę, że w tym wypadku zajdzie konieczność obrony suwerenności Polski na opanowanych obszarach w stosunku do każdego, kto suwerenność tę gwałcić będzie.

Rozumiecie, co oznaczałoby to w perspektywie, skoro eksperyment ujawniania się i współpracy spełził na niczym wobec złej woli Sowietów”. (Tekst z P.S.Z. tom III, str. 665).

Trzeba przyznać, że przewidywania Nacz. Wodza były trafne. Telegram ten, któremu ppłk Hańcza nadał ważność drugiego rzędu, został odebrany w Oddz. Spec. 31 lipca o godz. 2240 przeleżał ponad 12 godzin i został odszyfrowany 1 sierpnia o godz. 1215 i zapisany do dziennika pod numerem 6213. Dla porównania warto przytoczyć, że tegoż samego wieczoru 31 lipca o godz. 2047 nadszedł z Warszawy telegram nr 484/xxx/999 i został odszyfrowany o godz. 2200 tegoż wieczoru.

O dalszych losach tego telegramu Nacz. Wodza gen. Kopański (str. 323) pisze tak:

„Depszę tę natychmiast po odszyfrowaniu, dnia 1 sierpnia, przedstawiłem Prezydentowi w Stanmore pod Londynem. W związku ze stanowi-

skiem rządu, zajęтым na posiedzeniu rady ministrów w dniach 25 i 28 lipca, Prezydent polecił mi depeszy tej do kraju nie wysyłać. Spodziewał się on lada dzień powrotu gen. Sosnkowskiego. Zresztą, jak wiemy obecnie, gdyby nawet była przekazana do kraju, doszłaby już zbyt późno, by mogła wpłynąć na bieg wypadków”.

Nic dziwnego, z Rzymu do Londynu szła ona trzy dni i w Oddz. Spec. przeleżała 13 godzin. Warto wspomnieć, że depesza ta była zaadresowana przez Nacz. Wodza „Lawina do rąk własnych”.

Treść tego telegramu i zwrot „w związku z ostatnim zdaniem” sugerują, iż Nacz. Wódz, mimo rozkazu ppłk. Utnika, dostał obie części telegramu gen. Bora-Komorowskiego. Ale to nie koniec tej sprawy.

Dnia 28 lipca zaszyfrowano i nadano telegram gen. Kopańskiego, do którego będziemy jeszcze powracać, nr 6082/xxx/555, który zawierał następujące zdanie:

„Depesza Lawiny L. 1406, którą Hańcza miał przedstawić panu Generałowi, mówi o powstaniu. Melduję, że D-ca A.K. sam nakazał czujność i moe przejść lada dzień do powstania”. (Cytuję z oryginału).

Nacz. Wódz miał dobry zwyczaj podawania, na który telegram odpowiada. Otóż jest odpowiedź Nacz. Wodza na ten telegram gen. Kopańskiego.

Dnia 29 lipca po południu Nacz. Wódz powrócił z Rzymu do Bernardino pod Ankoną, przebywał tu przez następny dzień (niedziela) i dopiero 31 lipca po południu wyruszył w podróż powrotną. W czasie tego pobytu w Bernardino Nacz. Wódz wysłał trzy telegramy, jeden do gen. Bora-Komorowskiego, nr 1280/vv/999, L. dz. N.W. 970, L. dz. Oddz. Spec. 6289 z 29 lipca, to jest ten, który został nadany do Warszawy 6 sierpnia i dwa do gen. Kopańskiego. Jeden z nich nr 1284/vv/999 L. dz. N.W. 968, L. dz. Oddz. Spec. 6275, z 30 lipca zaczyna się w ten sposób:

„Gen. Kopański. Na depeszę 6082. Swój negatywny punkt widzenia w sprawie powstania w warunkach obecnych wyraziłem w depeszy do kraju nr 962 z dnia 25.VII i nr 966 z dnia 28.VII br. Depeszy Lawiny 1406 nie otrzymałem”. (Cytuję z oryginału).

Drugi z nich, nr 1282/vv/999, L. dz. N.W. 969, L. dz. Oddz. Spec. 6239, z 30 lipca zaczyna się w ten sposób:

„Generał Kopański:

Zgodnie z dep. moją z dnia 27.7. wyruszam pierwszego sierpnia w drogę powrotną.

Skreślał znaczną część planu inspekcji dalsze zasadnicze rozmowy z gen. Alexandrem u którego miałem spędzić dwa dni, skreślał rozmowy z de Gaullem itd.”.

A kończy się tak:

„Nie otrzymałem od Pana Generała meldunku o treści narad Rządowych, w których Pan Generał brał udział osobiście, w szczególności o tym, jaki jest plan i cel podróży moskiewskiej. Nie otrzymałem ani dep. 1406 ani 1280. M.p. 20 lipca 1944. Sosnkowski 969” (Cytuję z oryginału).

Nie zdołałem ustalić o co chodzi z tym nr 1280. Nacz. Wódz dopominał się o to samo wcześniej, kiedy pisał 25 lipca nr 1129/xxx/999, do gen. Bora-Komorowskiego: „Zapowiedzianej depeszy waszej próbnej 1280 dotychczas nie otrzymałem”, ale gen. Kopański to zdanie skreślił.

Cóż to wszystko znaczy? Dnia 28 lipca Nacz. Wódz pisał „Na waszą 1406” i wydawałoby się, że komentował ostatnie zdanie drugiej części, a skoro dostał treść tego ostatniego zdania nadesłaną przez gen. Kopańskiego, zaledwie w dwa dni później, aż dwa razy powtórzył że nie dostał 1406. Czyżby tak krótką miał pamięć i takie zamieszanie w swoich papierach?

Jestem skłonny przypuszczać, że zgodnie z rozkazem ppłk. Utnika, Nacz. Wódz nigdy drugiej części telegramu 1406 nie dostał. Zbieżność odpowiedzi Nacz. Wodza z ostatnim zdaniem drugiej części jest pozorna.

Instrukcja pałdziernikowa przewidywała, iż

„W wypadku załamania się niemieckiego frontu wschodniego, rzeczywistego rozkładu moralnego armii niemieckiej i paniki na tyłach należy przewidzieć możliwość powstania, celem opanowania przynajmniej części kraju, nawet gdyby warunki podane wyżej (dozbrojenie i wsparcie bezpośrednio przez aliantów) nie były jeszcze wypełnione. Ocena powyższej możliwości należy do kraju, decyzja ostateczna i wybór momentu — do Rządu” (P.S.Z. tom III, str. 553).

Przeczytajmy jeszcze raz pierwszą część telegramu 1406. Przecież to jest opis nadchodzącego załamania się niemieckiego frontu wschodniego, a ostatnie zdanie jest ostatecznym wnioskiem. Nic dziwnego, że po przeczytaniu tylko pierwszej części Nacz. Wódz doszedł do wniosku, że Komenda Główna A.K. poważnie rozważa możliwość powstania powszechnego zgodnie z przygotowanymi planami i z instrukcją pałdziernikową.

Walka o Warszawę

Jak już wiemy A.K. planowała powstanie powszechne i Burzę, której w Warszawie miało nie być. Sytuacja pod tym względem pozostała niezmieniona do dnia 21 lipca. Pomiędzy 21 i 25 lipcem zdecydowano się w kraju na podjęcie zupełnie no-

wej, dotychczas nieplanowanej akcji, która nie była ani powstaniem powszechnym, ani Burzą nazwano ją „walka o Warszawę”. Komenda Główna ściśle tej terminologii przestrzegała.

Dociekanie w jaki sposób doszło w ciągu zaledwie 4 dni do tak poważnej zmiany nie jest tematem tej pracy. Można jedynie stwierdzić, iż kraj, wbrew uprzednio ustalonej procedurze, wziął decyzję w swoje ręce przedtem niż został do tego upoważniony przez Premiera telegramem wysłanym z Londynu 26 lipca. Trzeba również podkreślić, że w Warszawie, tak samo jak i w Londynie, nie pobierano żadnych ważnych decyzji wojskowych bez zgody władz cywilnych. Decyzja wszczęcia walki o Warszawę została powzięta w obecności i za zgodą Delegata Rządu na kraj inż. Jana Stanisława Jankowskiego.

Dnia 25 lipca gen. Bór-Komorowski podpisał telegram nr 441/xxx/999 o następującej treści:

„Lawina do Warty. Jesteśmy gotowi w każdej chwili do walki o Warszawę. Przybycie do tej walki Brygady Spadochronowej będzie miało olbrzymie znaczenie polityczne i taktyczne. Przygotujcie możliwość bombardowania na nasze żądanie lotnisk pod Warszawą. Moment rozpoczęcia walki zamelduję. Lawina 1441. 25.7.44”. (Cytuję z oryginału).

Jak widzimy ten wyjątkowo jasno sformułowany telegram zawierał cztery zasadnicze myśli:

1. gotowość do walki o Warszawę,
2. zrzućenie Brygady Spadochronowej,
3. bombardowanie lotnisk,
4. meldowanie początku walki.

Telegram ten został nadany przez Wandę 9. Został odebrany w Oddz. Spec. 26 lipca o godz. 1549 i odszyfrowany o godz. 1735 tegoż dnia.

O dalszych losach tego telegramu P.S.Z. tom III (str. 662) piszą co następuje:

„Depsza ta wpłynęła do Sztabu N.W. w Londynie 26 lipca w końcu dnia. W związku z nią szef Sztabu N.W. wystosował do Naczelnego Wodza dnia 28 lipca depeszę, której treści nie udało się odtworzyć”.

Gen. Kopański przedstawia sprawę tak (str. 320): „Treść jej umieściłem w depeszy wysłanej do Włoch 28 lipca”. I dopisek u dołu strony: „Gdy otrzymałem depeszę N.W., że nie wraca do Londynu”.

Obie te prace pisane były w okresie, kiedy w archiwach Oddz. Spec. brakowało wielu telegramów, które zabrali ze sobą gen. Tatar i ppłk Utnik. Widać, że wybierano te telegramy nieco chaotycznie, bo zabrano niektóre bez większego znaczenia, nato-

miast telegram gen. Bora-Komorowskiego 1406 (obie części) i dalekopisowy rozkaz ppłk. Utnika pozostały. Później znaleziono w Gabinetie N.W. odbitki większości brakujących telegramów, zrobiono zdjęcia i w ten sposób telegramy, przynajmniej z okresu omawianego, są prawie w komplecie.

Telegram mówiący o gotowości do walki o Warszawę został wpisany do dziennika Oddz. Spec. 26 lipca pod numerem 6024. Pod tym numerem istnieją następujące wpisy dotyczące dalszego przekazania tej wiadomości: „O Wyw. 31.7.”, „N. Wódz 31.7.”: „Depesza do rdst Algier o przekazanie dep. 6024 — N.W.”. Niestety nie zapisano kiedy wiadomość tę doręczono Szefowi Sztabu N.W. Na blankiecie telegramu nie ma żadnych śladów ponownego zaszyfrowania i nadania. Na blankiecie telegramu gen. Kopańskiego z 31 lipca, który został nadany pod tym samym numerem 6024, widnieje notatka „Nadano do Włoch i Algieru”. Czyli wszystko wskazuje na to, że telegram gen. Bora-Komorowskiego o gotowości do walki o Warszawę nie został przekazany Nacz. Wodzowi jako niezależna wiadomość. Przejrzyjmy więc wszystkie telegramy gen. Kopańskiego, które mogły zawierać tę wiadomość. Między 26 i 31 lipca gen. Kopański wysłał do Nacz. Wodza 5 telegramów.

Zachowała się odręczna odbitka telegramu gen. Kopańskiego do Nacz. Wodza nr 6082/xxx/555, który został zaszyfrowany i nadany 28 lipca. Treść jego znamy już częściowo, całość jest jak następuje.

„Naczelnny Wódz. Melduję, że dotąd nie mam wiadomości o powrocie Pana Generała, którego Pan Prezydent oczekuje. Proszę o podanie terminu przybycia do Londynu.

Depesza Lawiny L. 1406, którą Hańcza miał przedstawić Panu Generałowi, mówi o powstaniu. Melduję, że D-ca A.K. sam nakazał czujność i może przejść lada dzień do powstania.

Rada Ministrów zgodnie z instrukcją zbiera się dla powzięcia decyzji o powstaniu do przekazania krajowi. Spodziewała się udziału w niej Pana Generała. K.”. (Cytuję z oryginału).

Pod podpisem widnieje data 28.VII, ale wpisana została innym charakterem pisma.

Ponieważ telegram ten zawierał treść zdania o czujności do powstania, które ppłk Utnik kazał zatrzymać (vide nr 406/2/xxx/999), istnieje możliwość, że telegram ten został przetrzymany w Oddz. Spec. Niestety, gen. Kopański często nie pisał dat pod swoim podpisem. W każdym razie telegram ten musiał być zredagowany między 24 i 28 lipcem i nie ulega wątpliwości, że w czasie pisania tego telegramu gen. Kopański nie znał wiado-

mości o gotowości do walki o Warszawę, która została odszyfrowana 26 lipca o godz. 1735.

Następny telegram, nr 6077/2/xxx/555, którego całość zachowała się w maszynopisie, a zakończenie w piśmie odręcznym gen. Kopańskiego został zaszyfrowany i nadany też 28 lipca równocześnie z telegramem gen. Kukiela z 27 lipca nr 6077/1/xxx/555 na temat wyjazdu Premiera do Moskwy.

Telegram gen. Kopańskiego miał treść następującą:

„Nacz. Wódz (do rąk własnych). Melduję, że Premier z Romerem i Grabskim odlecieli dnia 26 lipca wieczorem przez Gibraltar do Kairu skąd uda się niezwłocznie do Teheranu, a stamtąd do Moskwy. Liczy się on z ewentualnością, że nie będzie mógł odbyć etapu Teheran-Moskwa i wróci do Londynu.

Możliwe, że z Moskwy wezwie do siebie Tabora.

Kraj żąda decyzji wojskowych, jak użycie Brygady Spadochronowej oraz lotnictwa. Może to być aktualne za kilka dni. Kopański. Generał”. (Cytuję z oryginału).

Pisząc ten telegram gen. Kopański musiał już znać przynajmniej część telegramu o gotowości do walki o Warszawę, bo wyraźnie powtarza dwie mniej ważne myśli, a mianowicie zrzućcie Brygady Spadochronowej i bombardowanie lotnisk. Wobec tego telegram ten musiał być zredagowany między 26 i 28 lipca. Przy podpisie brak daty.

Dalsze dwa telegramy gen. Kopańskiego zaszyfrowane i nadane 29 lipca są sprawozdaniem z posiedzenia Rady Ministrów w dniu 28 lipca. Treść ich jest następująca.

Nr 6089/vv/555.

„Melduję. Depeszę Pana Generała o nieujawnianiu się dowództwa Armii Krajowej otrzymałem na posiedzeniu rady ministrów w dniu 28 lipca, na którym byłem obecny na polecenie Prezydenta. Przedstawiłem ją na tymże posiedzeniu.

Rada ministrów uważa, że nie należy zmieniać ostatnich decyzji władz krajowych, dotyczących ujawnienia się dowódcy A.K., które brzmią (w streszczeniu podanym przez gen. Kukiela):

„Kraj postanowił ujawnienie się delegata wraz z dwoma zastępcami, komendanta A.K., prezesa Rady Jedności Narodowej. Nieujawnianie się trzech zastępcy delegata”.

Generał Kukiel podaje, że:

„Rząd na posiedzeniu 26 lipca przyjął powyższe do wiadomości, uchwalając w porozumieniu z Prezydentem powołanie w kraju trzech ministrów, którzy się wraz z delegatem ujawnią”.

Podział dowództwa A. K. na rzuty jest, według oświadczenia Tabora, przewidziany”. (Cytuję za gen. Kopańskim, str. 322).

„Melduję:

1) Posiedzenie rady ministrów w dniu 28 właściwie nie miało większego znaczenia wobec aktów, które je poprzedziły, a nie były znane ani Prezydentowi, ani ministrowi Kukielowi, ani mnie.

2) Przedstawiam treść uchwały rządu z dn. 25.7:

„Rada ministrów uchwaliła dnia 25.7.44 r. upoważnić delegata rządu do powzięcia wszystkich decyzji wymaganych tempem ofensywy sowieckiej, w razie konieczności bez uprzedniego porozumienia się z rządem”.

3) Premier przed wyjazdem na wschód w dniu 26 lipca polecił ministrowi spraw wewnętrznych nadać następującą depezę do delegata rządu:

„Na posiedzeniu rządu R.P. zgodnie zapadła uchwała upoważniająca was do ogłoszenia powstania w momencie przez was wybranym. Jeżeli możliwe, uświadomcie nas przedtem. Odpis przez wojsko do komendanta A.K. Stem”

4) Treść telegramu premiera została przyjęta do wiadomości przez radę ministrów dnia 28 lipca, godz. 16”. (Cytuję za gen. Kopańskim, str. 322).

Stem, był to pseudonim premiera Mikołajczyka w korespondencji z krajem.

Te dwa telegramy z 29 lipca zawierały najświeższe wiadomości na temat ustosunkowania się Rządu do akcji powstańczej w kraju. Jednak nadano im oba ważność trzeciego rządu, (vv). Nie zdołałem stwierdzić, kiedy Nacz. Wódz otrzymał te telegramy. W każdym razie nie dostał ich jeszcze 30 lipca, bo, jak już wiemy, w swoim telegramie nr 1282/vv/999, L. dz. N. W. 969, l. dz. Oddz. Spec. 6239 z tego dnia pisał: „Nie otrzymałem od Pana Generała meldunku o treści narad Rządowych”. Jest również prawdopodobne, że nie dostał ich aż do 2 sierpnia, bo w następnym telegramie Nacz. Wodza do gen. Kopańskiego, nr 1290/vv/999, L. dz. Oddz. Spec. 6395 z 2 sierpnia, który był odpowiedzią na telegram gen. Kopańskiego nr 6024/vv/555 z 31 lipca, o którym będzie zaraz mowa, nie ma żadnej wzmianki na temat „narad Rządowych”. W ten sposób na pewno 30 lipca, a może nawet aż do 2 sierpnia, Nacz. Wódz nie wiedział, że jego nowe dyrektywy dla kraju (nr 1150/vv/999, L. dz. Oddz. Spec. 6089 z 25 lipca) zostały zatrzymane w Londynie.

Należy zwrócić uwagę, że posiedzenie Rady Ministrów w dniu 28 lipca po południu zakrawało na komedię. Obradowano tu na temat wytycznych dla kraju, kiedy telegram o gotowości do walki o Warszawę był już znany w Londynie od dwóch dni. Znał go na pewno gen. Tatar, który był obecny na tym posiedzeniu (Malinowski, str. 636), przynajmniej częściowo znał go gen. Kopański, jak to wiemy na podstawie telegramu nr 6077/2/xxx/555 zaszyfrowanego 28 lipca i musieli znać jego treść przynajmniej niektórzy ministrowie, jak to wynika z pamiętników ambasadora Raczyńskiego, o których będzie jeszcze mowa.

Warto dodać, iż na tym posiedzeniu min. Kwapiński oświadczył, że jako „zastępca prezesa Rady Ministrów zwróci się do Prezydenta Rzplitej o niezwłoczne powiadomienie Nacz. Wodza, by żadnych zarządzeń, dotyczących kraju obecnie nie wysyłał”. (Protokół z posiedzenia Rady Ministrów 28 lipca — Malinowski, str. 636).

I wreszcie ostatni telegram gen. Kopańskiego do N.W. zaszyfrowany i nadany w poniedziałek 31 lipca.

To jest właśnie ten telegram, który, według wpisu w dzienniku Oddz. Spec., miał zawierać treść telegramu o gotowości do walki o Warszawę. W związku z tym nadano mu ten sam numer, a mianowicie 6024/vv/555. Treść jego była jak następuje.

„Melduję:

Depesza L. 1441 Dowódcy A.K. prosi o zapewnienie wsparcia ewentualnych działań powstańczych Brygadą Spadochronową oraz bombardowania określonych celów przez lotnictwo (p. moja depesza 6077). Według dawnych żądań D-cy A.K. oraz według opinii Tabora i Rutkowskiego niezmiernie pożądane jest wylądowanie w Polsce chociaż małej ilości naszego lotnictwa.

Wsparcie powstania zależne jest oczywiście od zgody Władz Brytyjskich i to najwyższych. Jest ono traktowane raczej na płaszczyźnie politycznej. Dotychczasowe *démarches* naszych władz i przedstawicieli dyplomatycznych nie dało żadnego rezultatu.

Dotąd też nie zdołano na tej drodze uzyskać praw kombatanckich dla A.K., której oddziały są rozbrajane przez Sowiety.

Proszę o decyzję co do zasady i rozmiarów użycia spadochroniarzy i lotnictwa dla wsparcia ewentualnego powstania w kraju.

Jeśli nagłe wypadki zmuszą mnie do powzięcia decyzji będę się starał, by ten symboliczny udział nasz w powstaniu był jak największy.

Meldowałem o tym Prezydentowi. Kopański. Gen.”. (Cytuję z oryginału). Daty pod podpisem nie ma.

Gen. Kopański wspomina o *démarches* przedstawicieli dyplomatycznych. Zobaczmy jak to wyglądało. Ambasador Raczyński na str. 352 swoich wspomnień pisze:

„Dnia 26 lipca w myśl instrukcji rządu R.P. zgłosiłem się o przyjęcie do premiera Churchilla. Przyjęty zostałem dnia następnego, 27 lipca, przez ministra Edena i wysunąłem wobec niego postulaty komendanta Armii Krajowej w sprawie akcji wojennej z chwilą jej podjęcia w rejonie Warszawy.

I dalej:

„Przy tej sposobności wręczyłem notatkę określającą ściśle wysunięty postulat. (Zał. nr 1)”.

A oto początek tego załącznika (str. 377):

„July 26th, 1944. The Polish Government have received today from the Commander of the Polish Home Army the following telegram dated July 25th: — „We are ready to start the fighting for Warsaw. The participation in this fight of the Polish Parachute Brigade will have a decisive importance both politically and tactically. Do arrange possibility of bom-

bardments on our request of aerodromes around Warsaw. Shall report the moment action is started".

Dalej na str. 352 ambasador Raczyński pisze:

„Podsekretarz Cadogan udzielił mi dn. 28 lipca odpowiedzi na punkty powyższe. ...Postulaty Armii Krajowej w sprawie pomocy zbrojnej ze strony Wielkiej Brytanii dla powstania w Warszawie potraktowane zostały odmownie”.

Wynika stąd, że wiadomość o walce o Warszawę dotarła do ambasadora Raczyńskiego, który pod nieobecność ministra Romera, pełnił obowiązki ministra spraw zagranicznych, w przeciągu kilku godzin, bo przecież była odszyfrowana 26 lipca o godz. 1735.

Przytoczone tutaj dane wskazują, iż telegram gen. Bora-Komorowskiego nr 441/xxx/999 z 25 lipca na temat gotowości do walki o Warszawę nie został przekazany Nacz. Wodzowi jako niezależna wiadomość. Jasne jest również, że cała jego treść, wbrew twierdzeniu gen. Kopańskiego i P.S.Z. tom III, nie została włączona do żadnego telegramu zredagowanego przez gen. Kopańskiego. Jedynie dwie mniej ważne myśli telegramu gen. Bora-Komorowskiego, a mianowicie sprawę wysłania Brygady Spadochronowej i sprawę bombardowania lotnisk, poruszył gen. Kopański w swoich telegramach nr 6077/2/xxx/555 z 28 lipca i nr 6024/vv/555 z 31 lipca. W ten sposób Nacz. Wódz nie został poinformowany, że kraj postanowił przeprowadzić dotychczas nieplanowaną akcję, którą nazwano walką o Warszawę (gen. Kopański w swoim telegramie jeszcze 31 lipca używa terminu powstanie, co w owym czasie mogło znaczyć jedynie powstanie powszechne), ani też nie został poinformowany, że już 25 lipca kraj wziął decyzję w swoje ręce i że od tego dnia walka o Warszawę mogła się rozpocząć łąda chwila.

Na poparcie powyższych stwierdzeń można by jeszcze przytoczyć telegram Nacz. Wodza z 2 sierpnia nr 1290/vv/999, L. dz. Oddz. Spec. 6395, który jest odpowiedzią na telegram gen. Kopańskiego nr 6024/vv/555 z 31 lipca. Warto tu wspomnieć, że Nacz. Wódz nie wiedział jeszcze 2 sierpnia o rozpoczęciu walki w Warszawie, ale do tego jeszcze wrócimy.

Spójrzmy na sposób w jaki Sztab N.W. informował Nacz. Wodza w sprawach najwyższej wagi. W sprawie aresztowania sztabów Wilno i Nowogródek (nr 390/1 i 2/xxx/999 z 19.7. L. dz. Oddz. Spec. 5881) przekazano do Nacz. Wodza całą wiadomość i tego samego dnia, tzn. 22 lipca, nadano komentarz gen. Kopańskiego, nr 5881/vv/555. W sprawie czujności do powstania (nr 406/1 i 2/xxx/999 z 21.7. L. dz. Oddz. Spec. 5916)

jestem skłonny twierdzić, że nie przekazano drugiej części, która była sednem sprawy, a komentarz gen. Kopańskiego, który zawierał to sedno nadano dopiero w cztery dni po przekazaniu pierwszej części, tzn. 28 lipca. W sprawie gotowości do walki o Warszawę (nr 441/xxx/999 z 25.7. L. dz. Oddz. Spec. 6024) całej wiadomości nie przekazano nigdy. Gen. Kopański komentował mniej ważne (taktyczne) myśli tej wiadomości w dwa dni po jej odszyfrowaniu, tzn. 28 lipca, z tym że jeszcze 31 lipca używał terminu powstanie, a nie walka o Warszawę, co wprowadzało Naczelnego Wodza w błąd i mogło być przez niego zrozumiane jedynie jako powstanie powszechne. W wypowiedzi po moim odczycie w Stowarzyszeniu Elektryków Polskich gen. Kopański stwierdził, że nie pamięta dokładnie kiedy dostał telegram o walce o Warszawę, czemu zresztą nie można się dziwić po 20 latach.

Intryga

Należy stwierdzić, że powolne przechodzenie telegramów w drugiej połowie lipca 1944 r. pomiędzy Warszawą, Londynem i Włochami było spowodowane w pierwszym rzędzie nadużyciem władzy ze strony Sztabu N.W. Wyrażało się to zatrzymywaniem wiadomości, jak również lekceważącym traktowaniem telegramów od i do Nacz. Wodza przez nadawanie im niskich ważności na Mewie i w Londynie i opóźnianiem w odszyfrowaniu w Oddz. Spec. Sztabu N.W.

Bez wątpienia ujemnie wpłynęły na tempo przechodzenia niedomagania organizacyjne wyższego szczebla, jeśli chodzi o zapewnienie łączności radiowej Nacz. Wodzowi we Włoszech.

Nadużycie władzy, czy też intryga normalnie jest wtedy potępiana, jeśli prowadzi do klęski, natomiast jeśli prowadzi do zwycięstwa jest często aprobowana, albo nawet gloryfikowana. W tym wypadku intryga doprowadziła do klęski. Warto się zastanowić nad podłożem tej intrygi, które było natury politycznej. Zagadnienie to jest bardzo obszerne, więc zostanie przedstawione jedynie w sposób schematyczny.

Kluczowym zagadnieniem polskim w latach wojennych był stosunek do Rosji. W dziedzinie tej istniały trzy poglądy. Pierwszy opierał się na założeniu, że za cenę pewnych ustępstw terytorialnych i personalnych w najwyższych władzach R.P. możliwe jest osiągnięcie niezależnego od Rosji bytu państwowego. Drugi pogląd opierał się na założeniu, że nie są dopuszczalne żadne ustępstwa terytorialne czy personalne i nie wierzył w możliwość osiągnięcia współpracy z Rosją drogą ustępstw. Trzeci pogląd opierał

się na zasadzie daleko idących ustępstw terytorialnych i ustrojowych i na kompletnym podporządkowaniu się Rosji.

W okresie omawianym, głównym wyznawcą pierwszego poglądu był Premier Mikołajczyk. Miał on poparcie znacznej większości ministrów i prorządowych partij politycznych zarówno w Londynie jak i w kraju. W wojsku byli właściwie tylko dwaj świadomi zwolennicy ugody z Rosją, gen. Tatar i płk dypl. Kirchmayer obaj w Komendzie Głównej A.K., z tym, że gen. Tatar został wysłany na Zachód jako reprezentant A.K. Ściśle mówiąc zwolennikami ugodowej polityki w stosunku do Rosji, z takich czy innych powodów, byli również generałowie Żeligowski, Ujejski, Modelski i Paszkiewicz, ale w 1944 r. nie byli oni w stanie odegrać żadnej poważnej roli. Masom wojska tak na Zachodzie jak i w kraju pogląd ten był raczej obcy.

Głównym przedstawicielem drugiego poglądu był Nacz. Wódz gen. Kazimierz Sosnkowski. Pogląd ten popierali niektórzy publicyści, jak np. Zygmunt Nowakowski, Stanisław Mackiewicz, Ignacy Matuszewski i Adam Doboszyński. Masy wojska tak w kraju jak i na Zachodzie, mniej lub bardziej świadomie wyznawały ten pogląd. Pogląd ten był szczególnie bliski żołnierzom, którzy przeszli przez Rosję i byli głównie zgrupowani w 2 Korpusie we Włoszech.

Trzeci pogląd reprezentował lubelski Komitet Wyzwolenia Narodowego, który w dniu 22 lipca 1944 r. został uznany przez Rosję za reprezentację narodu polskiego. Poglądem tym nie będziemy się bliżej zajmować, gdyż jest on luźno związany z omawianym zagadnieniem, chociaż warto by ustalić, kiedy zaczęło się kontaktowanie się gen. Tatara z przedstawicielami tego poglądu, ale zagadnienie to przekracza ramy tej pracy.

Oba pierwsze poglądy podporządkowywały rolę jaką ma odegrać kraj sprawie nadrzędnej, tzn. stosunkowi do Rosji. Pierwszy z nich dążył do jak najintensywniejszej akcji przeciwko Niemcom, która miała wykazać siłę organizacji podziemnej, dobrą wolę w stosunku do Rosji i gotowość do objęcia władzy na polskim terytorium. Stąd akcja Burza z kompletnym ujawnianiem się i pęd do akcji zbrojnej na szerszą skalę. Drugi pogląd był za ograniczoną akcją przeciwko Niemcom i tylko częściowym ujawnianiem się wobec nadchodzących Rosjan. Kładł on natomiast nacisk na przygotowanie organizacji pod okupacją sowiecką i liczył na konflikt pomiędzy Rosją i Zachodem. Ta koncepcja wyczekiwania obca była ludziom aktywnym, toteż nic dziwnego, że niektórzy oficerowie, może nawet nieświadomie, popierali politykę Premiera Mikołajczyka. Silnie panująca w kraju chęć odwetu nad Niemcami sprzyjała dążeniu do walki.

Politykę Mikołajczyka popierały bardzo silnie zarówno władze angielskie jak i amerykańskie. Do jakiego stopnia gen. Tatar współpracował z Premierem Mikołajczykiem w celu przeprowadzenia wspólnej linii politycznej trudno jest stwierdzić. Należy jednak podkreślić, iż gen. Tatar i oficerowie, którzy ulegli jego wpływowi, obawiali się, że zwolennicy poglądu nieustępowania wobec Rosji, z Nacz. Wodzem i gen. Andersem na czele, zdołają jeszcze w ostatniej chwili narzucić swoją linię postępowania krajowi i z tego względu wstrzymywali wiadomości, które mogłyby wzbudzić silną reakcję ze strony zwolenników ograniczonej akcji w kraju. Z drugiej strony opóźniali oni i wstrzymywali reakcje Nacz. Wodza oparte na otrzymywanych przez niego częściowych wiadomościach. Należy przyznać, że zadania te zostały wykonane sprawnie.

Doba opóźnienia

Na zakończenie należy poruszyć jeszcze jedną sprawę związaną z łącznością radiową. Na str. 329 gen. Kopański pisze: „O decyzji kraju rozpoczęcia walki o Warszawę dowiedzieliśmy się w Londynie 2 sierpnia po południu, a więc gdy walka o stolicę trwała już od 24 godzin”. Stwierdzenie to wymaga wyjaśnienia.

Jak już wiemy walka o Warszawę została zadecydowana przez Komendę Główną A.K. w ostatniej chwili i pozostało zaledwie sześć dni, pomiędzy 25 lipca i 31 lipca, na jej przygotowanie. W tym czasie powzięto decyzje, które poważnie zaważyły później na przebiegu walki. Między innymi powstało zagadnienie locum na Kwaterę Główną. Zgodnie z planami powstania powszechnego Kwatery Główna miała się znajdować na Mokotowie. Z chwilą zdecydowania, że ma się odbyć walka o Warszawę postanowiono ulokować Kwaterę Główną w fabryce mebli Kamlera na ulicy Dzielnej. Na skutek niespodziewanego zajścia Kwatery Główna została odcięta już w godzinę po rozpoczęciu walki.

Jest rzeczą wiadomą, że nowy sprzęt elektroniczny jest mniej pewny w działaniu niż wypróbowana aparatura mająca za sobą sporą ilość godzin operacyjnych. Tymczasem w pośpiesznych przygotowaniach do walki o Warszawę nie została przeniesiona do fabryki Kamlera żadna z aparatów używanych przez co najmniej dziewięć Wand przebywających na terenie Warszawy. Przewieziono tam natomiast nie używaną dotychczas radiostację o większej mocy, która została specjalnie skonstruowana na wypadek powstania powszechnego do użytku Kwatery Głównej i, jak to

zwykle się zdarza z nowym sprzętem elektronicznym, przez kilkanaście godzin nie zdołano jej uruchomić. Gen. Bór-Komorowski (str. 240) opisuje próby przedostania się przez kordon otaczających Niemców w celu dostarczenia jakichś brakujących części do tej niewypróbowanej radiostacji. Dopiero 2 sierpnia radiostacja ta nawiązała łączność z Barnes Lodge.

Tymczasem latem 1944 r. w okresie popołudniowym istniały najbardziej znośne warunki korespondencji radiowej pomiędzy Warszawą i Londynem i akurat w czasie rozpoczęcia walki w Warszawie 1 sierpnia, któraś z Wand warszawskich korespondowała z Barnes Lodge. Trudno się dziwić warszawskiemu radiotelegrafście, że nadał tekstem otwartym po polsku wiadomość, która brzmiała mniej więcej tak: „Już walczymy. Flaga biało-czerwona powiewa nad Warszawą”. W Barnes Lodge od co najmniej kilku dni panował gorączkowy nastrój oczekiwania na wielkie wypadki w kraju z godziny na godzinę, toteż wiadomość tego rodzaju padła na grunt przygotowany. Kpt. Popkiewicz został natychmiast zawiadomiony o wiadomości odebranej tekstem otwartym. Z kolei kpt. Popkiewicz natychmiast meldował o tym osobiście za pomocą dalekopisu ppłk. Utnikowi. W ten sposób Szef Oddz. Spec. Sztabu N.W. wiedział, że walka o Warszawę rozpoczęła się w kilkadziesiąt minut później. Stwierdzenie to jest oparte w pierwszym rzędzie na oświadczeniu mjr. inż. Popkiewicza po moim odczycie w Stowarzyszeniu Elektryków Polskich w Londynie w dniu 11 stycznia 1964 r.

W aktach Oddz. Spec. nie natrafiłem na jakikolwiek ślad otrzymania tej wiadomości, czyli została ona celowo zatrzymana. Można by argumentować, że Oddz. Spec. odniósł się z rezerwą do tej wiadomości, gdyż została ona nadana tekstem otwartym przez warszawskiego telegrafistę. Tymczasem zaledwie kilka dni wcześniej, bo 27 lipca została odebrana tekstem otwartym od Wandy 28, która była przydzielona do Komendy Okręgu Lublin-wiadomość, która brzmiała: „Tow. rozbrajają nas”. Pochodziła ona również od telegrafisty. Wpisano ją do dziennika Oddz. Spec. pod L. dz. 6043 i przekazano czynnikom zainteresowanym, a między innymi nawet Naczelnemu Wodzowi.

Trudno jest zrozumieć dlaczego gen. Tatar i ppłk Utnik zdecydowali informację o rozpoczęciu walki o Warszawę zatrzymać jedynie do własnej wiadomości. Może przypuszczali, że zgodnie z oceną sytuacji dokonaną przez Komendę Główną A.K. (telegram nr 406 z 21 lipca) Niemcy są bliskie załamania się i niezdolne do skutecznego przeciwstawienia się Armii Krajowej w Warszawie. Może przewidywali, że oficjalny telegram, który nadejdzie od gen. Bora-Komorowskiego, będzie już mówił o wyrzuceniu Niemców

z Warszawy, co wykaże, że oni, tzn. Tatar i Utnik między innymi mieli rację doprowadzając do akcji powstańczej.

Jeżeli taki był ich tok rozumowania, to jak sobie wyobrażali dalsze wypadki? Czyż mogli przypuszczać, że warszawska A.K. będzie potraktowana przez Rosjan inaczej niż A.K. na Wołyniu, w Wilnie, we Lwowie, w Białymstoku, czy w Lublinie?

Z.S. SIEMIĄSZKO B.Sc.(Eng.) — ppor. łączności

DOKUMENTY I ŹRÓDŁA

1. Historia Batalionu Łączności Sztabu N.W., maszynopis opracowany w okresie P.K.P.R., str. 108, praca zbiorowa oficerów Batalionu pod kierownictwem mjr. K. Zielińskiego ówczesnego d-cy Batalionu. Jedna kopia w Studium Polski Podziemnej, druga w posiadaniu mjr. inż. S. Popkiewicza.

2. Kpt. inż. Sabin Popkiewicz, Kompania Radiotelegraficzna (załącznik do Hist. Bat. Łącz. Sztabu N.W.), maszynopis opracowany w lutym 1948, str. 28 i 11 wykresów. W posiadaniu mjr. inż. S. Popkiewicza.

3. Dziennik podawczy Oddz. Spec. Sztabu N.W. za lipiec i sierpień 1944. W Studium Polski Podziemnej.

4. Dziennik N.W. gen. broni Sosnkowskiego za lipiec — wrzesień 1944. W Instytucie im. gen. Sikorskiego.

5. Sprawozdanie z interwencji w sprawie pomocy dla A.K., Gabinet Nacz. Wodza, z dnia 12 sierpnia 1944. Kopia z uwagami kpt. inż. S. Popkiewicza. W posiadaniu autora.

6. Następujące telegramy przekazywane przez Oddz. Spec. Sztabu N.W. Obecnie w Studium Polski Podziemnej.

6.1. Telegramy gen. Bora-Komorowskiego. (Lawiny).

Nr 340/1 do 6/vv/999 z 10.7. L. dz. Oddz. Spec. 5753.

Nr 390/1 i 2/xxx/999 z 19.7. L. dz. Oddz. Spec. 5881.

Nr 406/1 i 2/xxx/999 z 21.7. L. dz. Oddz. Spec. 5916 i nota ppłk. Utnika z 24.7.

Nr 407/vv/999 z 21.7. L. dz. Oddz. Spec. 5995.

Nr 418/vv/999 z 22.6. L. dz. Oddz. Spec. 6007, odpowiedź na 5439.

Nr 420 z 22.7. L. dz. Oddz. Spec. 5988 (istnieje jedynie odpis, brak danych w sprawie przekazywania)

Nr 441/xxx/999 z 25.7. L. dz. Oddz. Spec. 6024.

Nr 476/1 i 2/xxx/999 z 30.7. L. dz. Oddz. Spec. 6155.

Nr 484/xxx/999 z 30.7. odpowiedź na 6030.

N.b. Liczba dzienna Lawiny jest w każdym wypadku o 1000 większa niż nr telegramu.

6.2. Telegramy Nacz. Wodza.

Nr 1121/vv/999 z 25.7. L. dz. Oddz. Spec. 6048, odpowiedź na 5881, do gen. Kopańskiego.

Nr 1129/xxx/999 z 25.7. L. dz. Oddz. Spec. 6030 odpowiedź na 1390, L. dz. N.W. 962.

Nr 1150/vv/999 z 25.7. L. dz. Oddz. Spec. 6089 do gen. Kopańskiego.

Nr 1200/vv/999 z 25.7. L. dz. Oddz. Spec. 6186, odpowiedź na 5881 do Prezydenta.

Nr 282010 z 25.7. L. dz. Oddz. Spec. 6152 do Prezydenta.

Nr 1280/vv/999 z 29.7. L. dz. Oddz. Spec. 6289, odpowiedź na 1420, L. dz. N.W. 970 do Lawiny.
 Nr 1281/vvv/999 z 28.7. L. dz. Oddz. Spec. 6241, L. dz. N.W. 967 do Prezydenta.
 Nr 1282/vv/999 z 30. 7. L. dz. Oddz. Spec. 6239, L. dz. N.W. 969, do gen. Kopańskiego
 Nr 1283/vvv/999 z 28.7. L. dz. Oddz. Spec. 6213, odpowiedź na 1406, L. dz. N.W. 966 do Lawiny.
 Nr 1284/vv/999 z 30.7. L. dz. Oddz. Spec. 6275, odpowiedź na 6082, L. dz. N.W. 968 do gen. Kopańskiego.
 Nr 1290/vv/999 z 2.8. L. dz. Oddz. Spec. 6395, odpowiedź na 6024 do gen. Kopańskiego.

6.3. Telegramy z Londynu do Nacz. Wodza

Nr 5731/555 zaszyfrowany 18.7. od kpt. Babińskiego
 Nr 5173/555 zaszyfrowany 21.7. od gen. Kopańskiego
 Nr 5881/vv/555 podpisany 22.7., od gen. Kopańskiego
 Nr 5938/xxx/555 podpisany 24.7. i 25.7. od gen. Kukiela
 Nr 5938/1/xxx/555 podpisany 24.7. od gen. Kukiela
 (dwa telegramy o innej treści pod tym samym numerem)
 Nr 5941/xxx/555 zaszyfrowany 24.7. od gen. Kopańskiego
 Nr 5941/1/xxx/555 podpisany 24.7. od Prezydenta
 Nr 6077/1/xxx/555 podpisany 27.7. od gen. Kukiela
 Nr 6077/2/xxx/555 zaszyfrowany 28.7. od gen. Kopańskiego
 Nr 6082/xxx/555 zaszyfrowany 28.7. od gen. Kopańskiego
 Nr 6089/vv/555 podpisany 28.7. od gen. Kopańskiego
 Nr 6112/vv/555 podpisany 28.7. od gen. Kopańskiego
 Nr 6165/vv/555 podpisany 29.7. od kpt. Babińskiego
 Nr 6173/vv/555 zaszyfrowany 31.7. od kpt. Babińskiego
 Nr 6024/vv/555 zaszyfrowany 31.7. od gen. Kopańskiego

6.4. Telegram spod Wilna do Kwatery Głównej A.K. i Sztabu N.W.

Nr 5/xxx/ z 17.7. L. dz. Oddz. Spec. 13168

BIBLIOGRAFIA

1. Stanisław Kopański, *Wspomnienia Wojenne 1939-1946*, K.O.W. „Veritas”, Londyn, 1961.
2. *Polskie Siły Zbrojne, Armia Krajowa*, tom III, Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, Londyn, 1950.
3. Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza Historia Polityczna Polski, Okres 1939-1945*, tom III, Londyn, 1960.
4. Tadeusz Bór-Komorowski, *Armia Podziemna*, K.O.W. Veritas, Londyn, 1951.
5. Władysław Anders, *Bez Ostatniego Rozdziału*, Montgomeryshire Printing Company, Ltd., 1949.
6. Adam Borkiewicz, *Powstanie Warszawskie 1944*, Warszawa, 1957.
7. Hanns von Krannhals, *Der Warschauer Aufstand 1944*, Bernard & Graefe Verlag für Wehrwesen, Frankfurt am Main, 1962.
8. Edward Raczyński, *W Sojusznicy Londynie*, Polish Research Centre, 1960.
9. Stefan Korboński, *W Imieniu Rzeczypospolitej*, Instytut Literacki, Paryż, 1954.

10. S. Sosabowski, *Najkrótszą Drogą*, Komitet wydawniczy polskich spadochroniarzy, Londyn 1957.
11. Zbigniew Siemaszko, *Wojenne Kontakty z Krajem*, „Kultura” nr 139.
12. Jan Bielatowicz i Władysław Michniewicz, listy do redaktora, „Wiadomości” nry 868, 882 i 892.
13. Leon Mitkiewicz, *Powstanie Warszawskie*, „Zeszyty Historyczne”, Zeszyt Pierwszy, Instytut Literacki, Paryż, 1962.
14. *Bitwa w Eterze*, audycja nagrana dla Radio Free Europe dnia 10 lipca 1963 r. z udziałem mjr. inż. S. Popkiewicza, mjr. K. Bogackiego i ppor. inż. Z.S. Siemaszki, narrator J. Garliński, Na Antenie, nr 13.
15. Władysław Michniewicz, *Śmierć płk. Hańczy*, „Kultura” nr 194.
16. Jan A. Jaxa, *Oświadczenie*, „Kultura” nr 195-196.
17. B. Marek Nadolczak, *Jeszcze o płk. Hańczy*, „Kultura” nr 197.
18. Władysław Michniewicz, *Rehabilitacja płk. Hańczy*, „Kultura” nr 199.

RUMUNIA 1939 R.

CYKL RUMUŃSKI

Na jednej z gier wojennych w latach dwudziestych omawiano jak zwykle wypadki „N” (Niemcy) i „R” (Rosja) osobno, gdy zaś przyszło do omawiania wypadku „N+R” (Niemcy plus Rosja), Marszałek zachnął się i powiedział: „My wojny na dwa fronty prowadzić nie możemy, więc ja was wojny na dwa fronty uczyć nie będę... Wojna na dwa fronty to znaczy ginąć tu, na placu Saskim z szablami w dłoni dla obrony honoru narodowego!...” — po czym pomilczał chwilę i z naciskiem powiedział: „Bezsens! Bezsens!”.

Z chwilą podpisania paktu niemiecko-sowieckiego w 1939 r. zaistniała właśnie sytuacja, tak dobitnie scharakteryzowana przez Piłsudskiego. Jediną konsekwencją wojny w tych warunkach — była tylko całkowita klęska.

Pod wpływem czynników emocjonalnych, dla różnych celów politycznych, zarówno na emigracji jak i w obecnej Warszawie, analizowane były, są i będą tak zwane „przyczyny klęski”, które jednak byłoby właściwiej nazywać „okolicznościami klęski” — gdyż jej jedyną i podstawową *przyczyną* politycznie i strategicznie — był sojusz Hitlera ze Stalinem. Naród w tych warunkach ma do wyboru tylko — poddać się lub paść w walce, broniąc „honoru”, który nas tyle kosztował w całej historii Polski. Czesi są praktyczniejsi...

Wojna 1939 roku bynajmniej nie była niespodzianką dla nikogo. Mówiło się o niej wszędzie na świecie od chwili objęcia władzy w Niemczech przez Hitlera. Wkrótce potem, szereg naszych attachés wojskowych w ważniejszych punktach globu, otrzymał polecenie opracowania na podstawie lokalnie zebranych materiałów, tematu: „kiedy Niemcy będą gotowe do wojny zaczepnej”.

Byłem wówczas attaché wojskowym w Bukareszcie, i tam, siadłem nad tym problemem razem z pułkownikiem Delmas, francuskim attaché wojskowym, specjalistą od spraw strategicznych. Ocena wypadła że na początku 1940 najwcześniej, przy czym jedną z trudności armii niemieckiej było, w naszym mniemaniu, to że nie może wcześniej wyszkolić oficerów służb tyłowych, niezmiernie ważnych w warunkach wysoce zmechanizowanych sił zbrojnych. (Jak się później okazało, Niemcy sprawę tę rozwiązyali przez powołanie wyższych urzędników administracyjnych z przemysłu na skrócone kursa specjalne). Podobne oceny nadeszły do Warszawy i od innych attachés wojskowych, i Oddział II, na podstawie tego, wydał swoją opinię, którą jednak już nie mogła przyspieszyć dat gotowości COP'u i dozbrojenia, które były rozłożone na okres aż do 1945 roku.

Gdy, już po wojnie, spotykałem się w Londynie prywatnie z byłym przedwojennym Ministrem Obrony w rządzie brytyjskim, p. Hoare-Belisha, mówiłem z nim o naszych planach COP'u. Na to uśmiechnął się gorzko i powiedział — „Wie pan, że myśmy na Zachodzie przeliczyli się w podobny sposób? — Gdy podczas mego urzędowania Francja kończyła budowę swej linii Maginota, starałem się poruszyć niebo i ziemię by przedłużyć linię tej fortyfikacji poprzez Belgię do samego morza. Z brytyjskiego punktu widzenia to przecież było zagadnienie znacznie większej wagi co wasz COP. Dunkierka tego dowiodła boleśnie. Chodziło jednak o to że Belgia nie miała ani funduszy ani cementu na takie przedsięwzięcie. Zaproponowałem że my ten cement dostarczymy na warunkach kredytowych. Niestety skończyło się na tym że oskarżono mnie o „zainteresowanie finansowe w brytyjskim przemyśle cementowym”!... Naturalnie cała sprawa upadła”.

Gdy po mojej dymisji z OZN'u, nie wróciłem do wojska, a objąłem kierownictwo towarzystwa importu surowców strategicznych w Warszawie pod nazwą TISSA, jeździłem często na zachód, do Belgii, Francji, Stanów Zjednoczonych no i głównie do Londynu. Celem było takie zorganizowanie zakupów podstawowych surowców strategicznych, aby stworzyć co najmniej trzymiesięczną rezerwę, gdyż zapasów tych w ogóle nie było, a przemysł wojenny rozrastał się szybko. Jak we wszystkim — Polska nie miała funduszy ani dewiz na takie „ekstrawagancje”, niezbędne z punktu widzenia wojennego. Szukając rozwiązania tego dylematu — pojechałem do Londynu na wiosnę 1939 roku z propozycją dla kilku największych banków londyńskich o udzielenie nam kredytu na te zapasy surowcowe, jakie byłyby złożone w Polsce, a gwarantowane na cukrze i drewnie polskim, które i

tak leżą na składach w Anglii co najmniej przez rok, zanim są sprzedane. Na zebraniu dyrektorów tych banków, gdy przedstawiłem im ten projekt — uznano go za całkowicie do przyjęcia, gdyż po obliczeniu wychodziło, że gwarancja taka pokrywałaby z „zapasem” nasze potrzeby zapasów miedzi, cyny, antymonu, rtęci, kauczuku itd., ale...

Po konferencji, podczas śniadania w tym samym banku gdzieśmy obradowali, siedziałem koło „gospodarza”, który, z typową zażenowaną angielską dyskrecją wyjaśnił mi to zasadnicze „ale” które uniemożliwia w tej chwili zawarcie tej, skądinąd bardzo interesującej wszystkie reprezentowane tutaj banki, umowy. Chodzi o to że wojna jest nieunikniona, może nastąpić nawet w tym roku, i w takim wypadku trudno jest przewidzieć żeby Polska mogła się oprzeć Niemcom. Innymi słowy, te zapasy złożone w Polsce, trafiłyby do najbardziej niepowołanych rąk niemieckich...

Po powrocie do Warszawy, zgłosiłem się natychmiast u Szefa Sztabu Generalnego, gen. Stachewicza, z którym mnie łączyły bliskie stosunki od dawna. Dzień był upalny, generał był zmęczony, i zaproponował abyśmy pojechali nad Wisłę, na świeże powietrze. Idąc wałem Miedzeszyńskim wyłożyłem generałowi cały przebieg londyńskiej rozmowy, podkreślając znaczenie takiej opinii sfer bankowych, które nie tylko wiedzą lepiej niż urzędowe sfery, ale są również mniej skrępowane w wydawaniu takich opinii. Generał wysłuchał uważnie moich wywodów, po czym powiedział: „My to wszystko wiemy, ale musimy się również liczyć z tym czego oni nie biorą pod uwagę, a mianowicie, że my mamy dwa pakt o nieagresji z Sowietami i z Niemcami, a poza tym mamy zapewnienia osobiste z Berlina, że nie będziemy zbrojnie atakowani. Poza tym, ja osobiście, w obecnych warunkach, wojny w roku bieżącym nie przewiduję”. (Rozmowa toczyła się na długo przed paktem Hitler-Stalin).

Wróciłem do domu i zrobiłem sobie rachunek sumienia. Sfery najbardziej poinformowane w Londynie spodziewają się wojny w tym roku. Szef Sztabu również jest widocznie niespokojny, ale tego nie chce okazać, przykrywając się oficjalną wiarą w pakt, zapewnieniami z Berlina, i własną oceną, że wojny w tym roku nie będzie, boć się do tego, co może sam myśli — nie przyzna: jego stanowisko na alarmy nie pozwala.

Wobec tego — po zestawieniu danych, co ja mam osobiście o tym myśleć, i co robić? Odpowiedź była jasna — przygotowywać się do wojny już w tym roku!

W konsekwencji — od razu zaczęliśmy wywozić metale i kauczuk jakie się jeszcze znajdowały w Gdyni w głąb kraju, bar-

kami po Wiśle, no i aby mieć pod ręką dwie niezbędne rzeczy, jakie w razie wybuchu wojny są najtrudniejsze do uzyskania: — kupiliśmy cztery beczki benzyny samochodowej i zamagazynowaliśmy w Tissie, no i ściągnęliśmy około pół miliona złotych w gotówce z banku do kasy przedsiębiorstwa.

W rezultacie — gdy wojna wybuchła — mieliśmy już wszystkie metale na składzie na Żeraniu, benzyny mieliśmy w bród na ewakuację, a te pół miliona pojechało z całym personelem i dyrektorem Grzymałowskim na Wołyń, skąd wrócili i przez całą wojnę mieli z czego utrzymywać się pod okupacją, handlując już nie surowcami, a trykotażami, drzewem i Bóg wie czym jeszcze.



W ostatnich przedwojennych dniach sierpnia widywałem się często z marszałkiem Ratajem, z którym od czasów OZN utrzymywałem bliskie stosunki. Powstało wówczas zagadnienie stworzenia rządu koalicyjnego w związku z sytuacją wymagającą skupienia wszystkich sił narodu. Prowadzone były pertraktacje między stronnictwami opozycji — ludowcy, narodowa demokracja, i polska partia socjalistyczna, itd. w rezultacie których powzięto decyzję proponowania marszałkowi Śmigłemu, przez pośrednictwo OZN, stworzenia takiego właśnie rządu.

Marszałek Rataj wezwał mnie, i polecił abym udał się do OZN i tam poinformował płka Wendę lub gen. Skwarczyńskiego o tej propozycji. Było to już wieczorem, lecz poszedłem od razu do pobliskiej siedziby OZN, gdzie zastałem płka Wendę tylko. Przyjął mnie od razu, znaleźliśmy się bowiem od dawna, przyciszył radio jakiego właśnie słuchał, i ja wyłożyłem mu cel mojej wizyty, podkreślając pilność sprawy i konieczność podania jej wyżej. Płk. Wenda wysłuchał mnie uważnie, ale odpowiedź jego zmroziła mnie jak zły omen. „Ach tak, to teraz przychodzić współpracować! Już jest za późno — teraz są tylko rozkazy!”...

Tejże nocy, nad ranem, obudził mnie jakiś niezwykle hałas. Okazało się że w ciszy nocnej słysząc było doskonale głośną rozmowę telefoniczną, jaką prowadził mój sąsiad o piętro wyżej, gdyż jego gabinet był nad moim sypialnym pokojem. Był on właścicielem jakiejś fabryki wyrobów kauczukowych pod Grudziądzem, tuż koło granicy Prus Wschodnich. Sąsiad nie mówił — lecz krzyczał po prostu, usiłując zrozumieć co mu komunikują. Oderwane słowa mówiły wyraźnie o co chodzi. „Co? Artyleria? Strzela na fabrykę? Skąd? Z Niemiec? Biją się? Kto się bije?” i tak dalej.

Starym frontowym zwyczajem, gdy jest alarm, pierwsze jest ubrać się. Toteż od razu ubrałem się i zacząłem alarmować moich z kolei dyrektorów i personel. Wkrótce pierwsze bomby padły na Warszawę.

Pierwsze dni wojny w Warszawie upłynęły mi na jeżdżeniu samochodem po mieście do miejsc gdzie padły bomby i pomaganiu przewozić ludzi do szpitali, na kontaktowaniu się z przyjaciółmi w Sztabie Generalnym (którzy *nota bene* po przeniesieniu się do schronu przeciwlotniczego, zaczęli tam od piecyków węglowych) — lecz, po moim wyjściu z wojska — nie przewidziano dla mnie żadnego przydziału mobilizacyjnego, i błąkałem się po sztabie jak zgubiona owca. Poszedłem także do Sztabu Obrony Warszawy, gdzie znałem wszystkich, lecz moje sugestie czy mogę się przydać na coś, jakoś były pomijane milczeniem. Po kilku dniach, ściślej trzeciego dnia wojny zaczęły się alarmy, że Warszawa jest zagrożona już z prawej strony Wisły.

Wobec tego zwróciliśmy się do pepesowskich batalionów robotniczych o pomoc w zabezpieczeniu naszych metali, jakie były w składach na Żeraniu. O ewakuacji ich — nie było już mowy. Zdecydowaliśmy się je zatopić w Wiśle. A było tego sporo, szczególnie ogromnie wartościowej cyny. To co było jeszcze na barkach — w tychże barkach wyholowano na głębsze odcinki Wisły w górę rzeki i tam zatopiono ładunek razem z barką. Barkę zamuli piaskiem, lecz mając oznaczone miejsce, łatwo będzie ją odnaleźć i wydobyć metal w niej leżący, jak miedziane „wirebarsy”. Ale metale, zatopione w Wiśle bez barek — tak się zakopią w piasek, że ich się potem w ogóle nie odnajdzie. Wtedy ktoś zaproponował zatopienie ich w stawach w ogrodach łazienkowskich. Tam też poszła nasza cenna cyna, i trochę innych metali. O ile wiem — Niemcy nigdy do tych skarbów się nie dobrali. Był tylko raz alarm, gdy ktoś niewtajemniczony kazał spuścić stawy w Łazienkach, aby je wymrozić przez zimę. Szczęśliwie nasze metale były już tak pokryte wodorostami i mułem, że się nie ujawniły, ale sytuacja była niebezpieczna, wobec czego postarali się nasi, aby uznano stawy za wymrożone dostatecznie i wodę do nich wpuszczono z powrotem. O ile się orientuję po tylu latach — to niewątpliwie skarby w miedzi i w cynie gdzieś jeszcze leżą pod wodą, gdyż nie słyszałem, aby je po wojnie wydobyto.

Bataliony robotnicze rzeczywiście uratowały te bezcenne w czasie wojny metale przed Niemcami, dzięki energii i chęci do współpracy ze strony śp. Mariana Koeniga, który nimi zarządzał.

Ponieważ byłem w tym czasie wiceprezesem Jacht Klubu Polski, więc i piecza nad całym taborem tego klubu spadła na mnie. Klub ten był na prawym brzegu rzeki, w górę od trzeciego

mostu, i podczas bombardowań przez lotnictwo niemieckie był „pod ostrzałem”, co zdemoralizowało obsługę klubu i zagrażało łodziom. W dodatku, z Dowództwa Obrony Warszawy, dostaliśmy na czwarty dzień wojny ostry rozkaz o zabranii z prawego brzegu Wisły wszystkich łodzi, które w przeciwnym razie będą zniszczone przez wojsko, gdyż niemiecka kolumna posuwa się ku Warszawie z Prus Wschodnich po prawej stronie Wisły, i trzeba jej uniemożliwić przeprawę.

Zmobilizowałem więc dzielną panią Dziakiewiczową, która również była członkiem tego klubu, i była współwłaścicielką Małej Ziemiańskiej i pojechaliśmy do klubu przewozić cały tabor na lewy brzeg. Wisła była tak płytka, że ją można było piechotą przejść w dowolnym miejscu, więc łodzie sportowe, by nikomu do przeprawy nie pomogły, ale rozkazy są rozkazami, więc w pocie czoła przeprawialiśmy tabor przez całe popołudnie. Niestety na drugi dzień Dowództwo Obrony Warszawy nakazało wszystkie łodzie i środki przeprawy przeprowadzić z lewego brzegu na prawy, wobec zbliżających się do stolicy z zachodu niemieckich kolumn. Wobec tego spędziliśmy z panią Dziakiewiczową i z bosmanem klubu znów cały dzień na Wiśle pchając, wiosłując i holując kilkadziesiąt małych i dużych łodzi klubowych.

Tymczasem zaczęła się już ewakuacja. Wyjechało Ministerstwo Spraw Zagranicznych, i ruszyły się też inne ministerstwa, łącznie z Ministerstwem Spraw Wojskowych. Cały mój personel Tissy, pod komendą dyrektora Grzymałowskiego, załadowaliśmy na ciężarówki, razem z opatrnością benzyną i kasetką z gotówką — i wysłali na Wołyń, gdzie ktoś miał jakichś krewnych w mająteczku, z tym żeby się kontaktowali z M.S. Wojsk, bodaj w Dubnie. Lokalem Tissy miał się opiekować p. Hulanicki, który nie chciał wyjeżdżać z Warszawy.

Szóstego dnia wojny, załatwiwszy sprawy metali, Tissy i łodzi klubowych, poszedłem wieczorem do Sztabu Generalnego aby znów się zameldować do dyspozycji. Gen. Malinowski, który już przygotowywał sztab do ewakuacji, zapytał czy mam swój samochód (który miałem) i powiedział mi że mogę być bardzo użyteczny z tym samochodem jako oficer łącznikowy pomiędzy organami wojskowymi a rządowymi, gdyż wszyscy będą rozlokowani w rejonie od Brześcia nad Bugiem do Krzemieńca, i łączność między wszystkimi resortami staje się sprawą kapitalnej wagi. Wystawił mi więc zaświadczenie na przejazd do miejsca postoju M.S. Wojsk, gdzie mam się zameldować u gen. Maciejowskiego. Wyjazd natychmiast.

Wyjechaliśmy w nocy z 6 na 7 września. W Puławach, potem w Lublinie napotykaliliśmy na poszczególne ministerstwa,

7 dobrnąłem do M.S. Wojsk, skąd zacząłem „urzędowanie” jako oficer łącznikowy, zaś rodzinę ulokowałem w Łucku, u przyjaciół w domu oficerskim.

Już na drugi dzień powstała nowa sprawa. Chodziło o to że potrzebne były materiały sanitarne dla wojska, i powstała koncepcja wysłania do Moskwy misji specjalnej, która by się zajęła sprawą dostarczania z ZSSR, lub poprzez ZSSR, zaopatrzenia sanitarnego, w myśl konwencji Czerwonego Krzyża. Z tytułu mej znajomości ZSSR, zdecydowano wysłać mnie jako szefa tej misji do Moskwy, zaś majora Zarębskiego jako mego zastępcę. Poselstwo sowieckie posłało tę propozycję do Moskwy, skąd nadeszła jednak odpowiedź odrzucającą moją kandydaturę i pojechał tylko major Zarębski. Odmowę sowiecką spowodowało najprawdopodobniej to, że swego czasu, rząd sowiecki, jako retorsję za areszt i skandal z attaché wojskowym sowieckim w Warszawie, zażądał mego odwołania z Moskwy, co też nastąpiło.

Rejon rozlokowania resortów rządowych był pod nasilającym się bombardowaniem z powietrza, i żeby rodzinę usunąć z zagrożonych miejsc, dnia 15 września o świcie, zabrałem ją i przewiozłem do dworu znajomych, pod Łuckiem. Wyładowawszy ją wróciłem do Łucka, lecz, ku memu zdumieniu, już nie zastałem w Łucku żadnego urzędu. Minister Arciszewski, z którym dzieliłem w Łucku kwaterę, też zniknął, i nikt nie mógł mnie poinformować co się stało. Dopiero w województwie poinformowano mnie poufnie, że nadeszły dyspozycje natychmiastowego przesunięcia wszystkich resortów rządowych i wojskowych na południe, dokąd — też nie wiedzieli. Niespodziewany charakter tego zarządzenia dowodził jego wagi, wobec tego, nie namyślając się, pojechałem z powrotem po rodzinę, załadowałem na wóz i ruszyliśmy „na południe”, zabierając ze sobą paru takich również „pogubionych”.

Droga „na południe”, przez opustoszały Krzemieniec, szła na Tarnopol. W pewnym momencie już nie było szosy, a tylko typowy ukraiński trakt, na szczęście suchy, na którym widać było wyraźnie ślady masy samochodów jaka wtedy przejechała. Zanocowaliśmy gdzieś dopiero w Buczacu, jadąc cały dzień wzdłuż granicy sowieckiej na odległości średnio 30 kilometrów od niej.

Dopiero 16 września rano dojechałem do Kosowa, gdzie już zastałem „wszystkich”. Stamtąd pojechałem do Sztabu, który był zakamuflowany w młynie pod Śniatyniem, i tam generał Malinowski wydał mi polecenie wyjazdu do Rumunii, do Galacu, dokąd mają nadejść czołgi i samoloty z Anglii, i zorganizować ich odbiór i śpieszną wysyłkę na front, który się odwraca i bę-

dzie biegł w poprzek Małopolski. Ponieważ już była noc, więc polecił mi przespać się, i rano zameldować się u Ministra Becka, który jest już powiadomiony i poleci wydać odpowiednie dokumenty.

Przenocowawszy z biedą w Kosowie, odnalazłem wczesnym rankiem 17 września willę, w której stał minister Beck. Otworzył drzwi sam minister Beck, już ubrany. Gdym mu powiedział po co przybyłem, popatrzył na mnie przez chwilę, po czym powiedział: „Niestety to już jest nieaktualne. Teraz my wszyscy jedziemy do Rumunii. Dziś o świcie wojska sowieckie wkroczyły na nasze terytorium na całej rozciągłości granic”. Po czym dodał — jadę zaraz do marszałka Śmigłego.

W takich chwilach nie bardzo jest o czym mówić, zasalutowałem i uściskawszy sobie dłonie — rozeszliśmy się. To był ostatni raz kiedy min. Becka widziałem.

Ja również pojechałem do Sztabu Naczelnego Wodza, gdzie gen. Malinowski kazał mi pojechać na posterunek KOP'u, na odcinku przejścia przez granicę, celem postawienia na drodze prowadzącej do przejścia granicznego, kierunkowych. Na posterunku spotkałem dowódcę tego odcinka, oficera, z którym swego czasu razem byliśmy w 2-im Korpusie Wojsk Polskich na Wschodzie, sformowanym po rewolucji rosyjskiej właśnie na Bukowinie, na którą przecież mamy teraz przechodzić.

Wyjaśniło się że droga jest bardzo prosta, kierunkowych nie potrzeba, jest tylko jedno rozdroże, gdzie trzeba jechać na prawo a nie na lewo. Reszta bez żadnych rozgałęzień ani rozdroży. Wobec tego sam pojechałem na to rozdroże w pięknym lesie, i tam stanąłem dramatycznie za „kierunkowego”. Wkrótce zaczęły jechać samochody rządowe i przejechał wóz Naczelnego Wodza. Zasalutowałem i wskazałem wyciągniętą ręką kierunek. Z wozu mi odsalutowano, i na tym skończyła się moje ostatnia misja w Polsce. Wróciłem do swego samochodu, zdjąłem mundur, włożyłem cywilną marynarkę, i sam ruszyłem do granicy, już w tłumie samochodów.

Granice przejechałem bez trudności, nie miałem ich też w dalszej drodze przez Storożyniec do Czerniowiec. Mówię dobrze po rumuńsku, więc łatwo było mi się poruszać. W Storożyniu, na rynku, widziałem nasze oddziały już rozbrajane przez Rumunów, składające po prostu na ziemi broń, którą odnosili gdzieś na bok rumuńscy żołnierze.

W Czerniowcach, w hotelu, spotkałem przedstawicieli naszej ambasady, oraz całą chmarę korespondentów zagranicznych, wielu znanych mi dobrze z czasu mego pobytu w Bukareszcie przed trzema laty, jako attaché wojskowy.

Pomiędzy nimi był korespondent włoski, Trandafilo, wielki nasz przyjaciel, którego znałem od dawna. Z wielkim taktem pominął wszelkie pytania o wypadki, lecz zapytał o to, gdzie jest poselstwo włoskie z Warszawy, a szczególnie jego przyjaciel, sekretarz di Stefano, wyjątkowo dla nas przyjazny. To mi przypomniało moją rozmowę z di Stefano, na przyjęciu w naszym M.S. Zagr., wydanym na początku 1939 roku, dla Ribbentropa, gdy ten był z wizytą w Warszawie.

Otóż pod koniec tego przyjęcia, podbiegł do mnie di Stefano bardzo podniecony i zapytał: „Cóż wy robicie? Przecież Niemcy zdruzgoczą was jeżeli dojdzie do wojny”. Nie miałem wiele do odpowiedzenia — więc rzuciłem niedbale: „Jeżeli spróbują, to będą mieli wielkie niespodzianki”. Z tego wywnioskowałem, że Włosi liczyli na jakiś nasz kompromis z Niemcami — a myśmy go odrzucili. Zapytałem więc Trandafilo czy Włosi liczyli, że nasze porozumienie z Niemcami było możliwe. Odpowiedział dyplomatycznie: „Porozumienie Berlina z Moskwą wykazało, że było to niemożliwe”.

Z Czerniowiec, już 18 września, dotarłem do Bukaresztu, gdzie udzielił mi gościny mój następca jako attaché wojskowy — płk T. Zakrzewski, zresztą w moim dawnym mieszkaniu na Strada Londra.

I tak, w ciągu mego życia, po raz trzeci znalazłem się na ziemi rumuńskiej. Pierwszy raz, w 1916 roku, z armią rosyjską, aż do 1918 roku, potem jako attaché wojskowy od 1933 do 1937, i teraz jako uchodźca. To, że po całej katastrofie znalazłem się nagle w kraju i wśród ludzi znanych mi doskonale, odegrało niewątpliwie wielką rolę w moim stanie psychicznym.

Polski miało nie być!

Odrzucając więc na stronę wszystko to co nosiło charakter wrażeniowy i uczuciowy oraz osobisty — stanęliśmy wobec trzech głównych zagadnień. Pierwsze — to co zrobić z tą masą uchodźców, jakich zebrało się w Rumunii ponad 80.000, gdzie, poza wojskowymi, była cała masa cywilów, którzy przypadkowo się na tym terenie znaleźli, jak na przykład kolejarze, szoferzy itd., nie należący ani do wojska ani do rządu, i przeważnie w starszym wieku.

Drugie — to co dzieje się i będzie dziać się w kraju. Jakie są losy tych co pozostali, i jeszcze się bronią (jak Warszawa), jakie będą terytorialne skutki niemiecko-sowieckiej napaści, i jakie będą losy ludności na tych terenach.

Trzecie — to sprawa kontynuacji wojny, dołączenia do alian-
tów, zorganizowania reprezentacji Polski zagranicą.

Sprawa zajęcia się losami uchodźców — była najpilniejsza. Co chwila dochodziły wieści do Bukaresztu o tym, że w takiej czy innej wsi lub miasteczku rumuńskim — znajduje się kilkadziesiąt albo i więcej Polaków, bez środków, którymi trzeba się natychmiast zająć. Prawda, ludność rumuńska na wszystkich szczeblach społecznych, była nad wyraz gościnna i pomocna, lecz sprawy narastały, i konieczną była natychmiast jakaś organizacja specjalna do tych spraw, jako że ambasada nie rozporządzała ani ludźmi, ani środkami.

Został więc utworzony Komitet Opieki nad Uchodźcami, i na prezesa tego Komitetu wybrano mnie, specjalnie ze względu na to, że będąc osobiście znany królowi oraz rządowi rumuńskiemu; do komitetu pod moim kierownictwem — nikt nie będzie miał zastrzeżeń.

Poza zorganizowaniem natychmiastowej doraźnej pomocy dla tych co znaleźli się w Bukareszcie, trzeba było dostać się do tych, rozproszonych na prowincji, nieraz odległej. Zebraliśmy szereg ochotników do tej pracy, z własnymi lub z danymi im środkami lokomocji, i ci, nad wyraz ofiarni ludzie, udawali się do tych skupisk uchodźczych, rejestrując ich, organizując, dając środki na utrzymanie. Jednym z tych którzy się na tym polu odznaczyli, nie śpiąc i nie jedząc, by szybko się poruszać w terenie i nieść ulgę ludziom — był między innymi Czesław Bobrowski. Nie było to łatwe zadanie, gdyż gorycz, płynąca z nieszczęścia, była niewyczerpanym źródłem i, naturalnie, uderzała w tych, którzy pojawiali się jako emisariusze „władz”, na które składano odpowiedzialność za klęskę.

Gdy już przerejestrowano większość uchodźców, okazało się że jest wśród nich kilka odrębnych grup, dla których właściwie nie ma innego wyjścia, jak powrót do „kraju”. Była duża grupa starszych wiekiem kolejarzy, przeważnie z Małopolski, którzy wjechali do Rumunii po prostu „mechanicznie”. Była też spora grupa starszych ludzi z Poznańskiego i Pomorza, którzy w podobny sposób jechali-jechali — aż dojechali. Między nimi była też liczna grupa „folksdojczów”, która się za takich podała, lecz która trzymała się jeszcze naszego komitetu.

Wszyscy ci byli kandydatami do powrotu, gdyż ani wojsko, ani emigracja nie miały dla nich sensu ani możliwości. Jak wrócić? Kto się ma tym zająć? Ambasada nie może — bo jesteśmy w wojnie z okupantami. Iść indywidualnie nie chcieli.

Nikt nie wiedział ani nie rozumiał co będzie. Ktoś jednak musiał się tą sprawą zająć i sytuacja wskazywała wprost na mnie,

jako prezesa komitetu „czynnika społecznego”, a nie politycznego ani wojskowego. Ponieważ było dwóch okupantów, więc, według tylko pobieżnie znanego nam podziału terytorialnego, trzeba było dla tych z Małopolski i z kresów — pytać się u sowieciarzy, zaś dla tych z reszty Polski — u Niemców.

Niestety, były ambasador sowiecki, Antonow Owsiejenko, którego doskonale znałem w Bukareszcie, już gnił w ziemi, rozstrzelany podczas czystek przedwojennych. Nowego nie znałem, więc wybrałem drogę przez konsulat sowiecki. Przyjęto mnie w tym konsulacie bardzo uprzejmie, rozmawiało ze mną dwóch panów, jeden konsul, zaś drugi wyraźny gepista. Gdy im wyłożyłem sprawę i pokazałem listę tych kilkuset kandydatów do powrotu do Małopolski i na kresy, obaj sowieciarze zainteresowali się żywo zawodem tych ludzi. Byli to głównie kolejarze, co ich ogromnie ucieszyło. „Ależ naturalnie, panie prezesie, wszyscy będą mogli wrócić i wszyscy natychmiast znajdą pełne zatrudnienie! To całkowicie zrozumiałe!”. Wyszli na chwilę do drugiego pokoju, po czym wrócił już tylko konsul i powiedział: „Naturalnie, panie prezesie, sprawa ta jest pilna i trzeba zaraz zająć się jej załatwieniem. Otóż właśnie naradziliśmy się nad sposobem załatwienia, i oto to co należy zrobić. Niech każdy zainteresowany zjawi się osobiście w naszym konsulacie z kartką z komitetu i my mu wydamy blankiety, na których musi spisać dokładnie całe swoje curriculum vitae, oraz dać odpowiedzi prawdziwe na szereg pytań. Podania muszą być w pięciu kopiach, a my je wyślemy do Moskwy do decyzji. Nie wątpię że w większości wypadków decyzja będzie przychylna, a co się tyczy pracy — to proszę ich z góry zapewnić, że ponieważ mamy ostry brak specjalistów i fachowców, to każdy z nich dostanie natychmiast pracę, na przykład kolejarze na Kaukazie, w Azjatyckich Republikach, no i na Syberii, gdzie jest poważne zapotrzebowanie na fachowców, a inni fachowcy nawet są jeszcze bardziej poszukiwani w tych rejonach”...

Na razie nie zorientowałem się, że jest to po prostu uprzejme uprzedzenie, że wszyscy pójść do łagrów na pracę przymusową, dopiero przesłankające wiadomości o zachowaniu się bolszewików we Lwowie i na innych terenach jakie zajęli, rozjaśniły nam w głowie.

Ponieważ nikt nie chciał tego rodzaju „organizacji powrotu”, przeto wielu załatwiło sprawę po prostu przechodząc przez zieloną granicę z powrotem, co im częściowo ułatwialiśmy, korzystając z tego że granica jeszcze nie była tak szczelnie zamknięta, jak teraz.

Trudniejszą do zgryzienia była sprawa tych, którzy chcieli

wracać pod okupację niemiecką. Posła niemieckiego, Fabriziusa i jego małżonkę, znałem doskonale z dawnych lat, gdyż organizowali oni liczne koncerty w poselstwie oraz przyjęcia, na jakich często bywałem. Oboje robili wrażenie typowych Niemców-intelektualistów z artystycznym posmakiem. Tymczasem, radca Poniński, uprzedził mnie że Fabriziusa nie poznam, gdyż zmienił się w „zakutego krzyżaka” i że nawet Rumuni się skarżą na jego dyktatorialne wysoki i interwencje. Minister Spraw Zagranicznych, Gafencu, powiedział mi że Fabrizius robi mu ciągle piekło, domagając się wyaresztowania i zamknięcia w obozach wszystkich Polaków-uchodźców. Na szczęście, były opinie o nowym konsulu niemieckim, hr. Matuschka, że jest bardzo przyzwoity i życzliwy Polakom, jako sam ze Górnego Śląska i katolik w dodatku, mówiący doskonale po polsku.

Umówiłem się więc z Matuschką, zabrałem listy i poszedłem do konsulatu. Matuschka przyjął mnie w nadzwyczajnie uprzejmy sposób, lecz widać było że jest w najwyższym stopniu i ztroskany i niepewny co zrobić z tym fantem.

Mówiliśmy po polsku i Matuschka powiedział mi że to jest bardzo trudna do rozstrzygnięcia sprawa, z wyjątkiem „folksdojczów”, gdyż ci winni się indywidualnie zgłosić do konsulatu, i on może się sam nimi zająć. Natomiast, jeżeli chodzi o innych — to on nie może mi nic na ten temat powiedzieć, gdyż te sprawy są zarezerwowane wyłącznie dla posła Fabriziusa, i tylko rozmowa z nim może dać mi jakieś „wyjaśnienie sytuacji”. Dodał że Fabrizius wie o mojej wizycie w konsulacie, „a przecież panowie się znają dobrze sprzed wojny” i zaproponował że zaraz zatelefonuje do Fabriziusa i ustali dla mnie wizytę u niego.

Z tonu w jakim Matuschka mi to mówił, wywnioskowałem, że Fabrizius, dowiedziawszy się o mojej wizycie u Matuschki, ułożył sprawę w ten sposób, abym poszedł do niego o „wyjaśnienie sytuacji”.

Wiedziony już niepowstrzymaną ciekawością, zgodziłem się i Matuschka ustalił moją wizytę u Fabriziusa na następny dzień późnym wieczorem, w prywatnym mieszkaniu Fabriziusa, na Ca-lea Victoriei.

Fabrizius przyjął mnie w swoim wielkim pokoju jadalnym, znanym mi doskonale, gdzie na stole leżała duża mapa. Przy stole siedziała pani Fabriziusowa z jakąś robótką ręczną na kolanach. Fabrizius skłonił się, stojąc po drugiej stronie tego stołu, tak samo jego żona i poprosił mnie siadać na krześle, jakie było przygotowane na *vis-a-vis* niego nad samą mapą. Pani F. popatrzyła na mnie, i po prostu zaczęła płakać, ocierając sobie oczy przez cały czas mojej wizyty.

Fabrizius zaś z punktu powiedział — „Konsul Matuschka mówił mi o kłopotach pańskiego komitetu w związku z uchodźcami, którzy chcą wracać. Otóż nie tylko wy macie kłopoty, kłopoty mają i Rumuni no i ja, gdyż Berlin naciska stale i usilnie, aby zrobiono porządek z tą całą masą uchodźców, wojska, z rządem, którzy znaleźli się tutaj jedynie dlatego, że Rosjanie, *zamiast wkroczyć na teren Polski dnia 15 września o świcie, tak jak to było ustalone*, spóźnili się przez swoje niedołęstwo o dwa dni, i tym spowodowali to, że mamy teraz tutaj w Rumunii tę masę Polaków. Gdyby wkroczyli zgodnie z umową 15 września o świcie — (Fabrizius to powtarza z naciskiem) — to nie mielibyśmy tu w Rumunii tego kłopotu z polskim rządem, wojskiem i uchodźcami, którzy teraz masowo jadą do Francji i Rumuni patrzą na to przez palce.

Niech pan teraz spojrz na tę mapę. Tu jest linia podziału Polski na zony interesów Sowietów i Reichu i niech pan patrzy, oto jest na niebiesko wymalowana linia tego podziału tak jak została ustalona umowami (tu pokazał mi linię podziału po Pisie, Bugu-Narwi, Wiśle i Sanie, według której Praga była u Sowietów, a Warszawa u Niemców). Przez swoje niedołęstwo, Rosjanie wkroczyli o dwie doby później, nasze wojska posunęły się już znacznie poza tę linię, wobec czego min. Ribbentrop musiał pojechać raz jeszcze do Moskwy, aby przesunąć linię podziału z Wisły na Bug, czemu się Sowiety ostro sprzeciwiały, lecz ponieważ nie wykonali umowy opóźniając się o te dwa dni, myśmy postawili na swoim i teraz linia podziału będzie jak ta czerwona linia”... (tutaj pokazał mi tę linię na swej mapie). Wszystko to Fabrizius mówił tonem podniesionym, ze sztucznym oburzeniem na Sowiety, wykazując jak to Moskwa jest temu wszystkiemu winna, że teraz są w ogóle jacyś uchodźcy polscy w Rumunii, gdyż, gdyby wkroczyli jak się umówiono — nikt by się z rejonu Brześć-Łuck-Krzemieniec nie wydostał...

A pani Fabriziusowa wciąż siedzi, mnie swoją robótkę i ociera oczy...

Mnie zaś stała w pamięci ta podróż z Łucka na południe, tym traktem bez szosy, te dwieście kilometrów wzdłuż granicy sowieckiej, w rannych godzinach dnia 15 września, gdy Sowiety miały wkroczyć już o świcie!

Łatwo sobie wyobrazić los tej „karawany” rządowej i wojskowej, gdyby Moskwa dotrzymała umowy! Była jedna wskazówka, że coś się gotuje, gdyż poseł sowiecki wyjechał nagle do Moskwy, przed tym 15 września, jakoby nagle wezwany „w sprawach służbowych” i już nie wrócił z powrotem. Ale kto wówczas zwracał uwagę na takie szczegóły!

Myśmy wtedy jeszcze mało wiedzieli o planach sowiecko-niemieckich, wiedzieliśmy że była wojna, że zostaliśmy rozbici, że zaszedł właśnie ten wypadek wojny na dwa fronty, której marszałek Piłsudski nie chciał nas uczyć, ale te perspektywy, jakie w swym „wyjaśnieniu sytuacji” otworzył poseł Fabrizius przede mną, były tak fantastyczne, że nawet po wojnie mało kto chciał w to wierzyć bo, jak mi odpowiadano, „to nigdzie nie zostało zaprotokółowane”...

Nawet na to że linia podziału była w traktacie niemiecko-sowieckim (w klauzulach tajnych) tego też długo nie chciano uznać. „Frankfurter Illustrierte Zeitung”, gdzieś po wizycie Ribbentropa w Moskwie dla rektyfikacji linii podziału, ogłosiła dobrze graficznie wykonaną „Historię Kampanii Polskiej 1939” w mapkach z dnia na dzień, przy której dodane były obie linie podziału Polski, jako „Interessen Grenze”. Później przedłużona wzdłuż 21 stopnia długości geograficznej na Morzu Bałtyckim, ta „Interessen Grenze” oddawała państwa Bałtyckie i Finlandię Sowietom — róbcie z nimi co chcecie...

Gdy Fabrizius mi to wszystko mówił dla „wyjaśnienia sytuacji” — nie wiedzieliśmy jeszcze ani o Katyniu, ani o metodach likwidacji narodowej Polski, ani o tylu rzeczach późniejszych, gdyż jeszcze ich nie było.

Po wyłożeniu mi tego wszystkiego, Fabrizius powiedział, że w sprawie powracających zażądał instrukcji z Berlina, zaś co do ewentualnych dalszych rozmów, to wskazał na swego attaché lotniczego, płka Gerstenberg, z którym, jako wojskowym, będzie bardziej wskazane bym rozmawiał.

Było jasne że Fabrizius chciał się ograniczyć tylko do tego niezwyklego „wyjaśnienia sytuacji”, przy czym bynajmniej nie kazał płaczącej żonie wyjść z pokoju...

Nikt w Bukareszcie nie był w stanie wyjaśnić mi co to znaczy, ten udający krzyżaka Fabrizius, z płaczącą żoną, wygarniający na stół rewelacje tego rodzaju bez najmniejszej potrzeby, nieproszony przez nikogo — zagadka.

W nawale kłopotów i rozgardiaszu wkrótce zapomniałem o tej wizycie, tylko z „Frankfurter Zeitung” wyciąłem sobie te mapki, które też gdzieś w Paryżu poginęły. Dopiero w Lizbonie, pierwsze wieści o Katyniu, przypomniały mi bijącego pięścią w stół Fabriziusa, oskarżającego Sowietów, że wypuściły z rąk cały rząd i Naczelne Dowództwo Polskie oraz to całe wojsko jakie wymknęło się do Rumunii... Polski miało nie być, lecz planowany wspólnie „Katyń-monstre” — nie udał się...

(Fabrizius zginął tragicznie w Bukareszcie po upadku Antonescu).

Wizyta u marszałka Śmigłego

Zaledwie oficjalne osobistości zostały rozlokowane po miejscowościach „gościnnie” im zafiarowanych przez rumuńskie władze — wybuchła „bomba” w postaci lotnika który przyleciał z broniącą się jeszcze Warszawy na Węgry, i stamtąd dostał się do Bukaresztu, przywożąc zapytania do Wodza Naczelnego czy Warszawa ma się nadal bronić, czy też Naczelny Wódz da rozkaz kapitulacji.

Attaché wojskowy, płk Zakrzewski zdecydował pojechać osobiście do Marszałka Rydza Śmigłego do Craiova i przekazać mu to zapytanie z walczącej Warszawy. Wyjeżdżał późno w nocy samochodem, i namówiłem go żeby mnie ze sobą zabrał. Do Craiova dojechalśmy nad ranem, i rumuńska straż wojskowa wpuściła nas bez trudu do pałacyku w jakim był ulokowany marszałek Śmigły.

Spotkali nas adiutanci Marszałka, i wkrótce pojawił się płk Wenda. Marszałek po pół godzinie wyszedł do nas w pyjamie i zabrał do siebie płka Zakrzewskiego. Nie wiem dlaczego — ale widok Marszałka w tej pyjamie, w ślicznym pałacyku w Craiova, pod strażą żołnierzy i żandarmerii rumuńskiej — podzielał na mnie w sposób niesłychanie deprymujący. Stała mi znów przed oczyma ta chwila pod granicą rumuńską, gdy stałem jako żywy drogowskaz, pokazując ten skręt na prawo do granicy i wielki otwarty samochód z marszałkiem Śmigłym i jego oficerami, odsalutowującymi mi... I oto tu, w tej Craiovie, kres tej drogi!

Wenda, który pozostał ze mną zauważył że się jakoś zmieniłem na twarzy. Podeszedł i zapytał czy nie czuję się źle po całonocnej podróży samochodem z Bukaresztu. Odpowiedziałem że to nic, że wszystko jest w porządku, po czym Wenda powiedział: „Słuchaj, ja muszę się z tobą rozmówić na osobności. Zaczekaj chwilę i ja cię wywołam do drugiego pokoju”. Po chwili wrócił i przeszliśmy do sąsiedniego gabinetu, w którym Wenda, wyjąwszy z kieszeni fotografię marszałka Śmigłego w cywilnym ubraniu, powiedział: „My mamy zamiar uciec stąd i iść do Polski. Ja dam sobie radę z moimi papierami, ale Marszałek musi mieć jakikolwiek dowód osobisty na fałszywe nazwisko. Weź tę fotografię i wydostań w konsulacie w Bukareszcie dokument osobisty na fałszywe nazwisko z tą fotografią i dostarcz go nam w jakiś sposób”.

Zgodziłem się naturalnie i omówiliśmy szczegóły, a tymczasem płk Zakrzewski wyszedł od Marszałka z zatroskaną miną i powiedział do mnie: „Chodź, musimy natychmiast wracać z odpo-

wiedzią”. Pożegnałem się z adiutantami i Wendą, i ruszyliśmy w drogę powrotną. Zakrzewski milczał i patrzył w bok, aż dopiero dobrze za Craiovą nagle odwrócił się i powiedział: „Wiesz co Marszałek kazał Warszawie? — Bronić się do ostatka!... Ja nie wiem czy w obecnym stanie rzeczy należy tego rodzaju rozkaz, wydany z Craiova w Rumunii, przekazywać walczącej Warszawie!”. Przemilczałem odpowiedź, nie sądząc, że mam dostateczne argumenty aby zabierać głos w tej tak niesłychanie dotkliwej i drażliwej sprawie, lecz zestawienie wrażeń jakich doznałem w Craiovie, z tą wiadomością o decyzji Marszałka dla Warszawy — było nad wyraz bolesne. Wszystkie proporcje zagadnień były tu wypaczone, cała sytuacja była fałszywa i całość brzmiała jakimś okropnym dysonansem, z trudem do zniesienia!

Aż do powrotu do Bukaresztu już nie mówiliśmy o tym. O ile wiem — ten rozkaz Marszałka do walczącej Warszawy, aby biła się do końca — nie został przekazany i wątpię czy w tych warunkach ktokolwiek zdecydowałby się taki rozkaz przekazać!

W masie podań o dokumenty osobiste wysyłanych z Komitetu Pomocy Uchodźcom do konsulatu polskiego w Bukareszcie, podanie o dokument z fotografią marszałka Śmigłego poszło do konsulatu. Niestety, jakiś zbyt gorliwy urzędnik poznał marszałka Śmigłego na tej fotografii i konsulat odmówił wydania, odsyłając całą sprawę do poselstwa, o czym powiadomił mnie płk Zakrzewski mówiąc, że po ujawnieniu tej sprawy, nie można jej już załatwić ze względu na Rumunów.

Znacznie później marszałek Śmigły zdołał jednak uciec spod straży i wściekłość władz lokalnych rumuńskich spadła na jego adiutantów, z których major Krzeczkowski był bardzo dotkliwie pobity podczas śledztwa w tej sprawie.

Rozmowy z gen. Sikorskim w Bukareszcie

Gen. Sikorski wydostał się z kraju i pojawił w Bukareszcie, tak samo jak wszyscy przechodzący granice na zielono — bez hałasu i niespodzianie. W kilka dni po jego przybyciu, płk Zakrzewski powiedział mi, że Generał chce mnie widzieć. Moja znajomość z gen. Sikorskim była bardzo krótka i datowała się z okresu zaraz po wojnie 1919-1920, kiedy gen. Sikorski był Szefem Sztabu Generalnego i jako taki dekorował szereg oficerów Sztabu orderem *Virtuti Militari* za zasługi w tej wojnie. Przypinając mi order, gen. Sikorski powiedział „za wygraną wojnę”, robiąc aluzję do mojego rozwiązywania szyfrów sowieckich, które niewątpliwie były bardzo pomocne. Ponieważ moja służba woj-

skowa toczyła się albo zagranicą, albo daleko od Warszawy, przeto z gen. Sikorskim spotkałem się właściwie po raz drugi w życiu, właśnie w Bukareszcie, po rozgromie Polski.

Na rozmowę poszedłem do Generała, który zamieszkał w małym hoteliku na bocznej ulicy. Był upalny dzień, i Generał, który chodził po mieście był zmęczony, zdjął trzewiki, i w skarpetkach siedział na łóżku, a ja naprzeciwko niego — na krześle.

Jak wszyscy wówczas, Generał zaczął rozmowę od „przyczyn kłęski”. Na ten temat każdy miał swoje opinie, przeważnie wyrażane w sposób gwałtowny, jak też recepty na to co należało zrobić.

Generał jednak powiedział: „No przecież jasne jest że myśmy tej wojny wygrać nie mogli, ale że ta przegrana nastąpiła w takiej formie i w takim tempie — to po temu muszą być jakieś przyczyny, jakieś błędy, niedopatrzienia i nieudolności. Chciałbym aby mi pan to po swojemu opowiedział, co pan o tym rzeczywiście myśli. Przecież pan w swojej karierze, stykał się bliżej z całym szeregiem spraw dotyczących przygotowań do wojny, niż ja, będący z daleka”.

W odpowiedzi zaznaczyłem, że nie będę krytykował osób, gdyż za mało mam po temu danych, natomiast jeżeli chodzi o fakty, to opowiedziałem mu to co opisałem na początku tych wspomnień, po czym dodałem że trudno mi jest winić innych, skoro, na przykład, ja sam byłem entuzjastą COP'u, który jednak okazał się spóźniony o pięć lat, został rozbity z powietrza w pierwszych kilku dniach, i nie wyprodukował w ciągu tej wojny ani jednej armaty, karabinu ani amunicji i, w rezultacie, dostał się teraz Niemcom! (Znacznie później dowiedziałem się ze wspomnień oficerów niemieckich służby uzbrojenia, którzy odbudowali COP i puścili go w ruch — że byli po prostu zachwyceni i zdumieni wysoką techniką COP'u jaką tam znaleźli). A przecież bez COP'u i bez pieniędzy — z czego mogliśmy produkować czołgi, lotnictwo itd. Nasz PZL produkował wspaniałe myśliwce, ale żeby się utrzymać musiał sprzedawać znaczną część produkcji na eksport. Przecież jeszcze w okresie pierwszej pięcioletki sowieckiej (1928-1932), kiedy byłem attaché wojskowym w Moskwie — i alarmowałem niesłychanym tempem zbrojeń sowieckich, marszałek Piłsudski, dla sprawdzenia moich „nieprawdopodobnych” meldunków, przysłał przed jedną z październikowych defilad w Moskwie, pułkownika Wendę, jako kuriera dyplomatycznego, aby ten zobaczył tę rewię, i jemu ją opisał. Ponieważ na kilkanaście dni przed rewiami poszczególne oddziały sowieckie ćwiczyły po nocach ten trudny przemarsz (ze skrętem pod górę, poprzez zwężenia łuków, na plac Czerwony, po czym rozejście się

trzema drogami) więc zabierałem ze sobą Wendę do Bolszoi Moskowskiej na kolację i po północy wałęsaliśmy się dokoła placu Czerwonego.

Poza masami tankietek i średnich czołgów, tym razem przygotowano do defilady po raz pierwszy batalion ciężkich czołgów i, akurat, na nas idących wzdłuż GUM'u na boku Czerwonego placu, te smoki wypadły w nocnej mgiełce, ziejąc metrowymi strumieniami ognia z rur wydechowych. Naturalnie że Wendę aż zatkało, do czego walenie przyczyniła się rewia lotnicza, jaką widział znad rzeki Moskwy, w dniu defilady.

Marszałek wezwał mnie wkrótce potem do Wilna, gdzie, w obecności Becka i posła Patka przeindagował mnie gruntownie, zapytując na końcu: „Oni rzeczywiście zbroją się na całego — ale powiedźcie mi, skąd oni na to wszystko biorą pieniądze?”. Moja odpowiedź — że dzięki „systemowi zamkniętego obrotu pieniężnego” — rozśmieszyła Marszałka do łez. „Cóż ten Kowalewski opowiada! Zamknięty cykl obrotu pieniężnego! Też wymyślił termin! Ot co, Wy mi znajdźcie ile oni mają jeszcze złota po carach, ile produkują metali kolorowych, co kupują zagranicą. A co do mechanizacji — to przestudiujcie jak oni zaopatrują się w paliwo, skąd i jak je przywożą. A lotnictwo, to dziś jeszcze nie jest to broń główna”. I w tym się w gruncie rzeczy streszczał stosunek Marszałka do broni technicznych. Nie mamy pieniędzy na ich zakup i produkcję. Za kredyty na nie — nie będziemy się sprzedawać. Musimy wypracować taktykę walki i metody, które by niweczyły zalety tych broni technicznych. Wtedy — to jeszcze było możliwe, ale technika wojenna zaczęła się rozwijać pod koniec jego życia tak szybko — że już żadna chytryść taktyczna nie mogła być odpowiedzią. Jeszcze w 1931 roku, kiedy przyjechałem zdać relację z ostatnich manewrów sowieckich — był już schorowany, ale zapytał — „a teraz powiedzcie mi jak oni nalewają benzynę do czołgów”. Akurat widziałem jak to się odbywało, muszę przyznać w sposób bardzo prymitywny i to wyraźnie rozradowało Marszałka. Ile razy przyjeżdżałem do Warszawy, to pierwszego dnia biegłem do pła Kossakowskiego i do gen. Rayskiego, aby im zreferować nowiny w dziedzinie czołgów i lotnictwa sowieckiego i naradzić się jak to Marszałkowi przedstawić aby go przekonać do tych „kosztownych zabawek”. Niestety — po raz pierwszy defilowały przed nim nasze tankietki i czołgi Vickersa, zbudowane w naszych fabrykach, dopiero na polu Mokotowskim, gdy leżał tam w trumnie... Po jego śmierci też nie było pieniędzy, lecz nareszcie ruszono COP, niestety o pięć lat za późno i już nie na czasie, gdyż żaden „trójkąt bezpieczeń-

stwa” w Polsce nie istniał w rzeczywistości wobec rozwoju lotnictwa, jak to nam rok 1939 dobitnie pokazał!

No a wobec faktycznej wojny na dwa fronty — w ogóle wszystko cośmy mogli przygotować lub zrobić — było daremne...

Generał polecił mi napisanie krótkiej notatki o okolicznościach naszej katastrofy i jej przyczynach i wręczenie mu jej, i przeszedł do spraw przyszłości, w której planach na pierwszym miejscu widział odtworzenie armii polskiej na emigracji.

W konsekwencji wyłoniło się pytanie dotyczące zastosowania tej armii w toczącej się wojnie przeciwko Niemcom. Sprawę komplikowała agresja sowiecka w Polsce, ich sojusz faktyczny z Niemcami, oraz brak reakcji na agresję sowiecką ze strony Zachodnich państw, z których żadne nie zaprotestowało ani nie zerwało stosunków z Moskwą po jej wyraźnym współdziałaniu z Niemcami w tej wojnie przeciwko nam.

Ponieważ już wtedy powstawały wątpliwości co do trwałości tego sojuszu sowiecko-niemieckiego — szczególnie ze względu na fakt że puściwszy Sowiety na Karpaty, Hitler wytworzył sytuację strategicznego zagrożenia ze strony Moskwy, co poważnie ograniczy jego możliwości w wojnie z państwami zachodnimi — więc trzeba było się zastanawiać nad dwoma hipotezami: Niemcy plus Sowiety i Niemcy przeciw Sowiетom.

Generał skłaniał się raczej do tezy, że „obaj ci bandyci będą trzymać się razem”, skąd wniosek że Sowiety pozostaną na Karpatach posiadając Małopolskę Wschodnią i, w razie klęski Niemiec, czekać nas będzie dodatkowy konflikt z Rosją.

Gen. Sikorski przewidywał jednak, że w razie klęski Niemiec, Sowiety będą zmuszone przez aliantów do ustąpienia z terenów uzyskanych przez jej sojusz z Niemcami, zaś nie przewidywał czynnego wystąpienia Sowietów po stronie Niemiec w dalszym toku wojny.

Stąd, jako pierwsza koncepcja, wysuwało się na czoło zastosowanie armii polskiej w uderzeniu na Niemcy od południa, przez Bałkany, na wzór operacji jaka zakończyła wojnę 1914-1918, gdyż na tym kierunku armia polska działałaby po najkrótszej drodze do granic Polski.

Na moją uwagę czy tak daleko posunięte pomysły nie są w chwili obecnej nierealne, Generał obruszył się, mówiąc: „Musimy stawiać na zwycięstwo aliantów, a nie na ich klęskę. Inaczej w ogóle byłoby bezcelowe mówić o tych sprawach”.

Przedyskutowaliśmy wobec tego i hipotezę drugą, mianowicie możliwość konfliktu niemiecko-sowieckiego, w jaką Generał nie bardzo wierzył. Naturalnie, w takim wypadku operacja z Bałkanów (późniejsze „miękkie podbrzusze Europy”, według

Churchilla), stawiała się znacznie realniejsza dla nas, gdyż było jasne, że Niemcy odrzucą Sowiety z Karpat daleko na wschód na samym początku działań i na naszej drodze do Polski z południa — mielibyśmy już tylko do czynienia z samymi Niemcami.

Gen. Sikorski był wyraźnie zafascynowany doświadczeniami operacji międzyalianckiej z Salonik przez Skoplje w 1918 roku i wyjścia w dolinę naddunajską na Węgry, co ostatecznie zadecydowało o klęsce państw centralnych.

Wkrótce po tej rozmowie, Generał Sikorski wyjechał do Paryża, dokąd mnie wezwał w końcu grudnia tegoż roku. Po przybyciu do Paryża, zostałem oddany do dyspozycji ówczesnego Szefa Sztabu, płka Kędziora i, z polecenia Generała, który pamiętał naszą rozmowę w Bukareszcie, dostałem polecenie opracowania wspólnie z płk. Ignacym Matuszewskim memorandum historyczno-strategicznego dotyczącego całego kompleksu operacji wojсковych na Bliskim Wschodzie w okresie końcowym pierwszej wojny światowej.

Wiązało się to z planem utworzenia francuskiej „Armée du Proche Orient” w Syrii, pod dowództwem gen. Weyganda i ewentualnego włączenia w nią wojsk polskich.

Rosję traktowano wówczas jako „biernego sojusznika Niemiec” i sprawę armii sojuszniczej na Bliskim Wschodzie rozumiałem jako czynnik siły, który, po rozbiciu Niemiec, odegrałby rolę oskrzydłającego zagrożenia w stosunku do Sowietów, gdyby te ostatnie miały zamiar okazać pomoc Niemcom, upierać się przy swoich zaborach z 1939 roku, lub nawet dążyć do ich rozszerzenia.

Te początkowe koncepcje, jakie zaczęły się już formować w naszych umysłach w Bukareszcie, nabrały szczególnych kolorów po „wiarołomnym” (określenie Stalina) uderzeniu Niemiec na Sowiety, a szczególnie po wejściu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej do wojny. Ale to już jest całkowicie osobny rozdział, który nie wchodzi w ramy tego artykułu.

Na zakończenie pragnę tylko dodać że w moich rozmowach z gen. Sikorskim, ten ostatni wyraźnie unikał mówienia o personaliach, szukał poglądów na zagadnienia, był znacznie bardziej zainteresowany planami przyszłości, niż ocenami przeszłości, gdyż, jak sam powiedział na zakończenie rozmowy bukareszteńskiej: „Dziękuję bardzo za tę wymianę zdań, gdyż chcę przyjechać do Paryża z przemyślanymi zawczasu koncepcjami strategicznymi”.

Jedno z pierwszych spotkań jakie miałem w Paryżu, było z moim dawnym kolegą z Bukaresztu, już generałem Delmas, któ-

ry przed samą wojną opuścił Bukareszt i dostał dowództwo dywizji piechoty na Korsyce.

Spotkaliśmy się przypadkowo na ulicy koło francuskiego Ministerstwa Obrony Narodowej i ucieszył się ogromnie widząc mnie żywego i całego w Paryżu. Poszliśmy na czarną kawę, przy której, ze zwykłą sobie energią, gen. Delmas wygłosił mi całą tyradę oskarżając dowództwo francuskie o brak decyzji, odwagi i niezaradność. Ten specjalista od strategii wojskowej, uważał że stracono bezcenne kilka miesięcy, wówczas gdy Niemcy nie miały więcej niż tylko kilka dywizji na zachodnim froncie, a ich linia Siegfrieda miała takie luki, że przebić się przez nią i wkroczyć do Niemiec całymi siłami potężnej armii francuskiej, byłoby niezmiernie łatwe. „Ja już nie mówię o tej akcji pomyślanej jako pomoc zaatakowanej Polsce, lecz jako o podstawowej akcji dla uratowania Francji przed konsekwencjami przegranej wojny” — mówił gwałtownie gestykułując gen. Delmas. „Przecież myśmy mogli zająć całą Nadrenię, bo Niemcy nie miały jej czym bronić przez prawie dwa miesiące!”.

Jeszcze do klęski Francji zostawało prawie pół roku, ale ta rozmowa z gen. Delmasem dała mi bardzo wiele do myślenia i łącznie z innymi objawami i obserwacjami, prognozy na długi pobyt we Francji zaczęły wyglądać na mało realne.

Później, już w Libourne, myślałem sobie — że co u nas trwało kilka tygodni, to we Francji zajęło szereg miesięcy i *to bez wojny na dwa fronty...* Czyli proporcje są doskonale wyrównane, a odpowiedzialność za wyniki wojny łoży się znacznie większym ciężarem na rząd i dowództwo francuskie, niż na nasze, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności towarzyszące...



Ograniczyłem się w tych wspomnieniach z „epoki bukareszteńskiej” tylko do najgłówniejszych spraw, wypadków i spotkań. Pomiąłem też cały kompleks uczuć w jakim tonęła masa uchodźcza, rozgoryczeń, nienawiści, bólu i rozpacz, oraz intryg jakie szybko zaczęły zatruwać atmosferę. Będąc zaabsorbowany konkretnymi zadaniami Komitetu, mogłem się trzymać jak najdalej od tego wszystkiego, współczułem jednak wielu moim kolegom wojskowym, którzy potracili orientację czego się właściwie trzymać. Zaczęły się dyskryminacje, które jednak szybko zredukowały się tylko do stosunkowo małej garstki oficerów. Mówiłem o tym z płk. Zakrzewskim, któremu spadła na głowę najtrudniejsza i najboleśniejsza sprawa dzielenia kolegów na grupy według

poleceń z góry. Mało kto wiedział że płk Zakrzewski, razem z mjr. Zimnałem, robili wszystko co mogli aby ograniczyć te dyskryminacje do absolutnego minimum. Powstawała tutaj sprawa dyscypliny i lojalności wojskowej, o czym Zakrzewski rzucił kiedyś zdanie: „Dyscyplina i lojalność — doskonale, ale czy żołnierska czy żołdacka?”.

Mnie również dyskryminacja dotknęła, gdyż, po utworzeniu rządu w Paryżu, sprawy opieki nad uchodźcami weszły w resort opieki społecznej, skąd odzywały się głosy, że jak to jest, że Kowalewski, ex szef sztabu OZN'u, zajmuje się tymi sprawami w Bukareszcie. Wiem że nazywano mnie „reżymowiec”, „ozonowiec”, „faszysta”, „dwójkarz” itd. Moje wezwanie do Paryża przez Sikorskiego wyswobodziło mnie z tej sytuacji, lecz w niespełna pół roku potem, odbiło się to znów w chwili ewakuacji Francji. Gdy w Libourne zaofiarowałem, że pozostanę w konspiracji we Francji, wówczas gdy znakomita większość rzucała wszystko by jechać do Anglii, po radzie osób miarodajnych w rządzie, odmówiono mi, jako „zbyt związanemu z poprzednim reżymem”. Skąd te nastawienia płynęły, uprzytomniłem sobie dopiero po zakończeniu wojny, w Londynie, gdy ni stąd ni zowąd, grupa naszych pro-komunistów, wygrzebała w bibliotece British Museum artykuł „Volksdeutsche Beobachter” z 1937 roku, napisany przez ich korespondenta, który miał wywiad ze mną, gdy byłem jeszcze Szefem Sztabu OZN. Otóż ten Niemiec był niezmiernie rozczarowany gdy mu powiedziałem że OZN opiera się na podstawach demokratycznych, które jednak w naszych warunkach muszą nosić cechy demokracji „kierowanej” — („gelenkte Demokratie”), ze względu na nieprzygotowanie społeczeństwa do pełnej demokracji. Otóż ten artykuł nasi gorliwcy prokomuniści kazali sfotografować, i powiększone odbitki tego artykułu rozpowszechniali w sferach rządowych, aby mnie zdyskredytować. Niebardzo im to pomogło, gdyż z jednej strony artykuł „Volksdeutsche Beobachter” ostro krytykował „demokrację” w OZN, ponadto zapomnieli, że w Sowietach „demokracja” nie jest kierowana, lecz dostaje po prostu rozkazy będąc pod dyktandem proletariatu. Najzabawniejsze to to, że o tym powiadomił mnie płk Zakrzewski mówiąc, „ostrzegam cię, że tu jest cała kampania przeciwko tobie, którą prowadzi Albrecht”.

W kilka dni potem spotkałem owego Albrechta pod Ministerstwem Spraw Wojskowych koło Hotelu Rubens (londyńska Regina) i zagadnąłem go z głupia frant — „słyszałem że Pan ma odbitki mojego wywiadu z „Volksdeutsche Beobachter” — błagam, proszę mi dać chociaż jedną z nich, gdyż sam jestem

ciekaw co ten Niemiec o mnie napisał". Albrecht spojrzał na mnie spode łba i, nic nie mówiąc, skrył się w tłumie...

Jak się potem zorientowałem, komunistom zależało na tym, abym nie pojechał z Mikołajczykiem do Warszawy, gdyż byłbym „czynnikiem usztywniającym” go, stąd ta kampania. Te wtyczki siedziały sobie spokojnie wśród nas i od czasu do czasu działały, podjudzając gdzie trzeba. Dla jakichś im tylko wiadomych powodów, musiałem być jednym z obiektów do obstrzału, i to od czasu Rumunii aż do końca wojny.



Lata wojny obfitowały w zmiany sytuacji i losów ludzkich. Tak jak nasz rząd i marszałek Śmigły, w niespełna półtora roku po naszej katastrofie, musiał skorzystać z „przymusowej gościny” król Karol II Rumuński, tym razem w Hiszpanii, równie „gościńnej” jak swego czasu Rumunia dla naszych.

Po przewrocie Antonescu i abdykacji na rzecz księcia Michała, król Karol, wraz z panią Lupescu i zawsze wiernym szambelanem dworu, płk. Urdareanu, musiał opuścić kraj. Gdy jego, biały pociąg specjalny dojechał do przygranicznej z Jugosławią, stacji Temeszwar, maszynista prowadzący pociąg był uderzony tym, że na peronie nie było dosłownie nikogo, nawet obowiązkowego zawiadowcy stacji. Ten niezwykle widok przestraszył go, gdyż zrozumiał że tu jest zasadzka Żelaznej Gwardii na króla, wobec czego zamiast pociąg zatrzymać, po prostu dodał pary i ruszył naprzód. Zaledwie przejechał stację, gdy zewsząd powy-skakiwali zamachowcy na peron, i w bezsilnej wściekłości otworzyli do uchodzącego pociągu ogień z karabinów maszynowych.

Na szczęście, ostatnie wagony, najbardziej podziurawione kulami — były bagażowe, przez co nikogo z ludzi nie poraniono, lecz biały pociąg królewski zajechał do Kikindy po jugosłowiańskiej stronie cały porysowany i podziurawiony kulami, jak po naloce samolotowym.

Jugosławia, potem Włochy i Francja pétainowska — pośpiesznie wyprawiły pociąg królewski dalej na zachód, aby nie narazić się Niemcom, aż wreszcie dojechał on do Hiszpanii, skąd króla już dalej Niemcy i rząd Antonescu nie chcieli puścić do Portugalii i do wolności, z obawy że powstanie na zachodzie jeszcze jeden rząd antyniemiecki.

Wywarte zostały silne naciski na Hiszpanię, aby króla Karola unieruchomić pod strażą gdzieś na prowincji. Ponieważ akurat wówczas groziła ewentualność wkroczenia wojsk niemieckich na półwysep Iberyjski, pod pretekstem wyrzucenia Anglików z Gi-

braltaru, przeto Hiszpanie, *nolens-volens*, ofiarowali królowi Karolowi „gościńę” w Sewilli, w ładnym hotelu, pod strażą żandarmerii hiszpańskiej, no i tajniaków, aby uchronić go od „zamałów” Gestapo i Żelaznej Gwardii rumuńskiej. Niemcy zaproponowali nawet królowi grzecznie gościńę w jednym z malowniczych zameczków w południowych Niemczech, czego naturalnie panicznie się bała pani Lupescu, ze względu na swoje pochodzenie.

Król miał złudzenia że Anglia, wolna Francja i Ameryka, otworzą mu ramiona i pozwolą stworzyć rząd na emigracji. Przyznam się że i ja również tak sądziłem, będąc wówczas na placówce specjalnej w Lizbonie, gdyż podstawy do tego istniały, chociażby w tym że wszyscy posłowie rumuńscy na Zachodzie, po przewrocie Antonescu, wypowiedzieli posłuszeństwo uzurpatorom, i pozostali na „emigracji” jako zbuntowani a teraz przybywał im sam król Karol.

Niespodziewanie pojawił się w Lizbonie pułkownik Urdareanu, który zdołał zmylić strażę i uciec do Portugalii. Szukał on z początku pomocy u Anglików i Francuzów, lecz nie napotkawszy na spodziewaną przychylność, dowiedziawszy się o tym, że ja jestem w Lizbonie, zaproponował przez posła rumuńskiego Pangala, konspiracyjne spotkanie.

Akurat tak się złożyło, że do Lizbony przyjechał również z Madrytu major Żurawski, były korespondent PAT’a, który podczas wojny obsługiwał prasę południowo amerykańską. Przyjechał do mnie z tym, że prasa południowo amerykańska naciska na niego aby za wszelką cenę wydostał od pani Lupescu jej pamiętniki dla publikacji. Ponieważ ja mam od dawna bliskie stosunki z królem Karolem, więc czy mógłbym mu dać wprowadzenie do króla Karola w Sewilli. Gdy to usłyszałem, zacząłem się śmiać, co uraziło majora, lecz gdy mu powiedziałem że mam mu do zaproponowania coś znacznie lepszego jako wprowadzenie — rozpozgodził się. Na spotkaniu z Urdareanu omówiliśmy sprawę zorganizowania ucieczki króla z panią Lupescu z Sewilli, co z wielu względów nam się uśmiechało, raz politycznie, a poza tym jako psikus dla Niemców. Żurawski zapalił się do tego planu i, podczas jego pobytu w Lizbonie, zostały ustalone aż trzy warianty przekroczenia granicy przez króla, lecz sprawę najważniejszą, a mianowicie jak się wymknąć spod potrójnej straży (plan ułożyliśmy w Lizbonie), trzeba było przekazać w szczegółach królowi, aby się do tego dostosował. Major Żurawski pojechał do Sewilli z listem wprowadzającym od Urdareanu, dotarł do króla, wręczył mu list i został zaproszony na partię bridge’a, podczas której siedząc z królem, panią Lupescu i swoją przyjaciółką Hisz-

panką przy kartach — szczegółowo wprowadził króla w cały plan.

Chodziło o to aby król przyzwyczał swoich opiekunów, że każdorazowo, gdy wyjeżdża na przejażdżkę samochodem w stronę Cordoby, odrywa się od eskorty dzięki szybkości swego „Corda”, lecz dalej zawsze daje się im doścignąć, przy czym ma zawsze jeździć w tym samym ubraniu i berecie, a pani Lupescu w białym płaszczu i kolorowym szalu.

W oznaczonym dniu, król ma się oderwać i przed Cordobą przesiąść się do zamkniętej starej limuzyny, jaka tam będzie nań czekała, przebrać się w ubrania naszych ludzi, i dać im swoje — po czym ma zjechać z głównej drogi przez most i określonymi drogami udać się na zachód, na miejsce spotkania pod samą granicą portugalską, gdzie zadecyduje się jakim z trzech sposobów przygotowanych na ten cel — przekroczy granicę.

Nasi zaś ludzie mają pojechać przez Cordobę w kierunku Madrytu, aby tam pociągnąć za sobą eskortę, która będzie goniła za tym otwartym Cordem, z panem w berecie i panią w białym płaszczu z kolorowym szalem...

Tak się też stało. Dopiero w dwa dni po ucieczce króla z panią Lupescu, policja hiszpańska znalazła w winnicach gdzieś pod Madrytem opuszczonego Corda z porzuconym beretem i z białym płaszczem.

Król zaś miał do wyboru albo przejazd koleją z fałszywymi dokumentami, albo przejście granicy piechotą na niestrzeżonym odcinku w górach, albo przejazd w obszernym bagażniku, przedłużonym aż pod przednie siedzenie, w samochodzie „oficjalnego szmuglera” portugalskiego, który z ochotą zaofiarował swoje usługi. Aby nie narażać nikogo — nie ujawniam drogi obranej jako najbezpieczniejszą przez króla i panią Lupescu, lecz, na drugi dzień rano, miałem telefon od ex-posła rumuńskiego Jana Pangala, że król i pani Lupescu są już w Lizbonie, i chcą podziękować za udaną ucieczkę.

Niespodzianką dla mnie było, że ani Anglicy, ani Wolni Francuzi, ani Amerykanie nie chcieli słyszeć o królu Karolu i raczej byliby radzi aby z Lizbony zabrał się gdzie indziej. Tego chciały również i władze portugalskie, ze względu na kłopoty jakie miały z rekryminacjami hiszpańskimi no i niemieckimi w tej sprawie. Na mnie też spadł obowiązek pójść do króla i powiadomić go o tym, że ze względu na obawę przed jego ekstradycją, lepiej aby wyjechał dalej, co też król pośpiesznie uczynił, wyrażając tylko swoje niepokoje o mjr. Żurawskiego, który, sądząc że mu nic nie grozi, pozostał w Madrycie.

Tymczasem, jak to w Portugalii, zaczęto gadać, i stopniowo

hiszpańska policja zaczęła wiązać koniec z końcem, i doszła po nitce do kłębka, że major Żurawski był w Lizbonie, że po powrocie do Hiszpanii pojechał do Sewilli, gdzie był na przyjęciu u króla, i w kilka tygodni po tej wizycie — król znikł jak kamfora, i wszystko wskazywało na sprytnie pomyślany i świetnie przeprowadzony spisek, którego centralną osobą był major Żurawski. Szczególnie gubernator Sewilli, odpowiedzialny za króla, szalał z wściekłości i odgrażał się że spod ziemi wydobędzie konspiratorów.

Majora Żurawskiego aresztowano, ze względu jednak na rangę wojskową, został oddany na szczęście pod trybunał wojskowy, a nie sądy zwykłe i został osadzony w więzieniu wojskowym, w tejże Sewilli, jako miejscu popełnienia „zbrodni”.

Sprawa jego ciągnęła się kilka miesięcy, przy czym kruczym prawym było to że oficjalnie król Karol nie był pod aresztem ani przytrzymany, lecz tylko „korzystał z gościny” w Hiszpanii, i oficjalnie mógł robić co mu się podobało, naturalnie zawiadamiając normalnie władze. W końcu winę majora Żurawskiego określono jako „pomoc w opuszczeniu terytorium Hiszpanii bez wiadomości władz”, i generał hiszpański, prowadzący dochodzenia przybył wreszcie do Sewilli na widzenie się z majorem Żurawskim.

Wkrótce potem major Żurawski został zwolniony, i przybył do Lizbony. Wyglądał opłakanie, schudł o połowę, lecz nie stracił humoru, i opowiedział mi swoją rozmowę z tym generałem hiszpańskim.

Generał, wynotowawszy sobie dane osobiste i przebieg wypadków, w końcu zapytał: „Jest teraz wszystko dla mnie jasne, ale pragnąłbym wiedzieć jakie były motywy, które skłoniły pana do tak ryzykownego przedsięwzięcia. Wiem że nie są to względy polityczne, przecież król Karol w 1939 roku nie wystąpił oręcznie w obronie swego sojusznika przeciw Sowiетom. Wiem również że nie ma tutaj względów materialnych. Pozostają mi więc tylko jakieś więzy osobiste, ale jakie? Niech mi pan major to wyjaśni!”.

Major Żurawski na to miał gotową odpowiedź: „Król Karol jest honorowym szefem i pułkownikiem jednego z polskich pułków piechoty. Jako również polski wojskowy, moim obowiązkiem było dopomóc memu koledze w potrzebie, co też uczyniłem w miarę mych możliwości”.

Generał popatrzył na niego, po czym wstał, wyciągnął dłoń i ściskając dłoń Żurawskiego oświadczył dobitnie: *Caballero!*, po czym złożył papiery i powiedział: „To mi wystarczy, za kilka dni będzie pan wolny” i wyszedł.

Podobno ten generał sądownictwa ma wykłady o „morale”

wojskowej w szkołach wojskowych hiszpańskich, i przytacza ten przykład jako wzór zachowania się oficera wobec oficera.

Król Karol wyjechał do Meksyku, tam też pojechał Żurawski którego straciłem z oczu. Król Karol zaś powrócił po wojnie do Portugalii z panią Lupescu i nieodłącznym Urdareanu, i wkrótce tam zmarł.

Pani Lupescu żyje, lecz dotąd nie opublikowała swoich pamiętników i wątpię aby je kiedykolwiek dała do publikacji. Stosunki jej i króla Karola były znacznie głębsze uczuciowo niż to się na ogół przypuszcza.



Ten cykl rumuński się jeszcze na tym nie zamknął. Prowadzona z Lizbony nasza akcja tzw. *desintégration de l'axe*, mająca na celu stworzenie warunków dla uderzenia w „miękkie podbrzusze Europy” przez oderwanie od przymierza z Niemcami Włoch, Węgier i Rumunii, zamknięcie granic tych krajów przed Niemcami, a otwarcie ich dla aliantów, zapewniła w Rumunii współpracę i potrzebne posunięcia ze strony króla Michała. Niestety, amerykańska teza o *unconditional surrender* przekreśliła możliwości szybkiej realizacji tego planu. W rezultacie, to co było przygotowane dla aliantów, król Michał wykonał dla wojsk sowieckich, które nie bawiły się w *unconditional surrender* a nawet udekorowały go najwyższym sowieckim orderem Czerwonej Gwiazdy... choć i jego później zmusili do abdykacji i opuszczenia kraju.



Na tym kończę relacje o „okresie rumuńskim”, nie wyciągając wniosków co do słuszności poszczególnych posunięć, jestem jednak głęboko przekonany że należało zrobić wszystko co było możliwe aby ułatwić wszystkim „internowanym” w Rumunii wydostanie się z niej i ucieczkę, po prostu z tytułu braterstwa broni i koleżeństwa. Rumunom by to nie pomogło ani przeszkodziło, poseł niemiecki Fabrizius szalałby nadal tak samo, jak mi to opowiadał Gafencu, dodając że ma wrażenia że ta „gwałtowność” Fabriziusa jest robiona tylko na pokaz, i co ja też zaobserwowałem podczas mojej wizyty. Cóż by komukolwiek mogło zaszkodzić gdyby Beck dojechał do Francji, lub nawet do Anglii? Dlaczego Śmigłemu odmawiać paszportu na fałszywe nazwisko aby mógł uciec do Polski z Wendą? I tak uciekli w końcu, i co? Okres Marszałka Piłsudskiego skończył się bezpowrotnie z jego

śmiercią. Okres jego epigonów skończył się bezpowrotnie we wrześniu 1939 roku — dlaczegoż więc te małostkowe „rewanże”? Przyczyną klęski była wojna na dwa fronty, której przecież marsz. Piłsudski powiedział, że „nie będzie nawet uczył” i niemożliwa do wyrównania dysproporcja sił.

Nawet „potężna” Francja, bez drugiego frontu, i wsparta czynnie przez „potężną” Anglię, wykończyła się już w osiem miesięcy po nas, i sami doskonale wiemy ile sił i czasu trzeba było na to, aby Niemcy pobić, bośmy w tym przecież żywy udział brali na tyłu frontach.

Jan KOWALEWSKI



NOTA BIOGRAFICZNA

Jan KOWALEWSKI, ur. w Łodzi w 1892. W r. 1909 ukończył Szkołę Handlową Kupiectwa Łódzkiego i wyjechał do Belgii (Liège), gdzie studiował chemię. W r. 1914 przebywając na Ukrainie zmobilizowany do armii rosyjskiej. Kończy w Kijowie Szkołę wojenną i zostaje przydzielony do pułku piechoty, z którym jest na Polesiu, a potem na froncie rumuńskim. W czasie rewolucji 1917 r. zostaje członkiem komitetu pułkowego, potem bierze udział w organizowaniu jednostek polskich jako wiceprezes komitetu Polaków wojskowych 9-tej Armii rosyjskiej. Jako komisarz polityczny czwartej polskiej dywizji strzelców, a później Drugiego Polskiego Korpusu — po połączeniu 2 Korpusu z 2-gą brygadą Legionów — jest przydzielony do wydziału operacyjnego Korpusu. Ucieka z niewoli niemieckiej po bitwie pod Kaniowem i udaje się do Moskwy, gdzie w 1918 r. pracuje w konspiracji jako Szef Sztabu D-twa Wojsk Polskich na Wschodzie, pod gen. Rola-Żymierskim. Po zwinieniu akcji w Moskwie wraca do Kijowa, gdzie pracuje z płk. Bobickim w Organizacji Werbunkowo-Agitacyjnej pod okupacją niemiecką. Z dywizją gen. Żeligowskiego wraca do Polski, gdzie jest przydzielony do Sztabu Głównego. Organizuje tam radiowywiad i rozwiązywanie szyfrów sowieckich; za rezultaty osiągnięte w latach 1919 i 1920 odznaczony orderem *Virtuti Militari*.

Jedzie do Japonii jako instruktor deszyfrowania, odbywa staż dowodzenia oraz studia w *École Supérieure de Guerre* w Paryżu. W r. 1928 mianowany attaché wojskowym w Moskwie skąd po 5 latach przeniesiony jest do Rumunii.

W r. 1937 wychodzi z wojska; wyznaczony na Szefa Sztabu OZN, po kilku miesiącach rezygnuje z tego stanowiska, do wojska nie wraca i obejmuje stanowisko naczelnego dyrektora Twa Importu Surowców w Warszawie „Tis-sa”, organizacji półpaństwowej, zaopatrującej przemysł metalowy, zwłaszcza obronny, w metale kolorowe, ferrosplawy, kauczuk, miki i inne surowce o znaczeniu strategicznym.

W 1939 r. przedostaje się do Rumunii i pracuje jako prezes Komitetu Pomocy Uchodźcom. Wezwany do Paryża pracuje nad studiami strategicznymi dla gen. Sikorskiego. Po upadku Francji przedostaje się do Portugalii, gdzie pracuje w ramach Akcji Kontynentalnej do kwietnia 1944, kiedy to zostaje wezwany do Londynu celem objęcia kierownictwa organizacją przygotowującą powstanie we Francji Północnej (akcja Monika); sprawa ta upada wskutek późniejszego wycofania się Niemców z Francji.

Po kapitulacji Niemiec pozostaje w Anglii. Wydaje tygodnik „East Europe & Soviet Russia” i współpracuje z tygodnikiem „Inform” w Baltimore (St. Zjedn.). Następnie przerzuca się na zagadnienia techniczno-ekonomiczne z dziedziny górnictwa i metalurgii za żelazną kurtyną, jest współpracownikiem specjalistycznych pism londyńskich i „konsultantem” poszczególnych firm górniczych i metalurgicznych. Artykuły jego na powyższe tematy tłumaczone są i drukowane w prasie specjalistycznej francuskiej, niemieckiej, amerykańskiej i połudn. afrykańskiej.

Swoją umiejętność rozwiązywania zagadek szyfrowych wykorzystał ostatnio rozwiązując „Szyfr Romualda Traugutta” z r. 1863 oraz „Szyfry Biskupa Załuskiego” z 1705 r. (te ostatnie z tajnych archiwów Watykanu dla Christ's College w Cambridge).

Jego działalność w Lizbonie, tzw. akcja „desintegration de l'Axe” została opisana szczegółowo w książce „Crusader in the Secret War” piona Lady Listowel (Christopher Johnson, Londyn, 1952).

Wygłasza odczyty z dziedziny studiów strategicznych i jest autorem dwóch artykułów o sowieckiej marynarce wojennej i o aspektach geopolitycznych sowieckiego imperializmu, wchodzący w skład zbiorowej książki, pt. „The Soviet Navy”, która ukazała się w Londynie w 1958 r. pod redakcją komandora M.G. Saunders'a.

WRZESIEŃ 1939 R. W RUMUNII

Udział Ambasady R.P. w Bukareszcie w rozwiązaniu polskiego kryzysu państwowego

Wobec rozpoczęcia druku drugiego wydania „Najnowszej Historii Politycznej Polski” Wł. Pobóg-Malinowskiego, przezwyciężyłem zastarzałą niechęć do polemik na temat katastrofy wrześniowej, uważając podaną w tomie III wersję spłotu ówczesnych wydarzeń polsko-rumuńskich za niezgodną z faktami.

Jako jeden z głównych świadków tych wstrząsających wypadków widzianych od strony Rumunii, zgłaszam swoje rzeczowe poprawki.

W okresie 1938-1940 spadły na Ambasadę R.P. w Bukareszcie zadania i odpowiedzialności na miarę historyczną. Przy ocenie roli Ambasadora Rogera Raczyńskiego i politycznych jego współpracowników należałoby mieć na względzie następujące momenty:

1) W następstwie zatrzymania w dniu 18 września naczelnych władz R.P. w Rumunii, sprawa zawarowania konstytucyjnej ciągłości, czyli tzw. legalizmu rządów naszych czasu wojny, musiała być w lwiej części rozegrana na tym terenie, znajdującym się już w stanie poważnego zagrożenia militarnego ze strony Niemiec i Rosji.

2) Wobec postępujących procesów rozkładowych na Bałkanach i szybkiego wykruszania się wiązadeł Monarchii Rumuńskiej po klęsce polskiej, wzrastała, z natury rzeczy, zależność każdej akcji naszej od poparcia politycznego i pomocy technicznej aliantów, z którymi rząd rumuński aż do upadku Francji w czerwcu 1940 r. poważnie się liczył.

3) Urzędy polskie działające na terenie rumuńskim były

ogromnie skrępowane: a) ograniczeniami wpływającymi z neutralności Rumunii; b) zarządzeniami wyjątkowymi po zamordowaniu 21-go września 1939 r. przez Żelazną Gwardię sprzyjającego aliantom i Polsce premiera, Armanda Calinescu;

c) Świadomością prób różnego rodzaju prowokacji, podejmowanych przez wrogie wywiady i drastycznych metod inwigilacji rumuńskiej. Wobec dezorientacji, niezgody i zawiści panujących w uchodźczym środowisku polskim, obcy agenci mogli łatwo oddziaływać na nastroje polskie, przyczyniając się do zaostrzania antagonizmów społeczno-politycznych i wzajemnych podejrzeń, przybierających chorobliwe wprost rozmiary.

4) Zarówno alianckie jak i rumuńskie czynniki polityczne i wojskowe oceniały z nielicznymi tylko wyjątkami, bardzo ujemnie rolę polskiego kierownictwa państwowego, poczynając od pierwszego kryzysu czesko-słowackiego, poprzez akcję naszą w sprawie Zaolzia i wspólnej granicy polsko-węgierskiej, a kończąc na okolicznościach przejścia granicy rumuńskiej w nocy z dn. 17 na 18 września.

Po upływie ćwierćwiecza wartość opinii wypowiedzianych na gorąco w przede dniu drugiej wojny światowej znacznie się obniżyła. Obecnie stać nas na beznamiętną analizę posunięć poszczególnych uczestników dziejowego dramatu. W oparciu o ujawnioną w międzyczasie dokumentację, czas przystąpić do częściowego lub całkowitego odrzucenia ukutych wówczas *ad hoc* tez propagandowych, jak również do rewizji nie usprawiedliwionych osądów, od których roi się w trzecim tomie książki Malinowskiego.

W pierwszej linii, zaliczam do tej kategorii rozdmuchaną tendencyjnie tezę o przygotowaniu z góry „pułapki rumuńskiej” na Prezydenta R.P. i rząd gen. Składkowskiego na skutek działania spisku francusko-polsko-rumuńskiego. Rzekomy ów spiszek miał na celu „dokonanie przewrotu politycznego w wewnętrznych stosunkach polskich”.

Inicjatorom i kierownikom spisku, należącym do politycznych i wojskowych sfer francuskich, chodziło, wedle Malinowskiego, o to, aby podczas wojny „Polskę reprezentował zespół ludzi dobrych... uległych w swym kompleksie niższości... niezdolnych do samodzielnego działania...”.

Puszczając wodzę fantazji, autor twierdzi, że te koła francuskie pozyskały króla Karola i prawdopodobnie też Calinescu i Gafencu „przygotowując akcję w jak największej tajemnicy”.

Atoli wszystkie te fantazyjne twierdzenia brzmią zgoła fałszywie, gdy przeciwstawimy im powszechnie znane i uznane fakty. Któż zaprzeczy dziś poważnie twierdzeniu, że upadek rządu

gen. Sławoj Składkowskiego stał się nie odwracalnym faktem onej tragicznej nocy z dn. 17 na 18 września przejścia granicy rumuńskiej w warunkach nie spotykanego w historii upokorzenia? Wobec tego potrójne spiskowanie w celu usunięcia tegoż rządu „w drodze przewrotu” nie miałoby ani uzasadnienia ani sensu.

Z chwilą wyrzucenia przez fale napastniczej wojny rządzącego Polską zespołu poza granice kraju na teren neutralny, stał się on nie tylko niezdolny do samodzielnego działania, ale nawet do sprawowania choćby tylko cienia władzy w imieniu walczącego wciąż jeszcze narodu.

W tych warunkach czynniki zagraniczne, które, jak pisze Malinowski, chciały uważać Polskę za narzędzie polityki francuskiej, nie potrzebowały się z wczorajszymi panami Polski już liczyć i, jak to było do przewidzenia ustosunkowały się do nich arcykrytycznie, podejrzliwie, a nawet negatywnie.

Niemniej przeto Malinowski utrzymuje, że „jest aż za dużo dowodów na to, iż pułapkę rumuńską przygotowano zawczasu”. Przytacza jednak jedną tylko na ten temat wypowiedź, mianowicie p. Al. Bobkowskiego (zięcia Prezydenta Mościckiego). Ujawnił on po wojnie, co następuje: 4 listopada 1939, w wilię wyjazdu byłego Prezydenta i otoczenia do Craiovej zarządca pałacyku w Bicz opowiedział na pożegnalnym 'bankiecie', że 10 września był telefon z Bukaresztu z zapytaniem, czy zdołają pomieścić około 40 osób, najwyższych dostojników. Wobec pozytywnej odpowiedzi, zapowiedziano wtedy lustrację przez generała.

W związku z powyższą informacją warto przypomnieć, że 6 września rozeszła się po Bukareszcie fałszywa wiadomość radia berlińskiego, że Warszawa padła.

Pod wstrząsającym wrażeniem tego alarmu szerokie koła rumuńskie, nie wyłączając rządowych, doszły do wniosku, że rychła militarna klęska Polski jest nieunikniona. Sfery dworskie przypuszczały, że Prezydent R.P. i inni dygnitarze będą zmuszeni wycofać się na Rumunię.

Przeciwstawiając się rumuńskiemu pesymizmowi, Ambasador i wszyscy rzecznicy Ambasady podkreślali zdecydowaną wolę oporu armii i społeczeństwa. Niezależnie od tego jak się potoczą walki na przedpolach Warszawy — tłumaczyliśmy Rumunom — łączność terytorialna z Rumunią, zapewniająca nam komunikację ze światem zewnętrznym, będzie utrzymana, bowiem przedmościa rumuńskiego nad Dniestrem bronić zamierzamy do upadłego.

Wobec szczerzej życzliwości i szacunku Karola II dla Prezydenta Mościckiego, uznać wypada za zgoła bezzasadne doszukiwa-

nie się podstęp w trosce Króla o ewentualne zapewnienie mu zawczasu bezpiecznego postoju na terytorium rumuńskim.

Sam Król, mając własną sprawną służbę bezpieczeństwa, (odrębną od 'Sigurancy'), wiedział już wówczas z całą pewnością, że elementy pro-nazistowskie, z Żelazną Gwardią na czele, szykują się do zamachu stanu. Mógł przeto wziąć pod uwagę dla Prezydenta Bicaz, mało znany, oddalony i niełatwo dostępny pałacyk myśliwski, rezerwując dla siebie, w razie niebezpieczeństwa jako tymczasową siedzibę, aż dwie dawne rezydencje pod Bukaresztem zmarłej niedawno Królowej matki, Marii¹.

1. Gdy dn. 24 września po południu udałem się do pałacu, aby złożyć na ręce Ministra Dworu kondolencję z powodu tragicznego zgonu premiera Calinescu, nie było tam ani króla ani też nikogo z jego najbliższego otoczenia.

Stary, zaufany funkcjonariusz dworski wyjawiał mi w największej tajemnicy że król i płk Urdareanu przebywają incognito w pałacu Cotroceni ze względów bezpieczeństwa. Wobec kategorycznego zakazu wpuszczania postronnych nawet do wartowni i ogrodów pałacowych, urzędnik ów dał mi hasło dla oficera żandarmerii pałacowej, komenderującego strażą przy jednej z bram wjazdowych.

Gdy zjawiłem się w Cotroceni, wspomniany oficer połączył mnie telefonicznie z wartowni z dyżurnym adiutantem króla i potem dopiero pozwolono mi wjechać samochodem do parku, gdzie pełno było wojska w ostrym pogotowiu. Parę minut później znalazłem się w wielkim hallu opustoszałego pałacu. Górne okna były szczelne zasłonięte, meble w pokrowcach, dywany powijane, powietrze zatechłe... Przy wszystkich drzwiach czuwały warty... Zrobiło to na mnie przygnębiające wrażenie, gdyż po raz ostatni byłem w tych murach przed rokiem, by, wraz z żoną, złożyć hołd zwłokom królowej Matki, Marii.

Wprowadzono mnie na pierwsze piętro do niewielkiego pokoju, gdzie z każdego kąta wyglądały porozrzucane rzeczy i papiery. Z sąsiedniego pokoju dochodził podniesiony głos króla wydającego rozkazy adiutantom. Po chwili wyszedł stamtąd płk Urdareanu i, na wstępie, powiedział, że przed chwilą zaprzysiężony został nowy premier, generał Kawalerii gwardii, Argesanu a niebawem przybędzie generał Marinescu, mianowany Ministrem Spraw Wewnętrznych.

Widocznie przejęty grozą sytuacji, Minister Dworu wskazał na małą walizkę i tekę pod oknem, mówiąc: „Gdyśmy tu jechali pod bezpośrednim wrażeniem zamachu na niezastąpionego Calinescu i w obliczu zupełnej niepewności po proklamacji radiowej spiskowców, pomyślałem o pańskich rodakach... I oni musieli się wycofywać w pośpiechu i w zupełnej niepewności skąd zdradziecki wróg uderzy...

W dalszej rozmowie stwierdził, że nikt nie odczuł głębiej tragedii polskiej niż Calinescu... Ostatni jego raport u króla naszym sprawom był poświęcony. „Zgodnie z daną panu obietnicą, Calinescu przedłożył królowi konkretny plan załatwienia w kolejnych rzutach całokształtu spraw waszych uchodźców. Jego wnioski zostały przyjęte „en bloc”, oświadczył Minister Dworu.

Kamień spadł mi z serca, obawiałem się bowiem, że Calinescu nie zdążył wyjednać zgody króla na bezzwłoczne rozpoczęcie stopniowej ewakuacji rodaków, nie wyłączając osobistości politycznych.

Jak wielka była świadomość zagrożenia i poczucie niepewności w rumuńskich kołach rządzących na skutek kreciej roboty wspomnianych germanofilskich spiskowców, świadczy okoliczność, że Armand Calinescu, mąż silnej ręki, znany z dużej odwagi osobistej, odbywał częstokroć w 1938 r., ważne narady i konferencje nie w gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, którego był kierownikiem, ale w różnych magistrackich biurach na przedmieściach, w budynkach zamkniętych czasowo dla publiczności pod pozorem remontu.

Sam miałem w tym okresie takie tajemnicze służbowe z nim spotkanie, w toku którego zażądał stanowczo zmiany zbyt pobłażliwego traktowania przez władze polskie zbiegłych z Rumunii gwardystów. O zadrażnieniach powstałych na tym tle będzie jeszcze obszerniej mowa w drugiej części niniejszego opracowania.



Powracając do tezy o „przygotowanej z góry pułapce rumuńskiej”, odrzucam stanowczo bezzasadne twierdzenia jakoby „na-leżąca do spisku Ambasada R.P. w Bukareszcie” zatrzymała samowolnie depeszę z Madrytu, wysłaną z ostrzeżeniem w tej sprawie 12 września przez posła Mariana Szumlakowskiego, a prze-

„Wola zmarłego będzie uszanowana”, zakończył Urdareanu, kierując się do sąsiedniego pokoju by zameldować królowi, że — poza kondolencjami — zgłosiłem nagłą prośbę o jego sankcję na zapoczątkowanie akcji uzgodnionej ze zmarłym premierem.

Czekałem około 10 minut zanim mój rozmówca powrócił by oznajmić że, zgodnie z poleceniem króla, udzieli w mej obecności szczegółowych instrukcji gen. Marinescu, który, przedtem, otrzyma z rąk króla wspomniany powyżej raport Calinescu. Urdareanu podkreślił, że ten niezwykle dowód zaufania i życzliwości winien być dla mnie dużą moralną satysfakcją.

Następnie zaproponował, abym poczekał na miejscu na gen. Marinescu.

Opuszczając wczesnym popołudniem Cotroceni, nie miałem wątpliwości, że gen. Marinescu współdziałać będzie z nami jak najzyczliwiej w sprawie uruchomienia ewakuacji w ramach królewskiej instrukcji, zalecającej zachowanie niezbędnych ostrożności (nawet kamuflażu), aby nadmierną ilością wyjazdów Polaków nie prowokować Niemców i Sowie-tów.

Wprawdzie onże Marinescu, długoletni prefekt policji stołecznej, nie należał do ludzi bezinteresownych i można było z góry przewidzieć, że on sam, a zwłaszcza jego zaufani, będą chcieli zarobić na przeważnie 'pół-legalnej' ewakuacji Polaków, to jednak politycznie mogliśmy mu zaufać.

Istotnie, trzymał się do końca linii wytycznej Calinescu i podobnie jak on zginął zamęczony przez Żelazną Gwardię, działającą w oparciu o Gestapo w okresie dramatycznych zmagania po detronizacji Karola. (Jesień 1940).

znaczoną dla Min. Becka, podobno przebywającego podówczas w Krzemieńcu.

W wypadku 'zakonspirowania' w Bukareszcie madryckiej depeszy trudno logicznie wytłumaczyć na jakiej podstawie „było wiadome w Slanicu od najwcześniejszej fazy internowania” (jak pisze Malinowski), że ambasador francuski w Hiszpanii, Pétain, uprzedził 12 września posła polskiego w Madrycie o „pułapce” rumuńskiej.

Gdybym kiedykolwiek czytał telegram innej placówki o przewidywaniach marszałka Pétain na temat wydarzeń mających nastąpić w Rumunii, byłbym jego treść z pewnością zapamiętał. Atoli nie tylko nie przypominam sobie takiej sensacji, ale nie pamiętam również, by niepokojąca wypowiedź Pétain'a była przedmiotem wspólnych rozważań z ambasadorem Raczyńskim, który przywiązywał dużą wagę i znajdował zawsze czas na dokładne badanie wpływających i wychodzących depesz politycznych.

Co więcej, po utworzeniu rządu Sikorskiego w Paryżu, jako jeden z pierwszych wysłanników nowego Ministra Spraw Zagranicznych, Augusta Zaleskiego, przybył do Bukaresztu wspomniany poseł Szumlakowski.

Czy można przypuszczać, że, gdyby treść jego depeszy z 12 września odpowiadała temu co podaje Malinowski, nie zapytałby się on nawet, dlaczego nie potraktowano jego ostrzeżenia poważnie i nie wyciągnięto zeń odpowiednich wniosków?



Choć Malinowski przypisuje mi, jako zastępcy Ambasadora, główną rolę „w spisku i w przewrocie” w ramach ambasady bukareszteńskiej, równie zapalczywie, a poniekąd w sposób bardziej jeszcze uwłaczający, oskarża Rogera Raczyńskiego, insynuując jakoby Ambasador „stanąwszy po stronie przewrotu, konsekwentnie już grał żalosną swą rolę i pchał taczkę, jaką mu wyznaczono”.

Z komentarzy Malinowskiego na temat naturalnych i usprawiedliwionych posunięć naszych polityków opozycyjnych w onym klęskowym wrześniu przebija niezrozumienie uprawnień i obowiązków opozycji w nowoczesnym konstytucyjnym państwie, jakim przecież Polska przedwrześniowa być nie przestała, mimo niepraworządnych metod tzw. „sanacji”.

Nie było też „dowodem” spisku, że zebrali się na naradę we Lwowie Haller, Kukiel, Kot, Popiel, Stroński i inni, których wedle Malinowskiego sfery rządowe podejrzewały „na podstawie poufnych wiadomości, otrzymanych w Krzemieńcu 12 wrześ-

nia” o namawianie (bezskuteczne zresztą) generała Sikorskiego do sięgnięcia po władzę w drodze zamachu stanu.

*Wypowiedzi gen. Sikorskiego
w Bukareszcie o dalszych zamierzeniach*

Gen. Sikorski bawił w Bukareszcie zaledwie 48 godzin. Na skutek nalegań ambasadora francuskiego przy Rządzie polskim, p. Noël, zamieszkał ze względów bezpieczeństwa w ambasadzie francuskiej. Stamtąd nawiązał zaraz kontakt z Attaché wojskowym, Zakrzewskim, który aż do wyjazdu Generała do Paryża starał się go nie odstępować.

Zakrzewski miał dobre stosunki z gen. Faury, który usposobił dlań jak najlepiej przyszłego Naczelnego Wodza.

Sikorski zaprosił Zakrzewskiego do udziału w szeregu narad, które odbył w ambasadzie francuskiej. Przybył również w jego towarzystwie na Alea Alexandru na blisko dwugodzinną konferencję z ambasadorem Raczyńskim.

Widziałem wówczas Generała tylko przez chwilę; nie mogłem z nim rozmawiać w cztery oczy, bo Zakrzewski przybrał już pozę jego nieodstępnego powiernika.

Sikorski, którego widywałem w różnych okolicznościach zarówno w Warszawie jak i w Paryżu w okresie jego oficjalnej „niełaski”, przypominał ostatnie nasze spotkanie u wspólnego przyjaciela, prof. Tennenbauma. Nie omieszkął przy tym zaznaczyć, że, niestety, najgorsze jego ówczesne przewidywania sprawdziły się w całej grozie... Pomimo widocznego przemęczenia i zatroskania, z całej jego postawy promieniowała jednak dawna, niespożyta energia i wola czynu. Podobne wrażenie odniósł również Ambasador.

Przytaczając później charakterystyczne wypowiedzi Sikorskiego, nadmieniał, że rwie się po prostu do walki, widząc już siebie w historycznej roli organizatora i głównodowodzącego odrodzonej armii we Francji.

Mniej jasno przedstawiał się, zdaniem Raczyńskiego, program politycznego działania generała, choć rozważali wspólnie dość szczegółowo zagadnienie odtworzenia w Paryżu naczelnych władz polskich z zachowaniem przepisów Konstytucji. Wprawdzie Sikorski uznawał potrzebę utrzymania ciągłości konstytucyjnej, podkreślał jednak wyraźnie, że, w jego pojęciu, nowy polski ośrodek polityczny, powołany do działania podczas wojny poza krajem, winien się stać swego rodzaju zapleczem dla armii, zajmując się głównie jej finansowaniem, zaopatrzeniem i zdobyciem

waniem dla niej jak największej ilości ochotników z najdalszych nawet ośrodków emigracyjnych. Jako jedno z zadań kapitałnych, w którego rozwiązaniu ambasada bukareszteńska miałaby być pomocną, wymienił umożliwienie na dalszą metę dopływu wyszkolonego żołnierza z kraju.

Sikorski biadał, że dotąd tylko niewielu zaprzyjaźnionych z nim działaczy politycznych i bliskich mu ongi towarzyszy broni znalazło się zagranicą. Powiedział, że można by policzyć na palcach jednej ręki wybitniejsze jednostki, których rola na Zachodzie, jako pełnoprawnych rzeczników naszych tradycyjnych stronnictw politycznych, nie mogłaby być kwestionowana. W związku z tym, Sikorski wymienił szereg nazwisk osób, które bądź już przeszły granice, bądź też zamierzały jakoby opuścić kraj z chwilą zakończenia zawziętych walk w obronie Warszawy. Prosił o ułatwienie im przedostania się do Francji, lub, jeśli nadarzy się po temu sposobność, zawiadomienia ich, że są niecierpliwie przezeń oczekiwani. Ambasador zauważył, że Zakrzewski skrętnie notował te nazwiska, należące do paru znanych zwolenników „Frontu Morges”, oraz innych przeciwników „Sanacji”, o bardzo nierównym ciężarze gatunkowym. Radził, abym się z tą zaimprowizowaną listą zapoznać, by się zorientować „do kogo Sikorski tęskni”, zanim usłudźni postronni uzupełnią ją dowolnie własnymi przyjaciołmi... Nie tracąc czasu zwróciłem się do Zakrzewskiego, który odczytał mi z notesu zestaw nazwisk i zapytał, co o tym sądzę. Dodał, że widzi w tym zespole potencjalnych kandydatów na przyszłych ministrów... Na pierwszym bodaj miejscu figurował istotnie prof. Stanisław Kot, późniejszy wicepremier i szara eminencja w rządzie Sikorskiego.



Spośród grona polityków, którzy przewinęli się przez Bukareszt, autor wyróżnia szczególną niechęcią prof. Stanisława Strońskiego, twierdząc, że był on rzekomo tak pewny roli, jaka mu przypadnie na obczyźnie, że już „15 września, w Czerniowcach, uważał się za ministra Informacji i dawał dyspozycje swoim ludziom”.

Po paru dniach, opuszczając Bukareszt, Stroński zostawił u mnie (jak pisze Malinowski) opracowany przez siebie program pracy propagandowej zagranicą. Zaś w niedzielę, 17 września, gdy Prezydent R.P. przebywał jeszcze w Polsce, wyjechał „podstępnie” do Szwajcarii, by w Rion Bosson, w Morges pod Genewą, wczesnym rankiem 19 września zaproponować Paderewskiemu objęcie urzędu Głowy Państwa.

Tymczasem, w Bukareszcie, ciągnie dalej Malinowski swą ponurą opowieść, ja, jakoby, czuwałem i pracowałem, przy gorliwej pomocy ppłk. Zakrzewskiego (attaché wojskowego), „nad skutecznym zatrzaśnięciem pułapki i wepchnięciem do niej jak największej ilości groźnych przeciwników (?!) sabotując wszystko, co w formie żądań czy poleceń przychodziło ze Słanicu”.

Zanim rozprawię się z insynuacjami pod moim adresem, parę słów wyjaśnienia o okolicznościach przekroczenia granicy przez prof. Strońskiego.

Przypadek zdarzył, że moi znajomi Rumuni napotkali w szeregu udręczonych pieszych uchodźców po stronie rumuńskiej, opodał osławionego mostu na Czeremoszu, znużonego profesora który ugiął się pod ciężarem worka z książkami. Wszczęli z nim rozmowę, a dowiedziawszy się kim jest, dali mu miejsce w swym samochodzie i dowieźli do Bukaresztu. Nie mając prawie pieniędzy, zatrzymał się w drugorzędnym hoteliku, gdzie, na skutek telefonu przyjaciół rumuńskich, zaraz go odwiedziłem. Zastałem człowieka zgnębionego, przeżywającego tak głęboko narodową tragedię, że nie umiał w tej pierwszej rozmowie sprecyzować swych osobistych planów. Powtarzał jednak parokrotnie, że bardzo mu pilno ruszyć w dalszą drogę, bo skoro tylko ochłonie, zabierze się do pisania, aby demaskować niemieckie zbrodnie i kłamstwa. Następnie, po konferencji z Ambasadorem, był już w lepszym nastroju, przekonawszy się, że w fatalnej zaiste sytuacji nie opuszcza rąk, a politycznie myśli o jutrze.

Nie pamiętam już szczegółów pobytu Strońskiego w Bukareszcie, mam jednak wrażenie, że kiedy wręczył mi swój memoriał w sprawie propagandy, opracowany na prośbę Ambasady, wiedzieliśmy już o zdradzieckim uderzeniu wojsk sowieckich na Polskę.

Pod wrażeniem wzrastającego napływu uchodźców, Ambasadador powziął zrazu myśl przedstawienia na nowe zadania i rozbudowania naszej subwencionowanej gazetki polskiej w Czereniowcach, przy czym takie pismo informacyjne nowego typu, przeznaczone dla Polaków w całej Rumunii, miałoby być przeniesione do Bukaresztu.

Śmiały ów pomysł został urzeczywistniony w ciągu następnych kilku tygodni, kiedy to w Bukareszcie zaczął wychodzić regularnie „Kurier Polski”, zanim nawet nadeszły obiecane z Paryża na ten cel fundusze. Wieloletni korespondent PATa, Piotr Mizunka, Polak — obywatel rumuński awansował na ten cel cały swój kapitałik uzbierany z poborów i honorariów dziennikarskich.

Niemal równocześnie, Ambasada zapoczątkowała regularne zebrania między-sojusznicze przedstawicieli biur prasowych i agend propagandowych celem zgrania odnośnych wysiłków i wymiany informacji.

Począwszy od grudnia 1939, zebrania te odbywały się regularnie w Ambasadzie pod moim przewodnictwem, na wniosek prasowców francuskich i brytyjskich. Harmonijna współpraca między-sojusznicza w dziedzinie polityczno-propagandowej rozwijała się na terenie zagrożonej Rumunii, pod naszym przeważnie wpływem, aż do upadku Francji, co uznać wypada za poważne osiągnięcie, gdyż właśnie w tym okresie dyplomacja nasza skazana była na ogół na trwanie w pozycji ściśle obronnej.

Na naświetlenie dalszych naszych inicjatyw politycznych, znajdzie się później miejsce. Sprawy prasowo-propagandowe poruszyłem bowiem w związku z przejazdem prof. Strońskiego, aby wskazać jaki był główny temat z nim rozmów, w przeciwieństwie do twierdzeń, że zajmowaliśmy się inspirowaną z zewnątrz konspiracją.

Notuję dla charakterystyki wyjątkowo szlachetnego człowieka, jakim był Stroński, że nie usłyszałem wtedy z jego ust ani jednego obelżywego słowa pod adresem przeciwników politycznych, odpadających właśnie od steru Rzeczypospolitej, a których przez lata całe zwalczał z pasją zawziętego polemisty. Wobec ogromu narodowej tragedii ich wady i przewiny nie przysłały mu niewątpliwej prawdy, że wszyscy w mniejszym lub większym stopniu ulegaliśmy w przede dniu wojny złudzeniom, nie doceniając diabelskiej przewrotności i siły uderzeniowej wroga, jego niewpółmiernej militarnej przewagi, straszliwych spustoszeń nowoczesnej wojny totalnej i, wreszcie, rozmiarów i tragicznych konsekwencji paktu sowiecko-niemieckiego.

Stroński wytykał z goryczą dwa zasadnicze błędy „mocarstwowców”, z Beckiem na czele, mianowicie: a) zaniechanie stworzenia rządu koalicyjnego pod hasłem obrony państwa z chwilą ujawnienia zaborczych zamiarów Hitlera (Berchtesgaden). Byłoby to znacznie wzmocniło pozycję Polski w świecie demokratycznym, utrudniając dogadanie się Berlina z Moskwą.

b) Prowadzenie nadal w początku 1939 r. rozgrywek prestiżowych lub tylko tajemniczej gry dyplomatycznej w stosunkach z sojuszniczą Francją, a nawet Anglią, już po zaofiarowaniu Polsce gwarancji. Choć nie było chwili do stracenia, traciliśmy cenny czas miast zabiegać jak najenergiczniej o poparcie i zaufanie opinii Zachodu, mocno zdezorientowanej smutną rolą oficjalnych czynników polskich w dobie osławionego Monachium.

Zatarg między Beckiem a Karolem II

W tym też okresie doszło między Karolem II a Beckiem do ostrego zatargu, który miał się potem, podczas wojny, odbić fatalnie na losie internowanego w Rumunii ministra. W związku z tym przewlekłym zadrażnieniem Beck zmienił swe nastawienie do Raczyńskiego, który, w wykonaniu swych ambasadorskich obowiązków, zmuszony był przekazywać do Warszawy, a nawet osobiście Prezydentowi R.P., wysoce niemiłe dla ministra uwagi Króla.

Dyplomacja francuska dowiedziała się oczywiście o ochłodzeniu stosunków polsko-rumuńskich na najwyższym szczeblu. Malinowski przytacza oświadczenie z dn. 18 marca 1939 r. Sekretarza Generalnego Quai d'Orsay, A. Leger, wobec ambasadora brytyjskiego, że „silnie podejrzewa Becka o 'zdradę' w stosunku do Rumunii” (tom II, str. 8, odsyłacz 16).

Autor nie postarał się jednak wyjaśnić, jak powstać mogło tego rodzaju 'podejrzanie', które lewicujący p. Leger próbował wykorzystać dla podważenia zaufania Anglików do dobrej wiary Becka w rokowaniach z nimi.

Otóż w końcu 1938 r. Marszałek Dworu, baron Flondor, stary bukowińczyk, szczerzy nasz przyjaciel, zwierzył mi się w toku pogawędki na przyjęciu towarzyskim, że martwi go wzrastająca niechęć Króla do Becka, odkąd doszło do 'krótkiego spięcia' między nimi w Galacu.

Beck przybył tam pod pozorem asystowania przy wielkich manewrach armii rumuńskiej, aby skłonić Króla do swego rodzaju *renversement des alliances*, mianowicie do całkowitego poniesienia Czechosłowacji i czynnego poparcia wspólnej granicy polsko-węgierskiej.

Wedle szeptanej w kołach dworskich wersji, Beck uraził Karola swym „kawaleryjskim” tonem i zachowaniem, gdy, mimo sprzeciwów z jego strony, próbował go przekonać, iż wspólna granica polsko-węgierska stanowić będzie dostateczną gwarancję, że polityka Węgier pójdzie w przyszłości po linii życzeń i interesów polsko-rumuńskich.

Beck miał się jakoby wyrazić, że pozyskanie przyjaźni Węgier byłoby warte pewnych *ustępstw* ze strony rumuńskiej w Transylwanii, na co Karol miał zareagować ostro, przerywając rozmowę.

Ambasador Raczyński, który pojechał spotkać Becka w Galacu, mówił mi potem, że podczas tego niefortunnego posłuchania pozostawał w przyległym pomieszczeniu z grupą oficerów rumuńskich. Zauważył nagle Becka, idącego ku niemu szybkim

crokiem, jakby w 'białej gorączce'. Minister, nie zatrzymując się, syknął: „Idźmy stąd... Mam tego dosyć. Wyjeżdżam natychmiast”.

Gdy weszli do pociągu, Beck przyspieszył kroku i zamknął się w swoim przedziale. Dopiero na dalszym postoju zaprosił Raczynskiego do siebie. Jednakże, poza ogólnikami, że Karolowi sprawa Czechosłowacji nadal zasłania rzeczywisty obraz sytuacji, w której powinien przyjąć naszą koncepcję i współdziałać z Węgrami, nie ujawnił niczego, co by mogło usprawiedliwić jego wzburzenie.

Przy ocenie omawianego zgrzytu w Galacu należy wziąć pod uwagę, że Król bynajmniej nie odnosił się wrogo do Węgier, a przeciwnie, podtrzymywał dobre nieoficjalne kontakty z Budapesztem przez swego osobistego przyjaciela Hr. Mocsoni, wielkiego łowczego dworu, oraz innych arystokratów z Transylwanii, jak Hr. Istvan Bethlen i Hr. Teleki, krewny premiera, który niebawem zginąć miał samobójczą śmiercią, protestując w ten sposób przeciw wkroczeniu wojsk niemieckich na Węgry. Odnosił się też życzliwie i konferował chętnie z posłem węgierskim w Bukareszcie, p. de Bardossy, późniejszym premierem (skazanym na śmierć przez powieszenie pod naciskiem Sowietów).

Atoli wszystkie te sondaże utwierdziły króla w przekonaniu, że miarodajne sfery węgierskie odrzucają możliwość kompromisu z Rumunią, podtrzymując w całej pełni swe roszczenia terytorialne (Transylwania).

Nasza ambasada była dobrze zorientowana w tych kolejnych a bezowocnych próbach wyprowadzenia nabolących stosunków rumuńsko-węgierskich z impasu. Poruszaliśmy to zagadnienie raz po raz ze wspomnianym Mocsonim i pozornie przynajmniej pojedynawczym Min. Bardossy, oraz z różnymi osobistościami rumuńskimi, jak b. minister Pangal, gorący zwolennik unii polsko-rumuńskiej. Skoro więc Beck powziął zamiar osobistej interwencji u króla, aby go skłonić do czynnego udziału w jego własnej, rewizjonistycznej polityce, Raczynski odradzał mu *stanowczo* przyjazd do Rumunii, podkreślając w raportach, depeszach i rozmowach telefonicznych, że nie ma szansy pozyskania króla i rządu dla koncepcji trójporozumienia Polska-Rumunia-Węgry, kosztem Czechosłowacji.

Wobec uporu 'szefa', Raczynski udał się specjalnie do letniej rezydencji królewskiej w Sinaia, aby przygotować grunt do ewentualnej konferencji ministra z królem. Przyjęty przez zausznika królewskiego, płk. Urdareanu, próbował go przekonać, że gdyby Karol zechciał spokojnie wysłuchać jego, Raczynskiego, argumentów, przestałby podejrzewać, że nasz Minister Spraw Zagranicz-

nych mógłby go zaskoczyć jakimiś drażliwymi propozycjami. Tu Urdareanu przerwał rozmowę i zaraz poszedł do króla. Po chwili powrócił, zakłopotany, i zakomunikował Raczyńskiemu, że mimo pięknej pogody król pozostał dotąd w domu, ciekaw z czym ambasador przyjeżdża. Dowiedziawszy się o co chodzi, wyraził żal, że ambasador niepotrzebnie się fatygował, nie ma bowiem nic nowego do zakomunikowania p. Beckowi.

Król woli tymczasem nie rozmawiać z ambasadorem, ciągnął dalej Urdareanu, bo cokolwiek by powiedział, mogłoby być tłumaczone jako zachęta dla ministra... Król przypomina sobie dobrze, że w swoim czasie zaprosił płk. Becka na wielkie manewry, aby przekonał się naocznie, jak postępuje wyszkolenie armii rumuńskiej. To zaproszenie pozostaje nadal w mocy. Nie oznacza to jednak gotowości króla dyskusowania w tym terminie i w nieprzychylną atmosferę drażliwych i skomplikowanych zagadnień zewnętrzno-politycznych.

Raczyński powrócił bezzwłocznie do Bukaresztu głęboko zadowolony. Męczyliśmy się długo nad redakcją depechy, starając się ująć odmowę królewską w słowa, które nie stałyby się kamieniem obrazy dla 'szefa', a jednak zniechęciłyby go do przyjazdu. W końcu ambasador zniecierpliwił się i kazał się pilnie połączyć z gabinetem ministra w Warszawie. Zameldował sucho, że powrócił właśnie z Sinaia, że mimo usiłowań nie mógł się dostać do 'Badera' (używaliśmy stale tego krytonimu, mówiąc o królu, ponieważ były nasz poseł w Wiedniu, dr Bader, miał na imię Karol), który dowiedziawszy się o co chodzi, nie chciał w ogóle rozmawiać.



W znacznie drażliwszym położeniu znalazł się Raczyński we wrześniu tegoż roku, gdy Beck rozgrywał 'po pułkownikowsku' sprawę Zaolzia.

Wówczas to Karol, ponad jego głowę, zaapelował bezpośrednio do Prezydenta Mościckiego o odroczenie akcji zajmowania Zaolzia celem uniknięcia otwartego konfliktu z Czechami, któremu chciał za wszelką cenę zapobiec.

Wczesnym rankiem, zupełnie niespodziewanie, zawezwano Ambasadora do pałacu. Ponieważ był właśnie wyszedł na ranną przechadzkę, odebrałem ten telefon, tłumacząc, że nie będzie mógł się stawić natychmiast.

Minister Dworu oświadczył na to, że sprawa jest wyjątkowo pilna, wobec czego musimy odnaleźć Ambasadora jak najprędzej wspólnymi siłami. Niecałą godzinę później sprytny szofer

ambasady, Darabosz, znalazł go wygrzewającego się na słońcu w małej kawiarence-ogródku i zawiózł wprost do Pałacu.

Karol, przestrzegający zwykle w zetknięciu z dyplomatami ceremonialnych form w sposób raczej przesadny, tym razem, w podnieceniu, niemal podbiegł do Ambasadora i, ograniczywszy powitanie do uścisku ręki, przechadzając się z nim po gabinecie, w urywanych zdaniach wyraził swój wielki niepokój, że, wobec mającego jakoby każdej chwili nastąpić wkroczenia wojsk polskich na Zaozie, dojść może do rozlewu krwi między sojusznikami Rumunii.

„Nie można do tego nieszczęścia dopuścić! — wołał. Trzeba przeciwdziałać póki czas! Benesz zawiadomił mnie, że specjalny jego wysłannik do Prezydenta Mościckiego z propozycjami układu co do rektyfikacji granicy jest w drodze do Warszawy. Postanowiłem prosić Prezydenta, żeby przynajmniej do czasu rozpatrzenia pozytywnych propozycji Benesza powstrzymał wszelkie działania wojskowe i zechciał wyrazić zgodę na rokowania”.

Gdy Raczyński odpowiedział, że natychmiast przekaze ministrowi Beckowi życzenie króla, tenże przerwał mu, że pragnie, aby jego oświadczenie dotarło bezpośrednio do Prezydenta, do którego dobrej woli i rozumu politycznego ma pełne zaufanie.

Dodał, że najchętniej zatelefonowałby sam do Prezydenta, rozumie jednak, że to nie wypada. Natomiast prosi Ambasadora aby go wyręczył i zwrócił się do Prezydenta zaraz, wprost z pałacu. Linia do Warszawy jest wolna... Połączenie z Zamkiem potrwa najwyżej parę minut...

Raczyński, choć niemile zaskoczony natarczywością i niecierpliwością Karola, nie dał się wyprowadzić z równowagi i, z właściwą sobie rozbijającą uprzejmością i prostotą, wytłumaczył, że nie wypada mu nadużywać gościnności króla, przeto przeprowadzi tę rozmowę z ambasady.

Tymczasem prosi o pozwolenie odnotowania głównych punktów rozumowania królewskiego, na co Karol skwapliwie się zgodził, precyzując swe dezyderaty.

Niebawem w ambasadzie odczytywaliśmy wspólnie tę punktację w wersji francuskiej, aby streścić ją możliwie najdokładniej w języku polskim. We wstępie zawierała ona serdeczne zapewnienie przyjaźni dla Prezydenta.

Dostaliśmy połączenie z Warszawą w ciągu paru minut. Godzina była jeszcze dość wczesna. W Zamku odezwał się jeden z adiutantów i na dyplomatycznie sformułowane zapytanie „Czy Prezydent jest osiągalny?”, odpowiedział że tymczasem nie, zażywa bowiem zwykłej konnej przejażdżki. Raczyński zapowiedział, że za chwilę zadzwoni ponownie. Zamierzał w międzyczasie uprze-

dzić Becka o poleceniu króla. Ministra nie było w biurze, sekretarz zaś odpowiedział stanowczo, że nie może go niepokoić w domu. Skończyło się więc na krótkiej rozmowie z dyrektorem gabinetu, który, nie wnikając w meritum sprawy, przyjął do wiadomości, że ambasador przekaze bezpośrednio Prezydentowi *message* królewski.

Gdy ponownie połączyliśmy się z Zamkiem, prośba ambasadora o umożliwienie mu rozmowy, którą z polecenia króla rumuńskiego przeprowadzić musi niezwłocznie z Panem Prezydentem wywołała konsternację. Dopiero po długich targach, generał Szaley, wspólnie z min. Łepkowskim, zdecydowali poprosić Prezydenta.

Raczyński zaczął od usprawiedliwienia się, że zmuszony niezwykłymi okolicznościami, nagłością sprawy i usilnym naleganiem króla, pozwolił sobie fatygować dostojnego rozmówcę. Następnie zaznaczył, że powtórzy dosłownie oświadczenie Karola.

„Słucham, słyszę doskonale”, odpowiedział Prezydent. Po wysłuchaniu zaś i chwili namysłu zapytał: „Panie ambasadorze, czy minister Beck zna to oświadczenie? W każdym razie muszę się z nim porozumieć zanim poweźmę jakąkolwiek decyzję”. (Trzymałem wtedy 2-gą słuchawkę i notowałem odpowiedzi).

Raczyński wyjaśnił, że działał zgodnie z wyraźnym życzeniem króla, któremu bardzo zależało na tym, aby Pan Prezydent znał jego stanowisko możliwie najdokładniej, z pierwszej ręki. Zaznaczył również, że rozumie, iż ewentualną odpowiedź otrzymać może tylko normalną drogą służbową.

Po wymianie paru zdań prywatnej raczej natury, Prezydent polecił przekazać królowi szczerze podziękowanie za żywy jego udział w naszych troskach związanych z bieżącym kryzysem europejskim.

Odetchnęliśmy z ulgą, bo ze słów Prezydenta można było wnioskować, że drażliwa operacja dyplomatyczna, odbiegająca jaszkrawo od obowiązujących w pałacu Brühla szablonów, przeszła bezboleśnie. Zrozumieliśmy jednak, że czekają nas jeszcze ciężkie przeprawy ze względu na urażoną miłość własną porywczego „szefa”.

Wedle ówczesnej oceny Raczyńskiego, król, apelując do Prezydenta, nietyło myślał o ratowaniu Czechosłowacji, na co było już za późno, ile chciał zaznaczyć, że wobec realnego niebezpieczeństwa wojny przysługuje mu, jako sojusznikowi, prawo konsultacji.



Skromne wyniki rokowań polsko-rumuńskich z końca 1938

r. w sprawach gospodarczych i komunikacyjnych ujawniły dobitnie, że efektowne manifestacje solidarności w płaszczyźnie politycznej z poprzedniego roku nie miały należytej podstawy gospodarczej².

Świadczyła o tym nie tylko nikłość obrotów handlowych, ale i poniechanie unowocześnienia starych i zbudowania nowych połączeń kolejowych. Tym razem jednak miarodajne czynniki wojskowe obu stron wypowiedziały się stanowczo za pilnym odrobieniem przeszłych zaniedbań. Rumuni oceniali bowiem na ogół realnie wzrastające zagrożenie swego kraju. Rozumowanie polityczne Karola szło po tej samej linii, toteż, nie bacząc na zadrażnienie powstałe w Galacu, szukał nadal oparcia o Polskę. Z wizyty w Berchtesgaden (odbytej, wraz z ks. Michałem, bezpośrednio po bytności tamże Becka) Karol powrócił przekonany, że Hitler nie traktuje poważnie zobowiązań monachijskich i gotuje się już do nowego uderzenia. W nadziei, że zgodne współdziałanie polsko-rumuńskie mogłoby się przyczynić do opóźnienia wybuchu wojny, wystąpił za pośrednictwem Raczyńskiego z propozycją natychmiastowego wszczęcia rokowań w sprawie usprawnienia i ewentualnego rozszerzenia naszego sojuszu obronnego, również *na wypadek napaści niemieckiej*.

2. Nie brałem osobiście udziału w tych rokowaniach, pamiętam natomiast uwagi wypowiedziane na ich marginesie przez płk. Jana Kowalewskiego w prywatnych ze mną rozmowach. Pod wrażeniem świeżych kontaktów z wybitnymi osobistościami na zachodzie, Kowalewski oceniał bardzo pesymistycznie naszą sytuację międzynarodową.

Uważał, że nie wyciągamy logicznych wniosków z oczywistego faktu, że Hitler nastawiony jest nieodwołalnie na podbój wschodu (Rosja, Ukraina), do czego rozbiście Czechosłowacji było tylko wstępem. Usiłowania Warszawy prowadzenia nadal w zmienionej zupełnie koniunkturze (po Monachium) polityki równowagi między Berlinem a Moskwą doprowadzi prawdopodobnie do tego, że wpadniemy między dwa stołki i nie unikniemy wojny przerastającej nasze siły i możliwości.

Po katastrofie wrześniowej, Kowalewski dotarł jeden z pierwszych do Bukaresztu i otrzymał zaraz od Ambasady mandat zorganizowania Centralnego Komitetu Obywatelskiego opieki nad uchodźcami. Został on pierwszym przewodniczącym tego komitetu, powołanego do przejęcia części czynności opiekuńczych, którym Ambasada i Konsulat R.P. w Bukareszcie nie były w stanie podołać, a zarazem do umożliwienia uchodźcom wywierania pośredniego wpływu na decyzje dotyczące dalszego ich losu. W trzy miesiące po uruchomieniu tej ważnej placówki społecznej, Kowalewski wyjechał do Paryża, na wezwanie gen. Sikorskiego.

Komitet działał nadal pod nadzorem delegata nowego Ministra Opieki Społecznej w rządzie gen. Sikorskiego, którym został b. poseł w Bukareszcie, Mirosław Arciszewski, wysoko przez Rumunów ceniony. W przeciwieństwie do wielu innych 'przybudówek' czasu wojny do naszych urzędów dyplomatycznych i konsularnych. Komitet Obywatelski (mimo kolejnych kryzysów i waśni wewnętrznych) cieszył się na ogół pozytywną wśród wychodźstwa opinią.

Do rozmów nie doszło, Beck bowiem *zlekceważył* tę ofertę jako nierealną. W wymianie tajnych depesz z ambasadą minister twierdził, że jest, jakoby, zbyt zajęty rozmowami z wielkimi mocarstwami, aby podjąć negocjację rumuńską. Jego rozmowy z mocarstwami wpłynąć miały decydująco na bieg wydarzeń, podczas gdy możliwości Rumunii zbył określeniem *quantité négligeable*. Takie postawienie sprawy głęboko przygnębiło Raczyńskiego. Pamiętam, że oceniliśmy wówczas stanowisko Becka jako *zasadnicze odchylenie* od koncepcji marszałka Piłsudskiego, który niezmiennie dbał o to, aby nasz sojusz z Rumunią „grał w każdej koniunkturze”. W przeciwieństwie do swych paladynów stary Marszałek traktował Rumunów z wyszukaną kurtuazją i niezmierną życzliwością... Niestety za przykładem Becka, bliscy jego współpracownicy w centrali używali w odniesieniu do Rumunii pogardliwego zwrotu *quantité négligeable*. Dawali w ten sposób wyraz niezadowoleniu i niechęci z powodu przekazywanych raz po raz przez ambasadę ostrzeżeń rumuńskich na temat domniemanych terminów agresji niemieckiej.

Sam, będąc w centrali na przełomie lipca-sierpnia 1939 r., wysłuchiwać musiałem złośliwych uwag, że ulegamy panickerskim nastrojom „patafachów” rumuńskich.

W trzech wypadkach nasze rzekomo alarmistyczne, wedle osądu centrali, depesze opierały się na najzupełniej wiarygodnych informacjach, zakomunikowanych ambasadzie z polecenia króla. W szczególności, wiadomość o powziętej już w zasadzie decyzji Hitlera uderzenia na Polskę doszła króla od bardzo mu życzliwego krewniaka, ks. Fryderyka Hohenzollern-Siegmaringen, generała Wehrmachtu, który przyjeżdżał często do Rumunii i uchodził w otoczeniu królewskim za zdeklarowanego przeciwnika wojny³.

Wszystkie te wiadomości i łączące się z nimi komentarze

3. Podczas wycieczek do Sinaia, modnej górskiej miejscowości, a zarazem letniej rezydencji królewskiej, spotkałem tam parokrotnie na niedzielnych nabożeństwach w małej kapliczce katolickiej tegoż Hohenzollerna, którego Karol II otaczał szczególnymi względami jako „głowę” swego rodu.

W przeciwieństwie do Karola, nie był on postacią reprezentacyjną i nie miał w sobie nic z przysłowiowej buty swych pruskich krewniaków. Do położonej na stromym wzgórzu kaplicy przychodził pieszo, jak inni turyści, zajmował miejsce w ławce a podczas cichej mszy św. modlił się przykładnie.

Ów dynasta niemiecki przydawał u boku Karola podczas oficjalnych uroczystości ogłoszenia w Sinaia pełnoletności następcy tronu, Michała (18 lat).

Uczestniczący w tych ceremoniach na specjalne zaproszenie króla, marsz. Śmigły-Rydz nie ukrywał z tego powodu niezadowolenia i złego

polityczne zostały przez centralę zignorowane. Nawet po wybu-

humoru. Z miejsca zrobił ostrą wymówkę postowi M. Arciszewskiemu, że nie dopilnował protokolarnej strony jego wizyty, gdyż, jako drugiej w państwie polskim osobie, należało mu się miejsce na równi z następcą tronu. W danym wypadku może tylko ustąpić Michałowi rumuńskiemu, gdyż to jego święto. Natomiast oddawanie przesadnych honorów jakimś tam Hohenzollernom czy Habsburgom nie może nie uznać za obrazę godności Marszałka Polski.

Towarzyszący mu oficerowie utwierdzili go w tym nastawieniu. Tu muszę zaznaczyć, że formalne żądanie dla Śmigłego Rydza honorów i miejsca należnych następcy tronu postawione zostało przez Warszawę w okresie układania programu jego pobytu w Rumunii. W wykonaniu tej instrukcji, odwiedziłem dwukrotnie szefa protokołu, a następnie Marszałka Dworu. Obaj odpowiedzieli, że Marszałek Polski będzie miał znacznie wyższe miejsce niż Marszałek Prézan, bohater rumuński z okresu wielkiej wojny, bowiem ranżować będzie bezpośrednio po rodzinie królewskiej. To nas powinno zadowolnić.

Po przyjeździe do Sinaia Marszałek dowiedział się, że na galowym obiedzie arcyksiążę Anton Habsburg, szwagier Karola (mąż najmłodszej jego siostry Ireny) zająć ma wyższe odeń miejsce. Bardzo rozdrażniony, uprzedził M. Arciszewskiego, że o ile nie otrzyma satysfakcji, zbrojotkuje przyjęcie i nie weźmie również udziału w zapowiadzianym nazajutrz polowaniu królewskim. Marszałekowski do późna w noc uganiał się za dworskimi dygnitarzami, którzy wykorzystali przyjazd do Sinai, aby po całodziennych ceremoniach zabawić w kasynie itd., chciał bowiem koniecznie zażegnać konflikt protokolarny. Atoli król nie zdradzał najmniejszej ochoty zmiany ceremoniału dworskiego na niekorzyść książąt krwi... Chcąc jednak załagodzić sprawę, zaszedł sam, prywatnie, do pokoju Marszałka, by potwierdzić ustnie zaproszenie na polowanie.

Wedle przekazanej mi wtedy przez M. Arciszewskiego wersji, przebieg rozmowy, mimo zachowania odpowiednich form uprzejmościowych, był nie. zadowolający, bowiem Marszałek odpowiedział na zaproszenie wymijająco.

Karol wyraził się bardzo ujemnie o próbach ze strony polskiej narzucania mu, jak powiedział, „nowych porządków” w jego własnym domu, ale nie chciał przeciągać struny, znając już z innych precedensów niebywałe przewrażliwienie naszych wojskowych w sprawach protokolarnych. (Np. kategoryczne domaganie się wielkich wstęp rumuńskich dla generałów brygady).

Przed samym obiadem Karol wezwał do siebie szwagra (Habsburga) i oświadczył mu, że, niestety, zabrakło dlań miejsca, co obu stronom przyjemne oczywiście, nie było. W ten sposób Śmigły-Rydz posunął się o jedno miejsce wzwyż, to go jednak nie zadowoliło. Nie zasięgając opinii powsta, postanowił, jak się to w naszych kierowniczych sferach mawiało, „dać Rumunom dobrą nauzkę” i nazajutrz, skoro świt, kazał sobie podać na dworzec królewski swoją salonkę, oświadczając, że musi natychmiast wracać do Warszawy.

W otoczeniu króla powstał popłoch. Zaimprovizowany wyjazd Marszałka Polski, bez wyjaśnienia ze strony rumuńskiej zaszytych nieporozumień, bez oddania mu oficjalnych honorów, na które okazał się tak wrażliwy, nabierał posmaku skandalu.

Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego nie udało się zatrzymać salonki Marszałka w Sinaia nieco dłużej, choćby pod pozorem przeszkód technicznych, aby go ktoś z dygnitarzy rumuńskich mógł pożegnać.

chu wojny Beck nie zmienił 'mocarstwowego' tonu wobec Ru-

Tegoż poranku zaalarmował mnie telefonicznie z Sinaia poseł Arciszewski, uprzedzając, że Śmigły wyjechał zupełnie niespodziewanie, bez pożegnania, bardzo niezadowolony. Jego salonkę skierowano na Bukareszt tak, aby min. Wiktor Antonescu mógł go dogonić i imieniem rządu pożegnać. Postój na dworcu w Bukareszcie potrwa około półtorej godziny, mam przeto zająć Marszałka uroczystym powitaniem, mobilizując w tym celu cały urzędujący nasz zespół i, w porozumieniu z konsulem A. Mikuckim, kolonję polską.

Na wykonanie tego planu miałem zaledwie dwie godziny. Udało się jednak ściągnąć kilkadziesiąt osób tak, że owacja przed zajeżdżającą salonką wypadła wcale dobrze. Chociaż adiutant wystąpił z oświadczeniem, że Marszałek nie ma zamiaru nikogo przyjąć, zdołałem zameldować się służbowo i poprosić, aby pozwolił przedstawić sobie delegację Polonii. Marszałek się rozchmurzył i potraktował bardzo uprzejmie nie tylko konsula i dyplomatycznych urzędników, ale rozmawiał z ożywieniem z przedstawicielami 'Lotu', naszego przemysłu zbrojeniowego, mieszanych instytucji polsko-rumuńskich itp., rozdając hojnie na pamiątkę swoje specjalne „Marszałkowskie” papierosy.

W rezultacie opuścił Bukareszt w lepszym nastroju, co ułatwiło min. Antonescu wykonanie (przy pomocy Arciszewskiego) delikatnej misji załagodzenia przykrego incydentu. Nawiasem mówiąc, tenże Antonescu szczerzy przyjaciel Polski i wybitny polityk liberalny nie był spokrewniony z późniejszym dyktatorem-marszałkiem tegoż nazwiska, który w jesieni 1940 r. zmusił Karola do abdykacji.

Wczesną wiosną 1938 r., gdy towarzyszyłem Premierowi-Patriarsze Mironowi Cristea podczas jego oficjalnych odwiedzin w Polsce, przekonałem się że opisane powyżej niemiłe zajścia w Sinaia pozostawiły pewien osad niechęci w nastawieniu marsz. Śmigłego do Rumunów.

Premier-Patriarcha wyraził nadzieję spotkania Marszałka i porozmawiania z nim, miał tylko zapisać się w księdze odwiedzających.

Kiedy przyjechaliśmy do Inspektoratu aby dokonać tej ceremonii, adiutant który nas przyjął zakomunikował z wyszukaną zresztą uprzejmością, że Marszałek jest nieobecny, odbywając jakąś inspekcję i bardzo żałuje, że nie będzie mógł przyjąć rumuńskiego gościa.

Zanim Miron zdołał coś odpowiedzieć, przedstawiono mu innego oficera, który, w drodze wymiany, odbył niedawno służbowy *stage* w Rumunii i mówił świetnie po rumuńsku. Miron nawiązał z nim ożywioną rozmowę pytając o jego wrażenia z różnych stron Rumunii itp.

To sympatyczne *intermezzo* osłabiło trochę ujemne wrażenie marszałkowskiej odmowy. Nie potrzebuje uzasadniać, że Premier-Patriarcha powinien był być przyjęty, nie tylko ze względu na wysoką swą rangę państwową i kościelną, ale, przede wszystkim, ze względu na specjalne okoliczności jego wizyty. Przyjechał mianowicie wkrótce po rozpętaniu antypolskiej propagandy w skali światowej na tle burzenia na naszych kresach nieczynnych cerkwi prawosławnych, przy czym wojsko brało, niestety, raz po raz udział w tej barbarzyńskiej akcji. Jako głowa rumuńskiego Kościoła prawosławnego, Miron swą obecnością w Polsce chciał zaświadczyć, że rozpowszechniane na ten temat zagranicą wiadomości są tendencyjne i grubo przesadzone, a nastawienie rządu polskiego do prawosławia pozostaje przychylne. Przyjmując delegację cerkiewne z kresów podczas uroczystości na jego cześć w siedzibie Metropolity warszawskiego Dionizego, Miron odmówił wystąpienia ich protestów i z właściwym sobie urokiem i dobroćliwością namawiał do pojednania.

munii. W przedostatniej depeszy, jaką otrzymaliśmy z Warszawy przed zerwaniem łączności, *zbyt lekceważąco ostrzeżenie króla*, odnoszące się *tym razem do zdradzieckich zamierzeń Moskwy*. Na podstawie opinii swego poselstwa w Moskwie, Karol uprzedził nas, że należy się liczyć w najbliższym czasie z uderzeniem wojsk sowieckich na naszą granicę wschodnią *bez wypowiedzenia wojny*.

Otrzymana w odpowiedzi przez ambasadę instrukcja opiewała, że nie ma i nie przewiduje się zagrożenia Polski od wschodu, a zaniepokojenie Rumunów tłumaczyć należy tym, że inwazja sowiecka zagraża właśnie Rumunii, której pozycja, wobec nie uznania przez ZSSR granicy Besarabskiej, jest znacznie słabsza.

Nic dziwnego, że ambasador postanowił nie wykonać tak ujętej instrukcji, natomiast podziękował za ostrzeżenie, dodając, że pozycja Rumunii jest bodaj równie niepomysłna, zważywszy znane stanowisko Moskwy w sprawie Besarabii.

Tu pragnę nadmienić, że jedna z ostatnich depesz, wymienionych z centralą, dotyczyła neutralnego stanowiska Rumunii w wojnie polsko-niemieckiej, którą to notyfikację minister Beck przyjął w imieniu rządu do wiadomości bez zastrzeżeń. Zgodnie z podpisaną przezeń instrukcją, ambasada złożyła notę potwierdzającą formalnie powyższe stanowisko rządu R.P., nacechowane zrozumieniem motywów, które skłoniły naszych sprzymierzeńców rumuńskich do powzięcia takiej decyzji.

Trudno przeto pojąć, że, w dwa tygodnie później, gdy w Kutach ważyły się losy zamierzonej ewakuacji nie tylko Prezydenta i rządu, ale również Naczelnego Wodza (jako wyznaczonego następcy prof. Mościckiego), wszyscy bodaj zainteresowani nie zdawali sobie jasno sprawy z ograniczeń natury politycznej, wynikających automatycznie z przekroczenia granicy kraju neutralnego przez kierownictwo jednej ze stron wojujących.

Jeśli zaistniały w tym względzie fatalne niedopowiedzenia, to historia obarczy za to odpowiedzialnością ministra Spraw Zagranicznych, który, na formalne zapytanie marszałka Śmigłego-Rydza, zdobył się tylko na enigmatyczną odpowiedź (brzmiącą zgodnie wedle różnych relacji), że „Sytuacja Marszałka będzie trudniejsza (czy gorsza) niż członków rządu”.

Słyszając później w Rumunii i na Wychodźtwie niewątpliwie szczerze wynurzenia szeregu czołowych osobistości z tego grona, z gen. Sławoj Składkowskim włącznie, przekonałem się osobiście, że byli oni jakby zahipnotyzowani magiczną formułą *droit de passage*, która w Kutach, a następnie w Czerniowcach płk Beck żonglował, choć nie miał podstawy do twierdzenia, że strona rumuńska przyjęła jego własną, dowolną, interpretację tej wysoce elastycznej formuły.

Ambasador Kajetan Morawski, który będąc wiceministrem Skarbu, dzielił wówczas smutny los rządu, stwierdza w swym cennym utworze pamiątnikarskim „Wspólna Droga” (Paryż, 1962), str. 94, że „Rydz-Śmigły sądził błędnie na podstawie mało ścisłej wykładni konwencji wojskowej, że po przekroczeniu granicy obejmie, wobec zaistnienia *casus foederis*, dowództwo nad połączonymi wojskami obu narodów... Beck iluzji tych nie podzielał, ale mylił się również, gdy przypuszczał, że Rumuni zdołają się na udzielenie władzom polskim przyobiecane go tylko *półgębkiem* i z wewnętrznymi zastrzeżeniami prawa przejazdu”.

Morawski dodaje, że natomiast „Raczyński nie miał wątpliwości, że nasza klęska militarna, oraz naciski niemiecki i sowiecki przekreśliły w pełni dawniejsze zobowiązania i świeższe *obietnice*”. Wreszcie, stawia retoryczne pytanie, czy rzeczowo beznadziejny zatarg na tym tle z Rumunią nie byłby się odbił na losie napływających coraz liczniej uchodźców, czy nie spowodowałby odmowy *droit de passage* także i dla tych, co zdążali do odtwarzającej się już we Francji polskiej armii?”.

Opisując stosunki panujące w Slanicu, w pierwszym, przy-musowym miejscu pobytu w Rumunii Rządu R.P., autor przytacza charakterystyczną rozmowę z Beckiem, w obecności Antoniego Romana, ministra Przemysłu i Handlu, dn. 27 września. Starając się uzasadnić swe postępowanie w toku ostatnich kryzysowych miesięcy, Beck równocześnie podkreślił, że „Rumunia *przy-obiecała* mu przyznanie *droit de passage* dla Prezydenta i Rządu i że musimy obstawać przy wykonaniu tego *zobowiązania*”^{*)}.

Prosił przy tym Morawskiego, aby uwierzył, że stawiając tak sprawę, pragnie tylko, jako urzędujący jeszcze minister Spraw Zagranicznych, zapewnić ciągłość państwową Polski. Mówił też, że dostrzega jak jego własny aparat, placówki dyplomatyczne, przestają się liczyć z udzielonymi przezeń wskazaniem. Zakończył znamienną uwagą, że, może Morawski, dzięki stosunkom przyjaźni i zaufania z wielu naszymi ambasadorami i posłami, (wymienił m.in. obu Raczyńskich) znajdzie wśród nich więcej zrozumienia i posłuchu.

W związku z tą rozmową Morawski przypomina, że choć nie zgadzał się z linią polityczną Becka i zachował doń żal za odcięcie go od służby zagranicznej po maju 1926, okazał ministrowi swą dobrą wolę zaraz po przyjeździe do Slanicu. Wziął bowiem na jego prośbę udział w redagowaniu noty protestacyjnej

^{*)} Tu pragnę zauważyć, że w języku dyplomatycznym „obietnica” — a „przyjęcie zobowiązania” to dwa różne zupełne pojęcia.

do rządu rumuńskiego, niezależnie od faktu, że „treść porozumienia *ustnego* zawartego w Kutach znał tylko z drugiej ręki”.

Zarówno niejasne oświadczenie Becka, jak i twierdzenia osób z jego otoczenia wobec Morawskiego, że w Kutach nastąpiło 'ustne' porozumienie, są dla mnie zgoła nie przekonujące. Bowiem 16 września bezpośrednio po wyjeździe do Kut via Czerniowce ambasadora Raczyńskiego na wezwanie Becka, otrzymałem z Kut nagłą telefon od dyr. Gabinetu Ministra, aby za wszelką cenę sprowadzić tam ambasadora rumuńskiego G. Grigorcea, z którym stracono kontakt, odkąd przebywa na terytorium rumuńskim.

Minister kazał mi powiedzieć, że do sprowadzenia Grigorcea przywiązuje ogromną wagę, mając z nim terminowe sprawy do omówienia.

Zrozumiałem, że chodzi o rozmowy na temat ewentualnego wycofania się rządu przez Rumunię na terytorium alianckie w obliczu wzrastającego z godziny na godzinę zagrożenia.

Wszelkie na ten temat układy minister był sobie zastrzegł jak najbardziej kategorycznie, twierdząc, że tylko pod bagnetami wroga zdecyduje się na taki krok, sprzeczny z żołnierską ideologią. Jakkolwiek ambasador oraz szereg osób zorientowanych w sytuacji m.in. przebywający już od tygodnia w Bukareszcie August Zaleski nie mieli wątpliwości, że należy działać pilnie na najwyższym szczeblu w stolicy, aby uzyskać 'murowane' gwarancje tranzytu, ambasada, wobec takiego postawienia sprawy przez ministra była bezsilna. Jeśli zaś chodzi o mnie to z chwilą zawezwania Raczyńskiego na naradę do Kut, uważałem, że mam ręce w tej sprawie związane.

Natychmiast po otrzymaniu wspomnianej telefonicznej instrukcji, udałem się do Ministra Gafenco, przechodząc kolejno przez gabinety paru jego współpracowników, aby wizyta moja nie została przez kręcących się po pałacu Sturza dyplomatów Osi zauważona.

Gafenco przejął się bardzo moją prośbą, twierdząc, że nie ma chwili do stracenia na ułożenie warunków przejścia rządu polskiego na stronę rumuńską ze względu na możliwe na pograniczu bombardowania niemieckie. Faktycznie, zameldowano właśnie, że jeden czy dwa samoloty niemieckie naruszyły powietrzną granicę, przy czym dwie bomby wybuchły jakoby na terytorium rumuńskim, nie wyrządzając jednak strat. Był to, prawdopodobnie, manewr niemiecki obliczony na zastraszenie, toteż Gafenco zamierzał zareagować możliwie stanowczą notą. Gdy rozmawialiśmy na ten temat, łączył się kolejno z wojskowymi i cywilnymi władzami bezpieczeństwa, zarządzając poszukiwanie Grigorcea. Rozmawiał w

szczegółności z gen. Marinesco, wówczas podsekretarzem stanu spraw wewnętrznych, który otrzymał pełnomocnictwo wydawania wyjątkowych zarządzeń na pograniczu polsko-rumuńskim. Wobec wiadomości o rosnącej z godziny na godzinę fali uchodźców z Polski, zabrałem ze sobą opracowaną z własnej inicjatywy notatkę w sprawie natychmiastowego zorganizowania pomocy dla nich przez rumuński Czerwony Krzyż i czynniki rządowe.

Do tych ostatnich należałyby decyzje co do ustalenia periodycznych zapomóg pieniężnych, rozdawnictwa ciepłej odzieży, udzielania bezpłatnych pomieszczeń itp. Podstawą dla tych wielomilionowych wydatków mogłaby być zawartość wielkiej ilości polskich wagonów, załadowanych towarami i wartościowym sprzętem, a przesuniętych w ostatnich 10-ciu dniach na stronę rumuńską, aby uniknąć ich zniszczenia przez Luftwaffe.

Gafenco podjął merytoryczną dyskusję nad powyższą punktacją. Pamiętam, że zastanawiając się nad wysokością indywidualnych zapomóg, wymienił sto lei jako sumę wystarczającą na dzienne utrzymanie. Była również mowa o kierowaniu uchodźców z pogranicza do dalszych miejscowości wzdłuż linii komunikacyjnych, umożliwiających szybkie opuszczenie Rumunii w razie ewentualnego niebezpieczeństwa.

Spędziłem parę godzin w gabinecie ministra Gafanco, oczekując na odnalezienie ambasadora Grigorcea.

Gafenco wzywał kolejno dyr. polit. Crezianu i innych współpracowników, wydając polecenia w sprawie rozpracowania wspomnianych powyżej zagadnień. W mojej obecności połączył się z Ministrem Dworu Urdareanu, prosząc o upoważnienie złożenia w Berlinie protestu 'z osobistego rozkazu króla' z powodu bombardowań przez Luftwaffe pogranicza bukowinńskiego. Odnosna nota miała stwierdzić, że zarówno most na Czeremoszu, jak i wagony po obu stronach granicy, stanowią własność Rumunii, wobec czego bombardowanie tych obiektów musiałoby być uznane za akt wrogi przeciwko krajowi neutralnemu. Gafenco tłumaczył, że względy humanitarne wymagają zaangażowania autorytetu króla w tej sprawie, aby umożliwić schronienie się do Rumunii polskim rozbitkom wojennym.

W ciągu następnej pół godziny zażądano dwukrotnie z pałacu dodatkowych wyjaśnień, po czym Urdareanu zakomunikował aprobatę królewską. Nota protestacyjna przetelegrafowana została tegoż wieczoru do Berlina, po uprzednim uzgodnieniu z premierem Calinesco, którego Gafenco poinformował, że sprawę wagonów polskich oraz mostu na Czeremoszu poruszył z mojej inicjatywy. Streścił również moją *Aide-Mémoire*. Notuję ten szczegół, bo Calinesco wyznaczył mi niebawem posłuchanie na 20 września wieczorem.

rem, czyli w wilię haniebnego morderstwa, (którego padł ofiarą) aby ewentualnie uzgodnić ogólne wytyczne dla władz administracyjnych w sprawie postępowania wobec różnych kategorii naszych uchodźców, mając już na względzie ułatwienie ich szybkiej i *metodycznej ewakuacji*.

Dalsze szczegóły tej konferencji, którą uważam za bodaj najważniejszą ze wszystkich jakie miałem w ciągu mej 27-letniej służby państwowej, podam później w związku z naświetleniem reakcji ambasady na zatrzymanie najwyższych władz R.P. w Rumunii.

Zbliżała się godzina 19-a, kiedy zadzwonił Grigorcea, meldując, że gotów jest zaraz jechać samochodem do Kut. Mówił szybko i niewyraźnie, a ja, niedość dobrze znając język rumuński, nie mogłem się zorientować, co mówił ministrowi Gafenco o ostatnim swym spotkaniu z Beckiem. Zauważyłem tylko nagłe zniecierpliwienie rumuńskiego ministra. Poleciwszy swemu ambasadorowi, aby natychmiast skontaktował się z p. Beckiem i *przyjął* wszelkie jego propozycje *ad referendum*, z tym, że będą przychylnie *rozpatrzone*, przerwał Grigorcea'y dalsze wynurzenia. — Po odłożeniu słuchawki, rzucił w moją stronę zirytowanym tonem: „Pański minister już dwa razy odrzucił bezceremonialnie propozycje Grigorcea'y omówienia wiadomej sprawy (warunków i procedury przejścia granicy). Co więcej, na jego oświadczenie, że król wyraził gotowość ofiarowania p. Prezydentowi czasowej gościny (*hospitalité*) w wypadku liczniejszych nalotów na pograniczu — nie było żadnej reakcji, nawet słowa: dziękuję”.

Próbując usprawiedliwić „szefa”, przypominałem min. Gafenco poprzednie nasze deklaracje, że pogranicza polsko-rumuńskiego będziemy bronili do ostatka. Wobec takiej decyzji, min. Beck prawdopodobnie uważa, iż przedwczesne dyskusowanie warunków przejazdu mogłoby być zrozumiane jako wyraz nadmiernego pesymizmu, kiedy właśnie na terenie Małopolski skuteczne przeciwnatarcia polskie są w toku.

„Sam będąc żołnierzem”, odparł Gafenco, „podziwiam męstwo Polaków, atoli jako polityk oceniam 'przeciwnatarcia', o których pan mówi, tylko jako bohaterskie epizody. Nie dalej jak wczoraj, rozmawiałem o sytuacji z płk. Morozow (szef bezpieczeństwa króla), który ze względu na swe pochodzenie ma doskonałe wyczucie zamierzeń Moskwy. Otóż, nie ma on wątpliwości, że Sowiety uderzą lada chwila na Polskę, że przeto, z dnia na dzień, możemy ich mieć na karku... Dlatego też ściągamy gwałtownie siły wojskowe na Bukowinę i Besarabię... Nie możemy dopuścić do chaosu na pograniczu, co nastąpi niezawodnie,

gdy obecna fala uchodźcza z Polski zamieni się w lawinę pod grozą napaści sowieckiej. Dlatego również usiłowaliśmy ustalić zawczasu *toutes les modalités* ewakuacji rządu polskiego, kierując się obopólnym interesem. Niestety, wobec kunktatorstwa ministra Becka, niczego dotąd nie ustaliliśmy, choć czas nagli...”.

A naglił istotnie... Już nazajutrz sprawdziły się te przewidywania. Wbrew oficjalnej tezie o rokowaniach w Kutach, którą uporczywie podtrzymuje Malinowski, nie było na nie w ogóle czasu. Ambasador rumuński przeprowadził z Beckiem dwie tylko rozmowy. W pierwszej, na propozycje gościny królewskiej dla Prezydenta oraz przedyskutowania ewentualnych warunków ewakuacji rządu nie otrzymał żadnej odpowiedzi. W drugiej, którą odbył około 4 pp. 16 IX. zaraz po wyjeździe Raczyńskiego z Kut min. Beck sformułował mniej lub więcej teoretycznie swe żądania w sprawie *droit de passage*, które, zgodnie z instrukcją, Grigorcea mógł przyjąć tylko *ad referendum*, przyobiecując życzliwe ich rozpatrzenie w Bukareszcie. Raczyński w oficjalnym sprawozdaniu ze swych czynności podczas kryzysu państwowego stwierdza, że opuszczając Kuty NIE miał informacji o rzekomych pertraktacjach w sprawie przejścia granicy przez nasze Naczelne Władze. Rozmowy na ten temat z Grigorce’a urwały się na skutek inwazji sowieckiej, stwarzającej nową zupełnie sytuację. Zresztą sam Beck musiał mieć wątpliwości co do wyniku swych ‘rokowań’, skoro polecił przybyłemu do Kut 17 września około południa amb. Raczyńskiemu, by powrócił do Czerniowiec i stamtąd telefonicznie uzgodnił z Gafenco *droit de passage*; zgodnie z tym poleceniem Raczyński zadzwonił z Konsulatu w Czerniowcach około godz. 18 do Gafenki i usłyszał w odpowiedzi, że król i rząd zdecydowali ofiarować p. Prezydentowi i rządowi „gościnę”.

Malinowski, pisząc o rozmowie z Beckiem, powołuje się na „Zapiski” Raczyńskiego, ogłoszone w „Kulturze” w r. 1948, a więc cztery lata po jego nagłej śmierci w Atenach. Dodaje jednak od siebie, że ambasador otrzymał ponadto polecenie pozostania w Czerniowcach i zgłoszenia się do Becka osobiście zaraz po przejściu władz na stronę rumuńską. Otóż o tych dodatkowych poleceniach ministra nigdy z ust Raczyńskiego, ani też od kogokolwiek bądź innego, nie słyszałem. Okoliczność, że nie ma o nich wzmianki we wspomnianych „Zapiskach” jest dla mnie decydująca. Owe „Zapiski” bowiem to nie były jakieś osobiste pamiętnikarskie notatki, a oficjalne zestawienie czynności ambasadora w krytycznych dniach wrześniowych, załączone do pisma urzędowego skierowanego do kancelarii cywilnej P. Prezydenta Wł. Raczkiewicza, jako przyczynek do historii objęcia przezeń prezydentury.

Niezależnie od treści instrukcji Becka, powody dla których Raczynski bardzo spieszyć się musiał z powrotem do Bukaresztu były aż nadto przekonujące. Przede wszystkim, 17 września wieczorem nie można było telefonicznie uzgadniać z Czerniowiec spraw państwowej wagi z rumuńskim MSZ. W mieście i okolicy panował chaos, wywołany masową ewakuacją z Polski i przerażeniem Rumunów z powodu zbliżającej się nawały sowieckiej. Ogromne zatory na kolejach i drogach groziły zahamowaniem komunikacji ze stolicą, a ogłoszenie stanu wyjątkowego podsycało jeszcze panikarskie nastroje. Przedstawiciele rządu i generalicji, poczynając od gen. Marinesco, dawali głośno wyraz niepewności, co jutro przyniesie... Łatwo było wyczuć ich obawę, że Rumunii groziłoby wciągnięcie do klęskowej wojny, w razie zbrojnych incydentów z armią czerwoną na skutek pogwałcenia granicy rumuńskiej. Raczynski obawiał się natomiast próby rewolucji ze strony żelaznej Gwardii, pamiętając o ostrzeżeniach, które doszły nas z różnych stron⁴. Więc słusznie, że nie może pozostawać bez-

4. Najpoważniejsze ostrzeżenie miało miejsce jeszcze za posłowania M. Arciszewskiego, znacznie przed przyjazdem amb. Raczynskiego.

Calinescu zaczął od wyjaśnienia, że zwrócił się do mnie (nie byłem wówczas *chargé d'Affaires*), bo drażliwa sprawa, którą zmuszony jest wytoczyć, nie ma nic wspólnego z formalną dyplomacją. Mówiąc to, wyjął z portfela parę małych karteczek gęsto zapisanych nazwiskami i datami.

Była to lista znanych członków Żelaznej Gwardii, z Horią Sima na czele, którzy przed pewnym czasem schronili się w Niemczech i w Polsce przed represjami władz królewskich.

Oto w streszczeniu naświetlenia Calinescu tej sprawy:

„Wydstawszy się z Rumunii nielegalnie, prawdopodobnie za obcymi paszportami, owi spiskowcy-fanatycy, zaprzysiężeni terroryści, przechodzą teraz fachowe przeszkolenie w Niemczech pod egidą Gestapo. Poza tym, próbują wszelkimi sposobami aktywizować stamtąd anty-rządową działalność Gwardii w Rumunii. Typowym przykładem tych poczynąń było podłożenie bomb w pałacu bukareszteńskim Patriarchy Mirona, jak wiadomo szczerze oddanego królowi. Na szczęście, zauważono i usunięto eksplozywy na czas...

„Grupa spiskowców, która otrzymała azyl w Polsce, utrzymuje bliską łączność z kolegami w Niemczech i działa po tej samej linii. Obie grupy są płynne i przenikają się wzajemnie... Zachodzi pytanie, czy miarodajne czynniki polskie zdają sobie sprawę z tych niebezpiecznych powiązań i co, ewentualnie, zechcą uczynić aby położyć kres tej przykrej sytuacji?

Tu zacytował, patrząc mi w oczy, francuskie przysłowie *Un homme averti en vaut deux* i doręczył mi jedną z leżących przed nim karteczek z nazwiskami gwardzistów, korzystających z gościny polskiej.

Było tajemnicą publiczną, że poselstwo R.P. w Bukareszcie zajmowało przez szereg lat wybitnie dla Żelaznej Gwardii przychylne stanowisko, zgodne z ponawianymi co pewien czas instrukcjami Centrali. Odnosne dyrektywy wiązały się organicznie z 'radosną twórczością' paru protegowanych przez dyrektorów T. Drymmera i T. Kobyłańskiego ambitnych urzędników, zajmujących się nawiązywaniem współpracy między polskimi 'komórkami' młodzieżowymi a ich rzekomymi odpowiednikami rumuńskimi. Kolejni re-

czynnie ani chwili dłużej poza Bukaresztem, gdy Ambasada i Konsulaty R.P. znalazły się nagle w niejasnej sytuacji prawno-politycznej, w której wraz z zamachy na nasze immunitety dyplomatyczne mogły łatwo sparaliżować bieżące urzędowanie, czynności opiekuńcze i wszelką naszą działalność polityczną. Oceniał zresztą swój wyjazd do Kut jako zupełnie bezpożyteczny. Doryw-

ferenci młodzieźowi przydzielani do Poselstwa w Bukareszcie, zaangażowani byli po uszy w imprezach zbliżonych z gwardzystami.

Nie mogłem przeto pozwolić sobie na głośowne zaprzeczenie, a próbowałem tylko przekonać rumuńskiego ministra, że niefortunni azylanci, o ile istotnie przebywają nadal w Polsce, zawdzięczają to wyłącznie osobistym staraniom swych przyjaciół, prawdopodobnie z grona radykalnych działaczy młodzieźowych. Powiedziałem również, że nie przypuszczam, by nasze miarodajne czynniki zainteresowały się bliżej poczynaniami młodych gości rumuńskich, nie podejrzewając, że nadużywają polskiej gościnności dla knowań politycznych.

Calinescu odparł że nie pomawia nikogo z Polaków o złą wolę, a po prostu ostrzega przed agentami niemieckimi, którzy pozyskali naszą życzliwość, szermując patriotycznymi hasłami (hasło Gwardii *Totul pentru Tsara* (wszystko dla kraju)).

Przytoczył następnie trochę szczegółów charakteryzujących postępowanie i psychikę tych zwolenników nie-żyjącego już Codreanu, twórcy ich ruchu, którego rodowe nazwisko brzmiało naprawdę Zieliński.

Mój rozmówca obiecywał sobie, że nasze władze wyciągną z tych informacji odpowiednie wnioski i w ten lub inny sposób unieszkodliwią działalność spiskowców. W pałacu Bruehlowskim jednak nikt nie miał ochoty narażać dziarskich „młodzieźowców” rumuńskich na rygory policyjne.

Skończyło się na tym, że skłoniono paru bardziej skompromitowanych do wyjazdu... do Niemiec.

Poza tym niewiele się zmieniło. Fraternalizacja na szczeblu młodzieżowym cieszyła się nadal wysoką aprobatą, a na ten cel szły niemałe kwoty z funduszu dyspozycyjnego Ministra Spraw Zagranicznych.

Dopiero Raczyński, wkrótce po objęciu Ambasady, przerwał tę sielankę, przekonawszy się, że te kompromitujące kontakty budzą na Dworze i w rządzie posądzenia pod naszym adresem o uprawianie podwójnej gry...

Nie tracąc czasu, Ambasador pojechał specjalnie do Warszawy by całą sprawę zreferować osobiście Min. Beckowi, który przychylił się do jego wniosków i wydał odpowiednie zarządzenia.

Ale niepoważna koncepcja, że prawdziwymi naszymi przyjaciółmi w Rumunii, na których zawsze możemy liczyć, są prześladowani przez Króla „Gwardziści”, pokutowała nadal w Warszawie.

Żłudzenia te były tym bardziej niezrozumiałe, że kierownictwo „Gwardii” ujawniło w pewnym momencie wobec naszego poselstwa, że, znalazłszy się w przymusowej sytuacji przyjęło wielomilionową subwencję z Berlina, co, niestety, będzie się musiało odbić na dalszej ich polityce.

Przykładem nie dającego się niczym usprawiedliwić zaciętrzewienia niektórych naszych jednostek cywilnych i wojskowych był zakomunikowany mi oficjalnie przez Ambasadora Grigorcea fakt, że, bezpośrednio po przejściu granicy, niektórzy nasi oficerowie i wyżsi urzędnicy odgrazali się, jako by, głośno, że żołnierze polscy „nie powinni składać broni władzom rumuńskim, które nas haniebnie zdradziły, a członkom Żelaznej Gwardii, którzy są naszymi przyjaciółmi i gotowi bić z nami bolszewików”.

czą wymianę zdań z chorobliwie podnieconym 'szefem' trudno było nazwać konferencją. Nie pogłębiono żadnego tematu, niczego nie wyjaśniono i nie powzięto żadnej decyzji. Sugestie Raczyńskiego, że bez oglądania się na formalności Pan Prezydent i paru ministrów powinni bezzwłocznie wsiąść do samolotu (który był w odwodzie) i udać się wprost do Constancy, skąd mogliby zaraz odpłynąć na jednym ze statków alianckich, została gładko odrzucona. Otrzymał wyjaśnienie, że w jednym samolocie wszyscy się nie pomieszczą, a wszak w zespole kierowniczym zapadło uroczyste postanowienie, żeby się w tym tragicznym momencie nie rozdzielać. Na sprowadzenie dalszych paru samolotów nie było rzekomo już ani czasu ani możliwości.

Argumenty te brzmią fałszywie w świetle relacji Kajetana Morawskiego, że kiedy formowała się kolumna ewakuacyjna ministerstwa Skarbu pod egidą ministra Kwiatkowskiego, przelatywało wiele polskich samolotów do Rumunii, by uniknąć zniszczenia przez Niemców.

Powracając do stanowiska Raczyńskiego, to był przekonany, iż dopiero z Bukaresztu będzie mógł skutecznie bronić sprawy zatrzymanego rządu, nawiązując równocześnie oficjalną łączność z Prezydentem R.P., którego, wraz z otoczeniem skierowano w międzyczasie do odległego Bicazu.

Rozmowy z Augustem Zaleskim

Do tych którzy oceniali trzeźwo *sine ira cum studio* bardzo ograniczone możliwości działania Ambasady w tym kierunku, należał były minister Spraw Zagranicznych, August Zaleski, który, wraz z żoną, zjechał do Bukaresztu mniej więcej na tydzień przed katastrofą. Jako jeden z wybitnych członków Rady Banku Polskiego, brał udział, wraz z wice-ministrem Skarbu, Adamem Kocem i kierowniczym zespołem Banku Polskiego, w przewlekłych i drażliwych naradach w Ambasadzie w sprawie udzielenia formalnej zgody na przewóz tranzytem przez Rumunię, via port Constanza, do Stambułu dziesięciu wagonów zapasu złota tegoż Banku. Transport złota, konwojowany przez b. Ministrów H. Floyar-Rajchmana, Ignacego Matuszewskiego, oraz p. Krystyna Ostrowskiego, dotarł około 12 września, nieuszkodzony do Śniatynia.

Większość członków Rady Banku nie wierzyła w powodzenie takiej operacji, podejrzewając, że Rumuni nie oprą się pokusie przywłaszczenia sobie co najmniej pokażnej części cennego tran-

sportu. Inni uważali, że nie są uprawnieni do podjęcia decyzji o nie dających się przewidzieć następstwach.

Min. Zaleski był zdania, że najgorszą ewentualnością byłoby przeciąganie postoju tych wagonów w Śniatyniu, gdzie, każdej chwili, ulec mogły zbombardowaniu. Od początku narad zachęcił Ambasadę do podjęcia natychmiastowych starań o odpowiednie gwarancje rumuńskie i tureckie. Uważał, że dopiero po uzyskaniu takich gwarancji będzie można przeprowadzić konieczną uchwałę.

Ambasador był już otrzymał zapewnienie rządu rumuńskiego przepuszczenia tego transportu pod warunkiem zachowania zupełnej tajemnicy. Nie mogliśmy jednak przedstawić zebraniu potwierdzenia tej obietnicy „czarno na białym”. Poza tym doszły nas wiadomości, że konwojenci poróżnili się co do przesunięcia wspomnianych wagonów na stronę rumuńską i że Rajchman opuścił Śniatyń, by uzyskać nowe instrukcje od ministra Skarbu.

Ambasador zwrócił się przeto za zgodą płk. Zakrzewskiego do zastępcy attaché wojskowego, M. Zimnala, z prośbą aby niezwłocznie udał się do Śniatynia i przeprowadził stamtąd transport do Constanzy, przyjmując na siebie, w imieniu Ambasady odpowiedzialność za całą operację.

Mjr Zimnal podjął się bez wahania tej arcy-drażliwej misji. Jego stanowczości i odwadze, a zarazem umiejętności postępowania z rumuńskimi władzami i personelem kolejowym, przypisać należy w dużej mierze uratowanie polskiego złota.

Jeśli mnie pamięć nie myli, w ogłoszonych dotąd relacjach o tym dokonaniu decydująca rola Zimnala została zupełnie pominięta. To przemilczenie ma bardzo przykry posmak, zważywszy, że wskutek wahań i chwiejnego stanowiska wszystkich zainteresowanych czynników, Ambasada była zmuszona przyjąć na siebie formalną odpowiedzialność i ewentualne odium za tę decyzję.

Znamienne pod tym względem było stanowisko Anglików, którzy wymagali, aby odezwa do komendanta tankera brytyjskiego ze szczegółową instrukcją w tej sprawie była podpisana przez Ambasadora Raczyńskiego, a tylko zaopatrzona potwierdzającą notatką Sir Reginald Hoare’a, Ministra J.K.M. w Bukareszcie. W załatwieniu tej sprawy był nam bardzo pomocny pierwszy sekretarz poselstwa Brytyjskiego Hankey, syn znanego męża stanu, a wyjątkowo życzliwy Polsce, osobisty nasz przyjaciel.

W międzyczasie, zgodnie z życzeniem min. Zaleskiego, zajmowałem się uzyskaniem gwarancji tureckiej, przy poparciu Anglików, ze względu na wiążący ich z Turcją układ polityczny. Mieliśmy doskonałe stosunki z ambasadorem tureckim, Tanrioerem. Nie bawiąc się w formalistykę, połączył się telefonicznie, w

mej obecności, z premierem tureckim w Ankarze, przedstawiając mu naszą prośbę i podkreślając konieczność zachowania jak najściślej tajemnicy.

Premier odpowiedział, że rozumie wagę i nagłość, ale również delikatność sprawy, wobec czego bezzwłocznie skomunikuje się z Prezydentem Inonu, by uzyskać jego *placet*. Obiecał p. Tanrioerowi, że w ciągu godziny otrzyma odpowiedź. Przejęci niezwykłą sytuacją, ale dobrej myśli, popijaliśmy turecką kawę w oczekiwaniu na decyzję Ankary, nie mieliśmy bowiem wątpliwości, że, zgodnie z tradycyjną przyjaźnią polsko-turecką, İsmet İnönü nie zawiedzie naszych nadziei. Tak się też stało.

Tymczasem w Ambasadzie trwała wciąż jeszcze narada nad losem naszego złota. Gdy wywołałem Raczyńskiego, aby mu zakomunikować pomyślną nowinę, zaskoczył mnie jego zmieniony wygląd: Wypieki i czerwone na twarzy plamy spowodowane najwidoczniej rozdrażnieniem wielogodzinną jałową dyskusją.

Wysłuchawszy mego sprawozdania, Ambasador wyraził powątpiewanie, czy obietnica turecka skłoni matadorów z Banku Polskiego do powzięcia jedynie wskazanego w danych warunkach postanowienia. Krew uderzyła mi do głowy. Poprosiłem Ambasadora o upoważnienie wyłożenia tym panom całej sprawy, tak jak ją widzę. Wniosek mój brzmiał, że, skoro sprawa transportu została już w płaszczyźnie dyplomatycznej załatwiona i technicznie przez Ambasadę przygotowana, odpowiedzialność faktyczna przerzucona została na nasze barki. Dalsze debaty są więc bezcelowe, a pozostaje tylko przyjęcie do zatwierdzającej wiadomości przez zebranie, że transport tejsze nocy znajdzie się po stronie rumuńskiej.

Po tej linii ujęta interwencja okazała się skuteczna. Pułkownik Koc zgodził się bez zastrzeżeń z powyższym rozumowaniem, a potem wyraził mi uznanie za jasne i stanowcze postawienie sprawy. Nazajutrz wyjechał do Paryża. Natomiast min. Zaleski, mimo nalegań ze strony Ambasadora, zwlekał z wyjazdem.

Gdy 17 września rano, pod nieobecność Ambasadora, który wezwany przez min. Becka znajdował się właśnie w Kutach, otrzymałem urzędowe depesze o wkroczeniu wojsk sowieckich na całą linię pogranicza i o cynicznym oświadczeniu Mołotowa, że Państwo Polskie przestało istnieć, próbowałem zaraz skomunikować się z min. Zaleskim. Okazało się jednak, że już wyszedł na miasto. Pragnąłem nie tylko zasięgnąć jego światłej rady co do ujęcia not piętnujących agresję sowiecką, które należało bezzwłocznie złożyć w rumuńskim MSZ i skierować do wszystkich szefów misji dyplomatycznych, ale liczyłem na to, że sama obecność jego w Ambasadzie ułatwi utrzymanie równowagi i spo-

koju wśród urzędników i napływających masowo zrozpaczonych interesantów.

Zaledwie ustaliłem z najbliższymi współpracownikami jak powinni rozmawiać z postronnymi, aby przeciwdziałać panice i wbijać wszystkim w głowę, że kapitulacji nie będzie, choć możemy chwilowo ulec przemocy, kiedy zjawił się min. Zaleski. Chciał się dowiedzieć, czy nie mamy dalszych wiadomości poza tym co podawały rozgłosnie radiowe. Zamknęliśmy się w gabinecie Ambasadora podczas gdy do obszernego hallu cisnęło się po informacje i radę coraz więcej osób, którymi zajęli się młodszy koledzy.

Pan August mówiąc o klęskowej sytuacji, z właściwym sobie opanowaniem, zastanawiał się głośno nad reakcją aliantów. Wszystko wskazuje na to, mówił, że nie zechcą zdecydowanie wystąpić przeciw gangsterom sowieckim, obawiając się rozszerzenia wojny do czego nie są przygotowani... Nasze placówki dyplomatyczne winny więc teraz mocno podkreślać, że znaleźliśmy się, wbrew naszej woli i usilnym staraniom, w stanie wojny z Rosją sowiecką. Jednocześnie należy w notach protestacyjnych i oficjalnych rozmowach postawić jasno sprawę, że: 1) na skutek nie spowodowanej agresji i złamania przez Moskwę uroczystych zobowiązań traktatowych zaistniał między Polską a ZSSR stan wojenny. 2) Polska nie uzna nigdy dokonywanych teraz aktów gwałtu przez obu najeźdźców i nie zaprzestanie walki w obronie swej suwerenności i integralności.

3) Zgodnie z prawem międzynarodowym, zastrzegamy sobie wyrównanie (przez reparacje) krzywd i żądać będziemy przywrócenia *status quo ante bellum*, oczekując od aliantów pełnego poparcia słusznego naszego stanowiska.

Przechodząc do polityki Francji, ubolewał nad zakorzenionymi tam wpływami *Front Populaire*. Przewidywał przeto nowe trudności, na które natrafi rekrutacja do armii polskiej we Francji z powodu nie przebiegającej w środkach kampanii Sowietów i różnych komórek Kominternowskich, aby nas wyeliminować z pozycji współrzędnych partnerów Francji i Anglii *przed* zakończeniem wojny z Niemcami.

Ta ostatnia, prorocza uwaga p. Augusta wryła mi się w pamięć, zrozumiałem bowiem, że przewiduje nagonkę wrogich nam czynników międzynarodowych, aby nie dopuścić Polski do przyszłej konferencji pokojowej.

Wówczas nie było jednak czasu na teoretyczne rozstrząsanie przyszłości, groza teraźniejszości pochłaniała całkowicie myśli, wolę i wyobraźnię.

Poprosiłem p. Augusta, aby był łaskaw poprawić bruliony

już częściowo przygotowanych not i zabrałem się do pisania dalszych. Niestety, nie posiadam odpisów tych dokumentów, które, wraz z częścią tajnego archiwum Ambasady, wywiezione zostały w 1940 r. do Francji.

Redagowanie trwało dość długo, bo wciąż przerywały telefony lub domaganie się natarczywych klientów o przyjęcie. P. August odetchnął z ulgą, gdy teksty odpłynęły wreszcie do kancelarii i zaczął się żegnać. Udało mi się go jednak przekonać, by pozostał przynajmniej do przerwy popołudniowej i dopomógł mi w opanowaniu sytuacji w obleganym dosłownie przez tłum rodaków urzędzie. Jestem przekonany, że dzięki obecności w Ambasadzie w tym momencie byłego Ministra Spraw Zagranicznych uniknęło się przykrych incydentów.

Raczyński, po powrocie z Kut, skorzystał z pierwszej wolnej chwili, aby p. Zaleskiemu za to podziękować. Namawiał go też usilnie do przyspieszenia wyjazdu do Paryża, gdzie lada chwila miały się rozpocząć narady dla zorganizowania nowego ośrodka władzy polskiej na czas wojny. P. August jednak dalej się ociągał. Nachodząc pp. Zaleskich w hotelu Athénée Palace o różnych porach dnia i nocy, aby ich skłonić do spiesznego opuszczenia Bukaresztu, musiałem wysłuchiwać powiedzonek w rodzaju: „Wcale mi nie pilno zbierać w Paryżu skorupy rozbitej przez innych porcelany... Dziwię się, że Raczyński i pan chcecie mnie koniecznie zaprząć do tej brudnej roboty...”.

Niemniej przeto wyjechał wczas, by w nowym rządzie objąć tekę Ministra Spraw Zagranicznych.



Ambasador Edward Raczyński, młodszy brat Rogera, pisząc w swym dzienniku londyńskim o naradach w Paryżu w dniu 25 września nazwał *bezkrólewie* kryzysowy okres rozpoczęty 18 września kiedy to Rumuni, pod pozorem naruszenia neutralności ze strony polskiej, ograniczyli swobodę ruchów naszych dygnitarzy, wyznaczając im tymczasowe miejsca pobytu.

Owo bezkrólewie trwało zaledwie 11 dni, bowiem skończyło się już w nocy z 29 na 30 września, z chwilą podpisania rezygnacji przez Prezydenta Ignacego Mościckiego, w pałacyku królewskim w Bicz, w obecności ambasadora R. Raczyńskiego.

W ciągu tych ponurych dni, pełnych ciężkich zmagañ, ambasador Raczyński osobiście i zespół Ambasady w Bukareszcie zmuszeni byli pobierać nagłe decyzje, bez precedensu w dziejach jakiegokolwiek Polskiego urzędu dyplomatycznego czy misji wojskowej.

Z natury rzeczy przypadła podczas wojny bardzo ważna rola attaché wojskowemu, ppłk. dypl. Tadeuszowi Zakrzewskiemu i dzielnemu jego zastępcy, majorowi dypl. Marianowi Zimnalowi. Malinowski notuje, że 19 września, a więc już po internowaniu marszałka Śmigłego Rydza w Craiovej, Zakrzewski odmówił posłuszeństwa szefowi sztabu gen. Stachiewiczowi, oddawszy się uprzednio do dyspozycji gen. Władysława Sikorskiego w Paryżu.

Zakrzewski posiadał wysokie kwalifikacje fachowe, szybko i bystrą orientację, lecz pod impulsem wybuchowego temperamentu łatwo się zacierzował. Był to człowiek twardy, apodyktyczny, bardzo ambitny, uparty i niewyrozumiały, krótko mówiąc trudny w stosunkach służbowych i osobistych. Objął attachat wojskowy w Bukareszcie po znacznie bardziej odeń zrównoważonym i wyrobionym płk. dypl. Janie Kowalewskim, gdy tenże powołany został w 1937 r. na szefa sztabu O.Z.O.N.-u, u boku jego organizatora, płk. Adama Koca.

Kowalewski, znakomity znawca spraw sowieckich i wschodnich, z Dalekim Wschodem włącznie, odznaczający się niepospolitą inteligencją i łatwością obcowania z ludźmi, przekazał swemu następcy szeroki wachlarz stosunków wojskowo-politycznych. Zakrzewski przeto miał zadanie ułatwione i wgryzł się szybko w sprawy rumuńskie, umacniając swą pozycję wśród swoich i obcych. Uchodził powszechnie za oficera szczerze oddanego Śmigłemu Rydzowi, a zarazem cieszącego się jego zaufaniem.

Od samego początku stosunki Zakrzewskiego z ambasadorem ułożyły się poprawnie, co przypisywałem szczególnej umiejętności Raczyńskiego ignorowania tradycyjnych poniekąd rozgrywek prestiżowych między wojskowym a cywilnym personelem placówek zagranicznych. Atoli w miarę zwiększenia się prawdopodobieństwa wojny, wymagania ambitnego attaché wojskowego w stosunku do ambasady wzrastały w niepokojącym tempie, przy czym różne jego niedostatecznie przemyślane posunięcia polityczne i organizacyjne sprawiały nam sporo kłopotów. Wspomnę tu tylko o jednym, osobistym moim zatargu z Zakrzewskim na tle jego nacisków, by zmusić mnie do przerwania wszelkich stosunków z zastępcą amerykańskiego attaché wojskowego, Ratayem, i do udziału w kampanii naszych wojskowych, piętnujących tego Amerykanina polskiego pochodzenia, jako podejrzanego o występowanie się Niemcom. Ratay naraził się na te zarzuty gdy, mając poprzednio przydział do ambasady amerykańskiej w Berlinie, przyjechał prywatnie do Warszawy i w rozmowach z oficerami sztabu głównego ostrzegał ich w sposób raczej alarmistyczny przed druzgoczącą potęgą Luftwaffe, z którą, jego zdaniem, lotnictwo wojskowe francuskie i angielskie nie mogło się wówczas mierzyć.

Równocześnie chętnie się licznymi kontaktami zarówno na różnych szczeblach Reichswchry jak i wśród elity nazistowskiej. Te przechwałki zraziły doń ówczesnego szefa oddziału II, który doszedł do wniosku, że Ratay dał się wciągnąć w podejrzone knowania z Niemcami i bierze udział w ich próbach zastraszenia nas. Poleciał przeto przerwać wszelkie z Ratayem rozmowy, nie próbując nawet zachować pozorów uprzejmości wobec oficera amerykańskiego.

Ratay wyjechał z Warszawy głęboko urażony, a jego nazwisko wnet trafiło na czarną listę podejrzanych, jak mnie o tym Zakrzewski „czarno na białym” przekonał.

Gdy Ratay pojawił się w Bukareszcie, nie wiedziałem jeszcze o jego przykrej przygodzie warszawskiej. Przy pierwszym towarzyskim z nim zetknięciu okazałem mu życzliwe zainteresowanie, ponieważ na wstępie, wspomniał w sposób ujmujący o swym polskim pochodzeniu. Bezpośrednio potem odwiedził mnie i podzielił się wiadomościami z Berlina o daleko idących przygotowaniach do uderzenia na Polskę, wyrażając przekonanie, że to może nastąpić lada chwila. W związku z tym, poinformował mnie o okolicznościach, w jakich stał się przedmiotem nagonki ze strony naszych wojskowych. Powiedział m.in. że potraktowano go w Warszawie w sposób uwłaczający godności oficera amerykańskiego. Twierdził też, nie bez ironii, że on, który obiecywał sobie robić dla nas dobrą robotę w Rumunii, poczynając od oficjalnego zespołu amerykańskiego, ma teraz ręce związane, nowi jego szefowie bowiem poczuli się zań obrażeni na Polaków i Polskę.

Uwagi Rataya na temat stosunków panujących w poselstwie amerykańskim były dla mnie cenne, niewiele bowiem o tym wiedziałem. Chociaż poselstwo Stanów zachowywało się raczej biernie w sprawach politycznych, a w życiu dyplomacji mało się udzielało ze względu na fatalny stan zdrowia posła Guentera (który umarł bodaj w pierwszym roku wojny), przewidywałem, że, może, niebawem wypadnie nam zabiegać o jego względy wobec coraz żywszego zainteresowania Prezydenta Roosevelta kryzysem europejskim. Na tym tle poróżniłem się poważnie z Zakrzewskim, któremu wytknąłem, że napastliwe jego postępowanie w sprawie Rataya przynieść nam może tylko szkodę. Ze swej strony nie zastosowałem bojkotu, którego żądał i odtąd stosunki nasze znacznie się oziębily. W tym warunkach o jakiegokolwiek wspólnej naszej „konspiracji” nie mogło być mowy.

Prędzej niż sądziłem, musiałem się ubiegać o przyjazne względy (*bons offices*) posła amerykańskiego. Gdy pewnej wrześniowej nocy Ambasada otrzymała polecenie przekazania kanałem amery-

kańskim telegramu Prezydenta Mościckiego do Roosevelta z protestem przeciw niemieckim bombardowaniom otwartych miast i ludności cywilnej, etc., począwszy od pierwszego dnia inwazji. Chodziło o to aby depesza dotarła jak najszybciej do Białego Domu, a autentyczność oskarżeń sformułowanych w orędiu Prezydenta nie mogła być poddana w wątpliwość. Zależało również na tym, aby poseł amerykański, urzędujący w sąsiednim kraju i mogący posiadać własne, wiarygodne informacje o przebiegu działań wojennych w Polsce, potwierdził nasze naświetlenie okrucieństw niemieckich.

Nie tu miejsce na opisywania niezwykłych okoliczności nocnej mej wizyty u obłożnie chorego posła amerykańskiego, który mimo wielkiego osłabienia i cierpienia, napisał przy mnie swój komentarz do depeszy naszego Prezydenta, zawezwał telefonicznie urzędników-szyfrantów, słowem zrobił wszystko, aby prośbie naszej stało się zadość. Wspomnę tylko, że gdy, po opuszczeniu jego sypialni znalazłem się na schodach, Mrs Guenter, oburzona moim nocnym najściem, zastąpiła mi drogę wołając: „Jeśli teraz mąż mój padnie ofiarą nowego ataku, odpowiedzialność za to padnie na pana”.

Na szczęście stan ciężko chorego pozostał tymczasem bez zmian i mogliśmy jeszcze przez pewien czas wykorzystywać jego gotowość informowania Roosevelta w przyjaznym dla Polski duchu.

Z własnej inicjatywy przekazałem tą drogą do Waszyngtonu m.in. treść not protestacyjnych Ambasady do rządu rumuńskiego w sprawie zatrzymania Prezydenta i Rządu R.P. Wskazuje to na bezpodstawność zarzutu Malinowskiego, jakoby wówczas, wraz z Zakrzewskim, „czuwał w Bukareszcie nad skutecznym zatrzaśnięciem pułapki i wepchnięciem do niej jak największej ilości przeciwników” (?)

Co więcej, Malinowski pogłębia to oskarżenie, pisząc na innym miejscu, jakoby „zatrzymywał i unieruchomiał, nieraz przy pomocy władz i policji rumuńskiej, ludzi, którzy z polecenia rządu mieli się udać do Francji czy gdzie indziej”.

Twierdzi dalej, że „jednocześnie z takim paraliżowaniem działania skrupowanego już przez Rumunów rządu R.P.”, opracowywałem przy udziale Zakrzewskiego „obszerną czarną listę osób niepożądanych, podejrzanych i szkodliwych”, którzy trafiający na tę listę, wyjechać z Rumunii nie mogli, gdyż Ambasada i Konsularne biura francuskie wydawały wizy, jakoby, tylko za moją zgodą.

Wreszcie, jak przypuszczam, w celu nadania pozorów prawdopodobieństwa tej niewiarygodnej wersji, autor uderza znów w

ambasadora Raczyńskiego, insynuując, że „poddawał się biernie wywieranym nań naciskom i był coraz posłuszniejszym narzędziem w ręku kierownictwa spisku”.

Malinowski silił się wprost na ukazanie działalności Ambasady w możliwie odrażającym świetle, chcąc zwalić na nią odpowiedzialność za wszelkie zło i przeciwności, które spotkały kierowniczy zespół R.P. po opuszczeniu kraju.

Jestem przekonany, że z biegiem czasu ustali się trzeźwa opinia, iż nieszczęścia, które tych panów w Rumunii spotkały były w dużej mierze samozawinione.

Wbrew zamierzeniom, sam Malinowski ujawnia szereg szczegółów wskazujących na to, że większość naszych dygnitarzy, znalazłszy się w Slanicu, a później w Baie Herculanae, nie umiała wyprowadzić realistycznych wniosków z tej sytuacji. Niejeden z nich miał ułatwić, uparcie utrudniał Ambasadzie spełnianie przypadającej jej legalnie roli *pośrednika* w rozładowaniu naszego przesilenia państwowego. Wczorajsi uprzywilejowani zapominali o szerszej roli Ambasady jako rzecznika interesów całej uchodźczej rzeszy polskiej w Rumunii, a nie tylko zespołu rządowego.

Ponieważ wiadomości i wnioski kierowane przez Ambasadę do Slanicu nie odpowiadały oczekiwaniom i życzeniom adresatów, Malinowski charakteryzuje je jako „wykrętne i kłamliwe”. Sam atoli przytacza, że „Raczyński w listach tam kierowanych mówił o zupełnej bezskuteczności swych interwencji u Rumunów, nie robił też żadnych widoków na pomyślne rozstrzygnięcie, choć zapewniał, że nie przerwie starań” (w sprawie umożliwienia wyjazdu).

Dziś nikt nie może już podawać w wątpliwość, że Ambador pisał prawdę, bez ogródek i upiększeń, a obietnicy dalszych starań dotrzymał, skoro większość zespołu rządowego wydostała się szczęśliwie z Rumunii. Nikt też z pewnością nie poczyta Raczyńskiemu za ujmę, że jak podaje Malinowski „usiłował nakłonić rząd Składkowskiego do dymisji, strasząc go możliwością powstania w Paryżu jakiejś niezależnej od Prezydenta Mościckiego Rady czy Komitetu”.

Ze swej strony, nie wstydę się, że sekundowałem wówczas wiernie Ambasadorowi w niewdzięcznej jego roli Kassandry bowiem — że zacytuję znów Malinowskiego — informowałem Slanic „w listach odręcznych o piętrzących się trudnościach i komplikacjach, oraz o *zupełnej* bezskuteczności podejmowanych wysiłków”.

Co ważniejsze, miałem sposobność ostrzec osobiście, 20 bodaj września, gen. Sławoj Składkowskiego, że na razie nie możemy wpłynąć na zmianę jego i kolegów przymusowej sytuacji,

bo staramy się, przede wszystkim, odzyskać należną Prezydentowi R.P. swobodę ruchów.

Taka była treść mej odpowiedzi na telefoniczne wezwanie premiera, że oczekuje samochodu z dyplomatycznymi znakami na określonym punkcie, przy szosie prowadzącej do Slanicu, aby się „cichcem wyrwać do Bukaresztu”.

W tej sprawie dzwonił do Ambasadora z przypadkowego miejsca postoju w drodze z Czerniowiec do Slanicu. Wypadło mu jednak rozmawiać ze mną, gdyż Raczyński był już wyjechał do Biczazu, do Prezydenta.

Znałem Gen. Składkowskiego jeszcze jako Ministra Spraw Wewnętrznych gdy, z polecenia min. St. Patka, wówczas posła w Moskwie, opracowałem szereg raportów na temat prowadzonej przez Komintern akcji komunistycznej w Polsce. Zetknąłem się z nim bliżej w 1938 r., podczas wizyty rumuńskiego Premiera i Patriarchy dr. Mirona Cristea w Warszawie. Między innymi, pełniłem rolę tłumacza przy rozmowach naszego Premiera z jego gościem rumuńskim. Wreszcie, w 1939 r., przed samą wojną, odebrałem w zastępstwie Raczyńskiego, parę jego telefonów w sprawie przejazdu p. Składkowskiej przez Bukareszt do Warszawy. Generał wyjaśnił mi wówczas, że telegrafował do żony by wracała co prędzej do kraju wobec wzrastającego zagrożenia i możliwości utrudnionej niebawem komunikacji.

Teraz, po paru zaledwie tygodniach, usłyszałem niespodziewanie jego zmieniony emocją, przyciszony głos. Na wstępie ostrzegł, że musi zachować incognito, a potem zaraz zapytał, czy wiemy co się dzieje z p. Prezydentem.

Uspokoilem go, że nawiązaliśmy już kontakt z Biczajem, gdzie Roger zamelduje się za parę godzin.

Z kolei, Składkowski poprosił o przysłanie samochodu. Tłumaczenie moje, że mimo najszczerzych chęci odpowiedzialności za to wziąć na siebie nie mogę, obawiając się przykrych następstw dla naszego urzędu, przyjął do wiadomości bez oznak niezadowolenia. Zapytał tylko, czy próbowano narzucić nam ograniczenia. Wyjaśniłem, że u nas, na razie, wszystko w porządku, bo respektujemy neutralność gospodarzy. Odczuwamy jednak te same wrogie naciski, które jemu dały się we znaki. Premier powiedział na pożegnanie, że rozumie, iż musimy postępować bardzo poważnie, kazał serdecznie pozdrowić Rogera i podziękować za szybkie zaopiekowanie się głową państwa.

Niebawem, odebrałem pilny telefon z innej dzielnicy Rumunii: to pułkownik Wenda, należący do najbliższego otoczenia marszałka Śmigłego, żądał z polecenia swego szefa bezzwłocznego

dostarczenia „do jego dyspozycji” samochodu Ambasady na określony punkt przy szosie prowadzącej do Craiowej.

Na mą odpowiedź, że przekażę natychmiast polecenie Attaché wojskowemu (wedle kompetencji), Wenda zareagował ostro: „Panie radco, pan widocznie nie rozumie, że to nie życzenie lub prośba, a *rozkaz* do natychmiastowego wykonania”. Odpowiedziałem, że wydaje mi się, iż to on nie rozumie własnej i szefa sytuacji, z którą gorąco współczuję. „Co to ma znaczyć, wybuchnął Wenda, cóż to za aluzje?”. Odparłem, że nie bawię się w jakieś aluzje, a liczę się z faktami i zwróciłem mu uwagę że jego rozkazodawcza rola skończyła się z chwilą złożenia broni i internowania. Następnie, chcąc przerwać nowy potok inwektyw, zaznaczyłem raz jeszcze, że powtórzę wszystko attaché wojskowemu. Wyprowadziło to Wendę z równowagi, zaklął brzydtko i zagroził, że się ze mną jeszcze porachuje.

Do porachunku jednak nie doszło, gdyż po tym zejściu nigdyśmy się już nie mieli spotkać... Natomiast paru przyjaciół politycznych Wendy, posiadających większą odeń swobodę ruchów w Rumunii, ustosunkowało się do mnie wrogo, czyniąc mi przy każdej sposobności różne wstręty, a nawet afronty, choć osobiście niczym im się nie naraziłem.

Przechodziłem nad tymi zaczepkami do porządku dziennego. Nie było czasu na prawowanie się. Jak mawiał Raczyński, „nasze osobiste sprawy muszą iść w kąt, bo na naszym posterunku rumuńskim możemy jeszcze niejedno dla Polski zdziałać, choć gmach Rzeczypospolitej się wali”.

Począwszy od 18 września, Raczyński uważał za swe kardynalne zadanie przyczynić się do utrzymania ciągłości konstytucyjnej najwyższych władz polskich. W tym celu starał się usilnie skłonić Prezydenta Mościckiego do jak najszybszego wyznaczenia następcy, zważywszy że internowany marszałek Śmigły Rydz nie wchodził już w rachubę.

Ambasador rozumiał, że nie ma chwili do stracenia, gdyż nowy polski ośrodek dyspozycyjny powinien być powstać w Paryżu zanim upadnie Warszawa, wówczas bowiem państwa neutralne, lub niezbyt aliantom przychylne, mogłyby się łatwo uchylić od uznania nowego rządu polskiego, stworzonego w kraju sprzymierzonym.

Ja miałem dyskretnie oddziaływać na Dwór i rządowe czynniki rumuńskie, aby pozyskać ich ewentualną pomoc i współdziałanie, przede wszystkim w zapewnieniu nam swobodnej łączności z Panem Prezydentem, w którego rękach spoczywała decyza w tej najważniejszej sprawie.

Przygotowując się do rozmowy z prem. Calinescu, układałem w myśli wszelkie argumenty przemawiające za słusnością i realizmem koncepcji Ambasadora.

Przyjął mnie bardzo serdecznie. Na wstępie podkreślił, że, jako stary, wierny nasz przyjaciel, pragnie nam pójść jak najdalej na rękę w tej tragicznie ciężkiej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się.

Słyszał od min. Gafenco, że Ambasador pojechał do Bicazu, aby uzyskać sankcję Prezydenta Mościckiego na utworzenie nowego rządu polskiego w Paryżu. Możemy liczyć na to, że z chwilą uznania takiego rządu przez Francję i Anglię, Rumunia ze szczerym zadowoleniem uczyni to samo. Ciągłość naszych wzajemnych stosunków jest zresztą zapewniona przez osobę amb. Raczynskiego, cieszącego się absolutnym zaufaniem Króla i rządu. Stąd nie zaistnieje potrzeba złożenia nowych listów wierzytelnych w razie rezygnacji Prezydenta Mościckiego.

Jako szefowi rządu zależy mu na szybkim rozwiązaniu skomplikowanych zagadnień uchodźczych w obopólnym interesie. Powołując się na moją notatkę złożoną min. Gafenco oświadczył, że przewiduje stopniową ewakuację wszystkich Polaków, którzy nie przeszli granicy w mundurach i w zwartych formacjach wojskowych.

Zdecydowany jest również umożliwić wyjazd Panu Prezydentowi i innym dygnitarzom z tym, że kolejność i okoliczności opuszczenia przez nich Rumunii będą z naszej strony poufnie uzgadniane z upoważnionymi przedstawicielami rządu, aby uniknąć sytuacji, w której, pod groźbą Berlina i Moskwy, Rumunia byłaby zmuszona zastosować pewne restrykcje.

„Jeśli chodzi o mnie”, dodał Calinescu, „to nie chciałbym nikogo z Polaków tutaj przetrzymywać”.

Tu przypomniał, że jako długoletni działacz ludowy (Caranista), był od początku zagorzałym przeciwnikiem hitlerowskiego totalizmu, a zwolennikiem ścisłej współpracy z Francją. Narzucana Rumunii przez fatalny zbieg wypadków neutralność, nie wpłynęła, rzecz prosta, na zmianę jego osobistej orientacji i przekonań.

„Jak pan zapewne pamięta, ciągnął dalej, wszedłem do rządu królewskiego po długich wahaniach, gdy się przekonałem, że kierowana z zewnątrz wywrotowa robota Żelaznej Gwardii zagraża nie tylko ustrojowi ale i niezależności mojego kraju... Wiedziałem, że czeka mnie bardzo ciężka walka, aby uspokoić wrzenie wewnętrzne. Zanim jednak zdołałem wykonać mój program, za-

grożenie z zewnątrz tak się wzmoгло, że musiałem ulec żądaniu króla i objąć premierostwo”.

„Pokładałem wielkie nadzieje w sojuszu z Polską aby wspólnymi siłami odwrócić niebezpieczeństwo wojny, lub chociażby odwlec... Skoro to się nie udało i niemiecki *Blitz-Krieg* przeciw Polsce ujawnił ogromną potęgę agresora, nie było dla nas innego wyjścia jak ogłosić neutralność. Była to bodaj najprzeczniejsza decyzja w moim życiu...”.

Obaj byliśmy wzruszeni. Znając dobrze Calinescu, przekonałem się o szczerości jego słów, ale wydawało mi się że będzie taktowniej, jeśli, wobec jego zwierzeń, zachowam milczenie. Po chwili dorzucił, uderzając dłonią w stół: „Wybraliśmy mniejsze zło... Ale niech nasi przyjaciele i wrogowie pamiętają: neutralność — to nie kapitulacja. Nie zamierzamy biernym zachowaniem ułatwiać zamierzeń Niemiec i Rosji. W pierwszej linii pragniemy wam dopomóc w usiłowaniach odtworzenia we Francji polskiej organizacji wojskowej i politycznej. Czytałem przed chwilą telegram naszej ambasady paryskiej, że Francuzi zgodzili się już na rozszerzenie umowy wojskowej z Polską, nie wątpię więc, że wkrótce powstanie tam nowa polska armia. Słyszałem też od Francuzów, że chcieliby widzieć na czele tej armii gen. Sikorskiego”.

Tu wtrąciłem, że rozmowy z gen. Sikorskim podczas krótkiej jego bytności w Bukareszcie utwierdziły nas w przekonaniu, że powołany jest do odegrania historycznej roli, zarówno jako podziwiany na Zachodzie znawca nowoczesnej wojny, jak i ze względu na strategiczne swe talenty i polityczne doświadczenie...

Calinescu zapytał, kiedy Sikorski był premierem. Następnie zauważył, że ponieważ najistotniejszą dla nas rzeczą jest dalszy udział w wojnie, polityczna konieczność aby polska flaga powiewała na najważniejszym teraz froncie francusko-niemieckim, on, Calinescu, nie dziwiłby się, gdyby powierzono Sikorskiemu również niełatwe zadanie utworzenia rządu polskiego na obczyźnie.

Skorzystałem z tego, aby poinformować Premiera rumuńskiego jak sprawę tę regulują przepisy Konstytucji kwietniowej 1935 r. Wyjaśniłem, że wyznaczony przez prez. Mościckiego następca władny będzie powołać konstytucyjny rząd, ale, że Pan Prezydent dotąd nie wtajemniczył Ambasadora w swoje zamiary.

Calinescu wtrącił odruchowo, że im prędzej powstanie nowy rząd polski w Paryżu, tym szybciej i łatwiej uda mu się 'zdepolityzować' i załatwić zagadnienie wyjazdów politycznych osobistości polskich, bowiem wszyscy, poczynając od Prezydenta, staną się wtedy osobami prywatnymi.

Zajrzawszy do długiej listy naszych dezyderatów, zauważył

jakby z ulgą: „No, wyjaśniliśmy już sobie niektóre z tych punktów, poczynając od ewakuacji przez duże 'E'. Ale nie chcę pozostawić żadnych niedomówień. Z relacji, które mnie doszły z pogranicza i Czerniowiec, wynika, że większość panów z waszego rządu nie zdaje sobie zupełnie sprawy ze swojego, a tym bardziej naszego położenia. Poczynając od min. Becka, popełniają, mówiąc delikatnie, niedyskrecje, które wspólni nasi wrogowie z wielką satysfakcją wykorzystują, zmuszając nas, Rumunów, do ostrzejszych zarządzeń!”.

„*Cui bono*, odbyła się w pałacu metropolitalnym w Czerniowcach odprawa dla korpusu dyplomatycznego, ewakuowanego z Polski? Czy wasz minister, mając wśród swoich słuchaczy dyplomatycznych co najmniej paru sympatyków Osi, musiał poruszyć momenty polityczne, np. sprawę dalszego prowadzenia wojny na Zachodzie, miast, po prostu, pożegnać tych panów, którzy marzyli tylko o tym, żeby jak najprędzej opuścić zagrożone inwazją pogranicze?”

„Dlaczego żaden z waszych prawników nie poradził premierowi i innym członkom rządu, aby nie paradowali po naszej stronie granicy w mundurach polowych? Przecież obowiązuje pewne poszanowanie dla neutralności kraju przyjmującego. Mówię o tym, co wszyscy widzieli. Niestety, niektórzy wasi dygnitarze i wyżsi oficerowie dali się ponieść temperamentowi i na żądanie oddawania broni odpowiadali inwektywami pod adresem naszych władz.

„Niektórzy oskarżali wprost rząd królewski o zdradę Polski, wyrażając się z uznaniem o Żelaznej Gwardii, gotowej jakoby dotrzymać Polakom braterstwa broni! Może się pan dowiedzieć o tym więcej, gdy spotka gen. Marinescu i naszych urzędników dyplomatycznych, którzy byli tam, na miejscu”.

Spostrzegłszy jak bardzo odczułem jego przykre uwagi, złagodził to wrażenie, tłumacząc, że gotów jest zapomnieć o pożałowania godnych incydentach i ubliżających oskarżeniach, wypowiedzianych niewątpliwie pod wpływem afektu, w dramatycznych okolicznościach. Chodzi mu jednak o to, by nasi panowie zmienili swe postępowanie i pamiętali, że w obecnych warunkach „ściany mają tutaj uszy”. Ostrzegął, że jeśli w dalszym ciągu zrażać sobie będą rumuńskich funkcjonariuszy, sprawa ewakuacji na tym niewątpliwie ucierpi.

Wśród przychylnych decyzji, które mi, na zakończenie, zakomunikował, figurowała aprobata na powiększenie bez ograniczeń personelu Ambasady, rozbudowę jej agend, otwarcie nowych lokali biurowych w różnych dzielnicach Bukaresztu i na prowincji. Zapewnił też załatwienie wszelkich naszych wniosków natu-

ry humanitarnej, jak: stałe wypłacanie uchodźcom zapomóg i do-
rązną wymianę drobnych kwot złotych polskich na leje (po kur-
sie urzędowym), pozostawiając załatwienie szczegółów minister-
stwu finansów i Bankowi państwa.

Żegnając mnie, obiecał, że bezzwłocznie postara się uzyskać
aprobatę króla na omówiony program rozwiązania problemów
uchodźczych i związanych z tym spraw politycznej natury.

„Chciałbym zasłużyć na to, aby wszyscy Polacy, którzy prze-
dostaną się stąd do aliantów by dalej walczyć o wolność, zach-
wali mnie w pamięci jako prawdziwego przyjaciela”, powiedział
mocno ściskając mi dłoń.

Nie przeczuwałem, że widzę go po raz ostatni, że za kilka-
naście zaledwie godzin mordercze kule żelazno-gwardzystów przet-
ną życie tego szlachetnego i dzielnego człowieka...

Zaledwie kilkanaście godzin... A jednak słowa dotrzymał.
Zdążył poinformować króla i pozyskać go dla swojego planu. Dzie-
ki temu, pomimo strasznego wstrząsu, spowodowanego tym zama-
chem, który zapoczątkował tragiczną passę w historii Rumunii,
władze administracyjne i wojskowe zaczęły zaraz wprowadzać
w życie dotyczące Polaków zarządzenia zmarłego Premiera.



Tegoż wieczoru (20 września) w odległym Biczanie prez.
Mościcki doręczył amb. Raczyńskiemu zapieczętowaną kopertę,
zawierającą dokument z nazwiskiem wyznaczonego następcy, nie
mówiąc na kogo padł jego wybór. Wnet ujawniono w Paryżu
że tym nominatem był gen. Wieniawa-Długoszowski, o którym
nie było w ogóle mowy podczas dwukrotnych narad między
Prezydentem a Ambasadorem.

Raczyński wymienił wówczas, m.in. dwie, nie tylko bardzo
poważne, ale zupełnie realne kandydatury, mianowicie Augusta
Zaleskiego i Władysława Raczkiewicza. Atoli Prezydent zgłosił co
do wszystkich wymienionych w tych rozmowach kandydatów
jakieś zastrzeżenia lub wątpliwości:

O pp. Zaleskim i Raczkiewiczu powiedział, jakby usprawie-
dliwiając swe wahania, że marsz. Piłsudski żadnego z nich na
stanowisko głowy państwa nie przewidywał.

Gdy Raczyński, rozgorączkowany w najwyższym stopniu, fatal-
nym posunięciem Prezydenta, które wywołało ostrą reakcję Fran-
cji i groziło skompromitowaniem samej koncepcji legalizmu, po-
wtórzył mi w największej tajemnicy niezbytliwe uwagi prof. Mo-
ścickiego, przypomniły mi się słowa Romana Knolla, wypowie-
diane wkrótce po pogrzebie Pierwszego Marszałka:

„Za tą trumną chować się będzie niejeden z naszych 'wodzów' przez całe życie”...



Ambasador dotarł z powrotem do Bukaresztu dopiero 21 września po południu, kiedy Calinescu już nie żył. Ze względów bezpieczeństwa złożył natychmiast zapieczętowany dokument prezydencki w Ambasadzie francuskiej do wysłania francuskim kurierem.

Nazajutrz rano otrzymaliśmy telefon z Bicazu w sprawie nagłego przyjazdu do Bukaresztu dyrektora kancelarii cywilnej, Łepkowskiego, z poleceniem umożliwienia mu natychmiastowego wyjazdu do Paryża.

Min. Łepkowski przybył do Ambasady dopiero około północy. Aby zgodnie z życzeniem Prezydenta wyprawić go nazajutrz (23 września) o godz. 10 rano „Simplonem” do Paryża, trzeba było niemal dosłownie stawać na głowie. Sprawę wyjazdowej dlań wizy rumuńskiej i *laissez passer* mógł załatwić od ręki tylko min. Gafenco osobiście. Zwykł on pracować do późna w noc, a w ministerstwie pojawiał się dopiero koło południa. Na domiar złego, nie można mu było wyjaśnić telefonicznie dla czego Ambasador musi się z nim rozmówić wczesnym rankiem, nie w domu, a w ministerstwie.

Bezpośrednio po zamachu Żelaznej Gwardii rumuńskie władze bezpieczeństwa obawiały się, że spiskowcom udało się przeniknąć do kluczowych urzędów, wprowadzić szpiegów, założyć podsłuchy itp. W związku z tym zachowywaliśmy daleko idącą ostrożność, komunikując się telefonicznie z urzędami rumuńskimi. Ale mimo niedomówień, Gafenco domyślił się, że chodzi o wyjazd wysłannika Prezydenta R.P. i przyjął Ambasadora o 8.15 rano w pałacu Sturdza. Wydał zaraz przychylne decyzje tak, że zdążyliśmy uzyskać wizę wjazdową do Francji i załatwić w terminie inne formalności. Poczte dyplomatyczną, która zawierała przeważnie osobiste papiery Łepkowskiego doręczyłem mu na peronie, na parę minut przed odejściem pociągu.

Z Łepkowskim łączyły mnie koleżeńskie stosunki, gdyż po wydarzeniach majowych 1926 r. zostałem bezpośrednio po nim pierwszym sekretarzem poselstwa w Moskwie. Wkrótce po podpisaniu protokołu polsko-sowieckiego wprowadzającego natychmiast w życie tzw. Pakt Kelloga, kiedy pod naszymi auspicjami, przy pośrednictwie Ministra Stanisława Patka, Amerykanie (misja Deweya, doradcy finansowego rządu R.P.) rozpoczęli rozmowy z Litwinowem dla nawiązania stosunków dyplomatycznych,

Łepkowski, wówczas radca poselstwa w Waszyngtonie, przyjechał do Moskwy aby pilotować Amerykanów na obcym dla nich zupełnie terenie. Był naturalnie gościem naszego poselstwa i nie brakło sposobności do szczerej wymiany zdań na najróżniejsze tematy.

Teraz, w Bukareszcie, wyczułem dziwną zmianę w jego zachowaniu. Zdawało mi się, że ani z Ambasadorem ani ze mną nie jest szczery. Ten człowiek, odznaczający się dużą swobodą obejścia i zaletami towarzyskimi, zachowywał się jak „na cenzurowanym”, dając niejasne odpowiedzi na najprostsze pytania.

Byłem wtedy pod bezpośrednim wrażeniem przejazdu Władysława Raczkiewicza, któremu, wraz z towarzyszącym mu wspólnym naszym przyjacielem, Adamem Marianem Piotrowskim, udało mi się umożliwić wyjazd do Paryża w rekordowym tempie.

Przejazd przez Bukareszt Władysława Raczkiewicza

Opowiedziałem więc szczegółowo Łepkowskiemu, że, uważając Raczkiewicza za najprawdopodobniejszego kandydata na prezydenta, a wiedząc jak bardzo naraził się Niemcom jako wojewoda pomorski, wymogłem odeń obietnicę, iż zachowa zupełne incognito, nie będzie się komunikował z postronnymi osobami, ani też pokazywał na mieście. Wypadek zdarzył, że znajdowałem się właśnie na podwórzu Ambasady, gdy, pod wieczór, o szarej godzinie, zajechała zniszczona i zabłocona limuzyna wojewody pomorskiego. Wprowadziłem natychmiast bardzo zmarnowanych gehenną ewakuacyjną gości bocznym wejściem do gmachu Ambasady, nie chcąc aby ich rozpoznano.

W hallu było zaledwie parę osób, bo właśnie kończyło się urzędowanie. Poprosiłem p. Raczkiewicza aby wraz z towarzyszem podróży zajął miejsce w niszy pod schodami, ogrodzonej parawanem. Tam kazałem podać herbatę i poszedłem uprzedzić Ambasadora.

Miał jeszcze paru interesantów, miałem więc trochę czasu by poinformować Raczkiewicza, że go w Paryżu niecierpliwie oczekują, wszyscy bowiem sądzą że, jako prezesowi Światowego Związku Polaków i byłemu Marszałkowi Senatu przypadnie mu ważki głos w wewnętrzno-polskich naradach politycznych nad rozwiązaniem kryzysu.

Raczkiewicz, który znał mnie od dawna, a będąc Marszałkiem Senatu, przekazywał mi parokrotnie osobiste instrukcje marsz. Piłsudskiego w sprawach wyznaniowych, którymi na placówce moskiewskiej specjalnie się zajmowałem, przerwał mi

pośpiesznie, mówiąc, że zamierza się poświęcić całkowicie sprawom Światowego Związku. Pochłonie to całą jego energię, nie pozostawiając sił i czasu na politykę...

Następnie, zbył moją dość przejrystą aluzję, że przypadnie mu decydująca rola w zapewnieniu ciągłości konstytucyjnej przyszłego rządu pół-żartobliwą uwagą. Powiedział mianowicie, że chyba zapomniałem, iż od dawna nie jest już Marszałkiem Senatu i nie zamierza do czynnej polityki powrócić.

Nie asystowałem przy rozmowie przyszłego Prezydenta z Ambasadorem. Dowiedziałem się tylko tyle, że ten ostatni przedstawił mu sytuację w ponurym raczej świetle, namawiając usilnie aby w Paryżu nawiązał zaraz kontakt z Ambasadą i starał się koniecznie przyspieszyć decyzję w najważniejszej sprawie. Podzielił się również informacjami od Francuzów, że, w razie przedłużania się naszego kryzysu, zamierzają ewentualnie narzucić nam własne rozwiązanie w postaci nowego jakiegoś „komitetu narodowego” jako nadbudówki politycznej do tworzącej się armii polskiej we Francji.

Otrzymałem wówczas oferty paru zaprzyjaźnionych rodzin rumuńskich udzielenia gościny wybitnym osobistościom polskim, których pobyt w stolicy pragnęliśmy otoczyć szczególną dyskrecją.

Najodpowiedniejszym schronieniem dla wojewody Raczkiewicza wydał mi się pałacyk Księstwa Mavrocordato, położony w tej samej dzielnicy co Ambasada. Oboje gospodarstwo odznaczali się wielką sympatią dla Polski i pro-francuskim nastawieniem, pani była bowiem urodzoną Francuzką. Przyjęli Raczkiewicza z wyszukaną gościnnością, starając się wprost odgadywać wszelkie jego życzenia. Czuł się u nich dobrze, doznał psychicznego odprężenia w szczerze życzliwym otoczeniu, i, zgodnie z planem, gotów był do dalszej podróży. Na dworzec wyjechał z Piotrowskim, po pożegnalnej wieczerzy *à quatre* z naszego prywatnego mieszkania przy strada Paris. Żona moja zaniepokoiła się ostrym jego kaszlem i zwróciła uwagę, że jest zbyt lekko ubrany jak na tak daleką podróż. W ostatniej chwili założyła mu mój ciepły zimowy szalik... Przy pożegnaniu ogarnęło nas wszystkich głębokie wzruszenie, ja zaś, patrząc na strzelistą postać i bladą, uduchowioną cierpieniem twarz dostojnego gościa, pomyślałem, że jeśli szczęśliwie dotrze na Zachód, przejdzie zapewne do historii, jako jeden z wielkich ofiarników w służbie Polski...

W połowie października kurier dyplomatyczny z Paryża przyniósł prywatne listy od nowego Prezydenta i jego osobistego sekretarza, A.M. Piotrowskiego. Jeden z nich zawierał gorące

podziękowanie dla księstwa Mavrocordato wraz z opatrzoną autografem fotografią.

Nie tylko na najwyższym szczeblu przejawiał się serdeczny udział Rumunów w naszej niedoli. Tysiące zwykłych uchodźców znajdowało w owym tragicznym wrześniu przyjazną gościnę, bezinteresowną pomoc i gotowość uciążliwych nieraz świadczeń ze strony ludności rumuńskiej.



Powracając do zachowania Min. Łepkowskiego, to nie tylko słuchał wszelkich szczegółów o pobycie Raczkiewicza z udanym zainteresowaniem, ale półsłówkami starał się wywołać wrażenie, że misja, którą mu powierzono, tej właśnie osobistości dotyczy. Gdy np. zapytałem, czy skontaktuje się zaraz po przyjeździe do Paryża z Raczkiewiczem, odparł: „Naturalnie, przede wszystkim do niego muszę się zgłosić”. Jednocześnie umawiał się telefonicznie z gabinetu Raczynskiego z gen. Wieniawą (ambasadorem R.P. w Rzymie), aby go spotkał w Mediolanie i pojechał z nim razem do Paryża, bowiem nieujawniona jego misja dotyczyła však wprowadzenia tegoż na urząd Prezydenta.

Taka zabawa w szarady z amb. Raczynskim, który z całym oddaniem starał się dopomóc Prezydentowi w znalezieniu godnego wyjścia z beznadziejnego niemal położenia i sam jeden tylko miał możliwość komunikowania mu sprawdzonych informacji o ogólnej sytuacji politycznej, miała posmak skandalu nielicującego z powagą chwili.

W ciągu następnych dni zaczęły napływać z Paryża niezrozumiałe dla nas po części wiadomości, dotyczące losu „rodziny Koneckich”, jak brzmiała umówiona pokrywkowa formuła dla sprawy wyznaczenia następcy Prezydenta.

25 września prof. Mościcki potwierdził raz jeszcze nieszcześliwą i niewykonalną swą decyzję, jak wynikało z otrzymanego przez Ambasadę telefonogramu z Bicazu, że „Wieniawa proszony jest o zajęcie się rodziną Koneckich”. Jednakże już nazajutrz ambasador francuski, A. Thierry, zawiadomił Raczynskiego na podstawie depeszy z Paryża, że rząd francuski, nie mając zaufania do wyznaczonego przez Prezydenta Mościckiego następcy, nie będzie mógł uznać powołanego przezeń rządu. P. Thierry wyjaśnił przy tym, że otrzymał od prem. Daladier polecenie zakomunikowania powyższego osobiście prof. Mościckiemu. Prosił jednak usilnie Raczynskiego, aby go w tym wyręczył ze względu na fatalny stan jego zdrowia.

W międzyczasie, w Paryżu, sam Wieniawa doszedł był do

wniosku, że nie będzie mógł spełnić narzuconej mu niespodziewanie roli i za naszym pośrednictwem powiadomił o tym Prezydenta.

Poza komunikacją szyfrową, telefonował w tej sprawie za pośrednictwem amb. Łukasiewicza do Raczyńskiego, pod jego zaś nieobecność rozmawiał ze mną. Prosił powtórzyć Profesorowi, że wobec poważnych trudności zmiana decyzji byłaby może wskazana, choć on, Wieniawa, jest nadal gotów spełnić każdy rozkaz.

Odpowiedziałem, że dzielimy jego negatywną ocenę sytuacji i nie mamy wątpliwości, że „Profesor” zrozumie i oceni jego obywatelskie postawienie sprawy. Przypuszczamy, że na podstawie przekazywanych mu z Bukaresztu wiadomości, Profesor wywnioskuje, że pierwotne jego plany są niewykonalne. Traf zdarzył, że miałem świadka przy tej ważnej rozmowie.

Tegoż wieczoru (26 września) Ambasador przetelefonował osobiście do Bicazu powyższe informacje, zapowiadając swój przyjazd na następny dzień.

Był wówczas nie tylko ogromnie przemęczony i zgnębiony, ale cierpiał chwilami na ostre bóle w klatce piersiowej. Były to zapewne pierwsze oznaki anginy pectoris, która spowodowała jego przedwczesną nagłą śmierć w 1944 r.

Nie przypuszczaliśmy wówczas, że jest już poważnie chorym człowiekiem, niemniej jednak pani Raczyńska i najbliżsi współpracownicy obawiali się, że może zasłać podczas długiej i uciążliwej jazdy samochodem.

Na szczęście radca Jerzy Giedroyc, dawny zaufany współpracownik i przyjaciel z okresu urzędowania Raczyńskiego w Ministerstwie Rolnictwa, wyraził gotowość towarzyszenia mu do Bicazu.

Od blisko tygodnia, Giedroyc pracował 'ochotniczo' w Ambasadzie, dopomagając skutecznie byłemu szefowi w opanowaniu wzrastającego chaosu w naszym urzędzie. Odnaczając się talentem organizacyjnym, bystrą orientacją i pracowitością, oraz trzeźwym zrozumieniem nakazów chwili, Giedroyc stał się wnet faktycznym a niezbędnym szefem gabinetu Ambasadora, jako zwierzchnika aparatu administracyjnego obejmującego z czasem kilkanaście autonomicznych urzędów i ekspozytur, z płynnym personelem od 150 do 300 osób.

Raczyński i Giedroyc dojechali do Bicazu wskutek złej pogody dopiero 27 września o świcie.

Rozmowy Ambasadora z Prezydentem trwały szereg godzin, przy czym ten ostatni uchylał się uparcie od powzięcia nowych decyzji. Raczyński zrozumiał, że działały nań postron-

ne naciski. Domyślił się też skąd wychodziły, gdy podczas przerwy obiadowej spotkał Tomira Drymmera, który w owym czasie rozwijał gorączkową działalność polityczno-konspiracyjną, jako szef tajnej organizacji „K.7.”.

28-go września rano powrócił Raczyński do Bukaresztu z 'pustymi rękami' i niejasną obietnicą Prezydenta, że poweźmie decyzję w ciągu najbliższych trzech dni.

Przełom nastąpił dopiero w nocy z dn. 29 na 30 września, gdy Ambasador zgłosił się znów do Prezydenta z nowymi informacjami z Paryża.

Gdy był już w drodze do Bicazu, ambasador francuski zadzwonił do mnie późno po południu, prosząc, bym go natychmiast odwiedził. Zastałem go niezwykle podnieconego. Bez żadnych omówień, dał mi do odczytania maszynopis streszczający depeszę szyfrową podpisaną przez premiera Daladier, a nakazującą mu bezzwłoczny wyjazd do Bicazu celem skłonienia prof. Mościckiego do decyzji, której brak grozi poważnymi komplikacjami.

Depesza opiewała, że na naradzie wybitnych osobistości polskich w Ambasadzie R.P. w Paryżu wysunięto samorzutnie (czyli bez sugestii ze strony francuskiej) kandydaturę Władysława Raczkiewicza. Rząd francuski powitał tę kandydaturę z pełną życzliwością i gotów jest uznać rząd powołany przez wyżej wymienionego.

P. Daladier zależy na pośpiechu, zawarte bowiem właśnie nowe porozumienie niemiecko-sowieckie wzmogło możliwość niespodzianek politycznych dotyczących Polski.

Ze swej strony, p. Thierry oświadczył mi, że, osobiście przewiduje, iż o ile rozstrzygnięcie nie nastąpi podczas obecnej, bytności Raczyńskiego w Bicazie, rząd francuski poweźmie jednostronne postanowienia, aby stworzyć na terenie Francji odpowiednie ramy polityczne dla licznych zastępów Polaków gotowych nadal walczyć z Niemcami pod własnym sztandarem.

Zakomunikował mi również, że wpłynęły w tej samej sprawie dwie dalsze depesze, których nie zdołano jeszcze odszyfrować. Jednakże nie miał wątpliwości, że powstała sytuacja przymusowa, wobec czego prosi, abym mu ewentualnie zaraz towarzyszył do Bicazu, nie czekając na powrót Ambasadora. Sugerował równocześnie, abym dopomógł mu w uzyskaniu wszelkich pozwoleń i ułatwień rumuńskich, mając pod tym względem świeże doświadczenie.

Doradziłem, aby zwrócił się wprost do pałacu królewskiego o ewentualne pozwolenie na odwiedzenie Prezydenta Mo-

śckiego, oraz na utrzymanie łączności telefonicznej Ambasady francuskiej z Biczem przez całą noc.

W trakcie załatwiania tych formalności doręczono ambasadorowi tekst następnego telegramu, opiewającego, że Ambasador Łukasiewicz współdziała z Quai d'Orsay, szukając wyjścia z impasu, spowodowanego ogłoszeniem nominacji gen. Wieniawy-Długoszewskiego. Ten ostatni uznany został przez rząd francuski za *inacceptable* ze względu na dotychczasowe funkcje Ambasadora przy faszystowskim rządzie włoskim, wrogo nastawionym wobec Francji.

Podkreśliwszy, że współdziałanie amb. Łukasiewicza z Quai d'Orsay uważam za zapowiedź rychłego zakończenia kryzysu, uspokoiłem mego gospodarza, który z powodu chronicznej opuchlizny nóg, ledwo się ruszał, że najprawdopodobniej obejdzie się bez jego konfrontacji z Prezydentem, co mogłoby pozostawić gorzki posmak po stronie polskiej.

W międzyczasie, należało tak działać, jak gdybyśmy mieli tej nocy wyjechać do Biczu. Połączyliśmy się z tamtejszym urzędem pocztowym bez większych trudności.

Rozmawiałem kolejno z obu adiutantami Prezydenta, pp. Kryńskim i Hartmanem, uprzedzając, że mówię z ambasady francuskiej w obecności i na życzenie amb. Thierry. Oczekuje on niecierpliwie wiadomości od amb. Raczyńskiego, że otrzymał oczekiwaną odpowiedź w sprawie „Koneckich”.

Dodałem, z naciskiem, że ambasador francuski gotuje się do wyjazdu do Biczu, aby poprze osobiście starania Raczyńskiego i że będę mu towarzyszył. W Paryżu uważają, że powstała sytuacja nie pozwalająca na dalszą zwłokę.

Poinformowano nas, że Raczyński jeszcze nie dojechał, ale nawet, gdyby się zjawił późną nocą, będzie natychmiast przyjęty i wysłuchany.

Ze swej strony prosiłem, żeby Raczyński zaraz po przyjeździe zadzwonił do ambasady francuskiej, by otrzymać nowe wiadomości z Paryża.

Mijały godziny... Do gabinetu zaglądała jedynie wytworna Madame Thierry (de domo Rotschild), aplikując choremu mężowi różne leki, i przynosząc nam obu najpierw herbatę, a później kolację. Nie wpuszczano służby, żeby moją przedłużającą się obecność zachować w tajemnicy. Krótco przed północą odezwał się z Biczu Raczyński, jeszcze przed posłuchaniem u Prezydenta.

Wysłuchawszy p. Thierry i mnie, powiedział z całym spokojem, że jest dobrej myśli i sądzi, że niebawem otrzymamy komunikację na temat „Koneckich”.

W jakiś czas po tej rozmowie, nasza Ambasada odebrała iskrówkę z Paryża z zawiadomieniem od amb. Łukasiewicza, że kandydatura Raczkiewicza została ostatecznie przyjęta i nie będzie sprzeciwów.

Po przetelefonowaniu tej wiadomości kapitanowi Kryńskiemu, przekonałem p. Thierry, że może uznać sprawę za pomyślnie załatwioną i udać się na zasłużony spoczynek. Obiecałem mu solennie, że w razie ponownego odezwania się Bicazu, natychmiast go poinformuję. Powróciłem na alea Alexandru, do naszej Ambasady i wraz z dyżurnym sekretarzem, oczekiwałem na dalszy rozwój wypadków.

Wreszcie, dobrze po 2-giej z rana, (30 września) zadzwonił adiutant Prezydenta, prosząc o zawiadomienie amb. Łukasiewicza, że „Profesor dziękuje za zajęcie się rodziną Konieczkich”.

Adiutant dał mi tej do zrozumienia, że Raczyński otrzymał oczekiwany dokument.

Około południa Raczyński powrócił do Ambasady i pokazał mi zaraz ów historyczny autograf, który brzmiał:

„Niniejszym pismem rezygnuję z urzędu Prezydenta R.P. — Bicaz, 30 września, 1939.

(—) I. MOŚCICKI



Tegoż 30 września Ambasada otrzymała oficjalny telefonogram ze Slanicu, że rząd, dowiedziawszy się o rezygnacji prof. I. Mościckiego, na wniosek prem. Sławoj-Składkowskiego, zgłosił jednomyślnie dymisję, składając hołd nowemu Prezydentowi R.P.

Koniec 'bezkrólewia' cały polski Bukareszt przyjął z głęboką ulgą. Przycichły na chwilę „potępieńcze swary” między bezdomnymi rodakami. Powstanie nowego rządu R.P. w Paryżu, uznanego przez cały świat, z wyjątkiem naszych zaborców i budziło w nabrzmiewających wciąż szeregach nowej polskiej emigracji nadzieję, że wydzwigniemy się z dna klęski przy końcu wojny i podobnie jak w 1918 r., znajdziemy się w obozie zwycięzców. Dla urzędującego naszego zespołu najpilniejszym teraz zadaniem było uruchomienie metodycznej ewakuacji przy czynnej pomocy francuskiej i angielskiej. Gafenco ponowił zapewnienia daleko idących ułatwień i zapowiedział rychłą likwidację obozu w Slanicu oraz przeniesienie byłego Prezydenta wraz z żoną do dostępniejszej miejscowości, z której mógłby przed końcem roku wyjechać niepostrzeżenie do Szwajcarii.

Ewakuacja wojskowa

Celem przyspieszenia zapoczątkowanej pomyślnie przy poparciu Francuzów, (gen. Faury), ewakuacji wojskowej i skoordynowania jej z analogiczną akcją naszych attachés wojskowych na Węgrzech, w Jugosławii i Grecji, zjechał z Paryża 9 października gen. Juliusz Kleeberg, pełnomocnik wojskowo-polityczny gen. Sikorskiego.

Z Kleebergiem zaprzyjaźniliśmy się w Paryżu w latach 1925-26, gdzie urzędował jako attaché wojskowy, ja zaś jako pierwszy sekretarz Ambasady, przy Alfredzie Chłapowskim. Ułatwiło to, w zmienionych tragicznie warunkach, natychmiastowe szczere między nami porozumienie. Aby nie zwracać na siebie uwagi obcych wywiadów, generał zamieszkał w moim prywatnym mieszkaniu przy Strada Paris 61-a, w pobliżu Ambasady.

Gdy udał się tam na pierwszą rozmowę z Raczyńskim i musiał się przepychać przez zwarty, podniecony tłum uchodźców, obiegających dosłownie wejścia do Ambasady, zrozumiał, jak wielkiego opanowania i wysiłku wymagało urzędowanie w tak chaotycznych warunkach.

Z Raczyńskim doszedł szybko do porozumienia po przedyskutowaniu zasadniczych punktów programu ewakuacyjnego, ustalonego osobiście przez gen. Sikorskiego, a przez następne cztery dni konferował z nim wielokrotnie. Chwalił sobie bardzo okazaną mu przez Ambasadora pomoc, wyrażając się ze szczerym uznaniem o wielkim jego poczuciu odpowiedzialności i mądrym, rzeczowym podejściu do przygniatających zadań, jakie zmuszony był od szeregu tygodni na własną odpowiedzialność rozwiązywać.

Raczyński nalegał m.in. na możliwie jak najszybsze tempo ewakuacji (nie bacząc na większe koszty) przewidywał bowiem, że, o ile nie nastąpi rychło decydujące zwycięstwo aliantów nad Niemcami (na co się wcale nie zanosilo) zniewolenie Rumunii, jak się wyraził, nastąpi prawdopodobnie w ciągu 10 miesięcy. Nie posiadaliśmy wówczas jeszcze sprawdzonych danych co do ilości wojskowych polskich zatrzymanych na naszym terenie i na Węgrzech.

Rozpatrując różne warianty ewakuacji, przyjęliśmy trochę na wyrost cyfrę 80.000, a Kleeberg potwierdził, że odpowiada ona z grubsza własnym jego obliczeniom.

Na podstawie dotyczącego ewakuacji rozkazu, który z ramienia Nacz. Dow. P.S.Z. we Francji wydał wówczas w Bukareszcie, przerzucono na zachód i południe co najmniej 32.000 wojskowych, zdolnych do dalszej walki.

Pierwszeństwo przypadło, oczywiście, personelowi wojkowego lotnictwa w liczbie ponad 8.000. Nie było rzeczą łatwą zdobyć dla naszych dzielnych lotników bezpieczne kwatery. Pierwsze ich grupy znalazły chwilową przystań w przestronnym lokalu Domu Polskiego i w niewielkim Instytucie Polskim (naukowo-kulturalnym), zorganizowanym parę lat przed wojną przez prof. Gliksellego, a prowadzonym następnie przez zdolnego jego ucznia, Gostyńskiego.

Instrukcja gen. Sikorskiego opiewała że poza lotnikami przewidziani są do pilnej ewakuacji bez jakichkolwiek ograniczeń: a) żołnierze i podoficerowie poniżej lat 40, b) młodszy oficerowie do kapitana włącznie, również poniżej lat 40. Natomiast oficerowie wyższych stopni, sztabowcy itp. winni byli wprawdzie uzyskać pozwolenie na przyjazd do Francji, zaś generałowie czekać mieli na imienne wezwanie.

Płk Zakrzewski stosował z całą bezwzględnością, jaka go cechowała, owe ograniczenia (granica wieku i stopnia), nie bacząc na tragedie osobiste odrzuconych chwilowo oficerów. Niektórzy z poszkodowanych załamywali się psychicznie i zdradzali nawet zamiary samobójcze. Miałem raz po raz kłopoty z tymi potencjalnymi samobójcami, którzy, wzburzeni i zdenerwowani w najwyższym stopniu, zgłaszali się do Ambasadora, by protestować przeciw doznanej w ich zrozumieniu krzywdzie.

Nieraz brałem otwarcie ich stronę i starałem się namówić Zakrzewskiego, aby, uwzględniając w niektórych wypadkach specjalne okoliczności, zgodził się na odchylenia od paryskiej instrukcji. Niestety, niewiele mogłem wskórać. Jednakowoż, nie dając za wygraną, umieszczałem niejednego z odrzuconych oficerów na liście osób cywilnych, o których wyjazd na terytorium alianckie, jako specjalnie zagrożonych od Niemców, Ambasada zabiegała.

Czyżby te właśnie spisy, które zwykł przechowywać i aktualizować najbliższy mój kolega, radca Ambasady, Szczęsny Załeski, wywołały aż takie podejrzenia ze strony informatorów Pobóg-Malinowskiego, że ochrzcił je mianem „czarnych list”. Wszak o każde pozwolenie wjazdu do Francji trzeba było bardzo usilnie zabiegać, wykorzystując wszelkie możliwe protekcje, przeto o układaniu imputowanych przez Malinowskiego „czarnych list” osób skazanych na pozostanie na dłużej w Rumunii nie mogło być mowy, bo zawierać by musiały tysiące nazwisk.

Ewakuacji wojskowej miały być podporządkowane wszelkie inne zadania Ambasady, bo sprawą najważniejszą było na razie zapewnienie dalszego udziału Polski w wojnie. Idąc jak najdalej na rękę żądaniom attaché wojskowego, Ambasadorem zgo-

dził się na całkowite odstąpienie mu pierwszego sekretarza, Tadeusza Narzymskiego, notyfikowanego Rumunom na parę tygodni przed wojną i stąd uznawanego przez nich za pełnoprawnego dyplomata, którego podpis na wszelkich urzędowych zaświadczeniach automatycznie honorowali.

Ambasador zdawał sobie sprawę, że gdy zgodzi się na przejście Narzymskiego pod wyłączne rozkazy płk. Zakrzewskiego, ten ostatni zyska możliwość podejmowania na własną rękę interwencji dyplomatycznych (zastrzeżonych zasadniczo Ambasadzie), uznał jednak, że to przyspieszy tak znacznie procedurę uzyskiwania pozwoleń na wyjazdy wojskowych, że warto przejść do porządku dziennego nad możliwymi ujemnymi następstwami takiej kombinacji.

Attachat wojskowy i związane z nim agendy rozrastały się z taką szybkością, że mimo wynajmu *ad hoc* dodatkowych lokali, Zakrzewski domagał się odstąpienia coraz to nowych pomieszczeń w gmachu Ambasady. Przez parę tygodni szczątkowa grupa oddziału II-go urzędowała po kryjomu w części prywatnego apartamentu pp. Raczyńskich, zajmując nawet łazienkę...

Ze swej strony, odstąpiłem dla wojskowości mój gabinet na pierwszym piętrze w oficynie ambasady, gdzie mieściła się również dość obszerna kancelaria, podczas, gdy całe drugie piętro zajmował attachat.

Odtąd musiałem załatwiać korespondencję urzędową bądź w kancelarii bądź w ciasnym tzw. 'zabezpieczonym' pokoju w głównym gmachu, gdzie urzędował sekretarz (W. Krzyżanowski) i mieściła się duża ogniotrwała kasa.

Ponieważ w tym gorączkowym okresie Ambasador chciał mnie mieć zawsze pod ręką, urzędowałem przeważnie w jego gabinecie, podczas, gdy on sam zwykł był konferować z innymi urzędnikami i przyjmować klientów i gości w przyległym salonie.

Pod jego nieobecność musiałem bacznie strzec tego gabinetu wobec powtarzających się prób zainstalowania się w nim wczorajszych rozkazodawców, nie tylko MSZetowych, lecz również z innych ośrodków państwowo-twórczej pracy... Uważali oni że władni są komenderować w Ambasadzie jak im się podobą.

Pewnego razu, przybywszy do biura ze znacznym opóźnieniem, zastałem w ambasadorskim gabinecie pokaźne grono różnego kalibru sanatorów, w tej liczbie ex-ministrów i wojewodów, którzy zeszli się tam na konferencję nikogo nie uprzedziwszy. Na moje zapytanie, co robią w gabinecie Ambasadora, odezwały

się głosy, że Raczyńskiego nie ma w Bukareszcie, oni zaś przyszli obradować nad sytuacją i proszą, aby im nie przeszkadzać...

Odpowiedziałem grzecznie ale bardzo stanowczo, kategorycznym żądaniem opuszczenia przez tych panów gabinetu, w którym, jako zastępcą Ambasadora, muszę urzędować.

Tego rodzaju przykrych incydentów 'porządkowych' bywało sporo przez wrzesień, październik i listopad w związku z próbami samowładnych poczynań osób postronnych na terenie ambasady. W proporcji do wielokrotności tych zająć wzrastała osobista nienawiść do mniej obrażonych przedstawicieli *ancien régime'u*.

Patrząc wstecz, zdaję sobie sprawę, że należało zwalczać tego rodzaju przejawy z większym spokojem i opanowaniem. Jednakże w ówczesnej atmosferze niebywałego napięcia i w niezmiernie ciężkich warunkach urzędowania dniem i nocą, gwałtowne odruchy były poniekąd wytłumaczalne.

Atoli przykre zajścia z klientami należały do zupełnych wyjątków, Ambador bowiem świecił całemu personelowi przykładem niebywałej wprost cierpliwości, dobrej woli, uprzejmości i wyrozumiałości w stosunku do zgłaszających się doń tłumnie uchodźców, niezależnie od tego, czy byli to dawni znajomi, lub osobistości wybitniejsze, czy też przedstawiciele szarej masy emigracyjnej.

Mnie przypadło z urzędu czuwanie nad utrzymaniem dyscypliny politycznej, zarówno wśród urzędującego zespołu, jak też bardzo zróżniczkowanego pod każdym względem uchodźstwa.

Nie wchodząc w szczegóły, muszę zanotować indywidualne próby nawiązywania kontaktów z poselstwem niemieckim i innymi biurami naszych wrogów przeważnie w związku z zamiarem uzyskania informacji o krewnych w kraju, lub ulżenia ich doli, a rzadziej w celu otrzymania zezwolenia na powrót do okupowanej Polski. Niektórzy niżsi funkcjonariusze, dobrze notowani w naszej służbie, zapisali się pod wpływem demagogicznej propagandy hitlerowskiej na listę „*Volksdeutscher'ów*”. Do Poselstwa niemieckiego przydzielono trzech wyższych urzędników polityczno-konsularnych z Berlina, zaraz po wybuchu wojny, dla zajmowania się sprawami polskimi. Dwóch z nich objeżdżało później nasze obozy wojskowe, starając się przeciwdziałać nielegalnej 'ewakuacji', a namawiać do powrotu do kraju. Stosunkowo bardzo mały procent naszych internowanych żołnierzy uległ na tle tych uporczywych usiłowań hitlerowskich demoralizacji.

Pęd na Zachód olbrzymiej większości był tak silny, że, jak pisze Alexander Cretzianu, wybitny dyplomata rumuński, w lecie 1940 r. pozostało w obozach zaledwie około 5000 żołnierzy polskich. Prawdopodobnie było nawet mniej. Tu nasuwa się uwaga,

że podawane przezeń informacje o sprawach polskich są po części niezbyt ścisłe, pracując bowiem szereg lat w dyrekcji politycznej rumuńskiego MSZ, zajmował się nimi tylko dorywczo.

Ujął na przykład zupełnie dowolnie złożone przeze mnie jak twierdzi 20 września Ministrowi Gafenco „uroczyste oświadczenie” (art. *Rumunia a wrzesień 1939*, „Kultura” nr 3/77, 1954), przytoczone następnie w jego wersji przez Pobóg-Malinowskiego (3 str. 71).

Godziwym zamiarem Cretzianu było odparcie zarzutów jakoby Rumunia złamała swe zobowiązania względem Polski i potraktowała niesprawiedliwie czołowe nasze osobistości polityczne. Przytacza więc różne oficjalne i osobiste podziękowania polskie, stwierdzające życzliwość, względnie dobrą wiarę i wolę naszego partnera. Wyrwane z kontekstu korespondencji dyplomatycznej, lub też dyskusji, cytaty nie oddają, rzecz prosta, intencji autorów.

Dotyczy to mianowicie noty Ambasadora Raczyńskiego z dn. 4 września, która była odpowiedzią na oficjalną komunikację rumuńską, poruszającą m.in. (jeśli mnie pamięć nie myli) sprawę możliwej napaści sowieckiej, o czym była już mowa na wstępie niniejszego opracowania.

Cretzianu natomiast pisze, bez dalszych wyjaśnień, że Ambador „przekazał wyrazy wdzięczności” i cytuje: „Z polecenia mego rządu mam zaszczyt przekazać podziękowanie rządowi rumuńskiemu za jego stanowisko w stosunku do Polski w chwili rozpoczęcia wojny przez Niemców. To stanowisko Rumunii będzie miało wpływ na rozwój przyszłych stosunków między obu naszymi krajami”.

Należy zaznaczyć, że w pierwszych dniach wojny miarodajne czynniki rumuńskie nie mówiły oficjalnie o neutralności, a tylko o postanowieniu utrzymania pokojowej postawy. Neutralność ogłoszona została formalnie 6 września, co nie przeszkodziło Rumunom przepuścić tranzytem transport złota Banku Polskiego, które załadowano z Constanzy na statek angielski.

Jeśli chodzi o moje oświadczenie, to miało ono miejsce w następujących okolicznościach: W związku z wydaniem zarządzeń dotyczących rozładowania zagadnień naszych uchodźców zgłosiłem się do Ministra Gafenco, aby złożyć podziękowanie za uwzględnienie całego szeregu naszych postulatów.

Jak zwykle, zameldowałem się u Cretzianu, aby przez jego gabinet dostać się do Ministra. U Gafenco odbywała się właśnie konferencja w naszych sprawach, wobec czego Cretzianu poszedł się zapytać, czy ma mnie wprowadzić.

Weszliśmy razem do gabinetu, gdzie, prócz Ministra, obec-

ni byli Ambasador przy rządzie polskim G. Grigorcea, nieznany mi osobiście gen. rumuński w mundurze i cywilny urzędnik min. Spraw Wewnętrznych.

Gafenco powiedział mi na wstępie, że ci panowie zreferowali mu właśnie co się działo podczas i bezpośrednio po przejściu granicy przez najwyższe władze polskie. Mówił z goryczą, jak niektóre nasze osobistości obrażały słownie przedstawicieli rządu i generalicji rumuńskiej, cytując nazwiska.

Wówczas zrozumiałem, że muszę odciąć Ambasadę od politycznych konsekwencji tych przykrych zajęć. *Ex abrupto*, oświadczyłem, że Ambasada R.P. posiadająca wyłączne prawo reprezentowania w Rumunii wiecznej Polski (*La Pologne eternelle*) składa podziękowanie rządowi rumuńskiemu za przyjazną gościnę udzieloną naszym uchodźcom i oświadcza, że zgadza się na zarządzenia wydane w ich sprawach przez rząd rumuński.

Gafenco wyciągnął do mnie obie ręce i uściśnawszy serdecznie, powiedział: „Dziękuję, rozumiemy się! Wiemy, że amb. Racyński i cały zespół Ambasady zdaje sobie sprawę, iż zrobimy wszystko, co jest w naszej mocy, aby ulżyć doli Polaków, którzy znaleźli się na naszym terytorium”.



Na tym urywam fragmentaryczne wspomnienia z Bukaresztu w czasie ponurych dni wrześniowych. Na zakończenie pragnę wyrazić nadzieję, że nieuprzedzony czytelnik wywnioskuje na podstawie przytoczonych przeze mnie faktów i wypowiedzi, dotyczących ustosunkowania się ówczesnych rumuńskich sfer rządzących do porażonej klęską militarno-polityczną Polski, iż nie mamy podstawy do oskarżenia byłego naszego sojusznika o „hambną zdradę”.

Rządy, ustroje polityczne, granice, a, w związku z tym, racja stanu poszczególnych państw są zmienne. Atoli narody polski i rumuński, zajmujące kluczowe pozycje w rejonie Bałtyk — Morze Czarne nawet po utracie wspólnej granicy pozostaną związane żywotnymi interesami. Tym bardziej przeto zaliczyć wypada utratę wspólnej naszej granicy w wyniku drugiej wojny światowej do najpoważniejszych strat poniesionych przez obie strony.

Wyda mi się, że, żyjąc w wolnym świecie, nie wykorzystujemy należycie istniejących możliwości pielęgnowania tradycyjnej przyjaźni z Rumunami.

Trzeźwo rzeczy biorąc, „przewina” Rumunów sprowadza się do tego, że mając we wrześniu 1939 r. dosłownie nóż na gardle, przez słabość, oportunizm i brak odwagi, pozbawili ów-

czesne naczelne władze R.P. nader nikłej zresztą szansy odbicia się z dna klęski przez wydostanie się na Zachód i wzięcie czynnego udziału w dalszym prowadzeniu wojny.

Alfred PONIŃSKI



NOTA BIOGRAFICZNA

Alfred PONIŃSKI, należał do I-szej ekipy MSZ. Jako attaché, przedstawiciel Rady Regencyjnej w Berlinie, brał udział w rokowaniach z Niemcami o uwolnienie Józefa Piłsudskiego z Magdeburga. Od 1919-1921 referent spraw niemieckich w Centrali; 1921-1924 sekretarz Poselstwa w Brukseli. Od grudnia 1924 I-szy Sekretarz Ambasady w Paryżu, kierował prasą i propagandą. Odznaczony dwukrotnie Legią Honorową. W czerwcu 1926 mianowany I-szym Sekretarzem Poselstwa w Moskwie, brał udział u boku min. St. Patka w wielu rokowaniach i umowach m.in. w sprawie paktu o nieagresji, statutu granicznego itp. Pełnił czasowo funkcję konsula gen. w Charkowie, a od 1930 r. był radcą politycznym poselstwa w Moskwie. Odwołany w początku 1933 do Centrali, był kierownikiem referatu umów dwustronnych w biurze Rady Ekonomicznego, następnie kierownikiem referatu państw Środkowej Europy w wydziale wschodnim. Delegowany w 1935 r. do Bukaresztu w związku z finalizowaniem rokowań w sprawie ostatecznego ustalenia granicy polsko-rumuńskiej, pozostał tam od maja 1935 jako I-szy Radca Poselstwa, a następnie Ambasady. W październiku 1939 mianowany ministrem pełnomocnym. Po likwidacji Ambasady R.P. w Bukareszcie, na jesieni 1940 przydzielony do Ambasady R.P. w Ankarze. W r. 1941 kierownik Konsulatu Generalnego R.P. w Stambule. W grudniu 1942 udał się do Chin, jako pierwszy ambasador R.P. w Chinach, z siedzibą w Chung-Kingu. Po cofnięciu uznania rządowi polskiemu, osiadł na stałe w Australii poświęcając się pracy społecznej i publicystycznej.

SYMPOZJON HISTORYKÓW POLSKICH I NIEMIECKICH W LONDYNIE

I

Sympozjon polskich i niemieckich historyków, który odbył się w Londynie w dniach od 17 do 19 marca rb. był owocem długoletnich kontaktów, nawiązanych między historykami niemieckimi, a niektórymi historykami emigracyjnymi polskimi, od czasu pierwszego spotkania w Tybindze (10-13 października 1956 r.). O ile jednak spotkanie w Tybindze miało charakter raczej ogólnej wymiany poglądów na różne tematy, dotyczące stosunków polsko-niemieckich i wzięli w nim udział również publicyści, z Jerzym Stempowskim, właściwym inicjatorem tego zebrania, na czele, to sympozjon w Londynie nosił już wyraźnie charakter seminarium naukowego, ograniczonego do grona specjalistów.

Zarówno konferencja w Tybindze jak i sympozjon w Londynie wynikały z sytuacji, jaka wytworzyła się w kraju w dziedzinie studiów historycznych. W latach poprzedzających wypadki październikowe w Polsce, na kongresach historycznych we Wrocławiu, Moskwie, Warszawie i Otwocku utrwaliła się doktryna materialistycznego pojmowania dziejów oraz koncepcja Polski Piastowskiej o charakterze zdecydowanie antyniemieckim. Stąd wynikało dążenie historyków niemieckich do znalezienia partnerów wśród historyków emigracyjnych, wiernych tradycjom obiektywnego rozpatrywania dziejów i wolnych od nacisków zewnętrznych. Było to tym bardziej ważne, że zwłaszcza wśród młodszego pokolenia historyków niemieckich, zarysowały się nowe tendencje i zrozumienie tego, jak wielkim błędem było pomniejszanie roli Polski w przeszłości, jeśli już nie zupełnie nawet przemilczanie wkładu Polski do historii Europy Wschodniej (*Todschweigen*), co w konsekwencji przyczyniło się do wytworzenia całkowicie nierealnego poglądu na naród polski, jeden z wielkich historycznych narodów, świadomy swej tradycji państwowej i z niej czerpiący siły do przetrwania najcięższych prób. Co więcej, przykład Polski, jako kraju, który mimo rozbiorów zdołał zachować ideę ciągłości hi-

storycznej coraz więcej zaczął interesować badaczy niemieckich jako przykład do naśladowania dla narodu niemieckiego, zagrożonego w swej jedności przez podział na dwie niezależne od siebie, a nawet wrogie sobie, jednostki terytorialne.

Już w Tybindze zarysowały się dla nas wyraźnie różnice między poszczególnymi generacjami historyków niemieckich. Trudno było oczekiwać całkowitej ewolucji poglądów np. od prof. dr. Hansa Rothfelsa, apologety Prus i tradycji *Ostpolitik*. Mimo ciężkich przejść wojennych i pobytu w Stanach Zjednoczonych w czasie wojny, gdzie schronił się przed prześladowaniami ze strony hitlerowców, reprezentuje on w dalszym ciągu poglądy starej szkoły, choć znacznie stonowane i zarysowane nie tak jaskrawo, jak to miało miejsce przed wojną. Drugi przedstawiciel starej szkoły, przed wojną profesor Uniwersytetu Królewieckiego Erich Maschke, (autor pracy o Romanie Dmowskim z roku 1936), ewoluował znacznie więcej co przypisać należy prawie ośmioletniemu pobytowi w obozie sowieckim, gdzie nauczył się cenić i szanować Polaków, jako jedyną grupę jeńców, która nie załamała się moralnie.

Przedstawiciel pokolenia średniego, prof. dr Werner Markert, *spiritus movens* Konferencji w Tybindze i razem ze Stempowskim jej inicjator, w okresie odprężenia polsko-niemieckiego w latach 1933-1938 był sekretarzem naukowym (*Wissenschaftlicher Sekretär*) Niemieckiego Towarzystwa dla Studiów Europy Wschodniej, niejednokrotnie bawił w Polsce i wydawał z ramienia tego towarzystwa pismo „OST-EUROPA”. Organizował on szereg odczytów uczonych polskich w Niemczech, m.in. profesorów Haleckiego, M. Zdziechowskiego, Krzyżanowskiego, Staniewicza i innych. Po wojnie prof. Markert zajął katedrę Europy Wschodniej na uniwersytecie w Tybindze, gdzie skupił szereg młodych pracowników naukowych, których zainteresowania skierował do studiów nad tematami historii Europy Wschodniej, między innymi historii polskiej. Pod jego kierownictwem wyszedł szereg monografii o charakterze encyklopedycznym, poświęconych poszczególnym krajom Europy Środkowo-Wschodniej, w tym imponujący rozmiarami i zebraną dokumentacją „HANDBUCH POLEN”, na ogół obiektywny, choć mogący budzić pewne zastrzeżenia, jeśli chodzi o tendencje niektórych współpracowników.

Jeśli chodzi o średnią generację, to wymienić jeszcze należy szereg pracowników naukowych, którzy wyszli z łona mniejszości niemieckiej w Polsce, a z nich niewątpliwie najwybitniejszym jest prof. dr Gotthold Rhode, profesor historii Europy Wschodniej na uniwersytecie w Moguncji. Jest on związany z Polakami wspomnieniami młodości i niewątpliwie lubi polski sposób życia. Jest to uczony dużego kalibru i wielkiej pracowitości. Nie należy jednak zapominać, że uważa się on za takiego samego autochtona w Polsce, jak rdzenni Polacy i nie zalicza się do tych Niemców, którzy uważają, że rola Niemiec na wschodzie Europy jest skoń-

czona. Jego współpraca z *Goettinger Arbeitskreis* i tzw. *Historische Landeskundliche Kommission für Posen und Deutschum in Polen*, wreszcie jego działalność publicystyczna, wskazują na akcenty rewizjonistyczne i stanowią powód licznych ataków ze strony kół krajowych. Ma on jednak za sobą szereg prac źródłowych i stara się być w pracach naukowych możliwie obiektywny. Szereg jego prac stanowi poważny wkład do historii Europy wschodniej, (Polska, Czechy, Węgry).

Do b. członków mniejszości niemieckiej zaliczyć należy również dr. Richarda Breyera, wicedyrektora Instytutu im. Herdera w Marburgu, specjalizującego się w zagadnieniach Europy Wschodniej. Był on ożeniony z Polką, jego ojciec zginął, jako oficer polski na początku kampanii wrześniowej. Jest on autorem pracy „Das Deutsche Reich und Polen. Aussenpolitik und Volksgruppenfragen” (Würzburg, 1955), dzisiaj, wobec otwarcia archiwów niemieckich, w dużym stopniu jednostronnej.

W Tybindzie zainteresowała uczestników polskich w szczególności młodsza generacja. Rewelacją tam był młody uczony dr Hans Roos, który świeżo habilitował się na podstawie pracy, wkrótce potem wydanej drukiem „Polen und Europa, Studien zur Polnischen Aussenpolitik”, 1931-1939 (Tübingen, 1955). Jest to praca źródłowa, choć nie wyzyskane zostały w niej jeszcze niedostępne podówczas dla Niemców archiwa niemieckie, znajdujące się w rękach sojuszników. Poza tym młody autor niezawsze krytycznie odniósł się do źródeł, z których korzystał, choć jego dobra wola i dążenie do obiektywizmu, nie mogą ulegać wątpliwości. Jego odczyt w Tybindzie pt. Zasadnicze problemy polityki Niemiec w stosunku do Polski w latach trzydziestych (*Grundfragen der polnischen Deutschlandpolitik in den dreissigen Jahren*) był streszczeniem głównych rozdziałów jego pracy habilitacyjnej. Jak wiadomo, od tego czasu Roos stale pracuje nad tematyką polską, został profesorem w Getyndze i wydał m.in. pracę, która rozeszła się w wielu egzemplarzach pt. „Geschichte der Polnischen Nation, 1916-1960”, będącą niewątpliwie pierwszą poważniejszą próbą obiektywnego przedstawienia historii Polski od czasu, kiedy wróciła ona do społeczności międzynarodowej.

Obok Roosa z młodszej generacji zwrócili naszą uwagę młodzi asystenci prof. Markerta, dr Dietrich Geyer oraz dr Walde-mar Besson, dziś już zajmujący katedry uniwersyteckie oraz dr Martin Broszat, w tym czasie referent Instytutu Historii Współczesnej w Monachium. Od tego czasu wydał on szereg prac poświęconych stosunkom polsko-niemieckim, m.in. okupacji hitlerowskiej w Polsce, a ostatnio wydał syntetyczną pracę poświęconą 200 ostatnim latom stosunków polsko-niemieckich „200 Jahre deutsche Polenpolitik” (1963) stanowiącą jeden akt oskarżenia pod adresem niemieckim. Takiej książki nie napisał dotychczas nawet polski uczony.

Jedynym referatem zasadniczym, polskim, wygłoszonym w

Tybindze był odczyt przewodniczącego delegacji polskiej, T. Komarnickiego pt. „Stosunki polsko-niemieckie w okresie międzywojennym”. Stanowił on poniekąd odpowiednik do referatu Roosa, z tym jednak że główne wywody prelegenta polskiego były poświęcone polityce Niemiec wejmarowskich, scharakteryzowanej jako zasadniczo anty-polskiej, bo zmierzającej do nowego podziału Polski. To nastawienie ze strony Rzeszy przed Hitlerem sprawiło, że Polska odczuła jako ulgę możliwość pewnego, choćby tylko chwilowego, odprężenia w stosunkach polsko-niemieckich po przyjsciu Hitlera do władzy. O ile przedstawiciele starszej generacji przyjęli ten referat z mieszanymi uczuciami, to szereg wypowiedzi ze strony młodych wskazywało, że wiele wywodów referatu trafiło do ich przekonania. Referat ten wygłoszony w języku niemieckim ukazał się następnie w tłumaczeniu angielskim w wychodzącym w Londynie kwartalniku „Poland & Germany”.

II

Warto zastanowić się nad tym, co spowodowało stronę niemiecką do wznowienia rozmów z polskimi z historykami po 7 i pół latach. Dużo światła na te sprawy rzuca nadzwyczaj ciekawa dyskusja, jaka miała miejsce w kwietniu 1960 w łonie Rady Badań Instytutu im. Herdera w Marburgu, poświęcona „stanowi duchowemu narodów środkowo-europejskich” (*die geistige Lage der ostmitteleuropäischer Völker*), następnie w roku 1961 wydana drukiem pt. „Poczucie historyczne w Europie Środkowo-Wschodniej” (*Geschichtsbewusstsein in Ostmittteleuropa*). Analiza sytuacji w Polsce, Czechosłowacji, Rumunii i państwach bałtyckich została poprzedzona doskonałym referatem poświęconym temu samemu zagadnieniu tylko w skali ogólnoeuropejskiej, (*Die Probleme des Geschichtsbewusstseins bei den europäischen Völkern*), prof. Theodora Schiedera, jednego z najznakomitszych współczesnych historyków niemieckich. Zajął się on rolą historii, jako źródłem tworzenia pewnych wartości, jako siłą twórczą (*Lebensmacht*), co w szczególności datuje się od czasu Rewolucji Francuskiej, która dała impuls i arsenał argumentacyjny dla ruchów narodowościowych i demokratycznych. Po rozpatrzeniu roli tego czynnika w historii Francji, Anglii i Włoch, Schieder zwrócił szczególną uwagę na rolę odegraną przez niemieckich historyków w tworzeniu Rzeszy Niemieckiej w roku 1871 oraz na konflikt, jaki w związku z tym zaistniał między koncepcją „mało-niemieckiego narodowo-pruskiego państwa z 1871” a koncepcją dawnego Imperium Niemieckiego, koncepcją ponadnarodowościową, federacyjną, reprezentowaną przez Habsburgów. O ile pierwsza koncepcja była koncepcją silnego narodowego państwa, opartego na Prusach i ich zwartej strukturze państwowej, to druga koncepcja była koncepcją luźniejszą. Wypadki wykazały, że jedynie pierwsza kon-

cepcja odpowiada warunkom sytuacji europejskiej, gdyż Europa jest zdolna znieść rozwiązanie sprawy niemieckiej, jedynie w granicach niemieckiego, zwartego terytorium narodowego, z którego jednak ostatecznie wypadła Austria, po wojnie definitywnie zorganizowana we własnych ramach państwowych. Dziś mało-niemiecki model historyczny (*Geschichtsbild*) działa na umysły niemieckie jak najsilniej, mimo utraty prestiżu przez Prusy, a nawet można powiedzieć mimo oficjalnej egzekucji Prus. Zadaniem historiografii niemieckiej w obecnej chwili jest wyrównanie pozostałości spuścizny tradycji historycznej z podobnymi pozostałościami zachodnio — ale również i wschodnio-europejskich narodów, (*Ausgleich unserer geschichtlichen überlieferungskräfte mit denen der westlichen und auch der östlichen europäischen Völker herbeizu führen*). Nie chodzi tu o bezkrytyczne zastępowanie ideologii narodowych przez ideologię europejską, ale o położenie kresu „samorozdzieraniu się duchowemu Europy” (*Es geht viel mehr um die Einsicht, dass das Ende der europäischen Selbstzerfleischung auch im geistigen gekommen ist*).

Z następnego referatu prof. dr. Eugen Lemberga z Kolonii, który zajął się w szczególności wpływami marksizmu-leninizmu na historię i świadomość historyczną, wynikało jasno, ile troski sprawia Niemcom wytwarzanie na Wschodzie Europy doktryny historycznej, działającej w całkowicie odwrotnym kierunku do tego, który zalecał prof. Schieder. Wywołuje to przemianę obrazu historycznego (*Geschichtsbild*) poszczególnych narodów pod dyktandem Moskwy i sowietyzację historii dla przygotowania atmosfery sprzyjającej globalnym pretensjom sowieckim.

Zagadnieniami specyficznie polskimi zajęły się dwa referaty, prof. dr. Gotthold Rhodego: „Die Situation im polnischen Geschichtsbild und Geschichtsbewusstsein” oraz prof. Herberta Ludata, „Geschichtswissenschaft als Spiegel des Geschichtsbewusstseins in Polen nach 1945”; po tych referatach miała miejsce ciekawa dyskusja, w której udział wzięli: Stasiewski, Hartmann, Kahl, Aubin, Breyer, Neumann, Birke, Spuler, Grundmann, Zernack, Eggers, Johansen, Hausmann, Rhode.

Interesującymi były w szczególności wywody dwóch przedstawicieli najmłodszego pokolenia dr. Zernacka i dr. Hausmanna (rodem z Łodzi). Zernack negował, aby w Polsce dzisiejszej mogło się już wykrystalizować jasne poczucie historyczne (*klar konstatierbares polnisches Geschichtsbewusstsein*), a to z powodu wielkiego jeszcze wpływu polskiej historiozofii przedwojennej, stanowiącej poważną konkurencję dla marksizmu-leninizmu. Hausmann zwrócił uwagę na wielką rolę, jaką w historii polskiej odgrywało cierpienie i potęgą ofiary. Dziś Polacy nawrócili do pozytywizmu, nie chcą bezcelowych ofiar. Poza tym Polska nie otrząsnęła się jeszcze z głębokiego szoku moralnego, spowodowanego okropnościami ostatniej wojny i niemiecką okupacją.

Tyle jeśli chodzi o tę niezmiernie interesującą konferencję.

Świadczy ona o tym, ile uwagi poświęca się dziś w Niemczech Polsce współczesnej i kształtowaniu się jej nowego światopoglądu historycznego, będącego odbiciem obecnej sytuacji geopolitycznej naszego kraju. Historycy niemieccy rozumieją, że nie ma obecnie żadnej możliwości dialogu polsko-niemieckiego z historykami z kraju, stąd zrozumiała jest chęć szukania kontaktu z historykami polskimi na emigracji, a to tym bardziej, że wielu z tych ostatnich ma ustaloną opinię w kraju i nawet propagandzie reżymowej nie tak łatwo będzie przekonać ludzi w Polsce, że mogą oni służyć interesom obcym.

III

Od czasu Tybingi historycy polscy i niemieccy kontaktowali się na międzynarodowych kongresach historycznych, a poza tym utrzymywane były stosunki listowne i wymiana publikacji między poszczególnymi historykami polskimi i niemieckimi. Dalszym krokiem było zaproszenie prof. T. Komarnickiego na XXV Kongres Historyków Niemieckich w Duisburgu (październik 1962). Już wtenczas omawiano możliwość rewizyty historyków niemieckich w Londynie. Jednakże upłynęło kilkanaście miesięcy zanim nastąpiła decyzja ze strony niemieckiej. Zbyteczne byłoby tutaj wchodzić w przyczyny tej zwłoki. W dniu 15 stycznia rb. prof. Markert zawiadomił prof. Komarnickiego, że udało mu się sformować grupę historyków niemieckich, gotowych do udania się do Londynu. Przy zestawianiu tej grupy prof. Markert trzymał się tej wytycznej, że dla Polaków nie byłoby interesujące spotkanie się wyłącznie z uczonymi poświęcającymi się problemom Europy Wschodniej, ale również z historykami ujmującymi te zagadnienia w ramach szerszych, historii powszechnej, zwłaszcza europejskiej. Jak zwykle największą trudnością było ustalenie daty, gdyż w grę wchodziło tu profesorowie czynni, a więc zajęci w ciągu roku akademickiego i rozporządzający wolnym czasem jedynie w okresie wakacyjnym. Ostatecznie stanęło na dacie 17-19 marca. Tak krótki termin wymagał ze strony polskiej bardzo dużego wysiłku organizacyjnego i do ostatniej niemal chwili nie było pewne, czy będziemy w stanie wystawić odpowiednią ekipę oraz czy polskie referaty będą gotowe na czas.

Ze strony niektórych czynników polskich zarzucano organizatorom, że otoczyli się tajemniczością i „zaskoczyli” opinię polską faktem spotkania polsko-niemieckiego. Okoliczności wyżej opisane wyjaśniają sytuację, a poza tym nie wydaje się, aby ten zarzut był robiony w dobrej wierze, bo z jednej strony zarzuca się organizatorom sympozjonu, że naokoło niego powstało zbyt wiele hałasu (zresztą nie za sprawą organizatorów) a z drugiej mówi się o tajemniczości. Organizatorom sympozjonu nie zależało bynajmniej na rozgłosie. Chodziło przecież o zebranie o cha-

rakterze seminaryjnym, coś w rodzaju „Entretiens”, organizowanych pod auspicjami UNESCO, PEN-CLUBÓW czy BRITISH COUNCIL. Nie jest zwyczajem tych organizacji uciekanie się do reklamy tego rodzaju przedsięwzięć.

Sprawa nabrała istotnie pewnego rozgłosu, gdy „Dziennik Polski” w tym samym numerze z dnia 17 marca, w którym podał wiadomość o zebraniu się konferencji historyków, zamieścił, bez porozumienia się z organizatorami sympozjonu, artykuł wstępny pióra p. Kazimierza Okulicza pt. „Kompleks polsko-niemiecki”. Przez to niezmiernie niefortunne zsynchronizowanie z otwarciem konferencji, wytworzyło się fałszywe przekonanie, że chodzi o przedsięwzięcie natury politycznej. Artykuł p. Okulicza był kontrowersyjny i niewątpliwie nie wyrażał opinii polskiej zbiorowości emigracyjnej. Poruszył on w szczególności tych wszystkich, którzy uważają wszelkie kontakty polsko-niemieckie za szkodliwe, nieomal za zdradę kraju. O ile można było mieć poważne zastrzeżenia co do właściwości postąpienia „Dziennika Polskiego”, o tyle reakcja wywołana przez nie dowodziła istnienia kompleksu niższości wśród niektórych kół emigracyjnych oraz poddawania się propagandzie warszawskiej.

Sympozjon miał charakter zebrania zamkniętego i dyskusja była ograniczona do członków obu grup, jednak lista zaproszonych gości uwzględniała jak najszerszy wachlarz opinii publicznej, a ci co z zaproszenia nie skorzystali, nie mają, jak sądzę, żadnego tytułu do skarżenia się. Charakterystyczne było, że o zaproszenie zabiegał publicysta, współpracujący z „Obliczem Tygodnia” i był bardzo obrażony, gdy mu wyperswadowano, że nie jest *persona grata* na terenie konferencji.

Grupa niemiecka wystąpiła w bardzo poważnym składzie. Wzięli w niej udział poza prof. Markertem, prof. dr Paul Kluke, profesor zw. historii nowożytnej i współczesnej na Uniwersytecie we Frankfurcie, b. długoletni dyrektor Instytutu Najnowszej Historii w Monachium, prof. dr Georg Stadtmüller, redaktor „Jahrbücher für Geschichte Osteuropas”, poprzednio dyrektor Instytutu Europy Wschodniej w Monachium, prof. dr Herbert Ludat, badacz historii średniowiecznej i dyrektor Instytutu w Giessen, prof. dr Walter Bussmann, Dyrektor Instytutu im. Fryderyka Meinecke na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie, prof. dr Gotthold Rhode, dyrektor Instytutu Wschodniego na Uniwersytecie w Moguncji, prof. dr Hans Roos, dyrektor seminarium Europy Wschodniej na Uniwersytecie w Getyndze. Poza tym w ostatniej chwili został doproszony przez prof. Markerta dr Richard Breyer, zastępca dyrektora Johann Gottfried Herder Institut w Marburgu. Wreszcie w grupie niemieckiej znalazło się trzech przedstawicieli najmłodszego pokolenia historyków niemieckich (trzydziestolatków), zajmujących się problematyką polską: dr Kurt Georg Haussmann (z Łodzi) świeżo habilitowany na Uniwersytecie w Kilonii, na podstawie pracy o Romanie Dmowskim, dr Klaus Zernack, asystent

prof. Ludata w Giessen, specjalizujący się w historii XV stulecia oraz jako sekretarz grupy, dr Eberhard Müller, asystent prof. Markerta w Tybindze.

Należy dodać, że Prezydium Konferencji otrzymało również szereg listów od tych profesorów niemieckich, którzy z tych czy innych względów nie mogli przybyć, a chcieli wyrazić swoje poparcie dla idei spotkania. Spotykamy tu szereg b. wybitnych nazwisk, jak Rektora Uniwersytetu w Kolonii, prof. Theodora Schiedera, prof. dr. Bernharda Stasiewskiego, zajmującego katedrę historii kościelnej na Uniwersytecie w Bonn, prof. dr. Hansa Rothfelsa, z Tybingi, prof. dr. Karl Dietrich Erdmanna, Przewodniczącego Związku Historyków Niemieckich, który w tym charakterze będzie w tym roku w październiku przewodniczył obradom XXVI kongresu Historyków Niemieckich w Berlinie, prof. dr Werner Conzgo, z Uniwersytetu w Heidelbergu, autora znakomitej i bardzo obiektywnej pracy o polityce Niemiec w stosunku do Polski w czasie I wojny światowej („Polnische Nation und deutsche Politik im Ersten Weltkriege”, Kolonia, 1958), prof. dr. Dietricha Geyera, z uniwersytetu we Frankfurcie oraz znanego publicysty niemieckiego, dr. Harolda Laeuena, autora pracy „Polnische Tragödie”.

Na konferencji w Londynie zostały wygłoszone 4 referaty niemieckie. Ogólną ich cechą było rozpatrywanie zagadnień polskich pod kątem widzenia problematyki ogólnoeuropejskiej, w organicznym związku z wydarzeniami w innych krajach.

Pierwszy referat prof. dr. H. Ludata „Państwo Piastów a Cesarstwo na przełomie tysiąclecia” (*Der Staat der Piasten und das Imperium um die Jahrtausendwende*), bardzo źródłowy, może być uważany za próbę rewizji poglądów wypowiedzianych w kraju z okazji millenium Polski, a starających się nadać ówczesnym stosunkom między powstającym państwem Piastów a Cesarstwem, charakter walki narodowościowej. Ludat wskazywał na rolę Bolesława Chrobrego, zgodną z koncepcją uniwersalistyczną Cesarza Ottona III, jako jednego z filarów tej idei i w ostatecznych konkluzjach stwierdzał, że: „zadanie europejskie ówczesnego Państwa Piastowskiego nie może być rozpatrywane w płaszczyźnie zachodnio-słowiańskiej idei wielko-mocarstwowej i antagonizmu w stosunku do Rzeszy, tak jak to dotychczas utrzymywała historiografia, a co zostało ponownie zaakcentowane przez polskie millenium. Raczej należy rozpatrywać wzrost tego państwa i pobudki jego ideologii w pierwszej linii w związku ze ścisłym jego wpleceniem w uniwersalno-chrześcijańską politykę Cesarstwa i pobudki jego ideologii w pierwszej linii w ścisłym związku z uniwersalno-chrześcijańską polityką Cesarstwa w epoce Ottona, w której to polityce państwo Piastowskie świadomie podjęło i wypełniło pewne zadania, jako członek i podpora Imperium Christianum Romanum rozciągniętego daleko na Wschód”.

Niemniej ciekawy był drugi referat prof. dr Gotthold Rho-

dego „Stany i Korona w Polsce/Litwie, Bohemii/Morawii” (*Stände und Königtum in Polen/Litauen und Böhmen/Mähren*). Referent sięgnął do źródła rozkładu organizacji państwowej dawnej Rzpltej. Wykazał daleko idącą równoległość rozwoju organizacji stanowej w Polsce/Litwie i Bohemii/Morawach, wyrażającej się w stopniowym osłabianiu władzy królewskiej i wzrastającym wpływie stanu szlacheckiego, wypierającym wszelkie inne wpływy, a zwłaszcza stanu miejskiego. Równoległość ta zaczyna wprowadzić zanikać po bitwie pod Białą Górą, ale nie w tak szybkim tempie, jak to dotychczas przypuszczano, aby w końcu ustąpić w Czechach/Morawach absolutystycznej władzy Habsburgów, opartej na biurokracji, podczas gdy w Polsce ustalają się faktyczne rządy oligarchii. Autor stwierdził na podstawie bardzo szczegółowego zestawienia obsady ważniejszych stanowisk w Polsce, jak wielka rozbieżność panowała tam między zasadą rzekomej równości członków stanu szlacheckiego (szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie) a istotnym sprawowaniem władzy, gdyż nieomal wszystkie wielkie urzędy były zmonopolizowane w ciągu pokoleń przez kilkanaście rodów magnackich.

Trzecim referatem, który do pewnego stopnia stanowił *clou* spotkania był referat prof. Hansa Roosa „Społeczność narodowa polska a władza państwowa mocarstw rozbiorowych w historii europejskiej (1795-1863) (*Die Polnische Nationsgesellschaft und die Staatsgewalt der Teilungsmächte in der europäischen Geschichte*). Był to referat świetnie skonstruowany, stanowiący syntezę rozwoju narodu polskiego od rozbiorów aż do upadku powstania styczniowego, otwierającego nowy okres w dziejach Polski, przekształcał się ze społeczności wielonarodowościowej w społeczność narodową. Referat ten jest owocem głębokich studiów przeprowadzonych przez prof. Roosa w ostatnich latach. Ma on już gotową do druku pracę „Naród polski na schyłku XVIII wieku”. Roos zaczął od analizy struktury ludnościowej Rzpltej Obojga Narodów przy końcu XVIII wieku, państwa składającego się z szeregu narodowości, stanowiących jeden naród, z uwagi na to, że warstwy, które w tym czasie mogły być uważane za naród, przyjęły jedną, polską cywilizację. Asymilacja ta była spowodowana właściwościami konstytucji polskiej, stanowiącymi wielką siłę atrakcyjną. Polskie swobody stworzyły tradycje, z których naród następnie mógł czerpać w okresie niewoli. Porównanie Polski ze Św. Cesarstwem Rzymskim Narodu Niemieckiego, Francją i Wielką Brytanią wypada na korzyść Polski. Pod względem ściśle etnograficznym element polski zajmował mniej więcej 1/4 terytorium państwowego. Ciemną stroną były stosunki społeczne, upośledzenie warstwy mieszczańskiej i chłopskiej.

Odrodzenie Polski zaczęło się po I rozbiore. Rozbiory przyszyły w momencie odrodzenia Polski, nie były one zatem rezultatem anarchii, ale wprost odwrotnie wynikały z dążeń mocarstw sąsiednich, pozostających pod władzą absolutystyczną, przeciwsta-

wienia się odrodzeniu Polski, (*Die Teilung war nicht eine Folge der Anarchie, sondern umgekehrt eine Folge des für die absolutistisch regierten Nachbarmächte unbequemen Unternehmens, die alte Desfunktion der Republik zu überwinden und die Nation innerlich und äusserlich zu kräftigen*). Nie wchodziły tu również w grę momenty natury narodowościowej, rewindykacji etnicznych, tego rodzaju interpretacje pojawiły się bowiem znacznie później w połowie XIX wieku, na skutek czego rozbiory nie naruszyły w niczym struktury narodowościowej dawnej Rzpltej. Ten stan rzeczy przetrwał aż do 1831 roku. Pokolenie 1815-1831 pozostawało pod wpływem romantyzmu, miało to następnie poważnie wpłynąć na odrodzenie narodowości dotychczas uśpionych i przyczynić się do rozszczepienia narodu polskiego, ale powstanie 1831 jeszcze pod wielu względami przypominało insurekcję kościuszkowską, choć ruchem powstańczym nie zostały już objęte: Północno-Zachodnia Polska na skutek polityki osiedleńczej niemieckiej oraz Południo-Wschodnie połacie Rzpltej, gdzie ludność, mniej lub więcej dobrowolnie, przeszła na prawosławie.

Następna generacja 1831-1864 przeżyła rozkład wielonarodowościowego narodu (*Vielvölkernation*) i zwężenia pojęcia Polaka do grupy etnicznej. Germanizacja w Prusach, rusyfikacja Litwy i Białorusi poczyniły również wielkie wyłomy w obszarze zasięgu polskiej cywilizacji. Jedynie Litwini i Białorusini mogli być, jeszcze jak to wykazał ich udział w powstaniu 1863 roku, zaliczani do tej *Vielvölkernation*. Roos podkreśla, że odrodzenie narodowości litewskiej i białoruskiej dokonywało się pod przewodnictwem i za inspiracją demokratów polskich ale rezultat tej akcji był dla kół polskich nieoczekiwany, gdyż impet ruchu odrodzeniowego tych narodowości zwrócił się nie tyle przeciw mocarstwom rozbiorowym, ile przeciw polskiej szlachcie (*gegen den polnischen Landesadel*), choć ta ostatnio, częściowo z pobudek patriotycznych popierała program agrarno-demokratyczny. Powstanie 1863 roku zamyka okres historii wielonarodowościowego narodu polskiego (*die Geschichte der polyethnischen, von der alten Adels-Intelligenz getragenen polnischen Nation*). Było to znamienne, że w tym samym czasie, w którym idea odrodzenia państwowości polskiej poniosła decydującą klęskę, jednocześnie narody niemiecki i włoski dochodziły do zjednoczenia. Odtąd nosicielem idei państwowej polskiej, zredukowanej do obszaru etnograficznego, stanie się warstwa mieszczańsko-chłopska, ale to zajmie okres całego pokolenia.

Czwarty referat wygłoszony przez przewodniczącego grupy niemieckiej prof. Wernera Markerta, pod tytułem „Ciągłość i przemiany w stosunkach niemiecko-polskich w świetle nowoczesnej historiografii niemieckiej” (*Kontinuität und Wandel der deutsch-polnischen Beziehungen in der modernen Deutschen Historiographie*), dał nie tylko przegląd najważniejszych publikacji historycznych, poświęconych problematyce stosunków polsko-niemieckich, ale również pozwalał zorientować się w ewolucji histo-

riografii niemieckiej w ogóle, ze szczególnym podkreśleniem konsekwencji wynikających z niej w stosunku do ujmowania roli Polski. Podobnie jak to miało miejsce na wspomnianej powyżej konferencji w Marburgu w 1960 r. Markert zajął się metodą rozpatrywania historii poszczególnych krajów z punktu widzenia ogólnych linii rozwojowych danej epoki (*neue generalisierende Betrachtungsweise*). Historiografia niemiecka przeciwstawia się kładzeniu głównego nacisku na zagadnienia gospodarcze i tym różni się od metody, przyjętej częściowo we Francji (*Annales*) a niemal całkowicie w Rosji i w krajach satelickich. Kładzie główny nacisk na metodę porównawczą (*vergleichende Geschichtsforschung*). Również stara się uniknąć przenoszenia pojęć naszego okresu do okresów wcześniejszych (*moderne Vorstellungen, Wertungen oder Begriffe in der Vergangenheit zu projizieren*) Historia Europy musi być rozpatrywana nie jako suma historii narodowych, ale jako całość (*Die Forderung nach einer 'Geschichte Europas', nicht als einer Summe von National-Geschichten, sondern als eines sich in der Zeit verändernden und erweiternden historischen Wirkungszusammenhanges*).

Okres rządów nacjonal-socjalistycznych w Niemczech spowodował, zdaniem prof. Markerta, przerwanie ciągłości historycznej, ale zainteresowania młodego pokolenia skierowały się do badań nad przyczynami, które doprowadziły do tego rodzaju „zbożeń i gwałtów”. Wielu z nich znajduje te przyczyny w błędach popełnionych przez Republikę Weimarską, w skutkach Traktatu Wersalskiego, w imperialistycznej polityce Rzeszy w czasie I wojny światowej, w koncepcjach powstałych w epoce wilhelmowskiej. W związku z tym zarysowuje się poważna rewizja poglądów na zagadnienia polskie. Jednakże sytuacja komplikuje się przez to, że równocześnie przeszłość Niemiec podlega, w myśl wskazań doktryny marksizmu-leninizmu, ostrym atakom, nieraz niedostatecznie udokumentowanym a nawet zniekształcającym procesy historyczne ze strony krajów komunistycznych, a zwłaszcza Wschodnich Niemiec. Tym niemniej, młoda generacja zabrała się do badania źródeł, korzystając, o ile można, z otwarcia archiwów pruskich i ogólnoniemieckich w Merseburgu i Poczdamie, niezbędnych dla wyjaśnienia zwłaszcza polityki wewnętrznej niemieckiej w przeszłości. W związku z tym ukazuje się też coraz więcej monografii, poświęconych problematyce stosunków polsko-niemieckich. Specjalnie podkreślić należy prace młodych historyków, występujących w charakterze oskarżycieli (*anklagen-de Schriften*), jak Broszat, Bassler, Fischer, Geiss, Jansen itd. do których starsza generacja uczonych niemieckich odnosi się wyraźnie krytycznie uważając, że malują politykę niemiecką w zbyt czarnych barwach.

Prof. Markert zakończył swój referat wezwaniem do przezwyciężenia ducha nacjonalistycznego w badaniach historycznych, uważając że zadaniem historyka jest wykazywanie raczej tego

co narody łączyło, a nie tego co je dzieliło (*Diese kulturelle Einheit Europas-diesseits und jenseits des „Eisernen Vorhanges“ zu wahren, zu vertiefen und ins Bewusstsein zu erheben, erscheint uns allen als eine bleibende Aufgabe, im Westen ebenso wie jenseits der Grenzen*).

Wydaje mi się, że te ostatnie wywody są sformułowaniem pewnego konkretnego programu ze strony historyków niemieckich. Oczywiście trudno jest przesądzać, w jakim stopniu ta koncepcja europejska została przyjęta przez ogół historyków niemieckich. Ułatwia ona niewątpliwie pewne zatarcie odpowiedzialności Niemiec za posunięcia w przeszłości w stosunku do Polski, jeśli się je rozpatruje, jako przejawy pewnego ducha epoki.

Nie można, oczywiście, z lekkim sercem przechodzić do porządku dziennego nad błędami i wynaturzeniami w przeszłości, bo tylko przez odkrycie całej prawdy prowadzi droga do poprawy. Tak jak byłoby błędne przenosić pojęcia współczesne do odległych epok, tak samo byłoby sprzeczne z zadaniem historyka zacierać pewne fakty i zatajać prawdę z uwagi na przyszłość. Niewątpliwie historyk powinien mieć poczucie miary i nie cofać się przed krytykę błędów własnego narodu i tutaj metoda porównawcza, pewna szersza perspektywa, może uchronić nas od zbytniego egocentryzmu i zapatrzenia się w samych siebie. Nie jest dla nas rzeczą obojętną, jak obcy patrzą na naszą przeszłość. Oczywiście, dobrze zdajemy sobie sprawę z tego, że przez długi okres XIX wieku nasza przeszłość była świadomie zniekształcana przez historyków krajów rozbiorczych i dziś jest też zniekształcana przez historyków komunistycznych pod dyktandem Moskwy. Stąd rozumiała jest nasza nieufność w stosunku do tego, co obcy o nas piszą, bo doszukujemy się w tym tendencji politycznych. Nie zwalniamy to nas jednak od konstatowania tych pomyślnych objawów, które wyrażają się w bardziej obiektywnym podejściu do naszej historii. Ale nie wymagajmy od obcych, aby patrzyli na naszą przeszłość przez takie same okulary, jak my.



Jeśli chodzi o wkład polski do konferencji, to był on nie-
mniej poważny, niż wkład niemiecki. Pierwszy odczyt, wygłoszony
po niemiecku przez prof. Leona Koczego „Państwo Piastów i Ce-
sarstwo w średniowieczu”, był odpowiednikiem odczytu prof.
Ludata, ale obejmował szereg stuleci, zajmując się, między inny-
mi, rolą Zakonu Krzyżackiego w Polsce. Toteż wywiązała się po
nim bardzo ożywiona dyskusja między obu prelegentami, w której
wzięli też po obu stronach udział badacze średniowiecza. Prof. Koczy
otrzymał w następstwie szereg zaproszeń do Niemiec. Drugi od-
czyt (po angielsku) był wygłoszony przez lektora School of Sla-
vonic & East-European Studies, prof. Pawła Skwarczyńskiego
i miał za temat „Stosunek władzy państwowej w Europie Śród-
kowo-Wschodniej do Reformacji”. Jest to zagadnienie, nad któ-

rym prof. Skwarczyński pracuje od szeregu lat. Odczyt ten był rozszerzeniem odczytu wygłoszonego w roku 1960 na posiedzeniu Towarzystwa Naukowego „Tolerancja religijna w Rzpltej między 1572-1632”. Ciekawe jest, że w ostatnich czasach, dwóch młodych uczonych niemieckich pracuje nad podobnymi zagadnieniami. Jeden z nich to dr Gottfried Schramm, syn znakomitego historyka niemieckiego, prof. Percy Schramma, docent uniwersytetu w Marburgu, którego praca habilitacyjna jest poświęcona ruchom reformacyjnym w Polsce. Miał on na konferencji wygłosić odczyt na temat „Die polnische Adelsgesellschaft und die reformatorischen Bewegungen des 16 Jahrhunderts”, ale otrzymawszy w ostatniej chwili wizę do Polski, o którą starał się od dłuższego czasu, udał się tam dla poszukiwań archiwalnych. Drugi młody uczony niemiecki, dr Kurt Georg Haussmann, wydaje wkrótce drukiem pracę o polskiej literaturze politycznej XVI wieku.

Trzeci referat wygłoszony po niemiecku przez niewątpliwie najlepszego dziś na emigracji badacza XVII wieku, pułkownika dr. Adama Sawczyńskiego, był zatytułowany „Wiek XVII w polskiej historii i historiografii”. Prelegent obszernie przeanalizował przyczyny dla których ten tak klęskowy okres w historii polskiej został stosunkowo bardzo słabo dotychczas opracowany. W bardzo ożywionej dyskusji, w której wzięli udział niemal wszyscy uczestnicy niemieccy, podkreślono ze strony niemieckiej, że analogiczne zjawisko można zauważyć, jeśli chodzi o badania nad historią Niemiec XVII w. Przyczyny były podobne, był to bowiem okres poniżenia i klęsk niemieckich, do którego niechętnie nawracali historycy niemieccy w okresie potęgi politycznej Niemiec w wieku XIX. Czwarty odczyt był z dziedziny najnowszej historii Polski. Prof. T. Komarnicki odczytał szereg ustępów ze swej nowej pracy po angielsku „Between Versailles and Locarno”, która wkrótce ma się ukazać drukiem, poświęconych stosunkom polsko-niemieckim po Rapallo i w okresie okupacji Ruhry (1922-1923). Prasa ta jest oparta na nieznanych źródłach archiwalnych, zwłaszcza niemieckich.

Poza tym, jako odpowiednik informacyjnego referatu prof. Markerta został wygłoszony odczyt zbiorowy, poświęcony działalności naukowej na emigracji. Prezes Polskiego Towarzystwa Naukowego, prof. dr B. Hełczyński mówił o organizacji i instytucjach badawczych, generał M. Kukiel o historiografii polskiej i wydawnictwach i pułkownik S. Biegański o wydawnictwach źródeł.

Członkowie niemieccy otrzymali w darze I tom Diariusza i Tek Jana Szembeka, 2 ostatnie roczniki Polskiego Towarzystwa Naukowego oraz ostatni tom Tek Historycznych, poświęconych 1863 rokowi. Ze swej strony uczestnicy niemieccy podarowali członkom polskim szereg cennych wydawnictw, w szczególności poświęconych zagadnieniom polsko-niemieckim oraz historii Europy Wschodniej.



Chciałbym na zakończenie zająć się pobudkami, które kierowały organizatorami polskimi sympozjonu w Londynie i w ogóle powodami, dla których wielu spośród historyków polskich uważa kontakty tego rodzaju za pożądane i celowe. Pragnę tutaj dodać, że mieliśmy dla organizacji sympozjonu błogosławieństwo seniora historyków polskich prof. O. Haleckiego, który miał nawet przewodniczyć obradom i jedynie ciężka żałoba (śmierć żony) mu w tym przeszkodziła.

Nie potrzebuję, jak myślę, szczególnie podkreślać, jak ważną jest sprawa utrzymywania łączności z najmłodszą generacją historyków niemieckich, nieobciążonych przeszłością i wolnych od kompleksów starszej generacji. W kontaktach z nami znajdują oni moralne poparcie i zachętę dla swej pracy i możliwość uzupełniania swych materiałów dokumentacją, dostarczaną im przez nas. Starsza generacja historyków niemieckich stara się niewątpliwie znaleźć w kontaktach z nami możliwość wypowiedzenia się i dyskusji, co, niestety, jest niemożliwe, jeśli chodzi o historyków krajowych. My ze swej strony możemy wiele rzeczy, które są wypaczone w kraju, prostować i tłumaczyć. Niewątpliwie kontakty między historykami niemieckimi a polskimi historykami na emigracji sprzyjają wytworzeniu bardziej obiektywnych poglądów na nasze stosunki w przeszłości, po obu stronach.

Fakt, że problematyka polska jest znacznie szerzej dziś uwzględniana w wydawnictwach niemieckich, zarówno monograficznych jak i syntetycznych, ma ogromne znaczenie nie tylko dla stosunków polsko-niemieckich. Nie możemy zapominać o tym, że wydawnictwa niemieckie docierają łatwiej do Zachodu niż wydawnictwa polskie, szczególnie jeśli chodzi o prace w języku polskim. Wprawdzie sytuacja dziś nie wygląda tak źle, jak w wieku XIX, kiedy np. w Anglii znajomość spraw polskich wytwarzała się przeważnie na podstawie literatury niemieckiej, ale tym niemniej wydawnictwa niemieckie, zwłaszcza jeśli są pisane w duchu obiektywnym, są bardziej czytane na Zachodzie, nawet niż prace polskie pisane w językach obcych.

Stawianie jakichś warunków politycznych kontaktom tego rodzaju jest oczywiście absurdem. Każdy z nas korzysta z całkowitej swobody wypowiedzania się na zagadnienia polityczne, są to dwie sfery działalności zupełnie od siebie niezależne. Ci wszyscy, którzy potępiają tego rodzaju kontakty i swobodną wymianę myśli między uczonymi, nie zdają sobie sprawy z tego że skazują Polskę na izolację i świadomie czy nieświadomie pogłębiają jeszcze bardziej przedział między nami i Zachodem. Izolowanie kulturalne Polski i pozostawianie monopolu historykom hołdującym doktrynie marksizmu-leninizmu, może być tylko na rękę reżymowi warszawskiemu.

Tytus KOMARNICKI

DIARIUSZ I TEKI JANA SZEMBEKA

Wydanie pierwszego tomu dziennika Jana Szembeka, podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w latach 1932-1939, jest niewątpliwie ważnym ewenementem w polskim życiu naukowym. Zapiski Szembeka, robione często w czasie przeprowadzanych przez niego rozmów, lub dyktowane na gorąco, przedstawiają niezwykle cenny materiał źródłowy do historii polskiej dyplomacji międzywojennej. Minister Szembek prowadził swój diariusz, aby utrwalić bieg codziennych wydarzeń, związanych ze swą pracą i zapiski jego niejednokrotnie były przekazywane dla informacji placówkom zagranicą lub podległym mu działom MSZ. Nosił się on również z myślą, aby zużytkować je do napisania pamiętników, ale niestety nie dane mu było do tego doprowadzić. Z punktu widzenia historyka, zapiski Szembeka są szczególnie wartościowe ze względu na to, że nie były pisane pod kątem publikacji. Nie znajdujemy w nich charakterystyki osób, ocen relacjonowanych wydarzeń — nie są one też specjalnie ciekawe z punktu widzenia literackiego — ale to właśnie stanowi ich główny walor źródła historycznego. Nic też dziwnego, że myśl wydania ich zrodziła się już od dawna.

Dwanaście lat temu, w roku 1952 ukazały się one w tłumaczeniu francuskim, pod tytułem *Journal 1933-1939* z przedmową byłego ambasadora francuskiego w Warszawie Leona Noëla. Jak wynikało z przedmowy, *Journal* nie obejmował całości zapisów Szembeka, ale według zapewnień Noëla opuszczono jedynie materiał drugorzędny, a pewne przeprowadzone skróty nie zmieniały w niczym ani faktów ani ogólnego charakteru diariusza. Nie brzmiało to zbyt przekonywująco dla historyków, tym bardziej, że wydanie francuskie zawierało minimum przypisków i nie sprawiało wrażenia, aby jego redaktorzy byli specjalistami w niezwykle trudnej dziedzinie opracowywania dokumentów. Można się było również obawiać, że względy polityczne grały pewną rolę w dokonanej selekcji materiału.

Wrażenia te i obawy okazały się niestety prawdziwe z chwilą wydania przez Polski Instytut Spraw Międzynarodowych w Warszawie w roku 1956 *Fragmentów Dziennika Szembeka*. Opracowanie przez mgra. Józefa Chudka, jednego z współpracowników PISM, *Fragmenty* zawierały zapiski, które zachowały się w archiwum MSZ, a które zostały bądź to opuszczone bądź zniekształcone — przez odpowiednie skróty nie zaznaczone kropkami — w *Journal'u*. W obu wypadkach cięcia dokonane nie miały wiele wspólnego z motywami przytoczonymi w przedmowie Ambasadora Noëla. Wartość całego *Journal* stanęła w tych warunkach pod znakiem zapytania, a praca Chudka odbita na powielaczu, a co za tym idzie dostępna tylko małemu gronu czytelników, zawierała niewielki wybór zapisków — zaledwie 141 stron samego tekstu — i nie mogła go w pełni zastąpić. W odróżnieniu od francuskiej edycji, wydanie Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych nosiło cechy naukowego opracowania przy użyciu normalnej aparatury naukowej, ale jak widzimy dzisiaj, nie wszystkie umieszczone w nim zapiski podane zostały w całości. Czy wynikało to z faktu, że archiwum MSZ nie posiadało pełnych tekstów, czy też wpłynęły na to jeszcze i inne przyczyny, trudno dociec¹.

Wydanie możliwie pełnego tekstu diariusza Szembeka zaczęło się stawać sprawą istotną i palącą. Podjęto pewne kroki, aby zainteresować jedną z naukowych firm wydawniczych w Ameryce publikacją całości w języku angielskim, ale trudności finansowe stanęły na przeszkodzie. Było rzeczą oczywistą, że diariusz musiałby obejmować szereg tomów a ze względu na to, że interesowałby on głównie specjalistów, trudno było marzyć o tym, aby znalazł wystarczająco duży rynek wydawniczy w Stanach. Zresztą specjaliści od zagadnień polskiej polityki zagranicznej powinni z natury rzeczy znać język polski. Dobrze się więc stało, że monumentalne wydawnictwo *Diariusza* Jana Szembeka, zapoczątkowane obecnie przez profesora Tytusa Komarnickiego ukazało się po polsku. Może przyjdzie moment na tłumaczenie angielskie, ale wydaje się, że nie jest ono w tej chwili tak ważne.

Trudno jest zdać sobie w pełni sprawę z tego, jak żmudną i trudną sprawą jest opracowanie i przygotowanie dokumentów do druku. Wielkie zbiory dokumentów, takie jak *Documents on British Foreign Policy*, *Documents on German Foreign Policy*, czy amerykańskie *Foreign Relations* — wydawane są przy współpracy całych sztabów naukowych, nie mówiąc już o pomocnikach technicznych. Tym większy więc podziw i uznanie należy się profesorowi Komarnickiemu za ogrom dokonanej przez niego pracy przy wydaniu pierwszego tomu *Diariusza*. Dorywcza pomoc kilku osób, którym dziękuje on we wstępie, nie mogła, rzecz jasna, zastąpić sztabu wykwalifikowanych współpracowników. Trudności finan-

1. Tak na przykład w zapisku z 21.1.1933 z rozmowy z Bastianinim opuszczony jest drugi ustęp dotyczący Sowietów; w zapisce z 25.XI. brak jest dwóch pierwszych zdań, itp.

sowe, które towarzyszyły wydaniu tego wielkiego tomu nie były też z pewnością łatwe do przewyciężenia.

Diariusz Szembeka można omawiać pod różnymi kątami widzenia. Lektura jego nasuwa uwagi ogólne o polskiej polityce zagranicznej tego okresu. Charakter i styl zapisków zachęcają do analizy samej osoby Szembeka, który piastował tak ważną funkcję w przełomowym dla Polski okresie. Pragnąc dać pewne pojęcie czytelnikowi o pierwszym tomie *Diariusza* będę zmuszony pominąć w poniższym omówieniu te dwie tak interesujące kwestie. Mam nadzieję, że wypowiedzi na ten temat ukaże się jeszcze wiele — moja rola sprawozdawcy ograniczy się jedynie do krótkiej analizy *Diariusza* jako wydawnictwa źródłowego. Jeżeli znajdą się w niej uwagi krytyczne to celem ich nie będzie umniejszanie wielkiej pracy i osiągnięć profesora Komarnickiego jako redaktora, które doceniam w pełni. Będą to raczej pewne dezyderaty, które może będą mogły być uwzględnione przy opracowywaniu tomów następnych.

Pierwszy tom *Diariusza* obejmuje rok 1935 i składa się z dwóch głównych części. Pierwszą stanowi „Wprowadzenie i dokumentacja do lat 1933-1934”, obejmująca 194 strony, drugą sam diariusz, który zawiera 259 stron oraz „Dokumentacje za rok 1935” — innymi słowy przypisy — 112 stron. Tom nie ma indeksu, ma natomiast listę biograficzną, która zajmuje 19 stron. Porównując *Diariusz* z francuskim *Journal* widzimy, że rok 1935 zajmuje w tym ostatnim jedynie 137 stron a więc nieco więcej niż połowę obecnego wydawnictwa. Uważne studium porównawcze pokazuje jak wiele istotnego materiału opuszczono w *Journal'u* a co gorsza nie ma już cienia wątpliwości że dokonywano w nim cięć z pogwałceniem wszelkich reguł pracy naukowej. Ustępy niewygodne były po prostu pomijane bez zaznaczenia tego kropkowaniem w tekście².

Wobec tych smutnych doświadczeń z przeszłości, historyk biorący do ręki pierwszy tom *Diariusza* nie może wyzbyć się pewnej podejrzliwości i choć nazwisko redaktora daje gwarancję rzetelnej pracy naukowej pragnąłby on wiedzieć dokładnie i szczegółowo co redaktor zamieścił w tekście a co zostało opuszczone. Że całość zapisków nie została ogłoszona wiemy z przedmowy profesora Komarnickiego. Nasuwają się zatem trzy pytania i nie na wszystkie z nich redaktor odpowiedział w sposób zupełnie zadowalający. Primo, czy minister Szembek dyktował swój diariusz codziennie, a ponieważ niektóre miesiące wykazują duże luki (w sierpniu na przykład brak zapisków z 17 dni, z lutego brak jedenastu, itp), czy zapiski te w ogóle istniały i czy zachowały się do

2. Na przykład w zapisku z 26. I o rozmowie z Larochem pominięte zostały uwagi o Żyrardowie, o wizycie Ribbentropa w Paryżu i o nastawieniu we Francji wobec Paktu Bałtyckiego. Opuszczenia dokonane w wywodach Szembeka w rozmowie z Noëlem 15. X zmniejszają zupełnie sens całej rozmowy.

dnia dzisiejszego? Profesor Komarnicki mówi we wstępie, że Szembek pisywał „o ile możliwości codziennie”. P. Janusz Zembrzusi, sekretarz ministra podaje, że diariusz był „spisywany codziennie pod dyktando”, ale z uwag redaktora wiemy na pewno tylko tyle, że we wrześniu Szembek diariusza nie pisał, gdyż był wówczas na urlopie. Wydaje mi się, że byłoby wskazane, aby redaktor zaznaczył wyraźnie z których dni zapiski zachowały się ale nie zasługują na ogłoszenie, kiedy nie były sporządzone i wreszcie które uległy zagubieniu czy zniszczeniu.

Secundo, czy zapisek umieszczony pod jakąkolwiek datą w *Diariuszu* jest pełnym zapisem z danego dnia, czy też częścią zapisku? Porównując *Diariusz* z *Fragmentami Dziennika* widzimy na przykład, że 21 marca Szembek, zapisał swą rozmowę nie tylko z min. Arciszewskim, jak to wynika z *Diariusza*, ale również i z min. Pułaskim, czego w *Diariuszu* nie ma. Podobnie ma się rzecz z zapiskami z 5 marca, 10 października, 6 grudnia. Co więcej zapisek z 15 stycznia, dotyczący rozmowy z min. Neumanem, nie zawiera ustępu dotyczącego sprawy nagrody Nobla, który to ustęp umieszczony jest we *Fragmentach*. Ze sposobu podania tej rozmowy w *Diariuszu* nie wynika, aby cokolwiek zostało tam opuszczone. Ponieważ czytelnik może sądzić, że zapiski, które zostały wydrukowane obejmują całość zapisku z danego dnia, wydawałoby się celowe kropkowanie i zaznaczenie w odnośniku co i dlaczego zostało opuszczone.

Dochodzimy w ten sposób do trzeciego i ostatniego pytania, dotyczącego kryterium przyjętego przez redaktora przy wyborze materiału. Wiąże się ono oczywiście z obu powyższymi kwestiami. Profesor Komarnicki wyjaśnia we wstępie co następuje: „Nie zamieszczone zostały jedynie: zapiski odnoszące się do spraw czysto administracyjnych, towarzyskich, z rozmów z dyplomatami krajów odległych, poruszających tematy z punktu widzenia nawet polityki ogólnej obojętne. Nie zamieszczono również zapisków będących powtórzeniem poprzednich rozmów. Przy eliminowaniu tego materiału kierowałem się wyłącznie dążeniem do nieobciążania balastem i tak bardzo obfitego materiału, przeznaczonego do publikacji, która zajmie szereg tomów. Zresztą, całość materiału będzie dostępna dla badaczy w Polskim Ośrodku Naukowym w Londynie”. Wydaje się, że kryteria powyższe są w pełni przekonujące. Chodzić może jedynie o to, czy redaktor stosował je z pełną konsekwencją.

Nie znając całości archiwum ministra Szembeka trudno jest wypowiadać na ten temat ogólniejszy pogląd, pragnąlbym jednak — znów przez porównanie z *Fragmentami Dziennika* — wyrazić opinię, że nie było słuszne opuszczenie rozmów z posłem greckim Politisem z 5 i 15 III. W pierwszym wypadku mamy pod tą datą zapisek Szembeka na inny temat, w drugim brak jest zapisku w ogóle. Gdyby redaktor uznał wszystkie rozmowy z posłem greckim za nieistotne politycznie, to można by się z nim spierać, trudno jednak byłoby zarzucać mu brak konsekwencji.

Tymczasem w *Diariuszu* zachowana jest rozmowa Szembeka z Politisem z 19 stycznia. Czemuż zatem opuszczone są dwie następne?

Wszystkie powyższe pytania i uwagi pod adresem redaktora są, jak już podkreśliłem, podyktowane jedynie troską o jak najbardziej wyczerpujące i przejrzyste wydanie *diariusza* ministra Szembeka. Przy tak szeroko rozbudowanym systemie przypisów objaśnień i załączników, wydaje mi się, że usunięcie tych pewnych niejasności nie nastroczałoby zbyt wielkich trudności. Dla historyka, który korzystać będzie z francuskiego wydania i z *Fragmentów* Mgra Chudka byłoby również interesujące wiedzieć, które z zapisków, obecnie ogłoszonych w *Diariuszu*, zostały wydrukowane po raz pierwszy, a które stanowią pełny tekst znany dotąd w zniekształconej formie. Metodę tę zastosował mgr. Chudek w swym opracowaniu i wydaje się ona godna naśladownictwa. Tyle o samym *diariuszu*.

Przechodząc do pierwszej części, należy podkreślić wielki wysiłek profesora Komarnickiego zmierzający do przedstawienia tła, bez którego *Diariusz* może być niezrozumiały dla wielu czytelników. Wprowadzenie jest samo w sobie pokaznym zbiorem dokumentów, w większości publikowanych po raz pierwszy. Są to dokumenty ważne, istotne i ciekawe. Powstaje jednak pytanie czy nie przeciążają one zbyt wiele całości książki. Lektura ich nie jest łatwa i wydaje się, że pewne obcięcia i skróty były możliwe na tych pierwszych bądź co bądź prawie dwustu stronach. Francuzi mówią, że *le mieux est l'ennemi de bien* i pewne poświęcenia kosztem ciekawych nawet materiałów opłaciłyby się przez nadanie większej przejrzystości całemu dziełu. Jeśli chodzi o same dokumenty to nie jest znów całkowicie jasne, które z nich ukazują się w druku po raz pierwszy. Na przykład w wypadku dokumentów nr 3, 4 i 6, chciałbym zwrócić uwagę, że były one już drukowane z obszernym komentarzem w numerze trzecim *Zeszytów Historycznych*. Fakt ten nie jest w żaden sposób zaznaczony, co nie jest zgodne z przyjętymi zwyczajami naukowymi. Co więcej dwa spośród nich są kopiami bez podpisu i z charakteru ich nie można mieć pewności, że zostały wysłane. Fakt ten nie jest również zaznaczony. Wobec ogólnie wysokiego poziomu naukowego całego wydawnictwa, należy sądzić, że jest to przeoczenie, stanowiące przysłowiowy wyjątek, który potwierdza regułę.

Uwagi powyższe nie odnoszą się do bogatej dokumentacji w drugiej części w formie przypisów i załączników do samego *diariusza*. Część ta stanowi niewątpliwie bardzo cenny przyczynek i pozwala na pełniejsze zrozumienie i umiejscowienie wydarzeń opisywanych przez Jana Szembeka.

Na początku mego omówienia wspomniałem już o braku skorowidza co jest szkopułem w posługiwaniu się tomem liczącym blisko 600 stron. Zapewne redaktor przewiduje indeks nazwisk na końcu ostatniego tomu, ale jeżeli nastąpiłyby opóźnienia w przewidzianym planie wydawniczym, czego w warunkach pra-

cy emigracyjnej wykluczyć się nie da, to brak indeksu stałby się naprawdę zagadnieniem poważnym. Lista biograficzna w bieżącym tomie luki tej niestety nie wypełnia, a sama lista nie odznacza się zbyt wzorowym opracowaniem. Z jednej strony jest w niej sporo błędów: data śmierci ambasadora Lipskiego, dane personalne o ministrze Chodackim, brak daty śmierci Grigore Gafencu (czytelnik może sądzić, że wciąż jeszcze żyje), pomieszanie imienia i nazwiska Conrada von Hötendorf; z drugiej są tam informacje nieistotne jak na przykład, że Aerenthal otrzymał tytuł hrabiowski po aneksji Bośni i Herzogowiny lub że żona ambasadora Dawtjana była znaną śpiewaczką. Nie jest też w pełni zrozumiałe dlaczego nazwiska niektórych mężów stanu zostały umieszczone (jak na przykład Stalin) podczas gdy inne zostały pominięte (na przykład Hitler). Długość wzmianek nie jest zawsze proporcjonalna do ważności osoby w życiu politycznym omawianego okresu, tak że ogólnie biorąc lista biograficzna nie odpowiada wysokiemu poziomowi opracowania *Diariusza* jako całości.

Na zakończenie niech mi wolno będzie raz jeszcze wyrazić słowa uznania dla osiągnięć profesora Komarnickiego jako redaktora tomu pierwszego i podkreślić ważność i celowość ogłoszenia pełniejszego tekstu *Diariusza*. Historycy, a zapewne i ogół czytelników zainteresowanych zagadnieniami polskiej polityki zagranicznej okresu Dwudziestolecia, będą z pewnością oczekiwali z niecierpliwością ukazania się następnych zapowiadanych tomów.

Piotr WANDYCZ

U ŹRÓDEŁ KŁĘSKI DYPLMATYCZNEJ POWSTANIA STYCZNIOWEGO

W setną rocznicę nieudanego zrywu niepodległościowego, Polski Instytut Historyczny w Rzymie wydał, dzięki fundacji im. Lanckorońskich, wartościową pracę dr. Stanisława Bóbr-Tylingi poświęconą działalności dyplomatycznej Francji w związku z powstaniem 1863 r.¹.

Mimo cennych, dawniejszych prac T. Filipowicza, A. Lewaka, K. Lutostańskiego i J. Feldmana, które przyniosły wiele rewelacji archiwalnych, problem polityki Napoleona III w odniesieniu do sprawy polskiej pozostawał do niedawna niewystarczająco zbadany. Także wydana ostatnio w kraju publikacja H. Wereszyc-

1. Stanisław Bóbr-Tylingo: *Napoléon III, l'Europe et la Pologne 1863-4, Antemurale VII-VIII*, 1963, 362 p.

kiego, A. Lewaka, St. Kieniewicz „Polska działalność dyplomatyczna 1863-64” śledzi w pierwszym rządzie wysiłki polskie, by zainteresować tą sprawą Wiedeń, Watykan, Londyn (poprzez interwencje tamtejszej agencji dyplomatycznej) i Niemcy.

Dr Bóbr-Tylingo, uczeń prof. Renouvin z Sorbony i prof. Kukiela, zajmuje się omawianym problemem od lat, pogłębiając systematycznie badania rozpoczęte pracą doktorską; szereg interesujących studiów drukowanych m.in. w „Tekach Historycznych” lub w fachowych kwartalnikach francuskich świadczy o konsekwentnym „drażeniu” zasadniczego zagadnienia: stosunku Napoleona III do sprawy polskiej. W szczególności dr Bóbr-Tylingo poświęcił wiele czasu, by zapoznać się nie tylko z dokumentami dotyczącymi zagadnienia w M.S.Z. w Paryżu, lecz z raportami korpusu dyplomatycznego i konsularnego Francji z tych krajów, w których wysłannicy Napoleona III prowadzili pertraktacje (lub „sondaże”) w związku z powstaniem.

Na takim szerokim tle rysuje się znakomicie misterna gra dyplomatyczna, w której oczywiście nie brakło również winy Napoleona III; w pierwszym rządzie jednak „inni szatani byli tam czynni”.

Wybuch powstania zaskoczył Napoleona, który od wojny Krymskiej wyraźnie dążył do sojuszu z Rosją. Niemniej pod wpływem cesarzowej Eugenii, ks. Hieronima-Napoleona, po części Walewskiego, nie zdobył się na decyzję poświęcenia Polaków, zwłaszcza gdy pomoc Bismarcka ofiarowana Rosji w postaci tzw. Konwencji Alvenslebena (8.II.1863) wywołała falę oburzenia lub niezadowolenia w Europie. Jak świadczą wypowiedzi 5-tomowej biografii Wład. Zamoyskiego a zwłaszcza niedawno opublikowany w kraju pamiętnik Władysława Czartoryskiego, młody książę, zbliżony politycznie do „Białych”, dopiero po audiencji u Napoleona decyduje się zachęcić szlachtę, by poparła akcję „Czerwonych”. Po raz pierwszy padają wówczas słowa Napoleona III; *Durez!* Niemniej cesarz, przyzwyczajony jako dawny konspirator do dwulicowości, niechętnie widzi interpelacje w Senacie na temat powstania; zresztą nawet Aleksander II wyraża ambasadorowi francuskiemu w Petersburgu swe zadowolenie z prorosyjskiej mowy ministra Billault, będącego *porte-parole* Napoleona III.

Chęci zachowania dobrych stosunków z carem nie osłabi nawet jego późniejsza, brutalna odpowiedź. Napoleon próbuje wtedy zbliżenia z Austrią, by zrobić wyłom w jednolitej postawie trzech zaborców. Długotrwałe pertraktacje nie odnoszą pożądanego skutku; Austria po wypadkach włoskich z 1859 r. nie dowierza Napoleonowi. Co gorsze, cały szereg jej zarządzeń zwróconych przeciw powstańcom świadczy o solidarności uczestników zaborów. Również postawa Anglii uprawiającej niezmiennie politykę „równowagi sił” i niechętnie patrzącej na możliwość wskrzeszenia Polski katolickiej, która byłaby sojusznikiem jej kontynentalnego wroga, Francji, wpływa bezsprzecznie na dwuli-

cowość Austrii. Ten „impas dyplomatyczny” trwa długie miesiące. Wobec odmowy poparcia polityki francuskiej przez Anglię, Napoleon III, tak skłonny dotychczas do wojen, waha się wystąpić samotnie przeciw Rosji, zwłaszcza że jedynie wypadki zmusiły go do zajęcia się sprawą.

Niemniej szereg państw: Włochy, Szwecja, Belgia, Holandia, Portugalia i Turcja przewidują interwencję propolską. W obozie przeciwnym znajdują się tylko Szwajcaria i Stany Zjednoczone oraz małe księstwa niemieckie pozostające pod silną presją Prus, Rosji i Austrii.

Sprawa polska jest b. popularna we Francji, gdzie popierają ją: partia katolicka z cesarową Eugenią na czele oraz ugrupowanie narodowo-demokratyczne, któremu przewodzi ks. Hieronim-Napoleon. Niestety w otoczeniu cesarza istnieją również zwolennicy Rosji zwłaszcza ks. Morny, b. ambasador w Rosji, żonaty z ks. Trubecką i nie wahający się informować cara o planach Napoleona. Ta jawna zdrada szeroko zakreślonej mobilizacji dyplomatycznej prowadzonej przez cesarza spotkała się ponadto z poparciem niewielkiej lecz silnej grupy rusofilów (część prawnicy i Thiers) wspomaganych wydatnie przez finansistów: ministra skarbu Foulda, bank Rotschilda itd. Wśród powszechnej sympatii społeczeństwa wyraźnie propolskiego, przy niemal całkowitej jednomyślności prasy, Napoleon, związany prowadzoną poprzednio polityką prorosyjską, oczekuje zawarcia przymierza zaczepnego z Austrią, która, nie widząc korzyści w popieraniu sprawy polskiej, gra wyraźnie na zwłokę. W rezultacie złudzenie Napoleona co do intencji Habsburgów, jego największy błąd polityczny, obróciło się przeciw powstaniu.

W czerwcu 1863 po raz drugi Napoleon zaleca Polakom: *Patience. Durez, je ferai ce que je pourrai* (s. 118).

Interwencja zbrojna w sprawie polskiej, zmora świata finansów i rusofilów, wydawała się nieuchronną. Dopiero odmowa poparcia planów Napoleona przez Austrię, sprzeciw Anglii, by wyjść wobec Rosji poza noty dyplomatyczne a zwłaszcza decydująca rola „City” skępowały chwiejnego cesarza.

Zasługuje na podkreślenie dwulicowa polityka Anglii. Przeciwna zarówno sojuszowi austriacko-francuskiemu jak i rosyjsko-francuskiemu, gdyż obydwaj wzmocniłyby Francję, Anglia, nawet podpisawszy wspólną notę propolską, za pośrednictwem księstwa Hesse-Darmstadt informuje Rosję, że jej interwencja miała jedynie na celu związać Francję. Gdy możliwość wojny propolskiej oddala się, a nawet już w pierwszych miesiącach powstania, Anglicy zalecają Rosji, by skończyła z nim jak najszybciej, pozabawiając w ten sposób inne państwa powodów do ingerencji.

Dziwi również zachowanie się Stanów Zjednoczonych. Wizyta floty carskiej, która, obawiając się zniszczenia w razie wojny na zamkniętych morzach, udała się w daleki rejs, spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem Ameryki. Po raz pierwszy padła ona

wtedy ofiarą mirażu: rosyjsko-amerykańskiego porozumienia. Owacyjnie przyjmowane załogi witane były okrzykami; wtórowały im artykuły dzienników zalecających podział na „strefy wpływów”: *A vous l'Europe — à nous les Amériques*.

Brutalna, eksterminacyjna polityka Rosji, gwałty Murawiewa na Litwie świadczą dowodnie, że Rosja, doskonale informowana przez swych jawnych i cichych sprzymierzeńców, nie liczy się odąd z groźbą wojny. Potężna fala oburzenia wśród dzienników i społeczeństw europejskich, rozpaczliwe wysiłki Polaków, by przeciągnąć walkę (przez długi czas na życzenie Napoleona), nie mogły już oczywiście zmienić decyzji nieinterwencji.

Te i podobne tezy dr. Bóbr-Tylingi, przedstawione powyżej w wielkim skrócie i bez należytej motywacji, znalazły w jego cennej książce gruntowną i solidną podbudowę. Przekonywująca argumentacja na podstawie źródeł archiwalnych, dzienników i pamiętników epoki, obiektywny i jasny sposób przedstawiania wypadków sprawiają, że nasza wiedza o postawie Napoleona III wobec zagadnienia polskiego w czasie powstania styczniowego, jak również o roli Francji, jedynego ośrodka dyplomacji, z którym wiązano poważne nadzieje, została wydatnie wzbogacona. Wolna od sentymentalizmu, napisana dobrą francuszczyzną, źródłowa praca obejmująca całokształt złożonego zagadnienia zasługuje zwłaszcza na rozpowszechnienie wśród historyków Zachodu skazanych na dzieła o niewystarczającej informacji (szczególnie ujęcia Francuzów np. Paul Henry lub M. Emerit'a).

W oparciu o fakty przedstawione przez dr. Bóbr-Tylingę, a dotyczące epizodu przeszłości, wzbogaceni o doświadczenia ostatniej wojny, jeszcze raz możemy stwierdzić słuszność (smutnej) prawdy: o losie Polski nie decydują głoszone na nasz użytek komunały o „natchnieniu narodów”, lecz złożona gra interesów finansowych, które lekceważą biedne, ekonomicznie słabe państwo.

Zygmunt MARKIEWICZ

TEKI HISTORYCZNE

Ostatni numer *Tek Historycznych* (tom XII, 1962-1963) podtrzymuje godnie wysoki poziom tego wydawnictwa, jedynego organu Polskiego Towarzystwa Historycznego na Obczyźnie. *Teki* ukazujące się jako rocznik nie mogą, rzecz jasna, przedstawiać w całkowicie zadawalający sposób istotnego dorobku polskich historyków na emigracji. Wielu z nich publikuje przeważnie po angielsku, inni zajmujący się historią najnowszą korzystają z łamów *Zeszytów Historycznych* lub *Bellony*. Komitet Redakcyjny, na czele którego stoi zasłużony i szeroko znany i ceniony profesor, generał dr Marian Ku-

kiel, ma do pokonywania wiele trudności w przygotowywaniu *Tek* do druku i jest zrozumiałe, że przy konieczności uzgadniania tematyki artykułów historycy polscy przebywający w Londynie są lepiej reprezentowani niż historycy pracujący naukowo w innych krajach. Tym bardziej więc podkreślić należy fakt, że *Teki* są wydawnictwem tak poważnym i interesującym.

Dużą część obecnego numeru wypełniają rozprawy dotyczące tematyki powstania styczniowego, którego stuletnią rocznicę obchodziliśmy przed rokiem. Trzy rozprawy: Walentyny Rudzkiej „W setną rocznicę powstania styczniowego”, Stanisława Bóbr-Tylingo „Obecny stan badań nad historią dyplomatyczną powstania styczniowego” i generała Kukieła „Zagadnienia wojskowe powstania styczniowego” są zbliżone tematycznie do szerszych opracowań tych samych autorów, które ukazały się w ostatnim roczniku — niestety wciąż na ogół mało znanego i dostępnego — *Antemurale* w Rzymie. Niezmiernie ciekawy jest artykuł Antoniego Michalka „Czesi w powstaniu styczniowym” tym bardziej, że zagadnienie to nie zostało dotąd szerzej rozpracowane. Adam Ciołkosz pisze wnikliwie i interesująco o Marksie i powstaniu styczniowym. Widać z tego, że pracuje on stale nad bardzo istotną problematyką socjalistyczną, tak nieraz specyficznie traktowaną przez uczonych w kraju. Na uwagę zasługuje również artykuł Jakuba Hoffmana, specjalisty od zagadnień wołyńskich i ukraińskich, „Marian Dubiecki, sekretarz Wydziału Rusi przy Rządzie Narodowym”. Niezwiązane tematowo z powstaniem styczniowym są artykuły Marii Danilewiczowej i prof. Leona Koczego. Ten ostatni jest ostrą polemiką z prof. Wiktorem Sukiennickim i z zainteresowaniem będziemy oczekiwać na replikę.

Drugą część *Tek* stanowią „materiały” wśród których zwraca uwagę praca „Ze wspomnień Alojzego Szarłowskiego o powstaniu 1863 roku na Litwie” nie tylko przez to, że stanowi ciekawy przyczynek, ale również, że jest chyba jedną z nielicznych pozycji opracowanych wspólnie przez prof. Haleckiego i jego niedawno zmarłą małżonkę. Wśród pozostałych mamy „Protokół Magistratu Warszawskiego odnoszący się do zdobycia Pragi w 1794 roku”, opracowany przez A.F. Dygnasa i „Instrukcje Wydziału Ziem Ruskich” przygotowane do druku przez wyżej wspomnianego Jakuba Hoffmana.

Poważną ilość miejsca, bo prawie sto stron, zajmują w *Tekach* recenzje, nekrologi, kronika oraz angielskie streszczenia artykułów. Wśród kilkunastu recenzji szczególną wartość mają dwa omówienia *Dziejów Polski Porozbiorowych* pióra prof. Wiktora Weintrauba i p. Lidii Ciołkoszowej. Książka gen. Kukieła przedstawia jedną z najbardziej wartościowych pozycji polskiego dorobku naukowego na obczyźnie w ostatnich latach. Wydaje się że byłoby rzeczą celową i pouczającą, aby na jej temat wypowiedzieli się specjaliści z różnych dziedzin dotyczących historii kultury, ekonomii itp. tego ważnego dla dziejów Polski okresu. Podobno miało to częściowo miejsce na zebraniach Instytutu im. gen. Sikorskiego, ale rezultaty tych dyskusji nie zostały nigdzie — o ile mi wiadomo — zebrane i opublikowane. Dobrze się więc stało, że przynajmniej dwa aspekty książki, dotyczące historii kultury polskiej i zagadnień socjalizmu zostały omówione i ukazały się w bieżącym numerze *Tek*. Dobrze też, że roli recenzentów podjęli się tak wybitni znawcy jak prof. Weintraub i p. Ciołkoszowa.

Reasumując ten krótki i ogólny przegląd *Tek*, nasuwają się pewne refleksje, którymi chciałbym zakończyć tę notatkę. Przede wszystkim widać, że trudności finansowe, które sprawiają, że *Teki* mogą się jedynie ukazywać jako rocznik a nie дайmy na to kwartalnik, uszczuplają bardzo ramy, w których historyk polski pracujący za granicami może się wypowiadać. W tomie liczącym ponad trzysta kilkadziesiąt stron nie można zmieścić wszystkiego. Tak więc trzeba będzie czekać jeszcze rok na omówienia szeregu ważnych publikacji dotyczących roku 1863, które ukazały się w kraju, a przecież wobec istniejących ograniczeń w Polsce, rola recenzji w *Tekach* wydaje się bardzo istotna. Nie ma też w obecnych warunkach możliwości, aby zamieszczać w tym wydawnictwie nieco informacji o polskim życiu naukowym, w zakresie interesującym szczególnie historyków na emigracji. O ich dorobku dowiadujemy się z *Tek* z bardzo dużym opóźnieniem. Ale na to wszystko nie można obecnie poradzić i *pia desideria* zgłaszane tutaj będą musiały pozostać bez echa. Ze spraw drobniejszych, natury raczej technicznej, nasuwa mi się jeszcze jedna uwaga. Otóż byłoby chyba wskazane, aby za przykładem wielu publikacji tego typu, *Teki* umieszczały krótkie wzmianki biograficzne o autorach rozpraw. Mam tu na myśli nazwiska nowe na łamach *Tek*, dobrze zapewne znane w środowisku naukowym londyńskim, ale mniej łatwe do umiejscowienia z perspektywy amerykańskiej, a zapewne i krajowej.

Piotr WANDYCZ

LISTY I POLEMIKI

Monachium, w maju

Szanowny Panie Redaktorze!

W dyskusji o masonerii polskiej na łamach „Zeszytów” m.in. wziął udział p. Tadeusz Święcicki. Nie przypuszczałem, że jest znawcą tematu. Zabiera również głos w sprawie „ZETU” (Związek Młodzieży Polskiej), organizacji w której wiele lat spędziłem i w jej dziejach jestem jako tako zorientowany.

Zacznę od masonów polskich. Długa ich lista ogłoszona niedawno przez p. L. Chajna w „Tygodniku Demokratycznym” wygląda poważnie. Znajduje się na niej nazwisko znakomitego historyka Szymona Askenazego. Pan Święcicki jest zdania, że Askenazy masonem nie był, bo nie wymienia go w swej książce inny mason Emil Kipa. Nie jest to, oczywiście, żaden dowód. P. Święcicki sam przyznaje, że Kipa jest oszczędny w wymienianiu nazwisk „braci”. Zapewne z jakichś nikomu nieznanym powodów po prostu nie chciał ujawniać nazwiska Askenazego.

Według mnie Askenazy był masonem. Nie tylko dlatego, że „vox populi” go za takowego uważał, lecz że przyznał to w rozmowie ze mną inny mason profesor Marceli Handelsman.

Było to na przełomie 1925-26 w Genewie. Zapamiętałem dobrze tę rozmowę, gdyż Handelsman (którego znałem nie tylko z uniwersytetu, lecz i z terenu towarzyskiego) zapytał, czy wstąpiłbym do masonerii. Byłem tą propozycją zaskoczony. Profesor orientował się, że jestem „zetowcem”. Gdy mu to przypominałem oświadczył, że jedno drugiego nie wyklucza. Odpowiedział, że jestem innego zdania. Rozwinęła się potem pogawędka o naszej masonerii. W pewnej chwili zapytałem Handelsmana czy prawdą jest, że odgrywa w niej czołową rolę Askenazy. Profesor uśmiechnął się pod swym wąsem i powiedział: „Nie myli się pan. Zresztą jest to niejako publiczna tajemnica”. Pytanie to zadałem dlatego, że w „ZECIE” nasz specjalista od masonów (mieszkający obecnie w Rzymie dyplomata Stanisław Janikowski) wymieniał wśród nich zawsze Askenazego.

Niedawno jeden z mych przyjaciół zwrócił mi uwagę na wspomnienia Stanisława Wasylewskiego pt. „Czterdzieści lat powodzenia” (Wrocław, 1959). Dziad pisarza Wincenty był wolnomularzem. Wasylewski od dziecka stykał się z tajemnymi insygniami masońskimi. W czasach lwowskich orientował się doskonale kto do masonerii należy „Mnie w latach cieliących — pisze Wasylewski w swej książce — wskazała drogę... pod sottoportyk (podciecie) generała Bema. W 5-ej klasie gimnazjum dziadek daje mi bilet do

kustosza Hirszborga z prośbą, by mi umożliwił odpis dwóch brakujących odinków z onych Wiadomości o farmazonach w Polsce. Gdzieś w kątku pracowni naukowej, w obliczu studiującego Ludwika Kubali, ślepiąc w gigantycznych foliantach „Gazety Narodowej”, odpisywałem. W niewiedzy, z kim jest w sercu twierdzy masonerii przeszłej, obecnej i... przyszłej. Bo Karol Sienkiewicz, bo Ksawery Godebski kiedyś, a Aleksander Hirszborg dziś (1900), zaś Szymon Askenazy i Emil Kipa wkrótce (1905-1910) — to przeciwie łącniki, zworniki, filary Wielkiego Wschodu”...

Teraz kilka słów o „ZECIE”. Kilkustopniowa hierarchia „ZETU” była rzeczywiście kopią wzoru masonowskiego. Znana była wszem wobec od czasów gdy hen, przed pierwszą wojną, opisał ją dokładnie Wilhelm Feldmann. Znano na ogół „zetowców” w dwudziestoleciu niepodległości gdyż się z przynależnością do „ZETU” zbytnio nie kryli. W 50-tą rocznicę powstania „ZETU” (28-29 listopada 1936 r.) odbył się w Warszawie zjazd uczestników ruchu niepodległościowego Związku Młodzieży Polskiej. W rok potem ukazała się książka pamiątkowa zjazdu pod redakcją Tomasza Piskorskiego.

Jak powiedziałem, znam nieźle dzieje „ZETU” i ludzi którzy w różnych czasach przeszli przez szeregi organizacji. Ale p. Święcicki pretenduje do znawstwa bodaj wszystkich „zetowców”. Oto w długiej liście masonów polskich ogłoszonej przez p. Chajna dostrzega „zetowca”. Dziwi go to. Słusznie uważa, że należenie do „ZETU” wykluczało należenie do masonerii. Dlatego pomijając inne względy, odmówiłem Handelsmanowi wstąpienia do masonerii. Ale masoneria usiłowała i w „ZECIE” mieć swoje wtyczki. O ile mnie pamięć nie myli, w parę lat po przewrocie majowym 1926 r., przyjeśliśmy do organizacji wybitnego działacza społecznego. Pracował w naszym gronie „zetowym”. Okazało się jednak, że jest wolnomularzem. Zapytany — przyznał się. Rozstaliśmy się z „wtyczką” bardzo kurtuazyjnie.

Łączę uścisk dłoni.

Tadeusz KATELBACH



Paryż, w maju 1964 r.

Drogi Redaktorze!

Widzę, że chce Pan koniecznie zrobić ze mnie specja od spraw polskiej masonerii. Jeżeli chce Pan ode mnie komentarza do listu senatora Katelbacha, to widocznie nie zamierza Pan zamknąć nim dyskusji i chce, aby ta dyskusja i dociekania rozwijały się na łamach „Zeszytów” dalej.

Niech więc tak będzie.

List p. Katelbacha dotyczy w pierwszej linii dwóch punktów: po pierwsze — czy prof. Askenazy był czy nie był masonem? i — po drugie — czy lista nazwisk wolnomularzy polskich okresu dwudziestolecia, ogłoszona przez p. Chajna w warszawskim „Tygodniku Demokratycznym” wygląda poważnie, czy też niepoważnie?

Czy prof. Askenazy był masonem? Prof. Handelsman powiedział p. Katelbachowi w toku „pogawędki” w Genewie, że tak. Prof. Kipa w swoich „Studiach i Szkicach Historycznych” stwierdza wyraźnie, że nie. (Bo ja nie polegałem na tym tylko, że dr Kipa „nie wymienia wśród masonów nazwiska Askenazego”, lecz na wyraźnym jego stwierdzeniu w szkicu pt. „Prawda o Askenazym” (str. 191), że podejrzenia ks. Załęskiego o wolnomularskim wtajemniczeniu Askenazego były „oczywistą nieprawdą”).

Jeżeli mam zatem wybierać między rzeczową rozprawą historyczną prof. Kipy, a kilku słowami rzuconymi w pogawędce przez prof. Handelsmana — to wolę polegać na stwierdzeniu prof. Kipy.

I to tym bardziej, że za tezę prof. Kipy przemawia mi oświadczenie, jakie słyszałem z ust Andrzeja Struga. W roku 1922, gdy powracając ze Szwajcarii pronomat mi on przystąpienie do masonerii, poinformował mnie, że wskrzeszone wolnomularstwo polskie wybrało obrządek szkocki o charakterze chrześcijańskim i że loże szkockie nie przyjmują nie-chrześcijan. Prof. Askenazy był wyznania mojżeszowego i był z tego dumny. Trudno mi zatem uwierzyć, aby mógł być „bratem” szkockim, a loże obrządku paryskiego „Grand Orient” w okresie dwudziestolecia — o ile mi wiadomo — nie były czynne w Polsce.

Wspomnień Stanisława Wasylewskiego pt. „Czterdzieści lat powodzenia” nie mogę — niestety — uznać za poważne źródło informacyjne w tych sprawach. Ten autor pełnych wdzięku esejów literackich odkrył istotnie prawdziwe nazwisko ukochanej Bernardin’a de St-Pierre, polskiej księżniczki, którą literatura francuska nazywała stale „princesse Miesnik”, ale w sprawach wolnomularstwa nie jest na pewno żadnym autorytetem.

A teraz sprawa druga: czy lista nazwisk wolnomularzy, ogłoszona przez p. Chajna „wygląda poważnie”? Pan Katelbach twierdzi, że tak. Ja podtrzymuję stanowczo, że zarówno ta lista, jak i informacje o działalności wolnomularstwa polskiego w okresie dwudziestolecia, bynajmniej poważnie nie wyglądają. Już to, że p. Chajn przekręca nazwy łóż, albo bierze krótkotrwałe loże specjalnego obrządku (tzw. Zjednoczonego, czyli Co Free Masonry, do której należały także kobiety), za loże grupującą wyłącznie wojskowych, kazało mi się ustosunkować sceptycznie do tej publikacji. Trafiłem też od razu na nazwisko znanego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Romana Dyboskiego, którego Chajn mianuje „Mistrzem Katedry” w Warszawskiej loży „Odrodzenie”. Otóż prof. Dyboski mieszkał stale w Krakowie nie w Warszawie i wolnomularzem nigdy nie był. Widocznie p. Chajn pomylił go z jego (zdaje się) bratem, lekarzem i posłem na sejm dr. Tadeuszem Dyboskim, który rzeczywiście był przez szereg lat prezesem YMCA. Takie błędy w nazwiskach, jak dr Boliński, gdy chodzi o zmarłego niedawno wybitnego profesora politechniki Rolińskiego, czy też dr Przemysław Rudnicki — zamiast Rudzki — mogą być ewentualnie omyłkami zecerскими, ale dwukrotne aż wymienienie znakomitego profesora-anglisty Romana Dyboskiego zamiast lekarza i posła na Sejm Tadeusza Dyboskiego — ujemnie świadczy o orientacji autora w tych sprawach.

Są jednak gorsze rzeczy: p. Chajn cytuje z całą powagą informację, że „bukareszteński kongres masonów wolnomularski w uznaniu zasług red. Wojciecha Stipczyńskiego postanowił mu nadać wyższy stopień masonów”. Widać z tego, że ów znawca masonerii nie wie nawet tak elementarnych rzeczy, że każda „Najwyższa Rada” (*Conseil Suprême*) jest suwerenna na terenie swego kraju i że żaden „Kongres” międzynarodowy nie może się wtrącać do jej spraw takich, jak udzielanie wyższych stopni wtajemniczenia.

Wobec takich i innych błędów faktycznych z dużą ostrożnością odniosłem się do obfitej listy nazwisk, a gdy zobaczyłem, że przy tak czołowym działaczu wolnomularstwa, jak Stanisław Thugutt p. Chajn może powołać się tylko na to, że „wskazywano na niego jako na masona w kołach dziennikarskich” to nabrałem pewności, że ta interesująca — a nawet imponująca — lista nie opiera się na danych sprawdzonych. Sam jestem od 47 lat dziennikarzem, ale uważam, że to co „mówią w kołach dziennikarskich” nie może być uważane za poważne źródło historyczne.

Z tekstu p. Katelbacha można by wnosić, że są to dwie główne sprawy,

na które on i ja zapatrujemy się odmiennie. Ja sędzę jednak że różnice między nami sięgają o wiele głębiej: do metody w poszukiwaniu nie łatwo dostępnych danych o roli i działalności wolnomularzy i wolnomularstwa.

Gdy pod Pańskim, Panie Redaktorze, przyjaznym ale nieustępliwym naciskiem zdobyłem się na napisanie i danie Panu do „Zeszytów Historycznych” moich wspomnień o „444”, uzyskałem niespodziane echo. Zatelefonował do mnie i odwiedził mnie następnie Przewodniczący Polskiej Łoży-Matki „Kopernik” w Paryżu, dr Stefan Łaniewski, i oświadczył mi, że po zapoznaniu się z tym, co napisałem, gotów jest — chociaż nie jestem „bratem” — służyć mi dokumentacją i materiałami do dalszych ewentualnych prac z tej dziedziny. Dzięki niemu miałem możność zapoznania się z niełatwo dostępnymi drukami i źródłami informacji. Daje mi to możność podawania faktów sprawdzonych z kilku jednocześnie stron i wystrzegania się tego, co we Francji nazywa się *on dit*.

Panowie Katelbach i Chajn poszli nieco inną drogą. Obawiam się, że obaj padli ofiarą p. Adama Romera, którego p. Katelbach cytuje w swych „Łozach” i którego sam zresztą nazywa „komentatorem powierzchownym i stronnictwem”. I dzięki temu obaj „błądzą w mateczniku plotek” — jak to napisał w swym liście znakomity historyk, znający sprawy wolnomularstwa polskiego dziesięć razy lepiej ode mnie, prof. Marian Kukiel.

W tym „mateczniku plotek” naczelne miejsce należy się sensacyjnej rewelacji, że „Wielka Łoża Narodowa odegrała „niemałą” (jak pisze p. Katelbach), czy też „bardzo poważną” (jak pisze p. Chajn) rolę w przygotowaniu (tylko u p. Chajna) i w przeprowadzeniu (u obu panów) zamachu majowego 1926 r.”. Do rzędu tych — powiedzmy — nie plotek, lecz legend muszę także zaliczyć informację z „Łóz”, że masoniści członkowie delegacji Piłsudskiego do Paryża w styczniu 1919 r. odnaleźli wtajemniczonych nawet w „Komitecie Narodowym” i wraz z nimi doprowadzili do porozumienia co do wspólnej delegacji na Konferencję Pokojową. Muszę to uważać za legendę, ponieważ że wspomnień „brata” Władysława Baranowskiego wynika niezbicie, że właśnie on i ci, którzy tak jak on myśleli, byli przeciwnikami tego porozumienia, którego chciał Piłsudski. W każdym razie p. Katelbach z jednej strony twierdzi, że różne odmiany wolnomularstwa polskiego nie odgrywały nigdy większej roli w życiu politycznym kraju, a z drugiej — przypisuje wolnomularstwu doprowadzenie do porozumienia z Komitetem Narodowym co do jednolitej reprezentacji polskiej na Kongresie Wersalskim i „niemałą” rolę w wydarzeniach z maja 1926 r. A przecież oba te momenty były chyba ważnymi wydarzeniami w życiu politycznym Polski.

Jeżeli zastanowić się dokładniej nad rolą masonerii — to należy dojść do wniosku, że u podłoża wszystkich polemik leży brak ścisłości w używaniu terminu „Masoneria”. Mówi się bowiem „Wolnomularstwo Polskie” gdy chodzi o ogół jednostek, które do łóż należały, jak również wtedy, gdy chodzi o organizację zhierarchizowaną z Wielką Łożą Narodową na czele. Stąd bezpodstawne uznania lub oskarżenia w sprawach, w których Wielka Łoża jako taka głosu nie zabierała. Przeciwnicy oskarżają Wolnomularstwo o rozpętanie krwawej rewolucji francuskiej. Historycy stwierdzają jednak zarazem, że w czasie Wielkiej Rewolucji łóże francuskie były nieczynne. Przypisuje się Wolnomularstwu Polskiemu autorstwo Konstytucji 3-go Maja. Istotnie główni autorzy Konstytucji z królem na czele byli wolnomularzami. Ale — jak stwierdza prof. Kipa — nie ma śladu jakichkolwiek zebrań, czy też czynności łóżowych w całym okresie Sejmu Czteroletniego. Wolnomularzami byli Ignacy i Stanisław Potocki, ale był nim i wódz Targowicy, Szczesny Potocki. Skąd się biorą te sprzeczności? Chyba stąd, że łóże starają się wprowadzić do swych szeregów ludzi wybitnych, jednostki reprezentujące jakieś nieprze-

ciężne wartości intelektualne czy moralne, co udaje im się w znacznym stopniu osiągnąć. I dlatego w każdej ważniejszej sprawie czy dziedzinie grono wybitnych działaczy, których łączy przyjaźń i braterstwo wolnomularskie, może wywierać poważny wpływ na bieg wydarzeń, chociażby dyskusja nad nimi na terenie łóż nie była dozwolona. (Naturalnie że nie dotyczy to wypadków majowych z 1926 r. ponieważ na rok już przed nimi ogromna większość Piłsudczyków „pokryła swe warsztaty” i opuściła łóż).

Jeszcze słówko.

Pan senator Katelbach zarzuca mi, że „zabieram również głos w sprawie „Zetu” (Związek Młodzieży Polskiej). Doprawdy że w tej sprawie bynajmniej głosu nie zabierałem i nie odważę się zabierać. Odczytując tylko listę nazwisk p. Chajna znalazłem na niej nazwisko przyjaciela (p. Katelbach zna go dobrze), o którym wiedziałem, że do „Zetu” należał. Dlatego też ta lista wydała mi się jeszcze bardziej wątpliwa, ponieważ wiedziałem, że Zetowcy do masonerii nie mogli należeć co p. Katelbach obecnie potwierdza. Byłoby więc dla mnie rzeczą interesującą czy na liście p. Chajna p. Katelbach naprawdę nie dostrzegł nazwiska żadnego ze swych kolegów z „Zetu”.

Nic więcej o „Zecie” nie mówiłem i mówić nie będę. Natomiast sądzę, że byłoby rzeczą bardzo pożądaną, aby p. Katelbach zamiast legend o łóżach napisał obszerniejszą pracę o „Zecie”, o „Młodzieży Narodowej” i o jej roli na przestrzeni dwudziestolecia. Była to przecież nie najmniej ważna karta z historii ugrupowań politycznych w Polsce. „Młodzież Narodowa”, czy w Poznańskim tzw. „Młoda Polska”, inicjowała i prowadziła cały szereg akcji społecznych i politycznych, jak np. „Związek Obrony Kresów Zachodnich”, „Straż Kresowa”, „Rady Ludowe” na Kresach Wschodnich, czy „Związek Naprawy Rzeczypospolitej”. Niektóre z nich odegrały dodatnią rolę. Byli w tym ruchu ludzie bardzo wybitni, jak Kazimierz Wyszyński, Michał Grażyński, Bolesław Srocki, trzej bracia Lechnicy, czy — w Poznańskim dwaj bracia Zeydlitze, lub mec. Mieczysław Chmielewski. O tych działaczach i o ich działalności warto by napisać książkę syntetyczną. P. Katelbach byłby do tego bardzo powołany. I wtedy czytać go będę z prawdziwą przyjemnością.

Łączę serdeczny ucisk dłoni.

Tadeusz ŚWIĘCICKI

P.S.: — Może pozwoli Pan, że za pośrednictwem „Zeszytów Historycznych” zwrócę się do czytelników „Kultury” w Waszyngtonie, Filadelfii i Nowym Jorku z prośbą o wyznaczenie i przysłanie (może na adres „Kultury”) amerykańskich masonskich wydawnictw historycznych, które mówiłyby o Tadeuszu Kościuszcze. Szukam bowiem rozwiązania zagadki czy Tadeusz Kościuszek był rzeczywiście masonem?

Polskie wydawnictwo masonskie, wypisy pt. „Wolnomularstwo w świetle encyklopedii”, które ukazało się w Warszawie w r. 1934, wymienia we wstępnym rozdziale Tadeusza Kościuszkę i Kazimierza Pułaskiego jako wolnomularzy, nie podając jednak żadnych bliższych danych. Emil Kipa w jednym ze swych sprawozdań złożonych na posiedzeniu Akademii Umiejętności twierdzi, że Kościuszek był wolnomularzem i powołuje się w tym na książkę Sidney Morse’a: „Freemasonry in the American Revolution” (wydawnictwo The Masonic Service Association of USA — Washington 1924). Natomiast St. Malachowski-Lempicki w swojej gruntownej i źródłowej pracy o Wolnomularstwie twierdzi, że Kościuszek wolnomularzem nie był i podaje argumenty dość poważne.

O ile zatem przynależność do wolnomularstwa twórcy Legionów, gen. Henryka Dąbrowskiego jest dziś już ustalona niewątpliwie, i wiadomo jest

do jakiej loży należał i jaki miał stopień wtajemniczenia — o tyle co do Kościuszki, nie można uznać sprawy za ostatecznie wyjaśnioną. Tutaj źródła i archiwa amerykańskie mogą zawierać interesujące dane.

T. Ś.



Szanowny Panie Redaktorze!

Jeden z pilnych czytelników „Zeszytów Historycznych” zwrócił się do mnie z zapytaniem czy prócz masonerii i poufnej organizacji „zetowej” istniały w Dwudziestoleciu niepodległości jeszcze inne „godne uwagi” organizacje tego typu. Oczywiście istniały. Przeważnie jednak niezbyt długo i dlatego nie odgrywały poważniejszej roli politycznej. Nie zaliczam do nich agenturalnej, słabej Komunistycznej Partii Polski.

Wśród rzeczywiście „godnych uwagi” należy wymienić wewnętrzną konspirację Stronnictwa Narodowego, jednego z najsilniejszych stronnictw opozycyjnych w okresie rządów pomajowych obozu Piłsudskiego. Nie pretendując do znawstwa przedmiotu, podzielę się tym, co wiem o tej sprawie.

Stronnictwo Narodowe posiadało na wyższych uczelniach (w każdym razie w pierwszym dziesięcioleciu niepodległości) zakonspirowane „grupy zetowe”, których członkowie składali specjalną formułę przysięgi. Były one kierowane przez „komisarzy” delegowanych przez wyższy stopień wtajemniczenia — Ligę Narodową. W Polsce przedwojennej istniały więc przez szereg lat dwa „Zety”: jeden skupiający w swych szeregach poważny odłam obozu Piłsudskiego, drugi w postaci owych „grup zetowych”, składających się ze zwolenników późniejszego Stronnictwa Narodowego, zwanych popularnie endekami od dawnej nazwy Narodowej Demokracji (N.D.). Pod tą nazwą, przed pierwszą wojną, działał w trzech zaborach Obóz Wszechpolski.

Skąd się te dwa „Zety” wzięły? Na kilka lat przed pierwszą wojną młodzież polska studiująca na wyższych uczelniach krajowych i zagranicznych, zorganizowana w poufnej organizacji „zetowej”, zbuntowała się przeciwko Lidze Narodowej. Wbrew przywódcy ruchu wszechpolskiego, Romanowi Dmowskiemu, opowiedziała się za ideą walki zbrojnej o niepodległość narodu. Liga Narodowa straciła wówczas większość młodzieży studenckiej. We własnej, trójzaborowej organizacji „zetowej” i kierowanych przez nią tajnych związkach szkolnych, większość ta kontynuowała działalność w duchu powstańczo-niepodległościowym. Wielu przywódców oderwanego od endecji „Zetu” — że wymienię tylko Kazimierza Wyszynskiego czy Gustawa Dreszera — znalazło się w I Brygadzie Józefa Piłsudskiego.

Liga Narodowa nie zrezygnowała jednak z prób odzyskania wpływów w szeroko rozbudowanej organizacji „zetowej”. Podziały orientacyjne w czasie pierwszej wojny sprzyjały tym usiłowaniom. Akcja Ligi Narodowej przyniosła pewne sukcesy. Niemal całkowicie wróciły na jej łono „zetowe” organizacje studenckie we Lwowie i Kijowie. Warszawa, Kraków, Petersburg i częściowo Moskwa opanowane były przez „zetowców”-piłsudczyków.

Zwolennicy endecji przybyli po wojnie do kraju z Rosji (którym przewodzili m.in. Piotr Kownacki, Maria Niklewiczowa i Kazimierz Świrski) próbowali opanować warszawską centralę organizacji „zetowej”. Niektórzy z nich, bo nie wszyscy, działali w najściślejszym porozumieniu z Ligą Narodową. Ale to się im nie udało. Wówczas to działając już pod komendą

Ligi zaczęli tworzyć na wyższych uczelniach krajowych własne „grupy zetowe”. Czy przetrwały do drugiej wojny — nie wiem. Wydaje mi się że zostały zlikwidowane w związku z oderwaniem od endecji części wychowawców „grup zetowych”. Zaczęli się zbliżać do obozu Piłsudskiego względnie do niego przeszli. Wspomnę tu tylko tak zw. Zespół Stu we Lwowie (m.in. Wacław Mejbaum i Stefan Mękowski), któremu udało się nawet opanować lwowski organ endecji „Słowo Polskie”. Inni — później — wstąpili do Ozonu (Obozu Narodowego Zjednoczenia) pod własnym sztandarem Związku Młodych Narodowców. Wśród najaktywniejszych członków tej grupy należy wymienić prof. Zygmunta Wojciechowskiego, Ryszarda Piestrzyńskiego, Zdzisława Stahla i Jerzego Drobnika. Nie wymieniam innych secesji (O.N.R.) które w pewnym okresie również nadawały młode szeregi Stronnictwa Narodowego. Wydaje się, że rozłamy jakie przechodziły w dwudziestolecie niepodległości nie dotknęły kierowniczego organu — Ligi Narodowej. Nie umiem powiedzieć czy Liga istniała do wybuchu drugiej wojny, choć wiele za tym przemawia.

Ponieważ Stronnictwo Narodowe w Polsce przedwojennej cieszyło się poważnymi wpływami w społeczeństwie, każdy kto interesuje się historią ruchów politycznych tego okresu, powinien wiedzieć, że i w tym stronnictwie istniały mafijne komórki, składające się ze starannie wyselekcjonowanych działaczy politycznych.

Łączę wyrazy szacunku.

Tadeusz KATELBACH



Drogi Panie Jerzy!

Wydaje mi się, że warto napisać kilka słów o całkowicie zapomnianych dzisiaj pismach, które z niezrozumiałych dla mnie względów nie figurują w wydanych przez „Bibliotekę Kultury” „Materiałach do historii prasy polskiej na obczyźnie” 1939-1962 Jana Kowalika. Jeśli i Pan tak sądzi, wdzięczny Panu będę za wydrukowanie tego listu.

Powodowany najzwyczajniejszą ciekawością zerknąłem pod literę „L”, gdzie znalazłem samego siebie w całkiem nieznanej mi postaci. Postać tę miał podobno znać niejaki pchr. Połoński, którego ja z kolei nie znam wcale. Zaraz po moim nazwisku figuruje w nawiasie uwaga „jak opowiedział pchr. Połoński”. Czyli, że istnienie moje zawdzięczać jedynie opowiadaniom pchr. Połońskiego. Nieco mnie to dziwi, gdyż autora „Materiałów do historii prasy polskiej na obczyźnie” znam osobiście od roku 1947 i od tegoż roku jestem z nim na „ty”. Myślę więc, że Jan Kowalik nie potrzebował opowiadań żadnych podchorążych, aby wiedzieć, że byłem korespondentem wojennym. Właśnie bowiem jako korespondent wojenny zostałem po wojnie wysłany do Norymbergi na proces głównych hitlerowców. Gdybym tym „korespondentem wojennym” nie był, nie dostałbym akredytywy na ten proces. Przewidziano bowiem na nim początkowo jedynie trzy miejsca dla przedstawicieli prasy polskiej — dwa dla „Londynu” i jedno dla „Warszawy” (oficjalnie dostał je Edmund Osmańczyk, a dopiero potem ilość polskich sprawozdawców z procesu norymberskiego zwiększono i z Warszawy przyjechało znacznie więcej osób). Myślę, że wystarczyłoby też zajrzeć do „Dziennika Polskiego”, „Polski Walczącej” i „Tygodnika Polskiego” w Nowym Jorku żeby zobaczyć „namacalnie”, iż byłem korespondentem morskim w czasie wojny. Mówiąc o prasie krajowej Jan Kowalik sięga do poważnego źródła w postaci „Komisji Historycznej Polskiego Sztabu Głównego w Londynie” i wymienia tom III-ci

wydawnictwa pt. „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej”. Szkoda, że wykorzystał tylko tom III-ci, w poprzednich bowiem znalazłby szczegóły, które zasługują nie mniej, ani nie bardziej od innych na pamięć, a w każdym razie mają swoje miejsce w bibliografii prasy kombatanckiej.

Chodzi mi o dwa z trzech pism, które redagowałem w Wielkiej Brytanii, a które wydawała 1-sza Brygada Strzelców, dowodzona przez gen. Gustawa Paszkiewicza. Pisma te nosiły nazwy „Czata” i „Odwet”. Obydwa miały żywot bardzo krótki, ale o tyle ciekawy, że nie obawiam się nawet teraz zanudzenia Czytelników i dlatego dzieje tych pism opiszę z wrodzonym mi „gadulstwem”, które proszę aby i Pan i wszyscy Pańscy Czytelnicy zechcieli wziąć za „gawędziarstwo”.

Otóż w sierpniu 1940 roku jako najzwyczajniejszy strzelec z cenzusem (z zasady nie nosiliśmy wtedy żadnych odznak cenzusowych) napisałem w namiocie 11 artykułów, przeznaczonych dla „Wiadomości Polskich” i „Polski Walczącej”. Ta pracowitość moja w warunkach naprawdę bardzo niewygodnych doszła do wiadomości dowódcy Brygady dzięki cenzurze i sprawiła — jak sądzę — że dowódca Brygady gen. Gustaw Paszkiewicz zwrócił na mnie uwagę. Innym powodem było prawdopodobnie to, że gen. Paszkiewicz wybitnie nie lubił śp. senatora Jana Rembienińskiego, który, jako podporucznik był redaktorem wydawnictw 1-ej Brygady Strzelców. I dlatego zostałem po Janie Rembienińskim mianowany na to „stanowisko”.

Wydawnictwa 1-ej Brygady Strzelców w sierpniu 1940 roku sprowadzały się do biuletynu pt. „Nowiny 1-ej Brygady Strzelców”. O tych „Nowinach” też głucho jest w „Materiałach” Jana Kowalika. A szkoda, bo miały ogromne znaczenie w owym czasie w Szkocji. I wychodziły 7 razy w tygodniu, będąc dla kilku tysięcy żołnierzy jedynym źródłem informacji. W latach wojennych „Polska Walcząca” nazywała „Nowiny” najlepiej prowadzonym pismem żołnierskim. Podobnego zdania był też i śp. gen. Władysław Sikorski, który mi specjalnie gratulował „Nowin” w dniu 11-ym listopada 1940 roku w Cupar (Fife). Ale to na razie odłożmy na lepsze czasy.

Otóż kiedy obejmowałem po Janie Rembienińskim redakcję wydawnictw 1-ej Brygady Strzelców, wiadomo już było, że Brygada będzie wydawała pismo dekadowe, które wbrew woli dowódcy brygady zostało nazwane „Czata”. Niektóre materiały do pierwszego numeru tego pisma zostały już wysłane do drukarni w Edynburgu. Dowództwo Brygady stało wówczas w Biggar i do Edynburga trzeba było dojeżdżać autobusem. „Czata” za redakcji Rembienińskiego nie wyszła, ponieważ drukarnia „Oliver and Boyd” nie miała jeszcze polskich czcionek. Czekaliśmy więc na ich nadejście. Rembieniński więcej niż lojalnie przekazał mi wszystkie materiały, pojechaliśmy razem do Edynburga gdzie poznałem właściciela drukarni, sprawdziłem znajdujące się tam materiały i wróciłem do Biggar. „Czata” miała ukazać się już wkrótce, więc pozmawiałem szereg dalszych materiałów. W spadku po Rembienińskim dostałem wiersz „Płonie Ognisko” Jana Rostworowskiego, starszego strzelca w tym samym, co i ja (3-im) batalionie. Tyle tylko, że w innej kompanii. W namiocie zaś miałem piszącego kolegę. Był nim Kazimierz Koźniewski, dobrze dzisiaj znany czytelnikowi polskiemu w kraju, gdyż w roku 1941 został wysłany, jako emisariusz prof. Kota do Polski, gdzie miał „opiekować się” harcerstwem. Koźniewski napisał na moją prośbę do pierwszego numeru „Czaty” artykuł poświęcony nastrojom Warszawy w dniu 11-ym listopada 1939 roku. Wtedy bowiem Koźniewski był jeszcze w Polsce, skąd przedostał się do Wojska Polskiego we Francji, a z Francji — do Wielkiej Brytanii. Koźniewski wystąpił w „Czacie” pod pseudonimem, którego później także używał nie tylko w redagowanych przeze mnie pismach, ale także i w innych: „Wiktor Winiarski”.

Start „Czaty” odbył się bez Rembielińskiego, z którym przez cały czas pobytu w Wielkiej Brytanii utrzymywałem kontakt. Ale Rembieliński odszedł z naszej Brygady. Po wyjściu drugiego numeru „Czaty” wezwał mnie gen. Gustaw Paszkiewicz i powiedział z wyraźnym smutkiem, że „Czata” została zawieszona. Powodem zawieszenia pisma miało być — jak mi powiedział gen. Paszkiewicz — to „że nie piszemy ani słowa o Wodzu Naczelnym”. Decyzję zawieszenia pisma miał powziąć osobiście Wódz Naczelny, gen. Sikorski.

W owym czasie znajdowaliśmy się w przededniu wizyty księcia Kentu w naszej Brygadzie przypomniałem więc o tym gen. Paszkiewiczowi, dodając, że możemy poświęcić księciu Kentu następny numer „Czaty” i równocześnie dać tam kilka słów o Wodzu Naczelnym.

Na tym stanęło.

Miałem nadzieję, że w ten sposób uratuję pismo. Generał Paszkiewicz natomiast tej nadziei nie miał, ale przypuszczał, że zamknięcie „Czaty” pozwoli mu niemal natychmiast uruchomić inne pismo, „może nawet tygodnik”.

Tu znowu chciałem odbiec na chwilę od tematu zasadniczego. Generał Paszkiewicz nie lubił „Czaty” z powodu jej nazwy. I wielokrotnie omawiając ze mną możliwości wydania innego pisma brygadowego, proponował mi — bezskutecznie — nazwę „Niezlomni”. Jeżeli więc niezbyt energicznie bronił „Czaty”, to — przypuszczam — dlatego, że chciał zmienić nazwę pisma.

Faktem jest, że w końcu września, lub na początku października 1940 roku ukazał się trzeci i ostatni numer „Czaty”. Przytrafiło się tam kilka gaff. Przede wszystkim ta, że zamieściliśmy karykaturę księcia Kentu. Zrobił ją na moje zamówienie Marian Walentynowicz, podówczas sierżant saperów w naszej Brygadzie.

Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że w Wielkiej Brytanii panuje zwyczaj, by nie rysować (a w każdym razie nie publikować) karykatur członków rodziny panującej. Druga gaffa polegała na motywacji o zawieszeniu „Czaty”. Wykorzystałem przydzielenie do naszej redakcji na dwa dni Mariana Walentynowicza i poprosiłem go o zrobienie rysunku-fotomontażu, który by wypuklał rolę Polskiego Wodza Naczelnego w świecie. I Walentynowicz zrobił „Raport karny”, umieszczając przed gen. Sikorskim Hitlera i Stalina...

Po złamaniu numeru, nie mogłem sobie darować, że puściłem ten rysunek. Tak bardzo wazeliniarsko wyglądał. Ale myślałem, że Czytelnik mój w osobie Żołnierza 1-ej Brygady zrozumie, iż musiałem dać „wazeliniarską” historyjkę, po której zamieszczeniu „Czata” będzie wychodziła nadal. Tak się nie stało. Nie warto więc było w ogóle wazeliniować, gdyż w zamian nie wytargowaliśmy niczego...

Pozwolenie na wydawanie „Odwetu” dostaliśmy dopiero w grudniu 1940 roku. Ale ponieważ gen. Paszkiewicz informował mnie podczas naszych cotygodniowych lub nawet częstszych rozmów o tym, iż pozwolenie takie uzyskamy, zacząłem już na początku grudnia zbierać materiał. Gen. Paszkiewicz i tym razem chciał stanowczo, aby pismo nosiło nazwę „Niezlomni”, ale na szczęście i tym razem udało się nam nadać pismu nazwę proponowaną przez ówczesnego kierownika referatu kult.-oświatowego Brygady śp. kpt. Adama Kowalskiego. Po polsku „Odwet” brzmiało świetnie. Natomiast miałem kłopoty z angielskim tłumaczeniem nazwy. Tłumaczyć bowiem musieliśmy jako „Revenge”, co wielu Brytyjczyków nawet nie złej woli uważało za nawoływanie do zemsty nad Niemcami.

„Odwet” rokował lepsze nadzieje na przyszłość. Po pierwsze jeszcze w grudniu 1940 roku udało mi się wyprosić u generała Paszkiewicza przydział st. strzelca Jana Rostworowskiego do redakcji wydawnictw 1-ej Brygady. Nie miałem tam dla Rostworowskiego wyraźnie określonej roboty. Chciałem jednak

montować zespół który by stworzył pismo, a nie „pisemko”. Nie tu będę omawiał powodów dla których „Odwet” w pojęciu moim, a więc jedynego redaktora, nigdy pismem nie został. Tu jednak trzeba i warto powiedzieć, że podobnie jak „Czata”, „Odwet” również został zawieszony decyzją Wodza Naczelnego.

Wiedziałem doskonale, że w marcu 1941-go roku będę miał trudności. I na długo przed marcem powiedziałem gen. Paszkiewiczowi, że trudności te wynikną na pewno, gdy ogłoszę w marcowym numerze pisma artykuł o Marszałku Józefie Piłsudskim. Artykuł oczywiście obiektywny, a więc taki, jaki się pisze o narodowych wielkościach. Generał Paszkiewicz powiedział mi, że będzie mnie bronił na cały regulator i że powinienem właśnie taki artykuł ogłosić w „Odwiecie”. Ale do tego nie doszło, bo w marcu 1941 roku Uniwersytet w St. Andrews nadał generałowi Sikorskiemu doktorat *honoris causa*. Uroczysta promocja odbywała się właśnie w marcu. Wobec tego stanąłem przed zadaniem nie do rozwiązania. Gdybym miał dać w tym numerze i artykuł poświęcony Marszałkowi Piłsudskiemu i „wazelinę” o doktoracie *honoris causa* dla gen. Sikorskiego, powstałaby sprawa który artykuł umieszczać na której stronie? A przemilczeć gen. Sikorskiego nie mogłem, bo miało St. Andrews leżeć na terenie zajmowanym przez naszą Brygadę i jeszcze jak na złość właśnie w St. Andrews stał mój macierzysty batalion trzeci, któremu przypadało w udziale statystować podczas uroczystej promocji doktorskiej Wodza Naczelnego. Postanowiłem więc artykuł o marszałku Piłsudskim przełożyć na maj i powiedziałem gen. Paszkiewiczowi o moich trudnościach, tłumacząc, iż wolę zrezygnować z uczczenia imienia Zmarłego Marszałka, niż zrezygnować z uczczenia, rocznicy Jego śmierci. Generał Paszkiewicz podzielił moje zdanie. Ciekawe, że mi przypomnieli na odchodnym, abym w maju koniecznie zrobił wszystko, co będę mógł by ten rocznicowy artykuł wypadł jak najlepiej.

Różne w międzyczasie rozegrały się sprawy. Zygmunt Nowakowski ogłosił w „Wiadomościach Polskich” swój nieprawdopodobnie wazeliniański artykuł o promocji doktorskiej gen. Sikorskiego „Doctor Mirabilis”. W zestawieniu z tym artykułem Nowakowskiego każdy inny musiał być przyjęty przez gen. Sikorskiego chłodniej. I — oczywiście — chyba musiał się pnieć na pismo wojskowe, które mniej niż „Cywilbanda” z „Wiadomości Polskich” wychwała Wodza Naczelnego. Jeśli chodzi o nastroje w Wojsku, sędzę, że gen. Sikorski nie orientował się w nich wcale, a że były dla Naczelnego Wodza niezycielne — o tym doskonale wiem z niejednego mego doświadczenia. W połowie marca 1941 r. zostałem wezwany do Londynu, a kiedy wróciłem do Brygady, dowiedziałem się o przeniesieniu mnie do III-lej Brygady. Była to Brygada oficerska. Toteż gen. Paszkiewicz uznał to przeniesienie za szykanę i zdołał ją odrobić. Pozostałem więc nadal na moim stanowisku w I-lej Brygadzie Strzelców. Historia karnego przeniesienia nie miała zresztą nic wspólnego z prawdą, gdyż po prostu telefonista omylił się i zapisał trzecią Brygadę zamiast czwartej. Czwarta zaś — to była Brygada Spadochronowa. I jeżeli byłem tam przeniesiony, to po porozumieniu się ze mną, gdyż jeszcze przed wyjazdem do Londynu w marcu 1941 roku, umówiłem się z kpt. Górskim i kpt. Kalenkiewiczem, że jeżeli mi się nie uda zmontować przyzwoitego pisma w Szkocji, skoczę do Polski wraz z nimi. W marcu skok moich znajomych był już zdecydowany i por. Świątkowski (zginął właśnie po skoku) kilkakrotnie porozumiewał się ze mną chcąc wiedzieć czy jestem moralnie przygotowany na skok w Polsce. Odpowiedziałem „tak”. I stąd wynikło moje przeniesienie. Nikt nie przewidział jednak, że telefonista popełni błąd i „przeniesie mnie” do trzeciej Brygady zamiast do czwartej.

Z Londynu przywiózłem dwa artykuły przeznaczone dla „Odvetu”. Je-

den był pierwszym w Wielkiej Brytanii artykułem Ryszarda Wragi, autorem zaś drugiego był Michał Rogóyski. Oczywiście te artykuły podniosły numer „Odwetu”. Ale historia z przeniesieniem mnie z Brygady zmusiła gen. Paszkiewicza do uznania mnie za chorego i wysłania na czterotygodniowy odpoczynek. Spędziłem go tuż pod Leven, gdzie stała Brygada Spadochronowa. Zastąpił zaś mnie przez te 4 tygodnie Tadeusz Horko, ówczesny plutonowy z Batalionu Podhalańskiego naszej Brygady. I Horko wypadło przygotować majowy numer „Odwetu”. Rzecz jasna, że dałem w tym względzie całkiem wyczerpujące instrukcje.

Horko zetknął się jednakże ze stanowczym sprzeciwem cenzorskim.

Dotychczas cenzura „Odwetu” nie sprawiała mi kłopotów. Cenzurę tę sprawował w Bridge of Earn mjr. Otton Laskowski, szef propagandy i oświaty I-go Korpusu WP. Z Ottonem Laskowskim miałem jak najlepsze stosunki i zawsze bardzo chętnie jeździłem do niego z „Odwetem”, pokazując już przełamane kolumny. Po wielkich targach Horko uzyskał od gen. Kukiela pozwolenie zamieszczenia na pierwszej stronie pisma fotografii Marszałka Piłsudskiego. Podpis mógł natomiast zamieścić wyłącznie po angielsku. I to narzucono mu taką treść podpisu na którą ja bym się nie zgodził. Tak wyszedł majowy numer „Odwetu”. Miał tak wielkie powodzenie, że dodrukowaliśmy jeszcze dodatek do normalnego nakładu. A znacznie później nieraz spotykałem na kwaterach żołnierskich wyciętą z tego numeru „Odwetu” fotografię Marszałka.

A Wódz Naczelny wówczas właśnie wrócił ze Stanów Zjednoczonych. I podobno przelot powrotny do Londynu nie odbył się całkiem normalnie. Dość długi artykuł o tym dostarczył mi korpusowy referat propagandy i oświaty. Nie wiem czy autorem artykułu był mjr. Lisiewicz czy też śp. Wiktor Brumer. W każdym razie w ówczesnych nastrojach artykułu tego nie chciałem drukować. Puściłem go więc po wielkich skrótach w „Nowinach 1-ej Brygady”, które nadal wychodziły 7 razy w tygodniu. I stawały się znów jedynym wydawnictwem 1-ej Brygady Strzelców.

Dowódca Brygady dał mi polecenie przygotować jeszcze jeden numer „Odwetu”, który musiał uwzględnić „zdobytcze polityczne gen. Sikorskiego w Ameryce”. Artykuł ten napisałem sam.

W czerwcu 1941 roku „Odwet” przestał istnieć.

I jeśli nie zarobił sobie na miejsce w zawodnej pamięci ludzkiej, to na pewno tak samo jak „Czata” i „Nowiny 1-ej Brygady Strzelców” zdecydowanie zasłużył na miejsce w „Materiałach do historii prasy polskiej na obczyźnie”. W swoim czasie i o „Czacie” i o „Odwece” mówiło się i pisało sporo. Znając Jana Kowalika jestem jak najdalszy od posądzania go o złą wolę — toteż z przykrością muszę stwierdzić, iż ogłoszone w „Bibliotece Kultury” przez niego „Materiały” są bardzo, ale to bardzo niekompletne. Jeśli ja sam mogę wymienić już trzy pozycje pism, jakie redagowałem podczas wojny, to ile innych pozycji wymieni inni? Na pewno bardzo dużo. Nie zasługują one na pominięcie, gdyż wychodziły w nakładzie kilku tysięcy egzemplarzy, rozchwytywanych zawsze natychmiast po ukazaniu się pisma. Dzisiaj niejedno pismo emigracyjne byłoby zadowolone, gdyby miało takie nakłady, jakie miały w latach 1940-41 „Nowiny 1-ej Brygady”, „Czata” i „Odwet”, które miałem wielką przyjemność redagować, zanim zostałem korespondentem wojennym, przydzielonym najpierw do Marynarki Wojennej, a następnie wysłanym na proces norymberski.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i zaczął dłoń Pana serdecznie ścisnąć.

Janusz LASKOWSKI

SPIS TREŚCI

SŁOWNIK BIOGRAFICZNY OFIAR TERRORU P.R.L.	7
<i>Gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz:</i>	
JAK POWSTAWAŁA ARMIA KRAJOWA	17

W 20 - LECIE POWSTANIA

<i>Witold Babiński:</i>	
POWSTANIE WARSZAWSKIE	45
<i>Z.S. Siemaszko:</i>	
ŁĄCZNOŚĆ RADIOWA SZTABU N.W. W OKRESIE POWSTANIA WARSZAWSKIEGO	64

RUMUNIA 1939 R.

<i>Jan Kowalewski:</i>	
CYKL RUMUŃSKI	117
<i>Alfred Ponieński:</i>	
WRZESIEŃ 1939 W RUMUNII	146

KRONIKA

<i>Tytus Komarnicki:</i>	
SYMPOZJON HISTORYKÓW POLSKICH I NIE- MIECKICH W LONDYNIE	203
	239

K S I Ą Ż K I

Piotr Wandycz:

DIARIUSZ I TEKI JANA SZEMBEKA 217

Zygmunt Markiewicz:

U ŹRÓDEŁ KLĘSKI DYPLOMATYCZNEJ POW-
STANIA STYCZNIOWEGO 222

Piotr Wandycz:

„TEKI HISTORYCZNE” 225

L I S T Y D O R E D A K C J I „ Z E S Z Y T Ó W ”

Jeszcze o masonerii

Tadeusz Katelbach 228

Tadeusz Święcicki 229

Tadeusz Katelbach 233

Janusz Laskowski 234

ACHEVE D'IMPRIMER LE 31 AOUT 1964 SUR LES PRESSES
DE L'IMPRIMERIE RICHARD, 24, RUE STEPHENSON, PARIS (18°)

Dépôt légal : 3^e trimestre 1964

**KSIĄŻKI HISTORYCZNE
W „BIBLIOTECE KULTURY”**

Józef Mackiewicz: **Kontra** (7 F)

Paweł Zaremba: **Historia Stanów Zjednoczonych**
(18 F.)

Tadeusz Katelbach: **Rok złych wróżb** (8 F)

Stanisław Kot: **Jerzy Niemirycz** (7 F)

Paweł Zaremba: **Historia Polski, Tom I** (20 F)

Józef Czapski: **Na nieludzkiej ziemi** (Wydanie drugie)
(15 F)

Bernard Singer: **Od Witosa do Sławka** (18 F)

Milovan Dzilas: **Rozmowy ze Stalinem** (9 F)

Jerzy Mond: **6 lat temu...** (Kulisy polskiego
Października) (10 F)

Maria Czapska: **Polacy w ZSSR (1939-1942)**
Antologia (16,50 F)

Witold Jedlicki: **Klub Krzywego Koła** (10 F)

Stanisław Mackiewicz: **Polityka Becka** (12 F)